

Thriller historyczny w stylu Hilary Mantel

SOPHIA TOBIN

*Zona
złotnika*

Morderstwo, miłość
i pilnie strzeżone tajemnice

imprint

SOPHIA TOBIN



*Żona
złotnika*

Z języka angielskiego przełożyła
Julita Mastalerz

imprint

Dla moich rodziców



Prolog

Listopad 1792

– Kto idzie?

Edward Digby miał wrażenie, że ten chrapliwy głos nie należy do niego, lecz dochodzi z oddali. Zabrakło mu tchu. Na moment zapadła cisza, a prawa ręka Digby'ego instynktownie powędrowała ku rękojeści noża. Dotyk znajomej tkaniny pod palcami dodał mu otuchy. Nawet na otwartej przestrzeni eleganckiego placu każdy ciemny róg wydawał się zagrożeniem. Digby patrolował samotnie, a było już po północy – pora zbyt późna, by w zaułkach skrywali się prawni obywatele.

– Pokaż się! – zawołał.

– To ja, Bright Hemmings – odezwał się z ciemności znajomy jękliwy głos. – Wyszedłem cię szukać. Znowu ktoś mi ukradł świnie.

Digby nieomal nie roześmiał się z ulgą, lecz zatrzęsła nim fala kaszlu. Z każdym haustem zimnego powietrza czuł bolesne szarpanie w płucach. Przeziębził się i wiedział, że nie wydobrzeje, dopóki słońce nie przepędzi zimowych chmur, a w Saint James's Park nie zakwitną narcyzy. „Jeśli uda mi się tego dożyć” – pomyślał ponuro. Atak kaszlu jak zwykle nie przyniósł mu ulgi. Nawet uspokoiwszy oddech, Digby nadal czuł męczący ból podrażnionego gardła.

– Dobry wieczór, Bright – wychrypiał w końcu łamiącym się głosem. – Kolejna strata, co?

Wątpa postać Brighta wyłoniła się z cienia. Światło latarni zapaliło błyski w jego czarnych oczach, uwidaczniając wyraz teatralnego oburzenia na twarzy. Z Brighta śmiała się cała okolica. Każda kupiona przez niego świnia ginęła w ciągu tygodnia, pozostawiając po sobie tylko nieprzyjemną woń i wiązkę uwalanej brudem słomy w chlewiku. Na widok Digby'ego Bright natychmiast rozpoczął litanię skarg na złodziei świń i zdradliwych sąsiadów.

– Wróg czai się wszędzie, tyle ci powiem, Edwardzie Digby. Zabrali ją, moje Słoneczko! Na moją trzodę uwzięli się chyba wszyscy po tej stronie Piccadilly!

Digby przerwał ten wywód:

– Wystarczy już, wystarczy – wyrzeźił. – Nie ma dziś ze mną Watkina. Zajmę się tą sprawą rano.

– Wcale się nią nie zajmiesz! – Głos Brighta stał się piskliwy. – Zostawisz mnie na lodzie, jak poprzednio!

– Daję słowo – powiedział Digby. Odchodząc, mamrotał przekleństwa pod nosem. Serce nadal waliło mu jak młotem.

– Stary głupiec – wymruczał.

Szybkim krokiem przeszedł obok stajni Hays Mews. Zapach nawozu i słomy mu nie przeszkadzał; miał przytępione zmysły. Budynki stajni, przycupnięte za wielkimi tarasami Berkeley Square, były pogrążone w ciemności i ciszy, tylko od czasu do czasu przerywanej przez ruch kogoś z czworonożnych mieszkańców – delikatne parsknięcie lub stukot kopyta o źle wyściełone podłoże. Stajenni byli cicho, prawdopodobnie złożeni kamiennym snem ze zmęczenia. Digby pozazdrościł im tej możliwości. Szedł dalej, tęsknie myśląc o własnym łóżku. Przy Hill Street blade światło księżyca padało na elementy krajobrazu, przywodzące na myśl jasne plamy na akwareli.

Zazwyczaj Digby lubił patrolować przy pełni księżyca – wtedy przynajmniej widział grunt przed sobą i mógł dostrzec potencjalne niebezpieczeństwo, a nie kulić się w świetle latarni.

Dziś jednak pełnił straż bez Watkina, a widok księżyca przeszywał go dreszczem. Było w nim coś złowrogiego. W koronach drzew po północnej stronie placu zaszeleścił wiatr. Digby podniósł kołnierz i przyspieszył kroku, zatrzymując się tylko raz, z powodu kolejnego ataku kaszlu. Był to ostatni odcinek, który musiał dziś pokonać sam; na Hay Hill czekali inni członkowie straży nocnej. Zaraza niech weźmie tego Watkina i jego bezsensowną szkołę czytania! Siedział teraz pewnie pochylony nad jakimś poematem, bezgłośnie poruszając ustami. Zdaniem Digby'ego na ulicach Londynu z takich umiejętności nie było żadnego pożytku.

W wysokich rezydencjach przy Berkeley Square nadal płonęły świece; mijając fasady budynków, Digby widział słaby blask przeświecający przez abażury i okna. Niektóre domy wyglądały jak wielkie prostokąty z ciemnej cegły, inne miały frontony z kredowobiałego stiuku. Nie było dwóch takich samych, jakby mieszkające w nich bogate rodziny koniecznie chciały zaakcentować swoją indywidualność. Plac wytyczono zaledwie pół wieku wcześniej – powstał na błocie dzięki dzierżawcom gruntu o wysokich aspiracjach. Jako dziecko Digby słuchał opowieści dziadka związanych z budową; wiedział, skąd wzięły się te wielkie gmachy i co było tam wcześniej: Brick Close, opuszczona farma z dołem kloacznym po południowej stronie. Lubił myśleć, że ta wiedza pozwala mu czuć wyższość nad wszystkimi wielkimi damami i panami, którzy tam mieszkali. Starał się o tym pamiętać. Domy to tylko cegły i zaprawa, nawet te okolone wysokimi murami jako osobne posiadłości, a zamknięci w środku ludzie to dusze równie ulotne jak jego własna. Rezydencje wydawały mu się jednak nienaruszalne jak świątynie – i tchnące takim samym spokojem, tak jakby stały tu od wieków.

Idąc dalej, Digby poczuł, że szczęki zaciska mu znajoma gorycz. Tak było każdej nocy. Sam nie wiedział, jak często to się powtarza; co noc rozdrapywał ranę niechęci. Przekroczył już czterdziestkę, lecz jego nienawiść wciąż była równie silna jak u młodzieńca, podobnie jak tęsknota. Kobiety, które przewinięły się przez jego życie, próbowały nakłonić go do modlitwy – dziwne, że przyciągał właśnie kobiety pobożne – on jednak ignorował próby narzucenia mu spokoju ducha. Jedyłą modlitwą, jaką odmawiał, był fragment wieczornego nabożeństwa: bądź nam światłem w ciemnościach, błagamy Ciebie, o Panie; i w łaskawości swojej broń nas od złych przygód i niebezpieczeństw nocy.

Ten ustęp wydawał mu się odpowiedni, skoro pracował teraz jako prywatny stróż, któremu najbogatsi mieszkańcy placu płacili za to, by pilnował ich domostw w ciemnościach nocy. Nic dla nich nie znaczył, lecz jego bystre oczy czuwały nad ich życiem. Latem czasami zatrzymywał się i starał z daleka zaglądać im do okien, jakby widok obitej jedwabiem ściany, kandelabru lub – jeśli miał szczęście – czyjejs twarży mógł dać mu więcej pożywki dla nienawiści.

Tej nocy jednak czuł dojmującą potrzebę, by zawinąć się w płaszcz, skulić ramiona i zdusić w sobie chorobę – odmówił więc sobie przyjemności przyglądania się rezydencjom. Czuł ból, jakby wszystkie jego kości były pozszywane niemi z lodu, a szpik zamienił się w kryształki. Nie zamierzał zatrzymywać się z byle powodu.

Zszedłszy z chodnika, ledwo zdążył uciec spod kół rozpędzonego faetonu, którym powoził jakiś młodzik. Powóz minął go ze stukotem kopyt i kół, odjeżdżając w kierunku stajni. Digby przytrzymał się ogrodzenia i niespokojnym wzrokiem spojrział w mrok placu za plecami. Posadzono tam młode drzewka, jakby ktoś chciał stworzyć sobie letnią rezydencję w środku miasta pełnego brudu i popiołu.

W cichej części placu obok niezamieszkanego domu Digby zatrzymał się i obrócił, słysząc jakby stłumiony okrzyk. Kobieta? Przez chwilę wsłuchiwał się w mrok. Gdzieś w oddali Bright Hemmings nadal biadolili nad swoją durną świnią; dziwne, że jego cienki głos niósł się tak daleko. Digby uznał, że to on jest adresatem tyrady. Któż inny mógłby słuchać go w środku nocy, oprócz złodziei i włóczęgów? Przez chwilę myślał, czyby nie zawrócić i nie powiedzieć Hem-

mingowski, żeby zamknął jadaczkę, jeśli życie mu miłe.

Idąc dalej, poczuł, jak od czubka głowy do samych trzewi przeszywa go dreszcz. Obejrzał się.

Coś było nie tak.

Nagle pojął, o co chodzi. Po drugiej stronie ogrodzenia Berkeley Square leżał jakiś ciemny kształt; nieregularna bryła wystająca z chłodnego dywanu trawy i wysuwająca się z cienia. Digby przez chwilę dziwił się sam sobie, że zna swój teren na tyle, iż promień księżyca odbity od nieznanej powierzchni potrafi zwrócić jego uwagę.

– Kto tam? – zapytał.

Odpowiedziała mu cisza.

Chwycił za pęk kluczy w kieszeni i skrzywił się, gdy poczuł, jakie są zimne. Podszedł do najbliższej bramy na plac, chcąc ją otworzyć. Drgnęła pod delikatnym dotykiem; nie była zamknięta. Gdy zaskrzypiała, ręka Digby'ego znów poszukała noża.

Nieregularny kształt okazał się sylwetką człowieka śpiącego twarzą do ziemi obok młodego platanu. Digby rozluźnił się nieco. To tylko pijak.

– Hej, rusz się – odezwał się, starając się brzmieć oficjalnie. Mężczyzna ani drgnął. Digby mimochodem zarejestrował, że głos Brighta Hemmingsa już nie dobiega z oddali. W ciężkiej ciemności londyńskiej nocy został z nieznanym sam na sam.

– Obudź się! – powiedział, wymierzając kopniaka w bezwładne ciało. Nadal nic.

Oczywiście, zdając później relację, pozmieniał pewne szczegóły, lecz taka była prawda o tym, jak Edward Digby znalazł zwłoki Pierre'a Renarda.

Rozdział I

28 kwietnia 1792

Zeszyt ten zamówiono specjalnie dla mnie u pana Laveena. Najlepszy papier marmurkowy, przedniego gatunku cięła skórą na oprawę. Mieliśmy drobną sprzeczkę w kwestii jakości złoceń, ale nie jest ona najgorsza. Pewnego dnia wszystko w moim domu będzie równie piękne jak ta książka.

Chcę spisywać swoje myśli, nie tylko dla siebie samego (albowiem niewiele jest osób, którym mogę je powierzyć), lecz także dlatego, że przyszłe pokolenia będą chciały wiedzieć, kim był Pierre Renard. Założyciel dynastii złotników. Szlachcic. Nie jest to pobożne życzenie, ale postanowienie; moje ambicje sięgają wysoko. Ten cenny dziennik przypomni mi, jak daleką drogę musiałem przebyć, gdy pewnego dnia przyjdzie mi opisać swoje życie. Na razie jednak będę trzymał go w ukryciu i strzegł jak srebra.

Sama nie była pewna, co skłoniło ją, by oderwać wzrok od okrągłej tarczy księżycy tego zimowego wieczoru 1781 roku. Od dawna już czekała nieruchomo, przytykając zziębniętą twarz do ramy okna.

Wtedy go zobaczyła. Nie mogła jeszcze dostrzec jego twarzy, lecz poznała go po ruchach; szedł przed siebie pewnym, sprężystym krokiem. Wszelka nadzieja rozwiała się bezgłośnie, niczym świeca zdmuchnięta przeciągiem. Pozwoliła sobie na snucie marzeń, że jednak nie przyjdzie.

Cały dzień czekała na dźwięk kroków Elego na schodach, co rusz zapominając, że brata wysłano do ciotki. Bez niego dom wydawał się pozbawiony duszy, cisza zaś była ciężka i naelektryzowana, jak gdyby zbliżała się burza. Mary tęskniła za śmiechem brata i szybkim, energicznym dudnieniem jego butów. Dano jej jednak do zrozumienia, że wyjazd Elego jest absolutnie konieczny; od tego zależały jej szanse na zamążpójście. Zdrowy, czysty rodowód, powiedział Pierre. Chciał silnych, krzepkich synów. Pierre Renard cenił sobie Mary, lecz jej mały braciszek, który siedział z boku i przyglądał mu się uważnie, jakby potrafił wejrzeć aż na dno jego duszy, stanowił problem.

– Popatrz na księżyc złotnika, Marie – powiedział tego wieczoru pan Renard. W jego ustach jej imię nabierało francuskiego brzmienia. Podczas ich pierwszego spotkania pomyślała, że to tylko poza, bo Renard, choć miał rodziców Francuzów, urodził się w Anglii. Teraz wiedziała już, że jego akcent stawał się silniejszy raczej z przyzwyczajenia niż pod wpływem świadomej woli, za każdym razem, kiedy starał się do niej zalecać albo przekonać nieznanego o swym artystycznym rodowodzie. Milczała.

– Co widzisz? – zapytał.

– Nocne niebo – odparła. Westchnął cicho: zła odpowiedź. Spróbowała jeszcze raz. – Księżyc w pełni?

Z ulgą powitała uścisk jego dłoni na ramionach; gest aprobaty.

– Tam, gdzie ty widzisz księżyc – zaczął – ja widzę srebro. Gładką taflę srebra na mojej ławie, czekającą, aż ją obrobie. Tę chwilę lubię najbardziej – zniżył głos do szeptu, jakby zwierzał się jej z najgłębszej tajemnicy – chwilę pełną możliwości.

Gdy już sobie poszedł, stanęła przy oknie, myśląc: „Jeszcze nie jest za późno. Muszę coś zrobić, zaraz. To się musi skończyć”.

Obudziła się przerażona. Obraz, nadal wyraźny, rozwiał się dopiero, gdy rozejrzała się i zrozumiała, że śniła o dawnych czasach i że nie da się już odmienić biegu wydarzeń. Tamtą listo-

padową noc dzieliło od dzisiejszej jedenaście lat – a mimo to wypowiedziane wtedy słowa nadal sunęły przez jej umysł powoli, niczym nić przeciągana przez oczko igły.

Nie jest za późno. Muszę coś zrobić. To się musi skończyć.

Otumaniona snem, nie całkiem przytomnie przetarła oczy; oddychała głęboko, czekając, aż jej puls wróci do normy. Była sama w swoim niedużym salonie, ogień w kominku dogasał, rzucając cienie na ścianę za jej plecami. Zmieniła pozycję na krześle, twardym i mahoniowym, z półokrągłym oparciem. Wybrał je dla niej mąż. Zastanawiała się, czy świadomie chciał, aby wiecznie było jej niewygodnie. Pocierając zmęczony kark, poczuła, że jej skóra jest mokra od potu.

– Pierre? – zawołała słabo. Poczua ulgę, nie doczekawszy się odpowiedzi. Ach, racja. Wyszedł po kolacji, mówiąc, że „może wrócić późno”. Po takiej deklaracji wiedziała, że nie będzie go cały wieczór, a może i do rana. Nie odezwała się ani słowem, starając się zachować obojętny wyraz twarzy. Ta metoda czasami uspokajała Pierre’a, kiedy indziej jednak wywoływała w nim złość. Jak na człowieka, który z nieznanego rzemieślnika stał się właścicielem zakładu przy Bond Street, jej mąż miał zaskakująco cienką skórę.

Mary nerwowo zerknęła na zegarek: dochodziła pierwsza. Jej ręce instynktownie powędrowały do klucza, zanim zdążyła sobie przypomnieć, że zamknęła drzwi zaraz po kolacji. Jakaś siła kazała jej wtedy przejść się po domu i pozamykać mieszkańców w ich pokojach – co było zwyczajem praktykowanym w wielu domostwach, lecz u Pierre’a Renarda na New Bond Street stanowiło nienaruszalną zasadę. Gdyby zasnęła, zapomniawszy tego dopilnować, poważnie by się naraziła.

Wieczorami, kiedy zostawiał ją samą, wychodziła na ganek na chwilę przed zamknięciem drzwi, rzucając jedno spojrzenie na ulicę, na wypadek gdyby jej mąż właśnie nadchodził. Nie pamiętała, czy zrobiła tak dzisiaj, lecz świadczyły o tym wilgotne kapcie. Zamknęła oczy i potarła skronie; dwa kieliszki czerwonego wina ukoili jej nerwy, lecz za ich sprawą nie mogła sobie przypomnieć, co stało się wieczorem – w pamięci pozostały tylko pragnienie bezpieczeństwa i niezadowolenie męża. To monotonia ciągłych prób zadowolenia Pierre’a tak ją wyczerpywała; kierowanie wszystkich myśli w jedną stronę tak, że cała reszta życia wydawała się nieistotna. Ścieżka aprobowana przez jej męża była wąska i nierzadko przez przypadek Mary zdarzało się z niej zboczyć. Na myśl o tym czuła w dołku zimny, nieustępliwy gniew; był w niej cały czas, twardy jak pigułki, które Pierre kazał jej łykać, by wzmocnić jej płodność, pigułki z pudełka pokrytego pajęczym pismem doktora Taylora.

Dźwięk z zewnątrz. Nastawiła uszu.

Ktoś pukał do frontowych drzwi.

Na chwilę przestał, lecz po przerwie pukanie rozległo się jeszcze głośniejsze. Niebawem dołączył do niego kolejny dźwięk – czyjeś nawoływanie? Ani drgnęła, sparaliżowana strachem. Nigdy nie przestawała myśleć o zamkniętych w skrytce sztabach złota i srebra, dom nie był bezpieczny pod nieobecność właściciela. Jej służąca dawno pewnie spała; Grisa, główny subiekt, był już w swoim mieszkaniu kilka przecznic dalej. W sklepie na dole spał wprawdzie czeladnik, lecz funkcję tę pełnił młody chłopiec.

– Marie.

Usłyszała wołanie, wyłapała własne imię – wymówione niewyraźnie, lecz w sposób, jakiego używał tylko on. Skoro wykrzykiwał do niej z ulicy, musiał być pijany i w podłym humorze. Zbiegła na dół i zajęła się odryglowywaniem drzwi. Było prawie zupełnie ciemno, a jej ręce drżały. Na szczęście nie zasunęła największej sztaby, bo nie miała siły jej unieść. Kiedy wreszcie otworzyła drzwi, na progu ujrzała nie swojego męża, lecz jego przyjaciela, doktora Taylora.

– Och – z ust wyrwało jej się westchnienie ulgi.

Gość oparł się o framugę, jakby chciał ująć sobie wzrostu – mawiał o sobie z dumą, że ma metr osiemdziesiąt w samych pończochach.

– Pani Renard – odezwał się, też z westchnieniem, jakby żałował, że tu stoi, chociaż sam dobijał się do drzwi.

– Doktorze Taylor. – Dygnęła na powitanie. – Jest już bardzo późno...

Zastanawiała się, czy był po kieliszku; w wyrazie jego twarzy dostrzegła coś dziwnego. Zawsze ubierał się skromniej niż Pierre, ale bardzo schludnie. Dziwnie było zobaczyć go w nie-dbałym stroju i bez zwyczajowej peruki – nieco staroświeckiej, lecz mimo to eleganckiej. Wyglądał jakby bezradnie.

Popatrzyli na siebie w świetle księżyca. Jego oczy wydawały się szkliste, jakby zaraz miał się rozplakać.

– Czy chciałby pan wejść do środka? – zapytała uprzejmie, dodając: – Mego męża nie ma w domu.

– Nie, nie ma – odpowiedział. – To przez wzgląd na niego tu jestem.

„Trudno coś z tego zrozumieć” – pomyślała zdezorientowana. Może to była jakaś zagadka – Pierre i Taylor uwielbiali gry słowne, chociaż jej zdaniem brzmiali czasem jak duże dzieci. Wpuściła doktora do środka i poprowadziła go do salonu. Jeśli miał zamiar ją krytykować, równie dobrze mógł robić to w ciepłe. A w kwestii przyzwoitości – cóż, nikt przyzwoity nie wiedział, że wpuściła kogoś do domu pod nieobecność Pierre’a. Zmęczonym krokiem ruszyła za nim po schodach.

Później dziwiła się, czemu pocziwy doktor Taylor tak słabo radził sobie z tą sytuacją. Zazwyczaj był bardzo stanowczy i przyzwyczajony do obcowania z życiem i śmiercią. Teraz jednak dreptał po salonie, a deski podłogi jęczały pod jego ciężkimi butami. To zaczynał coś mówić, to milknął, wyraźnie szukając słów. Kilkakrotnie powtórzył imię jej męża, jakby ten dźwięk miał dodać mu impetu, by mówić dalej, ale za każdym razem przerywał. Wymamrotał tylko nazwisko Digby, coś o Berkeley Square i rabusiach.

– Proszę, niech mi pan powie, co się stało – powiedziała w końcu.

Taylor stanął w miejscu i pochylił się nad nią. Jego twarz, na której zwykle gościł wyraz jowialnej życzliwości, teraz wykrzywił smutek. Gra cieni i blasku kominka wyostrzała mu rysy, upodabniając go do rzeźbionego maskarona.

– On nie żyje – odezwał się. – Odebrano nam go. Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro...

Po chwili dodał z wahaniem:

– Marie...

To, że nazwał ją po imieniu, najlepiej świadczyło o jego zdenerwowaniu; nigdy przedtem tak się do niej nie zwracał. Po policzku spłynęła mu łza.

Mary wbiła wzrok w podłogę i turecki dywan, nad którym Pierre tak się zawsze trząsał. „Pamiętaj, by go szczotkować, Ellen, i to porządnie” – powiedział do pokojówki przed wyjściem. Dostrzegła kłaczek brudu na dywanie. Zmusiła się, by nie przykłęknąć, nie zebrać go i nie zgnieść w palcach, zanim Pierre przyjdzie i zauważy.

– Czy wezwano konstabla? – zapytała.

– Stróż złoży mu sprawozdanie, ale kiedy znaleźli zwłoki, w pobliżu nikogo nie było.

– Jak zginął?

Wiedziała, że nie jest to pytanie godne damy, ale była też pewna, że w obecnym stanie Taylor jej o tym opowie; jutro będzie już za późno, lecz jak na razie żadne konwenanse nie wydawały się obowiązywać.

– Poderżnęli mu gardło – odpowiedział ledwie słyszalnym szeptem.

Tik-tak, tykał zegar stojący Pierre'a. Mary powiodła spojrzeniem po pokoju, widząc tylko przedmioty wybrane przez męża, który starannie urządził ich mieszkanie. Jej wzrok w końcu spoczął na miedzianobrazowym zegarze; ma ponad sto lat, stwierdził Pierre, gdy go kupował. Ona wolałaby mieć w pokoju coś innego, coś z drewna, „coś kobiecego”, jak szyderczo skwitował jej mąż. Wszystko w tym domu miało podobać się wyłącznie jemu – z wyjątkiem tapety w salonie: kremowej, w czerwone owoce. Zdecydowali się na nią oboje, zdziwieni, że ich gusta nie są w tej kwestii rozbieżne.

Usłyszała, że doktor przysuwa w jej kierunku krzesło. Ujął jej rękę; miał zaskakująco szorstkie dłonie. Był akuszerem, więc zawsze wydawało jej się, że jego dłonie będą miękkie i delikatne, w końcu miał do czynienia z najdelikatniejszymi częściami kobiecego ciała. Okazały się jednak wielkie i tak suche, że można było odnieść wrażenie, że jeśli potrzebie się je w niewłaściwą stronę, skóra zacznie się sypać jak łuski.

„Nie mam dziecka – pomyślała. – A teraz już nigdy nie będę go miała. Także i w tym względzie zawiodłam męża i własną rodzinę”. Zamknęła oczy. „Mój biedny ojciec nie żyje, on i jego obietnice”.

Tego wieczoru, kiedy Pierre jej się oświadczył, poprosił, by wyszła do niego na ganek domu jej ojca. Stał tuż przy stopniach i patrzył w niebo. Wyglądał jak starannie upozowany; czyżby ojciec dał mu chwilę na przygotowanie? Spod jego szustokoru błysnęły kamizelka z liliowej satyny i duży zegarek, z którego był taki dumny – w złotej, trybowanej oprawie z wzorem z amorków i obłoczków i z bordiurą inkrustowaną cienkimi kawałkami barwnych kamieni półszlachetnych. Traktował ten zegarek jak skarb, nie pozwalał go dotknąć nikomu; pokazując go, odsuwał wszystkich na długość ramienia. Nowym elementem stroju były klamry przy trzewikach, zdobione połyskliwym strasem, bodaj największe, jakie w życiu widziała. Coś w jego pozie sugerowało, że jest tego świadom i że stara się zaprezentować je jak najlepiej. Każdy jego ruch mówił: masz wielkie szczęście, droga pani. Ja ciebie wybrałem. Każdy cal jego ciała emanował pewnością siebie i przeświadczeniem, że utoruje sobie drogę na sam szczyt. A teraz ktoś przekreślił te marzenia.

Nie była pewna, ile przesiedziała tak z doktorem Taylorem, nim jej zadumę przerwały odgłosy dochodzące z domu, przypominając jej o zamkniętych w nim ludziach. Usłyszała kroki na piętrze i dźwięk, który zapewne był głosem jej służącej i innych lokatorów.

– Lepiej pootwieram drzwi. Wszyscy pewnie słyszeli, jak pan wchodził.

Jednak zamiast iść na piętro, zeszła na dół do drzwi oddzielających hall od sklepu. Znowu mocowała się z kluczami, aż drzwi wreszcie ustąpiły.

Po drugiej stronie stał czeladnik jej męża. On jeden spośród wszystkich mieszkańców domu siedział cicho, lecz był rozbudzony i ubrany. Słusznie zgadła, że to on będzie najbardziej przestraszony – wyraźnie widziała, że drży. Uspokajająco wyciągnęła do niego rękę. Nadal był tylko piętnastolatkiem z nad walijskiej granicy, który niewiele się zmienił, odkąd przysłano go tutaj pięć miesięcy temu. Miał w zwyczaju dreptać za Pierre'em i wodzić za nim wdzięcznym spojrzeniem odratowanego szczeniaka. Słabe światło świecy prześlizgiwało się po jego blond czuprynie, posiniaczonej twarzy i niebieskich oczach, w których malowało się złe przecucie. Nie ujął jej ręki.

– Chodź, Benjaminie – powiedziała Mary. – Przyniesiono nam złe wieści. Twój mistrz nie żyje.

Jej głos załamał się tylko nieznacznie na słowach „nie żyje”. Chłopiec popatrzył na nią tępo. Podała mu klucze.

– Idź na górę. Wypuść pozostałych. Ja nie mam siły.

Nigdy nie oddawała nikomu kluczy, lecz Benjamin wziął je bez słowa i ruszył po scho-

dach. Wróciwszy do salonu, słyszała, jak drewniane stopnie trzeszczą i jęczą pod jego ciężkimi krokami. Usiadła.

– Może pan już iść, doktorze Taylor – powiedziała. – Późno już. Zapewne oczekują pana w domu.

Lekarz wstał, ale nie zrobił żadnego ruchu w kierunku drzwi.

– Był dobrym człowiekiem – rzekł. – Najlepszym przyjacielem na całym świecie...

Widok jej twarzy najwyraźniej go otrzeźwił.

– Moje najszczerze kondolencje. Na pewno chce pani, żebym sobie poszedł? Może mógłbym jakoś służyć pomocą?

Nie ruszył się z miejsca i patrzył na nią jak na jedną ze swoich pacjentek. Nagle poczuła, że jakieś niejasne przeczucie zaczyna szarpać jej nerwy.

– Na pewno. Proszę wracać. Czy mógłby pan przyjść rano?

Uklonił się i wyszedł z salonu. W korytarzu zawołał jeszcze: „Hej, tam!”. Usłyszała, jak Benjamin schodzi z piętra, żeby go wypuścić; później rytuał zamykania drzwi rozpoczął się na nowo. Wreszcie czeladnik z cichym sapnięciem przesunął sztabę; tę samą, którą ona zostawiła niezasuniętą.

Słyszała głosy służby i lokatorów rozmawiających w korytarzu, lecz nie ruszyła ku nim. Zorientowała się, że nie spytała doktora Taylora, gdzie znajduje się ciało jej męża. Gdzieś być musi; nie zostawiliby go przecież na zmarzniętej ziemi. Poczuła, jak przygniata ją ciężar własnej niezaradności. Jej siostra Mallory na pewno by o to zapytała i dopilnowała, aby dopełniono wszelkich formalności.

Do salonu weszła jej pokojowa w płaszczu zarzuconym na nocną koszulę. Przyklękła obok krzesła Mary i wzięła ją za rękę.

– Jest pani cała lodowata – powiedziała. – Pomyślałam, że znów pani spaceruje, kiedy usłyszałam kroki, ale byłam zamknięta i nie mogłam się wydostać. Bałam się, że wyjdzie pani w noc i nie będzie miał jej kto sprowadzić z powrotem.

Mary spuściła wzrok, czując znajome ukłucie wstydu. Lunatykowała od lat. Raz jeden mąż obudził ją siłą. Już samo wspomnienie wywoływało w niej echo dzikiego lęku, jaki ją wtedy ogarnął; falę paniki zalewającą gardło aż po płuca. Pierre powiedział potem, że zwierzęcy wrzask Mary pobudził wszystkich w domu. Skłął ją za to, ale nigdy więcej jej nie obudził. Później zawsze kazał Ellen wstawać z łóżka i odprowadzać Mary do sypialni albo na krzesło w salonie.

– Zimno mi – powiedziała Mary. – Mam wilgotne stopy od stania na ganku. Szkoda, że nie ma tu mojej siostry.

– Za późno już, żeby wychodzić – stwierdziła Ellen, a Mary dostrzegła obawę w jej oczach. – Kto to zrobił, pani Renard?

Mary potrząsnęła głową.

– Nie wiem... – powiedziała i ukryła twarz w dłoniach.

Służąca wymknęła się z pokoju i wróciła z kieliszkiem czerwonego wina. Drżącą ręką postawiła go na stoliku. Przegarnęła drwa w kominku, przyniosła szal i zarzuciła go na wciąż nieruchomą Mary, delikatnie wyciągając spod niego jej rudobrzowe włosy i przyglądając je na jej plecach, jak dziecku.

Pozostali domownicy nie wrócili do łóżek. Rozbudzeni wieścią o nagłej śmierci Pierre’a stali w korytarzu, rozmawiając ściszymi głosami. Kto mógł coś takiego zrobić? Wszyscy zgadzali się, że Pierre był trudnym człowiekiem, ale coś takiego?

Mary wpatrywała się w pelgające płomienie. Ledwo zarejestrowała, że Benjamin wszedł do pokoju i z brzękiem położył obok niej klucze, rysując nieskazitelną powierzchnię kupionego przez Pierre’a stolika.

Zorientowała się, że siedzi skulona z rękami oplecionymi wokół ciała, jakby starała się przytrzymać się w miejscu. Opuszczając rękę, poczuła tępy ból tuż powyżej nadgarstka. Podciągnęła rękaw – po wewnętrznej stronie ręki widniały trzy sińce, idealnie okrągłe i ułożone w jednej linii. Widząc je, usłyszała w głowie głos swego brata, wołający jej imię z odległej o jedenaście lat przeszłości.

„Mari-li! Mari-li!”

Trzasnęły drzwi.

– Dziś pełnia księżycy – powiedziała do kogoś w korytarzu jej służąca. – Aż ciarki człowieka przechodzą.

Ramionami Mary wstrząsnął śmiech; a kiedy już zaczęła się śmiać, zupełnie nie mogła przestać.

Rozdział II

1 maja 1792

Na początku muszę zaznaczyć, że mam francuską krew. Minął już wiek, odkąd rodzina mojej matki, trudniąca się tkactwem jedwabiu, przybyła do tego kraju zagnana przez okrutne prześladowania religijne, i chociaż mogę uchodzić za Anglika, w moim sercu wyryte jest imię Francji: jest ona bowiem ojczyzną dobrego smaku, prawdziwej sztuki i rzemiosła godnego królów. Mój ojciec wywodził się z rodziny złotników, z których rąk wyszły jedne z najlepszych sreber i wyrobów złotniczych, jakie w tym kraju widziano; zmarł jednak przed moim narodzeniem, moja matka zaś, odrzucona przez jego rodzinę, dała mi swoje nazwisko. Umarła, gdy ledwie stawiałem pierwsze kroki, a jedyną rodziną, o której wiedziałem, był kuzyn mieszkający w odległej części kraju, z którym poznałem się dopiero później.

Od tak smutnych początków doszedłem aż tutaj, a mojej obecnej sytuacji może mi pozazdrościć niejeden. Mam zacny sklep przy Bond Street, gdzie mieszkam razem z żoną Mary, służką i lokatorami. Do mojego zakładu tłumnie przychodzą ludzie dobrze urodzeni, ponieważ potrafię do każdego klienta dopasować kawałek złota czy srebra, który będzie mu się podobał – dla jednego liczy się piękno, dla innego funkcjonalność. Mam do tego niezrównany talent.

Wczoraj pod moją nieobecność do sklepu przyszło młode małżeństwo. Wydaje się, że byli skłonni wydać sporo na nasze wyroby, ale Grisa – mój subiekt, człowiek wielce uczuciowy – rozmocjonował się ich wizytą i zamiast skutecznie ich obsłużyć, wziął wizytówkę tego dżentelmena i obiecał, że ja sam odwiedzę ich w domu. Klienci nazywają się pan i pani Chichester i dziś rano udają się do nich na Berkeley Square.

W świetle poranka Joanna Dunning wykladała naczynka na oklejonej drewnem żółtokrzewu toaletce jej pani, czując chłód srebra pod palcami. Tu pudernica, tu tacka na szpilki. Każdy element miał swoje miejsce. Wyłożyła je w ustalonym porządku i chwilę się im przyglądała, po czym znów zaczęła je poprawiać, przesuwając niektóre puzderka o centymetr czy dwa, innych tylko dotykając, delikatnie i uważnie, by nie zarysować lśniącej politory toaletki ostrym konturem zdobionych puzderek.

Pomagało to zabić czas. Na tym polegało życie.

W takich chwilach zaczynała myśleć o swojej życiowej drodze, od zakładu modystki, gdzie podjęła pierwszą pracę, do upragnionej pozycji pokojowej u damy. Lata służby nauczyły ją, że lepiej nie przyglądać się niczemu zbyt wnikliwie. Podłość życia dostrzec można było wszędzie; w tym pokoju, choć wspaniale umeblowanym, czuć było ciężki zaduch sypialni, na srebrze zaś, mimo starań Joanny, znać było ślady niezliczonych dotknięć jej palców.

Zerknęła przez ramię na swoją panią. Harriet Chichester leżała wsparta na poduszkach, w aureoli rozrzuconych luźno złotych loków, i leniwie popijała czekoladę. Joanna miała nadzieję, że praca dla młodej małżonki nie będzie wymagająca – zatrudniła ją matka Harriet zaledwie kilka dni przed weselem – lecz świeżo upieczona pani Chichester szybko zweryfikowała tę opinię, demonstrując wybuchowy temperament. Nawet dziś rzuciła się na Joannę po przebudzeniu. Na szczęście służąca zdążyła zrobić krok w tył, więc śliczne pazurki rozdarły tylko powietrze; na służbie, jak w życiu, liczyła się umiejętność przewidywania wypadków.

„Nie zaznałaś żadnego cierpienia – myślała Joanna – a zatem nic nie wiesz o życiu”. Jej zdaniem twarz dziewczyny zdawała się jakby niedokończona; gładka skóra, w której były osadzone wilgotne oczy błękitne jak chińska porcelana; myśli przesuwające się za tymi oczami widoczne jak chmury na letnim niebie. Była to twarz nieskażona doświadczeniem. Joanna uznała,

że to właśnie przez ten brak wyrazu Harriet uważano za piękną. Przez ostatnie siedem miesięcy, pielęgnując tę twarz, przyglądała się jej uważnie, lecz mimo starań nie potrafiła dostrzec w niej nic pięknego, w oczach też nie było ani śladu duszy. Pani Chichester wydawała się zaledwie sumą wszystkich swoich pragnień i zachcianek oraz nienasyconą poszukiwaczką nowości.

„Musiałam być zamroczona, gdy zgodziłam się na tę posadę – myślała Joanna. – Chyba wypięłam z Mallory o kapkę za dużo ginu”. Ponownie przesunęła tackę na szpilki i przekrzywiła głowę, by sprawdzić, czy odpowiada jej to nowe ułożenie.

– Joanno? – Z łóżka odezwał się cichy, lękliwy głosik.

– Tak, proszę pani?

– Chcę dziś założyć białą muślinową.

– Troszkę na to za zimno, proszę pani.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Dobrze, proszę pani.

Białe, zawsze białe. I to w środku zimy.

Znowu się tak ubierze i wysiadzie z powozu na utyłane brudem ulice Londynu, i będzie się przechadzać na tyle długo, by ubłocić skraj sukni. Jak, u Boga, Joanna miała to doczyścić? Jak blade zimowe słońce miało wybielić plamy?

„Nie ja jedna uważam cię za nieznośną” – pomyślała. Było jasne, że mąż Harriet, Nicholas Chichester, z każdym dniem coraz bardziej tracił nadzieję. Był zaledwie rok starszy od dwudziestoletniej żony, a wśród służby krążyła opinia, że ożenił się z nią przez wzgląd na kopalnię jej ojca i fortunę, jaką mu one przyniosły. Zresztą przymusił go do małżeństwa własny ojciec. Joannie było żal pana Chicheстера; wydawał się za młody i zbyt bystry na to, aby zasługiwać na krzyż pański, jakim była Harriet. Jednak i w nim czaiło się coś niepokojącego. Sprawiał wrażenie osoby, która woli swoje książki niż ludzi. Miewał też dziwne pomysły. Na przykład ta złocona zastawa toaletowa, nad którą się pochylała.

Joanna była obecna przy tym, jak pan Chichester wyjaśniał rzecz Harriet. Jego matka miała kiedyś taki serwis, pamiątkę przekazaną jej przez jej własną matkę. W którymś momencie rodzina musiała się go pozbyć (Chichester czynił aluzje do jakiejś tajemnicy, lecz Joanna podejrzewała, że po prostu trzeba było zestaw sprzedać; słyszała, że tej rodzinie powodziło się raz lepiej, raz gorzej). Harriet, która nie umiała sobie odmówić żadnego zakupu, z entuzjazmem zgodziła się, aby zamówić nowy komplet u złotnika. Projektantem i wykonawcą miał być pan Renard z Bond Street.

Wtedy jeszcze między małżonkami wszystko układało się anielsko; albo, zdaniem Joanny, na tyle anielsko, na ile sprawy mieć się mogą pomiędzy dwojgiem obcych sobie ludzi zmuszonych do życia razem.

Jednakże kwestia sreber uwidoczniała fundamentalną różnicę ich charakterów. Harriet upierała się, że sama wybierze projekt, i nie chciała pójść w kierunku klasycznych, stonowanych wzorów proponowanych przez męża. O nie, gładkie linie i eleganckie jednolite powierzchnie wydawały jej się nudne; powinny być kwiaty, a może cherubinek tu i tam? Pan Renard był wzywany do domu kilkakrotnie. Projekt przygotowywano, odrzucano i opracowywano od nowa. Złotnik chodził w górę i w dół po frontowych schodach z uśmiechem rozbawienia na twarzy, ewidentnie znajdując radość w takiej małości. Ledwie tydzień po tym, jak wreszcie doszli do porozumienia, Harriet zaczęła narzekać, że serwis nie jest gotowy.

Wreszcie go przywieziono. Zestaw szesnastu elementów: puzderka, tacki, nożyce do świec. Na każdej pokrywce trybowany wzór z kwiatów. Srebro pokryte warstewką złota, na wyraźne życzenie Harriet. Każda powierzchnia lśniła tak, że pokój wydawał się jaśniejszy, zwłaszcza wieczorami, gdy płonęły świece. Lustro oprawione w kunsztowną ramę było tak wiel-

kie i ciężkie, że po krętych marmurowych schodach musiało je wnosić dwóch mężczyzn. Stękali i pocili się, przewracając oczami na płynące nieprzerwanym strumieniem instrukcje pana Renarda. I wszędzie inicjały Harriet. Jak powiedział Chichesterom pan Renard, była to toaletka godna księżnej.

„Ładna mi księżna” – pomyślała Joanna. Harriet miała zestaw ledwo od miesiąca, a już przestała o niego dbać; to upuszczała coś na podłogę, to obijała pudzera o siebie. Od wczoraj Joannie wydawało się, że jej pani celowo chce go uszkodzić. Pragnęła móc jej powiedzieć, że drugiego już nie dostanie. Ten ma jej służyć do końca życia, tak jak mąż, którego traktowała jak ciekawą zabawkę.

Widać było, że pan Chichester nie chciał, by na serwisie grawerowano inicjały jego żony. Kiedy odpakowywano srebra, on i Harriet stanęli koło siebie, niechętnie, jak dwoje dzieci dobranych w parę wbrew ich woli. Joanna zauważyła wtedy, że Chichester odwraca wzrok od wszechobecnych liter HC.

Nietrudno jej było go zrozumieć. Pragnął, aby serwis przekazywano z pokolenia na pokolenie, jako pamiątkę rodzinną nieskazoną imieniem Harriet. Sugerował, by nie umieszczać na nim monogramu. Jednak gdy tylko wyraził swoje życzenie, trzymając projekt w białych długich palcach, Harriet zaczęła protestować, a jej oczy wypełniły się łzami. Pan Renard zerknął na Chicheстера pytająco. „Ależ proszę pana, niechże pan zrobi przyjemność żonie” – mówiło jego spojrzenie, jego palce zaś prześlizgiwały się po suto haftowanej kamizeli ze złotą nicią, złotą jak serwis toaletowy. Pan Chichester, choć był już mężczyzną, nadal miał w sobie coś ze studenta – ugiął się więc pod tym spojrzeniem i skapitulował. Zapłakana Harriet natychmiast się rozpromieniła, a Renard śmiał się, patrząc na nią, jakby go oczarowała.

Joanna odsunęła od siebie to wspomnienie – denerwowało ją, a myślenie o tym nic nie pomagało. Dawniej umiała zapomnieć o zazdrości wobec tych, którym służyła. Jednak coś w Harriet i we wzajemnych stosunkach państwa Chichesterów niszczyło jej spokój. Sytuacja trafiała w jakiś czuły punkt; Joanna już nie wiedziała, jak pozbyć się irytacji narastającej w niej z każdym dniem.

– Joanno? – Harriet zajęła miejsce przy toalecie.

Służąca zaczęła rozczesywać jej włosy równie starannie, jak wcześniej układała na białej pudzera i pudełeczka. Zajęta tą czynnością bezwiednie wróciła myślami do swego pracodawcy.

Początkowo pan Chichester co noc odwiedzał sypialnię swojej żony. Jako opłacana powiernica niedoświadczonej młódki, Joanna była na bieżąco informowana o wszystkich szczegółach. Dopiero mniej więcej w ostatnim miesiącu wizyty straciły na regularności, a teraz zupełnie ustały. „Mniej prania” – pomyślała z zadowoleniem, po czym nagle zdała sobie sprawę, że miesięczne krwawienie Harriet nie nadeszło od kilku tygodni; myśl o dziecku sprawiła, że jej ręce na chwilę znieruchomiały.

Wolałaby wiedzieć o połowę mniej. Wolałaby nadal być tak samo niewinna jak kiedyś, nim praca służącej dała jej zbyt głęboki wgląd w życie innych. Przenosząc się do tego domu przy Berkeley Square, poczyniła o jeden krok za daleko na swojej drodze. Doświadczenie było ciężarem, za sprawą którego twardniało nie tylko serce, lecz także rysy twarzy; jego dłuto ciosało wąwozy i doliny w powierzchni niegdyś delikatnej i miękkiej. Joanna pomyślała, że gdyby Stephen żył, ledwo mógłby ją poznać.

Poruszyła rękami i bezwiednie pociągnęła Harriet za włosy. Wbrew swoim zwyczajom jej pani nie zareagowała krzykiem.

– O czym myślisz? – zapytała.

– Tylko o tym, jak panią uczesać – odpowiedziała Joanna.

– Wydawałaś się taka zamyślona...

Joanna otworzyła srebrne pudełeczko z czarnymi szpilkami do włosów.

– Powiem ci, o czym ja myślałam – mówiła tymczasem Harriet. – Myślałam o tym, jak służba mnie okłamuje.

Joanna podniosła wzrok na lustro, w którym odbijały się twarze ich obu. Błękitne oczy Harriet obserwowały ją uważnie, usta ścisnęły się w wąską linię. Joanna spojrzała na własne odbicie: zaczesane do tyłu ciemne włosy, brązowe oczy, twarz dziwnie nieruchoma i obojętna. Dziękowała Bogu za ten brak wyrazu – starannie pielęgnowaną umiejętność ukrywania myśli, trenowaną od lat.

– Na przykład – ciągnęła Harriet – wiem, że mój mąż nie spędził zeszłego wieczoru sam. Był z kimś w bibliotece. A ty powiedziałaś mi, że poszedł do klubu.

Joannie zaschło w ustach. Nie przestała układać fryzury pani, skupiając się na tym zadaniu. „Niech sobie mówi – pomyślała – aż skończy się tok jej myśli, a ja zobaczę, na czym stoję”. Nie okłamała jej ze złośliwości; był to raczej sposób uwolnienia się od towarzystwa Harriet. Poprzedniego wieczoru pan Chichester odprawił całą służbę, chciał odrobiny prywatności. Służba rzadko zbierała się razem, lecz tego wieczoru grali w karty w suterenie znanej jako „sala służby”. Joanna bawiła się zaskakująco dobrze, nawet raz czy dwa razy przełamała wrodzoną nieśmiałość, by wtrącić jakąś uwagę. Od czasu do czasu lokaj wychodził na górę, żeby zerknąć na pogrążone w ciszy schody i bladą smugę światła pod drzwiami biblioteki.

– Usłyszałam coś – mówiła Harriet. – Podejrzywałam, że mnie okłamałaś. Podeszłam do okna i zobaczyłam na schodach jakąś postać zawiniętą w płaszcz. Zeszłam więc na dół. Nikogo tam nie było. Ledwo mogłam ustać na schodach, tak było zimno.

Joanna wyobraziła sobie Harriet, jak na palcach schodzi po schodach, otwiera frontowe drzwi i z wahaniem wychodzi na taras; ramiona odkryte, każdy oddech zamieniony w obłoczek pary ulatujący w zimową noc.

– Proszę wybaczyć, ale nie powinna pani wychodzić na ulicę – powiedziała. – Tak się nie robi. Co by było, gdyby ktoś panią zobaczył? Pani reputacja byłaby zrujnowana.

„Wiedzieliby, że żadna z ciebie dama. Że jesteś tylko oszustką, w której żyłach płynie krew właściciela kopalni”. Nie powiedziała tego na głos; przy całym swym zgorzknieniu nie miała tendencji do złośliwości.

– Nikt mnie nie widział – zapewniła Harriet. W jej głosie znów pobrzmiwała irytacja, typowy dla niej ton nadąsanego dziecka, któremu czegoś zabroniono.

Joanna poczuła się pewniej.

– Najbardziej martwię się o pani zdrowie – powiedziała. – Chłód jest niebezpieczny; a nuż by się pani przeziębiła? Chciałam panią tylko uspokoić. Byłam przekonana, że pan Chichester poszedł do klubu.

– Pomóż mi się ubrać – skwitowała Harriet.

Joanna zasznurowała suknię; świadoma, że Harriet nie krwawiła od dawna, wiązała dość luźno. Aktualna moda nie wymagała ciasnego gorsetu, więc Joanna miała nadzieję, że jej pani nie zauważy.

– Wiązesz równie ślamazarnie, jak szyjesz – rzuciła pani Chichester z uśmiechem na twarzy. Joanna nie odezwała się; kiedy zaczęła wiązać końce tasiemek, Harriet wyciągnęła ręce i złapała ją za nadgarstek.

– Ciaśniej – powiedziała. – Nie chcę być jak te tłuste stare matrony zaniebawane przez mężów. Chcę wiecznie pozostać dziewczęciem.

Joanna zagapiła się na nią.

– No, dalej! – ponagliła.

Służąca wzięła głęboki oddech i pociągnęła za sznurki. „Dobrze, że ona mnie nie widzi –

pomyślała – nie zauważy mojej jedynej słabości”. Wiążąc gorset, musiała bowiem zamknąć oczy.

Rozdział III

2 maja 1792

Mniemam, że Chichesterowie będą doskonałymi klientami; chcą zamówić piękny serwis toaletowy. Osobliwy to pomysł, lecz wymaga pokaźnej ilości srebra i niemałych umiejętności twórczych, jestem więc zadowolony. Pan domu zapytał mnie, jak zostałem złotnikiem, a ja opowiadałem o tym swobodnie, lecz wyszedłszy, zacząłem głębiej zastanawiać się nad życiem i nad tym, że nikt nie zna prawdy, którą chowam w sercu.

Po śmierci mojej matki wzięła mnie do siebie znajoma rodzina. Byli to ludzie majątni i hojni. Ojciec rodziny, pan Pelletier, polubił mnie i z chęcią poświęcał mi swój czas. To z nim po raz pierwszy odwiedziłem zakład jubilerski. Moje serce aż podskoczyło na widok takiego bogactwa: migotliwej poświaty szlachetnych kamieni i sztab srebra rzucających błyski na całe pomieszczenie. Z niezwykłą jak na mój wiek powagą powziąłem postanowienie, że w tym właśnie kierunku chcę się kształcić, i błagałem o pomoc w znalezieniu dla mnie posady ucznia. Niedługo później posłano mnie do terminu u złotnika z Cheapside; pan Pelletier zapłacił wstępne częściowo w futrach, a częściowo w gotówce. Wydaje mi się, że jego dzieci zazdrościły mi uczucia, jakim obdarzał mnie ich ojciec, ponieważ kiedy opuścił on ten świat, nie wysłano do mnie żadnej wiadomości. Dotknęło mnie to i nadal żywię z tego powodu urazę. Dziwne, że wszystkie moje żale kumulują się, rodząc gniew, który mnie prześladuje. Czemu tak jest, że przez dawno minione zdarzenia nadal zgriatam arkusze dobrego papieru albo gdy patrzę w księgi, nagle nachodzi mnie ochota, by złamać wpół trzymane w dłoni pióro?

Wychodząc na New Bond Street, Mary mimowolnie pochyliła głowę. Od zawsze miała wrażenie, że w świetle poranka jest coś okrutnego; teraz jego blaski wbijały się ostro w białka jej oczu. Podrażniona, cienka jak papier skóra powiek zmarszczyła się z bólu. Wezbrała w niej zprawiona poczuciem winy wdzięczność dla losu, iż Pierre nie może jej teraz zobaczyć i powiedzieć, że nie jest już pełnym świeżości dziewczęciem, które poślubił, i że jej wygląd zewnętrzny świadczy o niedostatkach charakteru.

Została w salonie całą noc. Nawet kiedy słońce już wstało, żaden z domowników nie chciał jej przeszkadzać. Nie zauważyła otaczającej okiennice ramy blasku, dopóki Ellen nie przyszła ponownie zabrać kluczy.

– Czy mamy otwierać sklep, pani Renard? – zapytała. Wzięła na siebie rolę pośredniczki; mężczyźni woleli unikać pani domu, skoro była w tak nieprzewidywalnym nastroju.

Mary otworzyła usta, lecz nie była w stanie sformułować odpowiedzi. Poczula się wyzuta z wszelkich emocji, znieczulona ogarniającą ją drętwotą.

Usłyszała, jak Ellen drepcze z powrotem do hallu i ogłasza wszystkim, że pani jest „rozchwiana”. Nastąpiła krótka dyskusja, w którą Mary postanowiła się nie mieszać; miała niejasne wrażenie, że wszyscy mieszkańcy domu dobrze się bawią. Nie obchodziło jej, co mają do powiedzenia. Od podejmowania dalszych decyzji uratowało ją hałaśliwe wejście Grisy, sklepowego subiekta. Dotarł do jej uszu jego ciężki francuski akcent, którym starał się naśladować Pierre’a; na wieść o śmierci pracodawcy Grisa teatralnie wyrażał szok i przerażenie. Był egzaltowanym człowiekiem, który zawsze starał się wyglądać odpowiednio do okazji. Mary zastanawiała się, czy nie poprosi o pozwolenie na powrót do domu, by móc się przebrać w żałobny strój. On jednak zaczął wydawać wszystkim instrukcje: kazał zamówić czarne sukno na pokrycie ład, zrugał Benjamina za to, że siedzi beczynnienie, po czym donośnie zaszlochał. Wszystko to robił na tyle głośno, że było go słychać w salonie.

Podczas gdy subiekt zajmował się przemodelowaniem sklepu, Mary wymknęła się szybko i cichutko, niczym sprytny więzień. Zbiegła po schodach i wyszła na zalaną słońcem ulicę bez płaszcza i bez kapelusza, w tej samej sukni co poprzedniego wieczoru. W oknie dostrzegła Grisé, który żywo gestykulując, strofował czeladnika. Był jak zawsze nienagannie ubrany, zauważyła jednak, że jego peruka jest lekko przekrzywiona.

Jej oczy przyzwyczyły się do światła, jeszcze zanim dotarła do krańca Bond Street. Skrzyła w lewo w Piccadilly i nie podnosząc głowy, szła przed siebie aż do Castle Street, gdzie mieszkała jej siostra. Nie odwiedzała jej od miesięcy. Zaczęła łomotać do drzwi, aż Mallory otworzyła je z impetem, mrużąc przekleństwa pod nosem.

Na widok Mary cały bojowy duch natychmiast z niej uleciał. Położyła siostrze dłoń na czole.

– Jesteś chora?

Mary potrząsnęła głową.

– Pierre – powiedziała. – Ktoś go zabił. Nie pozwolili mi wczoraj po ciebie posłać.

Siostra patrzyła na nią nieruchomym wzrokiem. Jej brązowe oczy, tak ciemne, że nawet w świetle poranka wydawały się prawie czarne, nie zdradzały żadnych emocji.

– Wyglądasz strasznie – powiedziała i pociągnęła Mary za rękę do środka. Londyńskie ulice nie były odpowiednim miejscem do okazywania słabości, o żadnej porze dnia. – Cud, że w takim stroju dotarłaś tu bezpiecznie.

Mary podreptała za Mallory i opadła ciężko na krzesło w kuchni. Jej siostra nakrzyczała na dzieci i wysłała je wszystkie na górę. Kamienica, choć imponująco wysoka, miała głębokość zaledwie dwóch pokoi, więc życie rodzinne obracało się głównie wokół kuchni, której mroki rozpraszał tylko migotliwy blask ognia. Drugi mąż Mallory nie żył już od roku, a ona często skarżyła się, że krzyki jej dzieci zapełniają pustkę, którą po sobie zostawił.

– Nie możecie dać mi chwili spokoju? – zawołała za nimi, kiedy na wyścigi ruszyły na górę. Mary pomyślała z czułością o biednym zręczliwym Francisie Dunningu – szwagrze, którego znała od dzieciństwa. Gdyby tu był, na pewno by ją przytulił.

Mallory tego nie zrobiła; krzątała się po kuchni. Chodziła z miejsca na miejsce, czyściła i sprzątała, jakby za moment miała zacząć obijać się o ściany. Mallory i Pierre nie mieli dla siebie ani krzty sympatii. Mary była świadoma, że powodem gorączkowego zachowania siostry jest nie żal, lecz napięcie wywołane przez niewypowiedziane słowa. Mallory była tak bezpośrednia, że łatwiej było jej zignorować pchnięcie nożem aniżeli myśli, które cisnęły jej się na usta.

Wreszcie usiadła przy kominku naprzeciwko Mary.

– Jak to się stało? – zapytała.

– Poderżnęli mu gardło wczoraj w nocy na Berkeley Square.

Milczenie Mallory zaczynało robić się niegrzeczne.

– Zbyt wielu osobom nadepnał na odcisk – odezwała się w końcu. – Prędzej czy później i tak napytałby sobie biedy.

– Myślisz, że ktoś to zrobił specjalnie? – zdziwiła się Mary.

– Podrzynanie gardeł nie zdarza się przez przypadek – zauważyła jej siostra. – Ale wrogów miał tylu, że nie ma po co sprowadzać policji, by zbadała sprawę. Chyba że sama masz jakieś podejrzenia?

Mary potrząsnęła głową.

– Ja myślałam, że to zwykli rabusie... Sama już nie wiem, co myślałam. – Zdała sobie sprawę, że nawet nie zastanawiała się nad motywem, tak jak nie kwestionowała opadów deszczu ani wschodu słońca.

– Popatrz na siebie. – Mallory wstała, wyciągnęła z kieszeni grzebień i zaczęła rozczesy-

wać włosy siostry, starannie, acz stanowczo eliminując kołtuny i ignorując posykiwania Mary.

– Doktor Taylor organizuje spotkanie z koronerem. Powinnam tam być – powiedziała Mary.

– Nie masz po co tam iść, nawet gdyby cię wpuszczono.

– Czuję, że powinnam. Może byłoby to dla mnie bardziej realne, gdybym go zobaczyła.

– Z twoim usposobieniem? – wyraziła powątpiewanie Mallory. Jako dziecko Mary często miewała koszmary; niemiłe doświadczenia, nad którymi Mallory natychmiast przechodziła do porządku dziennego, prześladowały ją tygodniami. – Rzecz i tak jest bardzo realna. Nie ma męża, nie ma zarobków.

Skończyła czesać Mary i wróciła na swoje miejsce. Popatrzyły na siebie.

– Skoro Pierre nie żyje, czy możesz znów być po prostu Mary, a nie *madame* to, *madame* tamto?

– Ciebie to cieszy, prawda? – zapytała Mary.

Tak. Odpowiedź pojawiła się w jej głowie tak wyraźnie, jakby Mallory powiedziała to na głos.

– Nie wściekaj się na mnie – rzuciła Mallory ostro. – Śmierć Pierre’a to straszna rzecz, nie mówię, że nie. Po prostu pomyślałam, że mogłabyś znowu być zwykłą Angielką. To pewnie ten jego jęzor Francuza wpędził go w tarapaty. Ktoś mógł go wziąć za jakobina, gadał przecież takie rzeczy. Gotów był powiedzieć cokolwiek, żeby tylko kogoś zdenerwować.

Mary uważnie przyjrzała się siostrze; wyraz jej ust, szczęki zaciśnięte pod zwężonymi wargami sugerowały, że miała ochotę zacmokać z dezaprobatą. Chyba miała rację co do sposobu bycia Pierre’a; od czasów rewolucji we Francji mocno się z tym afiszował.

– Kto został w sklepie? – Cała Mallory, praktyczna jak zawsze. – Mam nadzieję, że nie zostawiłaś otwartych wszystkich drzwi i okien pod opieką tego głupca Grisy?

– Są tam Ellen i Benjamin – odpowiedziała Mary. – Przyjdą ludzie. Wszyscy już na pewno słyszeli, co się stało.

– Jasne, że przyjdą. Czego się spodziewasz? Pewnie w tej chwili buszują ci w srebrze.

– Nie buszują. Grisa dobrze go pilnuje. Ufam mu jak bratu.

Poczuła obezwładniające zmęczenie. Przyszła do Mallory po pocieszenie, ale teraz niemal słyszała w głowie dźwięk objanych o siebie kawałków srebra, widziała tłuste odciski palców na zgubionych w pośpiechu kosztownościach.

– Och, na wszystkie świętości! – podniosła głos z irytacją. – Nikt nie tknie moich sreber!

Tym razem Mallory zacmokała głośno, jakby dając do zrozumienia, że w normalnej sytuacji powiedziała by coś więcej. Nie ufała nikomu, nawet hipotetycznym braciom. Mary chwyciła jej dłoń.

– Nie zapytasz, jak się czuję?

Mallory wreszcie przestała się krzątać. Znieruchomiała, a Mary wydało się, że wypowiedziane przez nią słowa uciszyły gniew siostry.

– Nie – odrzekła Mallory po chwili. – Nie zapytam.

– Nie czuję nic – stwierdziła Mary.

Siostra położyła jej ręce na ramionach.

– Już dobrze... – powiedziała. – To już koniec.

Wracając na Bond Street, Mary czuła się otumaniona hałasem, widokiem tłumów i słonecznym światłem. Starła się ściągnąć ramiona i iść przed siebie pewnym krokiem, jak Mallory, ale wytrzymała tylko chwilę, nim dopadł ją lęk, pochłaniając wszystkie inne uczucia. „Powiedziałam «moje srebro» – pomyślała. – Powiedziałam, że jest moje”. Obejrzała się przez ramię. Przez chwilę miała wrażenie, że widzi obok siebie Pierre’a.

– Wszystko, co masz – rzekł – wszystko zawdzięczasz mnie.

Mało co radowało Edwarda Digby’ego bardziej niż udane, konstruktywne spotkanie u koronera, a to w sprawie Pierre’a Renarda nie było żadnym wyjątkiem. Pojawił się w gospodzie, nieopodal kościoła Świętego Jerzego, przy Hanover Square nieco za wcześnie i zabijał teraz czas, stojąc na zewnątrz i zagadując do znajomych handlarzy. Wieczór był chłodny, lecz przez cały dzień świeciło słońce; pogodne niebo wprawiło go w dobry humor. Spędziwszy tak miłe pół godziny, Digby wszedł do tawerny, gdzie zwyczajowo odbywały się spotkania z koronerem tej parafii, po czym zaczął się przyglądać wchodzącym. Konstabla nie było; powiedział Digby’emu, że tego wieczoru bada jakąś szczególnie zyskową sprawę. Zresztą najważniejszym świadkiem był sam Digby.

Dziś czuł się lepiej, nie tylko z powodu słońca. Po tym, jak znalazł Renarda i wrócił do domu, poszedł spać w ramionach kobiety – wprawdzie ladacznicy, ale zawsze. Nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś go tak obejmował, jej uścisk pozostawił na skórze wspomnienie ciepła, które przenikało go aż do kości. Czuł się szczęśliwy. Pomyślał, że gdyby co noc mógł liczyć na takie ciepło, niebawem wyleczyłby się z wszystkich przypadłości.

W mroku wieczoru znów czaił się chłód. Digby grzał ręce, pocierając je o siebie, i zlorzezył oberżyscie za to, że skąpił dREW w ogniu. Starał się trzymać z boku, wtopić w cień i tylko przyglądać posiedzeniu, lecz ruda czupryna i trzęsące się ciało skutecznie to utrudniały. Jako pierwszy pojawił się doktor Taylor, koroner. Na to stanowisko wybrano go dopiero rok wcześniej; Digby zastanawiał się, jak mający szerokie znajomości Taylor godzi obowiązki lekarza umarłych z potrzebami dam z Mayfair oczekujących potomstwa. Zdecydowanie znać było po nim zmęczenie.

Po Taylorze do sali weszli ławnicy. Większość nie uznała za konieczne choćby odezwać się do Digby’ego, rzucali mu tylko przelotne spojrzenie, po czym znajdowali kogoś bardziej nadającego się do rozmowy. Niebawem całą salę wypełniały opary bufonady. Głosy tych ludzi drażniły go; czuł, jak ulatuje z niego cały dobry nastrój.

Przewodniczący ławy Henry Maynard przyszedł jako jeden z ostatnich i jako pierwszy zwrócił uwagę na stróża. Miał spokojny sposób bycia człowieka po pięćdziesiątce, który nic nikomu nie musi udowadniać. Digby żywił do niego sympatię: Maynard był prawdziwym dżentelmenem, dyskretnym i unikającym ostentacji w stroju. I zawsze skłonny rozstać się z drobnymi.

– Mój dobry człowieku! – odezwał się Maynard na powitanie.

Uśmiech Digby’ego nie sięgnął jego bladych oczu.

– Co pan tu dzisiaj robi? – spytał Maynard.

– To ja go znalazłem – odparł Digby, ruchem głowy wskazując na prawą stronę sali, gdzie właśnie wnoszono ciało. Powiedział to tym samym tonem co zawsze: zupełnie bez emocji. Znalezisko napawało go jednak radością. Wszyscy w straży mówili tylko o nim. Watkin długo będzie żałował, że został w domu czytać poezje.

– Ach tak? – zdziwił się Maynard. – Myślałem, że może jest pan jego dawnym znajomym. Niegdyś był pan przecież złotnikiem, czyż nie?

„Przenikliwy ten Maynard” – pomyślał Digby. Pamiętał o wszystkim, nawet o rzeczach, które człowiek najchętniej kazałby mu zapomnieć.

– Owszem – zgodził się Digby. – To znaczy, uczniem złotnika. Życie nie zawsze układa się tak, jak chcemy, prawda?

Podejmując śmiałą próbę zmiany tematu, stróż spojrział ponownie w kierunku niosących trumnę.

– Nie znałem go na tyle, aby z nim rozmawiać. Słyszałem o nim, oczywiście.

– Tak, tak... – Maynard pokiwał głową w skupieniu, jakby słowa Digby’ego bardzo go

zainteresowały.

– Dziwny to był człowiek, ten *monsieur* Renard. Naturalnie, nie powinno się źle mówić o zmarłych, ale mam wrażenie, że połowa zebranych tu ludzi przyszła się upewnić, że na pewno już go więcej nie zobaczą. – Maynard uśmiechnął się, po czym poszedł się przywitać z doktorem Taylorem, który, jako koroner, miał przewodniczyć spotkaniu, a później złożyć sprawozdanie u sędziego magistralnego, który zapewne siedział teraz w domu i właśnie napoczął drugą butelkę porto.

Digby zauważył, że twarz doktora Taylora jest zielona jak niedojrzały owoc. Nietrudno było dostrzec jego dyskomfort, a już na pewno nie komuś takiemu jak Digby, który lubił się przyglądać innym. Koroner starał się zachowywać stoicki wyraz twarzy, lecz bystre oko stróża dostrzegło udrękę, jaka odmalowała się w jego oczach, gdy trumna ze zgrzytem wjechała na stół, rysując drewniany blat. Widział, jak Taylor wyciąga chusteczkę, ociera czoło, i kurczowo ścisną ją w dłoni.

Digby uznał, że nie będzie żałować doktora, nie po wczorajszej sprzeczce. Taylor był zbyt nadęty, by mogło mu to wyjść na dobre. Digby był z siebie dumny: w końcu Renard ani Taylor nie należeli do jego trzódki – nie mieszkali przy Berkeley Square. Zapamiętał jednak, że blisko się znają, bo nieraz widywał ich wracających razem w środku nocy, ewidentnie po wieczornych hulankach – zazwyczaj Renard wykrzykiwał coś o kartach lub kobietach. Pomny ich przyjaźni, Digby wezwał innego członka straży nocnej i kazał mu sprowadzić Taylora, lekarz zaś podziękował mu za to. Kiedy jednak zjawili się inni stróże, żeby pomóc im przetransportować ciało, które Digby planował przewieźć do domu nieboszczyka przy New Bond Street, Taylor zaprotestował ostro, jakby ten proponował coś obrzydliwego.

Digby’emu sprawa wydawała się prosta, wręcz jak część obowiązków domowych: Renarda trzeba było odnieść tam, gdzie jego miejsce. Nie mógł zrozumieć wzburzenia Taylora. Sprzeczka zaprzętała jego myśli do tego stopnia, że poczuł się zmuszony poszukać towarzystwa Cissie, która praktykowała swoje rzemiosło w bocznych uliczkach przy Piccadilly. Była bardzo zdziwiona, kiedy jej powiedział, że ma się tylko koło niego położyć i objąć go ramionami.

Nawet teraz Digby nie mógł przestać myśleć o oburzonym, wzgardliwym spojrzeniu, jakie rzucił mu wczoraj Taylor. Chcąc przegnać ten obraz z pamięci, wrócił myślą do Cissie i do faktu, że mógłby nauczyć doktora tego i owego o kobietach. Na przykład, że zabieranie trupa do domu pani Taylor i brudzenie kuchennego stołu jego krwią to bardzo, ale to bardzo zły pomysł. Chęć oszczędzenia delikatnych nerwów pani Renard to żadna wymówka. Pani Taylor była typem kobiety, która na noc owija fryzurę płótnem i śpi nieruchomo jak rzeźba na sarkofagu w starej kaplicy. Wyobrażał sobie, jak musiała wyglądać, odkrywszy we własnej kuchni zwłoki. Była to bodaj najśmieszniejsza myśl, jaka przyszła mu do głowy od tygodnia.

Ułożone w trumnie ciało złotnika wyglądało blado i sztucznie, jak woskowa figura, rekwizyt w przedstawieniu. Digby zauważył jednak, że koroner stara się omijać je wzrokiem. Nigdy wcześniej Taylor nie zachowywał się w ten sposób – za to dziś odwracał głowę jak prze-wrażliwiony starzec. Czego jednak można było oczekiwać po człowieku, który czerpał zyski z patrzenia na intymne części ciała dam?

W końcu doktor poprosił wszystkich o uwagę. W sali zapanowało wyczekujące milczenie, do którego po chwili dołączyła nuta zażenowania – Taylor wyraźnie starał się odzyskać kontrolę nad głosem, chrząkając kilkakrotnie. Wreszcie się odezwał:

– Szanowni panowie! Zebraliśmy się tutaj, by zbadać okoliczności śmierci Pierre’a Renarda, szlachcica, zamieszkałego przy Bond Street, dobrego chrześcijanina, który został zabity na Berkeley Square.

Wśród zgromadzonych rozległy się ciche pomruki. Digby założył ręce na piersi i

przyglądał się z zainteresowaniem. Wiedział dobrze, że Pierre Renard nie był żadnym szlachcicem, mimo wszelkich po temu pretensji. Z szeregu wystąpił Henry Maynard; z szacunkiem zdjął kapelusz, lecz na jego twarzy malowało się niezadowolenie. Złożył doktorowi Taylorowi kondolencje z powodu „tragicznej straty przyjaciela, pana Renarda, rzemieślnika” i dodał, że na tak oficjalnym spotkaniu powinni trzymać się faktów.

W odpowiedzi na to napomnienie Taylor skinął głową. Przez twarz przebiegł mu cień uśmiechu.

– Piął się do góry – zwrócił się do Maynarda, jakby byli sami w sali. Ten spoglądał na niego niewzruszony; Digby z niejakim podziwem wpatrywał się w jego sarkastycznie uniesione brwi.

– Jak już mówiłem, trzymajmy się faktów – mruknął Maynard.

Taylor zreflektował się i natychmiast wezwał Digby’ego na świadka. Strażnik wyszedł na środek sali powoli, starannie odmierzonymi krokami. Doszedłszy do stołu, powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

– Panowie! – pozdrowił ich. Akustyka sali nadawała jego głosowi przyjemne brzmienie.

– Podzieli się pan z nami tym, co ma pan do powiedzenia? – spytał Taylor szorstko. Nadal się wścieka, skwitował Digby, i to bez powodu. No, już, doktoru, uspokójże się.

Digby opowiedział, jak znalazł Renarda, nie wspominając o tym, że wymierzył jego zwłokom kopniaka. Na koniec stwierdził, że przewracając nieboszczyka, zauważył zwisający luźno łańcuszek od zegarka i to, że kieszenie denata były puste.

– Moim zdaniem to był rabunek – stwierdził, a ławnicy zaszemrali między sobą. – Tak, rabunek – powtórzył dla wzmocnienia efektu. – A zabójca mocno spaprał sprawę, na pół metra od trupa wszystko było wymazane krwią.

– Wystarczy! – uciął ostro Taylor. Zapadła krępująca cisza; koroner wpatrywał się w podłogę. Digby poczuł, że płoni się na twarzy. Wreszcie któryś z młodszych członków zgromadzenia wystąpił do przodu i przejął kontrolę.

– Dziękujemy, panie Digby – powiedział. – Wypełnił pan swój obowiązek.

Digby obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem. Poniżej jego godności było, aby dać się odprawić przez takiego młokosa, niemniej nie zamierzał wszczynać o to awantury. Skinął głową i wycofał się w cień, wracając do przerwanej obserwacji.

– Być może pan Digby ma rację – powiedział młodzieniec, celowo unikając kategorycznych stwierdzeń. – Straż nocna zostanie, rzecz jasna, ostrzeżona. Ale czy ktokolwiek starał się dowiedzieć, czemu pan Renard był na Berkeley Square o tak późnej porze? Co tam robił? Czy miał się z kimś spotkać?

Taylor zerknął na niego gniewnie i nieznacznie potrząsnął głową.

– Nie? – ciągnął młodzieniec. – Może więc należy wdrożyć śledztwo. Może pani Renard...?

– To nie jest miejsce dla kobiety – rzucił Taylor. Digby zauważył grymas irytacji na twarzy mężczyzny, któremu przerwano.

– Zgadzam się z panem, panie Taylor – odezwał się Maynard, uśmiechając się nieznacznie. – Co więcej, w poszukiwaniu motywu trzeba byłoby przyjrzeć się zawilościom życia pana Renarda. A nie wątpię, że było ich niemało. Zawsze znajdował się tam, gdzie znajdować się nie miał po co; ewidentnie wczorajsza noc nie była wyjątkiem. Rozumiem, że konstabl nie ma pojęcia, kto oprócz rabusiów mógłby się czegoś takiego dopuścić. Gdyby panią Renard skłoniono do wyłożenia pieniędzy na dochodzenie, zajmujący się tym ludzie nie wiedzieliby nawet, od czego zacząć.

– Berkeley Square to rzut kamieniem od domu Pierre’a! – wykrzyknął Taylor. Jego głos

zrobił się nieprzyjemnie cienki, jakby przeciskał się z mazołem przez gardło. – Nie wiemy, dlaczego tam się znalazł, ale nie ma potrzeby brukać jego reputacji podejrzeniami, że był zamieszany w jakiś skandal czy szemrane interesy, jeśli to właśnie pan sugeruje, a po pańskiej minie wnioskuję, że owszem.

– Nie czynię żadnych sugestii – stwierdził Maynard.

– Ależ panowie – odezwał się inny ławnik. – Wieczór jest chłodny, a mnie cała sprawa wydaje się jasna. Pan Renard został zamordowany przez nieznanych sprawców.

Kilka osób pokiwało głowami; rozległy się pomruki aprobaty. Digby widział, że Maynard spojrzał na Taylora, lecz koroner uciekł wzrokiem i tylko skinął głową.

– A zatem, moi panowie – powiedział Taylor – złożmy pod tym podpis i przystawmy pieczęcie.

Ukryta w kieszeni dłoń Digby’ego zacisnęła się na zegarku. Ryzykował, przynosząc go tutaj, jednak nie mógł się zmusić, aby go zostawić. Zresztą mogłaby go wtedy znaleźć właścicielka kamienicy. Zegarek był najładniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widział; Digby powoli przekonywał się także, że jest również przyjemny w dotyku. Przesunął po nim palcami, odnajdując trybowany wzór z cherubinów i chmur oraz gładkie kamienie półszlachetne.

Rozdział IV

10 maja 1792

Po okresie próbnym u mego mistrza zostałem zarejestrowany jako jego uczeń; w warsztacie było jeszcze trzech innych, a ja byłem najmłodszy. Wszyscy pozostali byli synami szlachciców i żyli wygodnie, jakby od jakości ich pracy nic nie zależało. Częściej bywali w Covent Garden niż w domu, podczas gdy ja zostawałem w kuchni, jedząc czerstwy chleb i zjełczale masło, którymi postanowiła mnie karmić pani domu. Ciężko starałem się przypodobać mistrzowi i jego żonie i w końcu udało mi się wkupić w ich łaski. Niebawem zaczęli dzielić się ze mną jadłem ze swojego stołu. Tryb życia pozostałych uczniów nadal działał mi na nerwy i chociaż pan Pelletier dawał mi czasem trochę drobnych, nie miałem możliwości kosztować tych samych przyjemności co moi towarzysze. A to ja pracowałem najciężej.

Jak widać, wcześniej zaznałem niesprawiedliwości życia. Teraz nigdy nie biorę szlacheckich synów do terminu; tak zwany szlachcic z urodzenia nie jest dla mnie nic wart poza pieniędzmi, które u mnie zostawia. Szacunek mój mają ludzie, którzy osiągnęli coś własnymi siłami, i to ku nim wnoszę kielich w pozdrowieniu.

Alban Steele był zdania, że dwadzieścia sześć godzin w powozie pocztowym może człowieka wykończyć. Czuł się równie sprasowany i zredukowany do niezbędnych konkretów co listy, które podróżowały wraz z nim. Marząc o tym, by rozprostować kości i wypocząć, zaczął przyglądać się migającym za oknem tłumom przy Charing Cross. Zastanawiał się, czy zdoła przebić się przez ścianę ludzi i dotrzeć do domu swojego kuzyna.

Przebył otchłań dzielącą jego cichy świat od tego miejsca, które od lat odwiedzał tylko we wspomnieniach. Kiedy powóz zwolnił i zaczął przedzierać się przez zatłoczone ulice, Steele zapatrzył się w ciemność nocy i połyskujące światła miasta. Stało się. Naprawdę jest w Londynie. A wnosząc z widoku, jaki otwierał się z okien powozu, nic się od jego wyjazdu nie zmieniło.

Wysiadł, uważnie stawiając stopy. Zaciśnął ręce na bagażach, by przygotować się do starcia z nacierającym tłumem. Siódma wieczór na Charing Cross. W ciemnej zimowej nocy wyczuł energię miasta, puls Londynu. Bardziej niż dawniej miał się na baczności, gazety pisały bowiem o zamieszkach i buntach, płonących ogniach i powozach uciekających z gorejącego miasta. Czyżby przyjechał w przededniu rewolucji?

Nagle pośród zgiełku usłyszał swoje imię. Rozejrzał się. Głos odezwał się znowu, każąc mu się zatrzymać, zanim zanurzył się w gąszczu ludzkiej masy: ciągły krzyk, przerwa na oddech, znowu krzyk. Wreszcie udało mu się odnaleźć jego źródło – chłopca, którego usta poruszały się miarowo, niczym dziób kukułki. Dzieciak miał jasnopłowe włosy, zielone oczy i skórę koloru mleka. Alban natychmiast zauważył podobieństwo do jego kuzyna: to musiał być syn Jessego. Pomachał mu i zaczął się przeciskać przez tłum.

– Jestem twoim kuzynem w drugiej linii – powiedział, podchodząc do chłopca.

– Jestem Grafton – odezwał się mały i wyciągnął dłoń. – Tato kazał wujka nazywać wujkiem.

Alban uśmiechnął się i uściskał jego rękę. Kiedy gościł tu poprzednio, chłopak był jeszcze niemowlęciem. „Grafton – pomyślał – jak książę Grafton”. Wolalby, żeby jego kuzyn przestał dawać dzieciom imiona nawiązujące do swoich pracodawców. Oni i tak o tym nie wiedzieli i nic ich to nie obchodziło. Gdyby książę Grafton miał komuś polecić swojego złotnika, powiedziałby: to Pierre Renard, pracujący pod szyldem Złotego Żołędzia przy Bond Street. Renard nadal używał szyldu, nie tylko numeru. Jaśnie pan książę nic nie wiedział o człowieku, który był prawdziwym autorem jego ulubionych srebrnych koszy na chleb. Alban starał się to wytłumaczyć ku-

zynowi jedenaście lat temu. „Nieważne – powiedział wtedy Jesse. – Srebro na jego stole zrobiłem ja, nie ten obrzydły Francuz”. Nie chciał przyznać, że na wszystkich wyrobach wybito znak złotniczy Renarda, zacierając puncę Jessego.

Steele podążył za Graftonem przez ciżbę. Wiedział, że do domu kuzyna jest stąd spory kawał, lecz rad był z możliwości zażycia spaceru oraz z tego, że Grafton okazał się milczkiem. Marsz pomógł mu otrząsnąć się z melancholii, która opanowała go w podróży. Wszyscy zgadzali się, że powinien był tu przyjechać i pomóc Jessemu. W końcu od tego miało się krewnych. Rodzinny warsztat złotniczy w Chester prosperował dość dobrze; pracujący tam kuzyni prawie wcale go nie potrzebowali. W przeciwieństwie do Jessego. Podupadł na zdrowiu, a u Renarda szykowało się duże zlecenie, w którym chciał mieć swój udział. Alban przyjechał więc, prawie nie zachęcany, z powrotem do miasta, z którym kiedyś wiązał nadzieje na stałą pracę. Nigdy się one nie ziściły – w miejscu trzymały go przyzwyczajenie i, jak podejrzewał, słaba wola. Teraz wyruszał w podróż rozpalony nadzieją i przeświadczeniem, że spełnia dobry uczynek.

Drogę oświetlał mu księżyc w pełni. Ledwo wyjechali z miasta na otwartą przestrzeń, woźnica musiał zatrzymać się i poczekać, aż z drogi usunięta zostanie jakaś przeszkoda. Kiedy powóz zjechał na pobocze, pozostałe pasażerki – trzy podróżujące razem panie – pograżyły się w cichej rozmowie. Wodziły dookoła przestraszonym wzrokiem, jedna nawet niegłęboko pisnęła. Alban się jej nie dziwił: drogi prowadzące z Chester miały złą sławę jako pełne rabusiów. „Proszę się uspokoić – powiedział. – Niech panie pamiętają, że mamy broń, nie ma potrzeby się denerwować”. Jego słowa pozostały jednak bez echa. Odwrócił się więc, zirytowany. Kiedy tak czekali, wyjrzał na pola zalane księżycowym światłem, po których spacerował jako dziecko, przyglądając się falującym na wietrze trawom.

„Nigdy już tu nie wrócę” – pomyślał. Sam nie wiedział, skąd wzięło się to przekonanie; nie ustalili żadnych terminów i początkowo myślał, że jego pobyt u Jessego będzie tymczasowy. Jeszcze bardziej zdziwiło go, że nie odczuwa żadnego smutku związanego z wyjazdem. Postanowił jakoś go w sobie wzbudzić. Starał się pożegnać w myślach ze znajomym krajobrazem, kiedy powóz wreszcie ruszył w dalszą drogę; wyrzył w pamięci widok pól i granatowoczarnego nieba skąpanego w blasku księżyca.

Rodzina zawsze powtarzała mu, że jest zbyt wrażliwy, zbyt skrupulatny, zbyt uważny, a jednak patrząc na umykający mu sprzed oczu krajobraz dzieciństwa, nie odczuwał nic. Ta pustka była znajoma. Przychodziła do niego czasem, czuł, jak czai się niedaleko, podchodzi bliżej.

„W miejscu mego serca zieleje dziura” – pomyślał.

Dom przy Foster Lane był dokładnie taki sam jak kiedyś. Jesse – nie. Czegoś w nim brakowało, chociaż nadal był Jessem i na pierwszy rzut oka nie wydawał się chory. Otworzył drzwi Graftonowi i mocno uścisnął dłoń Albana.

– To gdzie ten inwalida? – odezwał się gość, starając się zamienić w żart cel swojej wizyty. – Naprawdę jestem potrzebny czy przejechałem taki kawał na darmo?

Jesse uśmiechnął się blado.

– Są lepsze i gorsze dni – powiedział. – Wczoraj wróciłem późno od klienta i ledwo mogłem się ruszać. Dobrze, że jest ze mną mój najlepszy uczeń.

Poklepał Graftona po ramieniu. Chłopak się uśmiechnął.

Dzieci Jessego pomogły zmienić temat. Kiedy wszedł do salonu, ruszyły ku niemu gromadnie, na pierwszy rzut oka identyczne, różniące się jedynie wzrostem. Każde z nich miało takie same blond włosy, zielone oczy, piegowatą skórę i nierówne zęby. Wszystkie też były chude i patykowane jak ojciec. Posłusznie się przed nim rozstąpiły.

– Dobrze cię widzieć, Alban – powiedział Jesse. – Dzieci, przepuście wujka, żeby usiadł przy ogniu. – Ileż to minęło?

– Jedenaście lat – odrzekł Alban. Gdzieś zapisał sobie datę swojego wyjazdu z Londynu, pewnie na odwrocie karty z projektem. Żałował, że nie może jej sobie przypomnieć; lubił precyzję.

Jesse głośno wciągnął powietrze.

– Już tak długo żyjemy? – stwierdził. – Nie wyglądasz ani odrobinę starszej. Prawda, Agnes?

Obrócił się ku żonie, która cichutko weszła do pokoju z najmłodszym dzieckiem opartym na biodrze.

– Jak zawsze przystojny – odezwała się i pocałowała Albana w policzek. – I włosy nadal masz czarne, tymczasem ja...

Śmiejąc się nerwowo, wepchnęła siwy lok pod czepek.

– Jesteś równie urocza co dawniej – powiedział Alban szczerze. Agnes nadal była tak samo prostolinijna i wesoła jak w czasach, kiedy jego kuzyn smalił do niej cholewki. Skóra wokół jej oczu pokryła się zmarszczkami, a figura straciła smukłość, lecz nie było w niej odcienia smutku, który wyzierał z oczu Jessego. Swoje zmęczenie dźwigała dumnie, jakby szczęśliwa, że stało się ono jej udziałem.

– Ile już macie dzieci? – zapytał Alban, rozglądając się wokoło. – Nie mogę ich zliczyć.

Jesse zaśmiał się, ale przez jego oczy przemknął cień.

– Za szybko biegają. Siedmioro. – Zniżył głos. – Człowiek musi ciężko pracować, żeby je wszystkie utrzymać.

Alban spojrzał na niego poważnie.

– Od dziś ja będę kuć twoje srebro – oznajmił. – Teraz pracuję szybciej, więc cokolwiek zrzuci na ciebie Renard, ja się tym zajmę.

– Jestem ci wdzięczny, że tu jesteś – odrzekł Jesse. – Dopilnuję, żebyś nie pożałował swojej decyzji. Jutro zaniemiemy trochę sreber do probierni, spotkasz paru starych znajomych. Mówiłem o tobie każdemu dobremu złotnikowi w Londynie. Już niedługo na twoich pięknych srebrach będziemy puncować łeb lamparta.

Jesse patrzył, jak Alban wyciąga monetę zza ucha jego najmłodszej córki.

– Ile ty masz lat, kuzynie? – zapytał.

– A któż to wie? – odpowiedział Alban. Śmiech ich obu przegonił małą z powrotem do matki. Gość usiadł na wskazanym mu miejscu.

– Jeśli chcesz, możemy zarejestrować twój własny znak złotniczy – powiedział Jesse.

Alban potrząsnął głową.

– Pracuję dla ciebie – rzekł. – Wszystko, co zrobię, będzie nosić twoje inicjały.

– Zawsze w cieniu, co, kuzynie?

– Zawsze.

Gdy tylko skończyli jeść, rozległo się pukanie do drzwi. Jesse poszedł otworzyć; poruszał się powoli, trzymając ręce daleko od ciała, jakby starał się wypełnić całą przestrzeń. Widok tego znajomego chodu wzruszył Albana; niespodziewanie poczuł się, jakby wrócił do przeszłości. Usłyszał, jak Jesse otwiera, po czym wita się z kimś niskim wesołym głosem. Siedziba cechu była zaledwie parę kroków stąd, więc znajomi złotnicy, przechodząc, często pukali do drzwi Jessego – wiedzieli, że mogą liczyć na ciepłe przyjęcie.

Agnes pochyliła się do Albana i położyła rękę na jego dłoni.

– On cieszy się z twojego przyjazdu bardziej, niż jest skłonny przyznać – powiedziała. – Nie chce być słabym ogniwem w łańcuchu.

Alban pokiwał głową; dobrze go rozumiał. Do wykonania prawdziwie pięknych sreber potrzeba było zespołu doskonałych rzemieślników, ponieważ proces ten wymagał tylu różnych

umiejętności: kucia, odlewania, trybowania, grawerowania. Jesse zdążył już wyrobić sobie nazwisko, lecz nie chciał zostawać w tyle i stracić reputacji wartościowego pracownika.

Rozmyślania Albana przerwała nagła zmiana w wyrazie twarzy Agnes, kiedy do pokoju wrócił jej mąż.

– Kochany? – zapytała z niepokojem. W salonie zapanowała cisza; dzieci, które jeszcze przed chwilą opowiadały sobie półgłosem jakieś historie, też nagle zamilkły.

W słabym świetle twarz Jessego wydawała się chorobliwie blada. Jego oczy wyglądały jak ciemne jamy.

– To był Owick z urzędu – odezwał się. – Pierre Renard nie żyje. Ktoś go wykończył zeszłej nocy, na środku Berkeley Square.

Agnes szeptem odmówiła modlitwę.

– Jak? – Pytanie to wyrwało się z ust Albana, nim zdążył je powstrzymać. Świadomy, że dzieci słuchają, Jesse dyskretnie obrócił się ku niemu i przejechał sobie ręką po gardle.

– Pora już spać, moi mili – powiedziała Agnes i wyprowadziła dzieci z pokoju. Jesse przysunął sobie krzesło i opadł na nie ciężko, zwieszając ramiona. Dopiero kiedy cała jego gromadka zniknęła z pola widzenia, podniósł wzrok na kuzyna.

– Nie mogę w to uwierzyć – rzekł. – Sam szedłem tamtędy wczoraj. Dostarczałem zamówienie do innego sklepu.

– Ale nie wstąpiłeś do Renarda? – spytał Alban.

Jesse pokręcił głową.

– Nie, ale... – Zamrugał i pokręcił głową raz jeszcze. – Nieważne. Wybacz, trochę to mną wstrząsnęło. Sytuacja jest ostatnio dość nerwowa. Większość zleceń pochodziła od niego.

– Sklep nadal istnieje – powiedział Alban. – Będzie dla nas praca.

Twarcz Jessego odzyskała odrobinę koloru.

– Zapomniałem już, jaki jesteś opanowany, kuzynie. – Uśmiechnął się. – Przynoszę wieść o morderstwie, a ty wyglądasz, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie. Szkoda, że brak mi twojego spokoju.

Alban niepewnie odwzajemnił uśmiech. Zrozumiał, że miał to być komplement, lecz jego zdaniem nań nie zasługiwał. Wcale nie był spokojny. Po głowie tłukło mu się tysiące pytań.

– Wybierzemy się tam z wizytą, kiedy będzie to stosowne – powiedział Jesse. – Chociaż ja być może będę musiał wybrać się na West End wcześniej. U Mallory trzeba naprawić to i owo.

Potał oczy dłonią.

– Zabawne – dodał po chwili – jak w jednym momencie wszystko potrafi się zmienić.

Do pokoju znowu weszła Agnes.

– Późno już – powiedziała. – Jutro będzie czas, żeby o tym porozmawiać.

Z jej wyrazu twarzy Alban domyślił się, że martwi się o Jessego.

Ten nie zareagował na dotyk jej dłoni na ramieniu.

– Idź na górę do dzieci – odezwał się w końcu. – Daj nam chwilkę pogadać. To mnie postawi na nogi, przyrzekam.

Alban uśmiechnął się do Agnes na dobranoc i pociągnął z kufła. Przez parę minut siedzieli w ciszy. Nad nimi słychać było drobne kroczki dzieci maszerujących tam i z powrotem, jakby w coś się bawiły. Wreszcie Alban ośmielił się zadać pytanie, które zaprzętało mu myśli.

– Czy Renard był dobrym człowiekiem? Spotkałem go raz, ale nie wyrobiłem sobie opinii. – Starał się mówić cicho, bez emocji.

Krzywy uśmiech, jaki posłał mu kuzyn, mocniej podkreślił wyraz smutku w jego oczach.

– Nie, nie był szczególnie dobrym człowiekiem – przyznał. – Był z niego pochlebca, sprzedawca. Było mu wszystko jedno, czy mówi prawdę, czy kłamie. Często zdarzało mi się na-

zywać go śliskim draniem, nie w twarz, oczywiście. Ale jego śmierć jest... w najlepszym razie źródłem niedogodności. W najgorszym... cóż, wolałbym o tym nie mówić. Renard wspominał coś o dużym zleceniu, a bez niego... Martwię się, że stracimy źródło dochodu, i to w chwili, kiedy jest ono najbardziej potrzebne.

Spojrzał w zdziwione oczy Albana.

– Agnes znowu spodziewa się dziecka – powiedział.

Alban oparł plecy o krzesło. Nie potrafił wyobrazić sobie jeszcze jednego dziecka w tej przestrzeni; kolejnego domownika domagającego się jedzenia i opieki.

– Jak ona się czuje? – zapytał.

Jesse zaśmiał się niewesoło.

– Cieszy się.

Alban nie musiał pytać o to, jak czuje się Jesse. Za odpowiedź wystarczyła przedłużająca się cisza. Wiedział też, że wybrał zły moment, by pytać o Pierre'a Renarda i wzbudzać myśli o przeszłości w chwili, gdy nad kuzynem wisały kłopoty bardziej naglące.

– Alban – odezwał się Jesse. – Martwię się, co z nimi będzie. Taki jestem zmęczony.

Popatrzył kuzynowi prosto w oczy.

– Nie mów mi, że wyzdrowieję – powiedział.

– Idź spać – odrzekł Alban. – Wypocznij. Jutro czeka nas praca.

– Owszem. Oraz galon ciemnego piwa, bo na mojej ścianie nadal widnieje odcisk twojej dłoni, więc musimy uszanować tradycję i wypić twoje zdrowie.

Alban popatrzył na niego długo.

– Nadal tam jest...

Przypomniawszy sobie ostatni dzień w Londynie, kiedy kuzyn wysmarował kredą jego dłoń i przystawił ją do ściany. Zgodnie ze zwyczajem, gdy rzemieślnik opuszczał warsztat, odcisk jego dłoni zostawał tam aż do jego powrotu. Zdażył o tym zapomnieć, a słowa Jessego przyniosły jakby tchnienie dawnych dni, wypełniając mu głowę setką wspomnień i uczuć. Wolał milczeć, by jego głos nie zdradził kłębiących się w nim emocji.

Gdy Jesse już sobie poszedł, Alban wyjął spod ściany wysuwaną pryczę, zdjął buty i wyciągnął się przy dogasającym kominku. Poczul, jak po jego ciele rozlewa się zmęczenie. Zbyt wiele trzeba było przemyśleć, odepchnął więc w kąt umysłu kłębiące się w głowie obawy. Skupił się na podróży, którą właśnie odbył, i na tym, jak daleki wydawał się Londyn, odkąd lata temu postanowił wrócić do Chester.

„Wreszcie jestem z powrotem – pomyślał z westchnieniem. – Moje srebra będą oznaczone łbem lamparta, znakiem Londynu”.

Nagle w jego myśli wkradły się wątpliwości, niczym sroka przelatująca na granicy pola widzenia zbyt szybko, by dostrzec ją wyraźnie; zwiastun smutku. „Być może za późno się zdecydowałem. Londyn to miejsce dla młodych ludzi szukających szczęścia, a ja już nie jestem młody”.

Usiadł i dopił resztkę piwa. Smakowało mu. Siedząc w ciepłe, mógł na spokojnie przemówić sobie do rozsądku. Czy naprawdę przejechał taki kawał tylko po to, żeby się nad sobą użalać? Obiecał sobie, że w Londynie zacznie wszystko od nowa. Pójdzie z kuzynem na Bond Street, złoży kondolencje, przywita się. Mimo śmierci Renarda warsztat będzie pracował dalej. A on zrobi, cokolwiek będzie trzeba – zgodzi się nawet kłaniać i płaszczyć, jeśli zajdzie taka konieczność. Wątpił jednak w swoje umiejętności w tym zakresie; myśl o tym była łatwiejsza do zniesienia niż rzeczywistość.

Nie zapytał. Nie dowiedział się, kto będzie w sklepie; nie spytał nawet, gdzie ona mieszka. Pytania te wdarły się brutalnie w jego myśli, bo na sam dźwięk nazwiska Renard odżyły w

nim wspomnienia, odrodzone jak Feniks z dawno wygasłych popiołów.

„Co się z nią dzieje? – pomyślał. – Co z Mary?”

Owinął się szorstkim kocem. Zapomnij, nakazał sobie. Jesteś tu, żeby pracować. Reszta musi poczekać, i tak już czekała długo. Poczul, jak ulatuje z niego napięcie, rozluźniają się mięśnie pleców. Miał doświadczenie w odsuwaniu od siebie zmartwień, a dziś dodatkowo pomagało mu w tym zmęczenie. Kiedy się położył, powieki opadły, jak obciążone ołowiem.

Spał głęboko, śniąc o różnych rzeczach. Następnego dnia jednak pamiętał tylko śmiech dziecka.

Rozdział V

15 maja 1792

Miałem dziś wielce nieprzyjemne spotkanie. Nie, w zasadzie to nieprawda, ale nie chcę kreślić po papierze. Było ono źródłem tak przyjemności, jak i bólu. Gdy pomagałem pani Jacobs wsiąść do powozu przy Bond Street, dojrzałem damę, którą kiedyś poznałem i o której – samo pisanie o tym sprawia mi ból – myślałem, że zostanie moją żoną. Nazywała się panna Laycock, choć ja znałem ją tylko jako Sarah.

Była córką bogatego kupca bławatnego, lecz majątek ojca nie stanowił jej jedynej zalety. Panna Laycock miała tyle gracji i uroku, że po tygodniu znajomości powziąłem zamiar ożenku, chociaż wokół niej stale krążył tłum adoratorów.

Nie wszystko poszło po mojej myśli, chociaż moja wybranka żywiła do mnie sympatię. Jej ojciec był szorstkim człowiekiem; udawał, że grubiański sposób bycia jest cnotą, nazywając siebie „szczerym i prostolinijnym”. Nie mogliśmy dojść do porozumienia w kwestii małżeństwa ani, szczerze mówiąc, niczego innego. Niedługo później Sarah wyszła za mąż za kupca nazwiskiem Blackwell, którego zaaprobował jej ojciec, a ja poznałem kobietę, która jest teraz moją żoną. Ojciec Mary, trudniący się wyrobem złotych i srebrnych naczyń, desperacko chciał się jej pozbyć. Przekonał mnie, a ja, wciąż zbolący po stracie ukochanej, wstąpiłem w związek małżeński prędzej, niż dyktował rozsądek.

Nietrudno sobie wyobrazić, jaki żal wzbudził we mnie widok panny Laycock, obecnie już pani Blackwell, wychodzącej z powozu z gromadką dzieci, dwoma chłopcami i dwiema dziewczętami. Sprawiała wrażenie bardzo im oddanej, a one przedstawiały sobą miły widok: ubrane w piękne tkaniny, wszystkie ładne i proporcjonalnie zbudowane. Ona wyglądała na starszą niż w moich wspomnieniach, lecz jej twarz nadal miała wyraz czułości, który pokochałem, z nadzieją, że kiedyś będzie zarezerwowany tylko dla mnie. Kiedy mnie dostrzegła, ruszyła szybkim krokiem przez tłum. Nie chciałem iść za nią i się naprzykrzać; zresztą sam potrzebowałem chwili, żeby wrócić do siebie, przyjrzałem się więc powozowi. Od wielu dni nie widziałem równie ładnej pary koni, oba nakrapiane siwki, idealnie dobrane. Wszystko to tylko wzmogło we mnie uczucie żalu.

Patrząc na śpiącą panią, Joanna marzyła o kusztyczku czegoś rozgrzewającego: płynu w kolorze granatów, mocnego i oczyszczającego, który spłynąłby przez jej przelyk aż do pustego brzucha. Przynajmniej zabiłby głód; drobna ofiara dla demona, który burczał jej w trzewiach.

Miała zły dzień. Gdy przyniosła tacę ze śniadaniem, zastała bladą Harriet siedzącą nieruchomo na łóżku. Wpatrywała się w przestrzeń szeroko otwartymi oczami. Joanna o mało nie krzyknęła z przerażenia i głośno odstawiła tacę.

Harriet, wyrwana z letargu przez brzęk porcelany i srebra, zaczęła płakać.

– Co się stało, proszę pani? – spytała Joanna.

– Tak szybko poszłam w zapomnienie – chlipała Harriet. – Myślałam, że wróci, ale on nie przyszedł.

Joanna się nie odezwała; zajęła się przestawianiem naczyń na tacy. Dziwiła ją niedorzeczność poglądów Harriet na życie: czy naprawdę wydawało jej się, że wiecznie będzie obiektem uwielbienia?

Później zniosła tacę na dół.

– Kiedy zaczęłam tu pracować, mówiło się, że na święta pojedziemy do Reismore – zagadnęła panią Holland, ochmistrzynię. – Zmiana scenerii bardzo by mi się przydała.

– Mówisz o tej sypiącej się ruderze? – zapytał kamerdyner, który pracował w tamtej posiadłości jako lokaj. – Mało prawdopodobne. Pokojowiec pana mówi, że rodzina pani nie chce wypłacić posagu, a to z tych pieniędzy umeblowano by twój pokój i resztę pomieszczeń w domu. Całe szczęście, że ciotka pana Chicheстера pozwoliła mu mieszkać tutaj.

– Dla mnie nie ma to nic wspólnego ze szczęściem. Jak niby mam prowadzić taki wielki dom, mając tylko jedenastu służących do pomocy? – odezwała się pani Holland.

Harriet cały dzień była osowiała i nie chciała wychodzić. Napisała list i bez zapału zajęła się czytaniem, przerzucając to tę, to inną książkę. Po południu Joanna wysłała liścik do pana domu, informując go o samopoczuciu Harriet. Pomyślała, że przyjdzie i ją uspokoi, on jednak się nie zjawił.

Wyszedł o ósmej wieczór. Joanna obserwowała go z okna pokoju Harriet; zszedł po frontowych schodach, nie oglądając się za siebie. Przez chwilę mignęła jej jego twarz, blada jak księżyc. Próbowwała wyczytać z niej jakieś uczucia, które w złagodzonej wersji mogłaby opisać swojej pani, lecz w nierównej tafli szkła w oknie powozu odbijało się oślepiające światło latarni zawieszanej na ganku, nie dostrzegła więc nic więcej.

Minęły godziny, nim Harriet wreszcie usnęła. Niczym marudne dziecko co rusz wstawała z łóżka, walcząc ze zmęczeniem. Kiedy wreszcie zamknęła oczy, Joanna pożałowała swojej obietnicy, że zostanie z nią do powrotu pana Chicheстера.

Cały wieczór nasłuchiwała odgłosów z ulicy: głośniego stukotu kopyt koni pędzących po bruku wokół placu, powozów, dochodzących z oddali dźwięków londyńskiej nocy. Wyobrażała sobie hulaków, pijaków i włóczęgów. Pomyślała, że straż nocna zdążyła już kilkakrotnie obejść plac, od dwóch godzin hałasy zaczynały cichnąć. Bicie zegara ustawionego w hallu dało Joannie znać, że północ już dawno minęła. Powóz zajechał z powrotem do stajni; pan wracał do domu z gońcem niosącym przed nim latarnię. Jedynym światłem w pokoju był blask płomieni dogasających w kominku.

Joanna podniosła się, pochyliła nad ogniem i chwyciła z toaletki na wpół wypaloną świecę w srebrnym kandelabrze. Pod jej dłonią srebro było zimne jak lód. Patrząc na zdobioną powierzchnię, pomyślała o panu Renardzie; świecznik kupiono u niego w sklepie. Wspomnienie o nim wygięło jej wargi w sardonicznym uśmieszku. Sypał pochlebstwami tak często, że po jakimś czasie pan Chichester zaczął wysyłać go prosto do Harriet, by nie wysłuchiwać tych słodkich słówek. Przywołując w myślach wąską, przystojną twarz Renarda, Joanna szczególnie wyraźnie przypominała sobie jego usta, lekko wygięte, jakby cały świat był dla niego niezbyt ambitną rozrywką, a wszyscy ludzie tylko marionetkami. Właśnie dlatego Renard nigdy nie zyskał jej sympatii, chociaż od czasu do czasu przynosił jej jakąś błyskotkę, aby wkupić się w jej łaski. Nie uznała za stosowne poinformować go, że nie zamierza agitować ani za nim, ani za żadnym innym sprzedawcą. Skorzystała co prawda z zaproszenia na filiżankę czekolady w jego mieszkaniu przy Bond Street, ale poszła tam głównie z ciekawości – chciała poznać żonę tego człowieka, o której to i owo wcześniej słyszała.

Odstawiła świecę i wpatrzyła się w jej płomień, przypominając sobie kłótnię, do której doszło dawno temu – pierwsza pracodawczyni Joanny, starsza dama, strofowała ją za liczbę palonych świec. Miała wrażenie, że od tamtego czasu całe jej życie składa się z drobnych kłamstw, alibi i wymówek, które czynią je znośnym. Pomyślała o swoim dawno zmarłym ukochanym. Obiecałeś, Stephen, że zawsze będziesz dla mnie ciężko pracował, a tymczasem odpoczywasz. Myślenie o tym wszystkim było zbyt bolesne – załapała ją fala żalu. To dlatego, że dziś czuła się słaba i zdezorientowana; jutro znów będzie sobą, jak zwykle spokojna i roztropna.

Siedziała tak w półmroku, aż jej powieki zaczęły opadać, a głowa zaciężała do przodu. Nagle usłyszała kroki na frontowym tarasie i znajomy głos pana Chicheстера. Obiecała Harriet, że

ją obudzi, gdy tylko jej mąż wróci do domu. Marzyła jednak, aby się położyć, a wiedziała, że jego powrót zwiastuje kłopoty. Była wykończona; miała ochotę rozplakać się ze złości.

Zawahała się tylko na chwilę, lecz możliwość decyzji została jej odebrana. Harriet wydała z siebie cichy jęk i usiadła na łóżku. Joanna podniosła się i spojrzała na nią nerwowo.

– Proszę pani? – odezwała się cicho, starannie utrzymując neutralny ton głosu.

– Która to godzina? – zapytała Harriet. Jej głos nadal był zachrypnięty od płaczu.

– Koło pierwszej, proszę pani.

– Czy to mego męża słyszałam?

Joanna pokiwała głową. Gest ten jakby poderwał Harriet do działania. Wskoczyła z łóżka; Joanna pospiesznie podała jej cieniutkie jedwabne kapcie. Harriet położyła jej dłoń na ramieniu – jej chłód dało się wyczuć nawet przez materiał sukni. Pani Chichester cichutko podrep-tała do drzwi i otworzyła je z wyraźnym wysiłkiem. Ta oznaka słabości obudziła w Joannie niepokój.

Wyszła za Harriet na korytarz. W ciemności sień wydawała się nieskończoną otchłanią. Poniżej majaczyła plama światła – służący Oliver trzymał przed sobą wieloramienny świecznik. W półmroku widać było, jak pan Chichester zdejmuje rękawice.

– Miłość nigdy nie wchodzi frontowymi drzwiami – wyszeptała Harriet z uśmiechem, jakby do siebie. Pewna, że jej pani zaraz dostanie ataku histerycznego płaczu, Joanna postąpiła ku niej, lecz nim zdążyła cokolwiek zrobić, Harriet wychyliła się przez balustradę i teatralnym szeptem powiedziała:

– Nicholas!

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zawołała ponownie, bardziej nagłaco.

– Nicholas!

Jak przystało na dobrego sługę, Oliver nie podniósł wzroku, wyciągnął tylko rękę po płaszcz swego pana. Minęło chyba kilka minut, nim Nicholas Chichester obrócił się i spojrzał w górę na swoją żonę.

– Słucham panią – powiedział.

Harriet zamarła. Joanna wyczuła, że wreszcie się ocknęła; wychowanie przypomniało jej, że zachowała się niekulturalnie, wołając z piętra jak nieokrzesana służąca.

Chichester ruszył po spiralnych schodach, tuż przed niosącym świecznik Oliverem. Jedną ręką przytrzymał się barierki, szedł powoli, ze spuszczoną głową. Joanna dostrzegła błysk w oczach Olivera oświetlonych światłem świec.

Harriet złapała się za głowę i drgnęła z przerażeniem, gdy jej dłonie dotknęły masy splecionych loków. Spróbowała przyglądać wymiętą koszulę. Joanna stanęła w cieniu pod ścianą, wiedząc, że nie może jej teraz pomóc. Pan Chichester uwielbiał schludność i porządek; Joanna była skłonna się założyć, że przed ślubem matka Harriet dopilnowała, by zawsze miała ona idealną fryzurę. Zamówiła nawet portret, który sprezentowała Chichesterowi: malowany obraz idealnej dynastycznej piękności.

Dotarłszy na piętro, Chichester obrzucił żonę beznamiętnym wzrokiem.

– Jesteś *déshabillée* – powiedział.

Zawahała się, niepewna, co robić dalej, po czym podeszła do niego i położyła dłonie na jego piersi. Unosiły się i opadały w rytmie jego oddechu.

– Nie przyjdiesz do mnie dziś w nocy? – zapytała z dziecinną intonacją, cieńszym niż zwykle głosem.

Joanna dostrzegła, jak Chichester rozchyła usta ze zdumienia. Na chwilę zabrakło mu oddechu. Pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Nie przyjdę.

Joanna i Oliver spojrzeli na siebie. Oboje zachowali obojętny wyraz twarzy doświadczonych służących, lecz wzajemnie poczuli swoje osłupienie.

Uciekając się do kokieterii, Harriet uniosła dłoń do twarzy męża, przechyliła rękę i wewnętrzną stroną nadgarstka przesunęła mu po szczęce i szyi; miękką skórą, którą mężczyzna mógłby chcieć ucałować.

Nicholas ujął jej nadgarstek i delikatnie go opuścił.

– Harriet – powiedział. – Czemu zachowujesz się jak ulicznica?

W oczach Joanny twarz pani Chichester nabrała wyrazu udreki. Harriet chwiejnie cofnęła się o kilka kroków. Jej mąż ominął ją i przeszedł obok.

– Dobranoc – rzucił przez ramię. Oliver podążył za nim jak cień.

Joanna nie ruszyła się, dopóki nie usłyszała, jak otwiera drzwi do swoich pokoiów w końcu korytarza, gdzie czekał na niego pokojowy z karafką i kieliszkiem. Gdy drzwi się zamknęły, podeszła do Harriet i objąwszy ją w pasie, odprowadziła do sypialni.

– Chodźmy – powiedziała łagodnie.

Harriet pozwoliła się zabrać do pokoju i posadzić na łóżku. Joanna zamknęła drzwi i zapaliła jeszcze kilka świec. Kiedy ponownie podeszła do swojej pani, ta liczyła cicho pod nosem, jakby obracając w myślach skomplikowane równanie, którego nie umiała rozwiązać. Gdy kładła Joannie głowę na ramieniu, w jej oczach zalśniły łzy.

– Zrobiłam już wystarczająco dużo, by się zabezpieczyć – pisnęła żałośnie. – Prawda?

Jej głos skojarzył się Joannie z miauczeniem kociąt w worku, niesionych przez jej ojca nad staw. Patrzyła na swoją panią beznamiętnie.

– Jestem pewna, że tak – odrzekła odruchowo, nie wiedząc nawet, czego dotyczyło pytanie.

– Bóg da, że to wystarczy – powiedziała Harriet. Oparła rękę na brzuchu i zaczęła płakać.

Joanna objęła ją mocno, kojąc jej łzy. Mimochodem zarejestrowała ciche kroki pod drzwiami – to goniec przemierzał korytarze niczym mysz, dawno zgasiwszy latarnię. Usłyszała, jak w końcu korytarza otwierają się drzwi. „Serce mam twardsze niż kiedyś – pomyślała, głaszcząc Harriet po włosach. – Powinnam się nad tobą litować, bo chociaż jesteś rozpieszczonym dzieckiem, naprawdę jesteś nieszczęśliwa. Ja jednak nie mam dla ciebie ani krzty współczucia. Ani odrobiny”.

Rozdział VI

16 maja 1792

Obraz Sarah i jej dzieci prześladował mnie cały dzień. Jej twarz stawiała mi przed oczami, kiedy siedząc wieczorem w gabinecie, próbowałem się skupić na korespondencji służbowej. Nie mogłem się pozbyć myśli, jakim nieszczęsnym stworzeniem jest w porównaniu z nią moja żona, i w wyobraźni namalowałem obraz życia, jakie mógłbym wieść, gdyby moje małżeństwo z Sarah doszło do skutku.

Osiągnąłem tak wiele, a jednak z mego łóża wieje chłodem i nie mam własnego potomstwa. Po prawdzie uważam to za niesprawiedliwość, że komuś takiemu jak ja, kto odniósł sukces we wszystkich swoich przedsięwzięciach, plany przekreśla wybór niewłaściwej partnerki.

W modlitwie prosiłem Boga, by obdarzył Sarah wszystkim, co najlepsze.

Gdy tak siedziałem, myśląc o niej, przyszła do mnie moja żona. Porozmawiałem z nią stonkownie uprzejmie. Często czyni starania, bym dopuścił ją do konfidencji, aby wyludzić ode mnie to i owo. Muszę mocno się kontrolować, żeby postępować z nią łagodnie.

Mary miała wrażenie, że była jeszcze bardzo mała, kiedy ojciec po raz pierwszy zabrał ją do urzędu probierczego w gmachu gildii złotników, gdzie sprawdzano jakość złota i srebra przed cechowaniem. Pamiętała bowiem, że trzymał ją wysoko w ramionach i przytulał twarz do jej buzi, gdy patrzyła przez ramię człowiekowi pochylonemu nad kamieniem probierczym. Ten ujął cienki kawałek metalu (który jej ojciec nazwał iglicą) i bardzo powoli przesunął nim po czarnej powierzchni kamienia, wyraźnie zadowolony, że wzbudza fascynację Mary. Następnie zrobił to samo z pierścieniem, który przyniósł ojciec. Na kamieniu rysowały się dwa równoległe ślady. Probierca na każdy z nich strząsnął kropelkę kwasu. Choć ręce miał ogromne, jego ruchy były nieopisanie delikatne.

– Popatrz na kolor – zwrócił się do niej ojciec. Kreska narysowana przez iglicę to złoto, królewskie złoto, a ta druga to mniej szlachetny metal.

Mary wychyliła się do przodu, niemal tracąc równowagę. Chciała dotknąć czarnego kamienia i poczuć jego magię. Jeszcze dziś myślała, że gdyby jej się to udało, poznałaby tajemnicę i umiała odróżnić szlachetność od podłości, prawdę od fałszu.

– Pewnego dnia – odezwał się jej ojciec – będziesz miała brata, a on będzie obrabiał srebro i złoto.

Wiele lat później, jeszcze zanim urodził się Eli, ojciec żywił absolutną pewnością, że jego najmłodsze dziecko będzie chłopcem.

– Mary?

W myśli Mary wdarł się niski, donośny głos Mallory, sprowadzając ją z powrotem na ziemię. Była w swoim salonie. W świetle poranka wszystkie kontury wydawały się ostre, niezłagodzone przez cienie i ciepły blask świec. Mary miała na sobie czarną suknię z bombazyny, którą nosiła, kiedy była w żałobie po rodzicach. Jej widok sprawiał, że co chwila zalewała ją fala wspomnień.

– Co, u Boga żywego, ci wszyscy mężczyźni tam robią? Zebrali się jak na widowisko – powiedziała Mallory. – I czemu ciebie tam nie ma? Czy nie jesteś panią tego domu?

Mary знаła ten wyraz twarzy siostry; Mallory patrzyła na nią jak na krnąbrne dziecko, któremu słusznie należy się bura. Postanowiła nie odpowiadać; wcisnęła głowę głębiej w fałdy szala. W ustach nadal miała smak bułki, którą jadła na śniadanie, kwaśnej i ziarnistej, jakby do mąki ktoś dosypał kredy. Pomyślała, że nie jest to zupełnie wykluczone.

Z dołu dobiegł zgrzyt drewna i kamienia rysującego po podłodze – ktoś najwyraźniej przesuwał skrzynię.

– Za bardzo hałasują – odezwała się Mary słabym głosem. – Rozbiją cały dom w drzazgi. Czemu mężczyźni zawsze wszystko niszczą?

– Odpowiesz mi wreszcie? – zapytała Mallory.

– Szukają testamentu Pierre’a. Powiedział doktorowi Taylorowi, że uczynił go wykonawcą. Pytali mnie, ale ja nic o testamencie nie wiedziałam. A oni też nie mogą go znaleźć.

Mallory pokręciła głową na znak, że dzielnie stara się nie tracić nad sobą kontroli w obliczu najbardziej absurdalnej sytuacji, w jakiej kiedykolwiek się znalazła. To ona była wykonawczynią ostatniej woli obu jej mężów. Kiedy Francis Dunning powiedział, że póki jest zdrowy, testamentu pisać nie będzie, trzasnęła go w skroń tak mocno, że – jak twierdził – przez tydzień miał mroczyki przed oczami.

– Pewna jesteś, że w ogóle coś napisał? – zapytała. – Był z ludzi, którym wydaje się, że będą żyli wiecznie, a po trzech butelkach bordeaux gadają różne bzdury. Aaach! – zawołała – ileż on o tym gadał: pijam przynajmniej trzy butelki! Jakby miał z tej racji prawo do jakichś zaszczytów.

– Napisał testament niedawno – zapewniła ją Mary. – Pamiętasz, jak złożyło go to przeziębienie? Był przekonany, że umrze.

– Nie pamiętam, niestety – stwierdziła Mallory.

– Czuwałam nad nim całą noc, a następnego dnia spisał testament. Sam, za zamkniętymi drzwiami. Zawsze wszystko chował po ciemnych kątach. Nie ufał nikomu, chociaż jego uśmiech tego nie zdradzał.

– Nie pytałaś go, gdzie go zostawił? – drażyła niestrudzenie siostra. Jej matowy głos był spokojny, pewny.

– Nie, nie pytałam – odrzekła Mary, starając się nie stracić panowania nad sobą. – Znałaś go. Wiesz, że nie było sensu go pytać. I tak by mi nie powiedział.

Wiedziała, jak Pierre by zareagował, gdyby zapytała o coś takiego. Zaczęłby insynuować, że Mary życzy sobie jego śmierci. Wydawało się, że w każdym jej słowie automatycznie doszukuje się złej woli. Jego twarz nie wyrażała zbyt wielu emocji, lecz przez ostatnie kilka dni w oczach malowała się niechęć, za każdym razem gdy Mary się odzywała. Zastanawiała się, czy nie było tak od zawsze, tylko z czasem Pierre mniej umiejętnie to ukrywał. Jego oczy jakby ciemniały, a twarz wydawała się zamierać; wokół nosa występowały mu blade plamy, jakby jej słowa szokowały go do tego stopnia, że krew na moment przestawała płynąć. W takich chwilach Mary dotykała jego ręki i zwracała się do niego „mój drogi”, jak gdyby te słowa mogły ich uspokoić i przypomnieć im o związku, którego żadne z nich nie przekreśliło tak zupełnie.

– Jesteś przemęczona – odezwała się Mallory. – Posłałam po Avery. Nie podziękuj mi za to, bo kiedy przyjedzie, czeka ją kupa roboty, jeśli nadal będziesz wszystkim na wszystko pozwalać.

Mary mglście pamiętała kuzynkę jako szczupłą i roześmianą blondynkę o ciętym języku.

– Nie widziałam jej od lat – powiedziała.

– Wszystko przez Pierre’a – skwitowała Mallory. – Ale teraz chętnie przyjedzie. Jest tu potrzebna, nie możesz mieszkać bez towarzyszk. Ludzie i tak już gadają. Przyłapałam twoją Ellen, jak plotkowała na ulicy. Słyszałam, jak mówi Alice Barber, że jej pani ma nierówno pod sufitem. Porządnie jej nagadałam, rozumiem jednak, dlaczego tak myśli. Wygląda na to, że we śnie jesteś całkiem aktywna, zamykasz i otwierasz drzwi, ale teraz, kiedy trzeba działać, siedzisz tu, patrzysz w przestrzeń i pozwalasz, żeby zgryja tak zwanych dżentelmenów rozmontowała ci cały sklep.

Usłyszały trzask i męski głos posyłający wszystko do diabła.

Mary przełknęła wieść o zdradzie Ellen.

– Obiecałam wynagrodzić ją za fatygę dodatkową herbatą i cukrem – powiedziała. – Nie potrafię wyjaśnić tego, co robię we śnie. Ale że mówi o tym na ulicy...

Ciaśniej zawinęła się szalem.

– Może Pierre się nie mylił. Zawsze powtarzał, że ludzie pozostawieni samym sobie robią się bezczelni i nieposłuszni.

Mallory nie odzywała się przez chwilę. Mary domyśliła się, że zaniemówiła, słysząc, jak jej siostra przyznaje Pierre'owi rację.

– Czy to jeden z twoich lokatorów włókł kufer po Bond Street? – zapytała w końcu Mallory.

– Pan Pickering? Tak, nie mylisz się. Powiedział, że tu nie zostanie. Czuje w tym domu powiew śmierci i twierdzi, że zeszłej nocy słyszał kroki Pierre'a.

– Głupiec. – Mallory się skrzywiła.

– Tak sądzisz? Ja jestem skłonna się z nim zgodzić.

Mallory zignorowała tę uwagę.

– Pootwierałaś im skrzynie? – zapytała.

Mary pokiwała głową. Pierre trzymał swoje dokumenty w kilku zamkniętych skrzyniach, które spoczywały w piwnicy razem z metalami szlachetnymi.

– Tak myślałam. Daj mi klucze – zażądała Mallory. – Przypilnuję ich przy oględzinach.

Biorąc pęk kluczy od siostry, Mallory nie mogła się powstrzymać, by raz jeszcze jej nie upomnieć.

– Kiedy się wreszcie nauczysz? Twoja służba żyje po to, żeby cię okradać. Bright Hemmings stoi pewnie w ogródku z taczkami. – Odwróciła się niemal z westchnieniem i śmignęła na dół po schodach.

Mary umościła się z powrotem na krześle. Dom sprawiał wrażenie galeonu pod pełnymi żaglami – słychać było trzeszczenie i jęki desek oraz głosy dobiegające z każdego pomieszczenia. Przed śmiercią Pierre'a wszyscy domownicy starali się zachowywać ciszę, na wyraźne życzenie pana domu. W warsztacie hałasy i dźwięk młotka kującego w metal nie przeszkadzały mu wcale, lecz w domu był wyculony na wszelkie rozmowy i kroki. Raz nawet odprawił służącą, bo zbyt ciężko stąpała po podłodze. W domu zawsze panowała cisza; nawet drzwi zamknięto bezgłośnie, jakby budynek był pogrążony w żałobie. Teraz, gdy wszyscy przebrali się w czerń, hałasowali tak, że mogliby obudzić nawet umarłego.

Po kilku minutach Mary postanowiła dołączyć do Mallory.

Drzwi do sklepu były zamknięte. Zszedłszy na dół, wyjrzała przez aksamitne kotary – na Bond Street było cicho i spokojnie. Mieszkańcy jej domu skupiali uwagę na warsztacie oraz na przejściu prowadzącym od drzwi frontowych do piwnicy. Grisa zauważył Mary jako pierwszy i zamilkł w pół słowa. Jeden po drugim wszyscy obrócili się i popatrzyli na nią jak na ducha.

Taylor trzymał kawałek papieru samymi czubkami palców, jakby nie chciał go poplamieć. Mary zwróciła uwagę na wosk pieczętujący dokument. Było go wyraźnie za dużo. Zapewne Pierre lał wosk drżącą ręką, jeszcze w gorączce, po czym roztarł część dłonią, kiedy przystawiał pieczęć. Przez pergamin ciągnęła się teraz smuga w kolorze zakrzepłej krwi. Mary precyzyjnie się do przodu; Mallory i Grisa ustąpili jej z drogi natychmiast, asystent Taylora chwilę później.

– Znalazł go pan – powiedziała.

– Owszem, moja droga – odrzekł doktor Taylor.

– Słodki Jezu! – wykrzyknął Grisa. Obróciwszy wzrok w jego stronę, dojrzeli przycisniętą do szyby twarz mężczyzny z przyplaszczonym nosem. W innych okolicznościach byłby

to absurdalny widok, z jakiego dzieci mogłyby się śmiać. Mary zauważyła jednak, że gdy Taylor podchodził do drzwi, wyraźnie zbladł.

– Maynard – odezwał się doktor, otwierając drzwi tak gwałtownie, że przymocowany do framugi dzwonek zabręczał donośnie. – Na Boga, człowieku! Wystraszył pan panie nieomal na śmierć.

– Mów pan za siebie – burknęła Mallory.

– Wywołujecie zamieszanie na ulicy – odparował Maynard gładko. – Naprawdę myślał pan, że nie zwrócicie niczyjej uwagi, przetrząsając dom zmarłego, niech Bóg ma go w swojej opiece? Czy wyszły na jaw jakieś nowe dowody? Czy trzeba zawezwać konstabla? Po drodze minąłem pana Pickeringa, który snuł niezwykle barwną opowieść o tym, że dom ten jest nawiedzony.

Dostrzegł wyraz twarzy Mary i spłonął rumieńcem.

– Proszę wybaczyć, pani Renard. Nie zauważyłem pani.

– Chodzi tylko o testament – odezwał się Taylor. – Jest to kwestia istotna dla osób blisko związanych z panem Renardem, lecz nie dla pana.

– W takim razie mam nadzieję, że pani Renard wybaczy mi to najście. – Maynard uchylił kapelusza i wyszedł.

Grisa wciąż jeszcze dyszał ciężko, jedną dłoń opierając na piersi.

– Spokojnie, panie Grisa – zwróciła się do niego Mary i lekko poklepała go po ramieniu.

– Nie przeszkadzaj mu – stwierdziła Mallory głośno – kiedy stara się siebie prześcignąć pod względem nerwowych reakcji.

– Droga pani Renard – odezwał się doktor Taylor – to nie jest miejsce dla pani. Pozwolił pani, że odprowadzę ją na górę.

Mary położyła mu dłoń na ramieniu; powoli ruszyli po schodach, Mallory o dwa kroki za nimi. Mary z wdzięcznością przyjęła spokój i uprzejmość doktora. Jego ramię wydawało się tak solidne, jak niepewnie czuła się ona.

Gdy dotarła z jego pomocą do salonu i usiadła, on stanął nad nią z łagodnym uśmiechem. Jego oczy patrzyły na nią z troską.

– Żal, który pani odczuwa, jest rzeczą naturalną i świadczy o tym, jak dobrą była pani żoną – zaczął – lecz musi pani dbać o swoje zdrowie, pani Renard.

Przestał nazywać ją Marie, naruszone przez smutek poczucie przyzwoitości powróciło.

– Zgadzam się w tej kwestii z doktorem – dorzuciła Mallory, siadając naprzeciwko niej. – Kazałam twojej pokojowej zrobić ci grzane wino z mlekiem i żółtkiem. Przyda ci się. Nikniesz w oczach, Mary, zostały z ciebie sama skóra i kości.

Na przekór szorstkim słowom na chwilę przyłożyła dłoń do policzka siostry, na wpół badawczo, na wpół pieszczotliwie.

– Chyba nie zdołam tego wypić – powiedziała Mary. Na myśl o słodkiej, mlecznej i mocno przyprawionej mamałydze przewróciło jej się w żołądku.

– Musisz coś zjeść – nalegała Mallory.

– Pani Dunning ma rację – wtrącił doktor Taylor. – Widzę, że doskonale nadaje się na pielęgniarkę. Ja mogę przynajmniej oszczędzić pani konieczności czytania testamentu i organizacji pogrzebu.

Mary dostrzegła, jak rysy Mallory stężały, lecz nie odezwała się ani słowem.

Lekarz pożegnał się; po chwili usłyszały, jak wychodzi przez drzwi sklepowe. Mary na powrót zapadła się głęboko w krzesło i owinęła się szalem.

– Pozwolisz mu decydować o wszystkim? – zapytała Mallory. Chwyciła siostrę za rękę; Mary nie zareagowała. – O czym myślisz?

– O tym, jak umarł – odrzekła Mary. Na twarzy jej siostry natychmiast odmalowała się irytacja; Mallory była tak żywiłowa, tak pełna energii i uczuć. Mary przyglądała się jej beznamiętnie; pomyślała, że takim wzrokiem lekarze patrzą na swoich pacjentów.

– Marnujesz tylko czas na takie myśli – stwierdziła Mallory. Jej głos zabrzmiał ostro i przenikliwie. – Jego już nie ma, a ty powinnaś się z tego cieszyć. Otwórz oczy. Masz tu zakład i warsztat, wieloma rzeczami trzeba się zająć. I dom, i sklep potrzebują właścicielki. Musisz być silna.

– Mówisz tak, jakby to było takie proste – odezwała się Mary. – Jakby moje życie należało do mnie. Ale Pierre wcale nie zniknął, nie rozumiesz? Czuję w tym domu jego obecność, jak gdyby w każdej chwili miał wejść do pokoju.

Mary mogłaby przysiąc, że widziała, jak przez ciało jej siostry przebiegł dreszcz.

– Byłaś zobaczyć ciało? – zapytała Mallory. – Mówiłam, żebyś tego nie robiła.

– Nie byłam. Nie o to chodzi. Budząc się rano, widzę świat, który on dla siebie stworzył, a ja jestem jego częścią. Wiedziałam, że tak będzie, od chwili, kiedy Pierre przyszedł powiedzieć ojcu, że chce się ze mną ożenić. Całe życie przesiedziałam w ciemnym kącie warsztatu, przyglądając się pracy złotników. Wiedziałam, że z mojej słabości on uczyni glinianą formę wypełnioną woskiem, a potem wleje w nią twardszą substancję. I tak się stało. Jestem teraz jego dziełem. Każdą suknię, każde słowo, niemal każdy ruch oceniałam według jego standardów, jeszcze zanim on miał okazję je ocenić. Dzień po dniu ubywało mnie po kawałku. Patrzysz na mnie i myślisz, że powinnam znowu być taka jak dawniej, ale dawnej Mary już nie ma, a ja nie znam drogi powrotnej. Nasi rodzice i Eli też już odeszli. Tylko ty pamiętasz, jaka kiedyś byłam, za późno już, by odwrócić to, co zrobił ze mną Pierre. Rozumiesz?

– Nie – powiedziała Mallory. W jej ciemnych oczach zawirował niepokój; Mary wiedziała, że jej siostra stara się go zwalczyć z wrodzonym sobie uporem.

Podwinęła rękaw sukni, pokazując siostrze wewnętrzną stronę przedramienia.

– Tej nocy, kiedy zabito Pierre'a, a doktor Taylor przyszedł mi o tym powiedzieć, drzemałam przy kominku. I jakimś cudem pojawiło się to.

Mallory bez słowa wpatrywała się w sińce.

– Pierre ci to zrobił? – spytała.

– Nie, przecież ci mówię. To się stało we śnie.

– Nie zaczynaj znowu... – Mallory potrząsnęła głową. Przykucnęła przed nią i ujęła dłonie siostry z czułością, która zaskoczyła Mary. Lecz jej wzrok pozostał surowy, a w głosie po-brzmiewała ostrzegawcza nuta. – Siostrzyczko. Zakryj ręce. Nie pokazuj światu swoich sińców. Nocą gaś świece, nie otwieraj oczu. Mów sobie: umarli nie wracają. Nie mogą kochać ani nienawidzić. Musisz być silna. – Mallory wydawała się zmęczona. – Wpędzisz się w obłąd, a mnie razem z sobą. Opowiadasz o duchach i widmach zamiast o wszystkich praktycznych sprawach, którymi powinnaś się zająć.

– Widzisz przecież, że on nie chce zostawić mnie w spokoju – powiedziała Mary.

– Nie wierzę, że tak jest – zapewniła Mallory, ściskając ręce siostry. – To z rzeczywistością będziesz musiała się zmierzyć. Wiesz, co by na to powiedziała nasza matka?

Mary pokiwała głową i wyrecytowała z pamięci:

– Znoś to, co znieść musisz, cierpliwie i z rezygnacją, i dziękuj Bogu za łaski, którymi cię obdarza.

Ich matka często to powtarzała: kiedy interesy szły źle, kiedy okradł ich służący, kiedy mały Eli nie chciał zasnąć, kiwając głową, uśmiechając się i wodząc ciekawie spojrzeniem błękitnych oczu, jakby był poranek, a nie druga w nocy.

Mallory się uśmiechnęła.

– Nie miałam nigdy w poważaniu cierpliwości ani rezygnacji, dziękować zresztą też nie potrafiłam. Ale znieść, co znieść musisz, Mary. Na miłość boską, weź się w garść. Nie wsłuchuj się w kroki, których nie ma. – Zaśmiała się krótko, jakby otrząsając się z melancholii, i odwróciła głowę. – Ależ tam na dole był harmider. I śmiać mi się chciało, kiedy ten człowiek napędził wszystkim strachu. Cóż za wspaniali z nich dżentelmeni. Kim był ten mężczyzna w oknie?

– Jednym z ławników koronera – odparła Mary. Zaczynała ją boleć głowa.

– Bardzo się wszystkim interesował. Co ustalili w sprawie śmierci Pierre’a?

– Zgodzili się, że to był rabunek, zabójstwo dokonane przez nieznanego sprawcę bądź sprawców. Doktor Taylor tłumaczył mi, że na ulicach roi się od złoczyńców. Ktokolwiek zabił Pierre’a, zabrał też jego zegarek. To był taki kosztowny drobiazg. Pierre go uwielbiał.

Pomyślała sobie, że ona nie czuła żalu po stracie zegarka, nie chciała go mieć.

– Z miny tego pana, który dobijał ci się do okna, nie wynikało, że sprawa jest taka prosta – skonstatowała Mallory. – Plotki na Bond Street też jakoś nie cichną, sądząc po tym, co słyszałam dzisiaj po drodze.

Dostrzegła, że Mary zmieniła się na twarzy.

– Nie będziemy więcej o tym myśleć – powiedziała. – Cokolwiek się stało, Pierre sam był temu winien. Włóczył się po nocy. Łaził tam, gdzie nie miał po co łązić. To jego wina, Mary, tak jak i cała ta sytuacja.

Popatrzyła na siostrę długo i poważnie. Ta jednak myślami była gdzie indziej, w odległej przeszłości. Czemu ten obraz wrócił do niej z taką ostrością, i to właśnie teraz? Siedziała ojcu na rękach, patrząc na naczynia pełne mączki kostnej, a probierca mówił jej: „Okładamy to ołowiem, Mary, a później, za pomocą wysokiej temperatury, oddzielamy szlachetne metale od domieszek, bo kiedy robi się bardzo gorąco, wszystkie domieszki spalają się do szczytu”. „Mylisz się – pomyślała, pragnąc wrócić w przeszłość i mu to powiedzieć. – Poddano mnie próbie, a jedyne, co ze mnie zostało, to nieczysty popiół”.

Rozdział VII

18 maja 1792

Leżąc w łóżku dziś rano, wpadłem na doskonały pomysł. Napiszę do Sarah i zaofiaruję się przyjąć jej młodszego syna do terminu, nieodpłatnie. Jestem pewien, że będzie niesłychanie wdzięczna za obietnicę tak prestiżowej posady. Zapewnię ją, że nie pociąga ona za sobą żadnych zobowiązań i że Sarah zawsze będzie miała we mnie przyjaciela.

Po południu poszedłem zobaczyć się z moim dobrym przyjacielem Jonesem, aby kupić dla mojej żony pigułki na ból głowy. Jones jest w moim wieku i, tak jak ja, był tylko biednym czeladnikiem. Pracował u aptekarza, a kiedy jakieś sześć lat temu jego mistrz odszedł z tego świata, Jones ożenił się z wdową po nim i przejął interes. Wyświadczył mi niejedną przysługę, albowiem dawniej razem uzalaliśmy się na swój los i połączyła nas nieć nierozzerwalnej więzi. Spotkanie z nim poprawiło mi humor.

Alban obudził się z myślą: to już dziś. Wstrząs był natychmiastowy. On i Jesse odłożyli wizytę na Bond Street o dwa dni, aby nie sprawiać wrażenia gapiów garnących się do miejsca, gdzie przelano krew. Kiedy przetańczył oczy, zobaczył, że jego kuzyn siedzi przy stole, patrząc nie na niego, lecz na swoje dłonie. Alban usiadł na posłaniu, a Jesse natychmiast podniósł palec do ust, by zasygnalizować, że Agnes i dzieci jeszcze śpią. Alban zniżył głos prawie do szeptu. Dołączył do Jessego przy stole i chwilę przyglądał się, jak ten niespokojnie porusza palcami. Wydawał się przepełniony nerwową energią.

– Możemy poczekać – powiedział Alban niepewny, czy kuzyn powinien wychodzić z domu. – Dla ciebie to kawał drogi.

– Tylko kiedy mam zły dzień – sprostował Jesse i uśmiechnął się krzywo. – A dziś tak nie jest, wiem na pewno. Czuję, że mógłbym pójść do Chester i z powrotem i przejąć twój interes, kuzynie, gdybym mógł dzięki temu uniknąć tej wizyty i pytań o zlecenia w domu, gdzie panuje żaloba.

Obaj ubrali się jak do kościoła i wyszli, kiedy dzieci zaczynały się budzić; ich cienie głosiki właśnie zaczynały wypełniać mieszkanie, gdy Jesse zamykał za sobą drzwi. Niebo miało kolor nasyconego błękitu, o odcieniu raczej wieczornym niż porannym; wiatr zionął chłodem. Szli żwawo, w milczeniu, jak to mieli w zwyczaju jako młodzieńcy, przedzierając się przez wąskie uliczki City. Tłum sprzedawców zaczynał swoje nawoływania, nad głowami szybowały czarne kanie.

Gdy słońce wzeszło, poprawiły im się nastroje. Obaj szli teraz wyprostowani, podnosząc głowy ku złotej kuli. Jesse spojrział na Albana i się uśmiechnął.

– Masz twarz jak zegar słoneczny, kuzynie – powiedział. – Wieczorem, w blasku ognia, wydaje się zupełnie bez wieku, jak srebro, ale wystarczy popatrzeć w świetle poranka, a z układu cieni znać na nim wszystkie dni i godziny.

Alban dał mu kuksańca.

– Cholerne światło – powiedział. Słyszając śmiech Jessego, pomyślał, że chciałby tak iść wiecznie i nigdy nie trafić na Bond Street.

W wyobraźni wszystko było proste; miał po prostu dokąd pójść, stawiać jedną nogę za drugą. Nie uwzględnił jednak uczuć, które nasilały się z każdym krokiem przybliżającym go do celu, i myśli odwracających jego uwagę od chłodu i błękitu nieba. Reakcje jego ciała zdradzały, że jego spokój jest tylko pozorny. „Nie zatrzymam się – pomyślał, podpierając się własnym uporem – będę szedł do przodu. Tak zdecydowałem”. Gdy jednak skręcili w Piccadilly, na moment

zamarł w bezruchu. Miał nadzieję, że Jesse tego nie zauważył.

Ulica, na której się znaleźli, wydała się Albanowi obca i zarazem znajoma. Z biegiem lat wspomnienia o niej zbladły, przez ostatnie dwa dni wygrzebywał je z zapomnienia; obrazy przeszłości widzianej własnymi oczami, kiedy był jeszcze zupełnie innym człowiekiem.

Gdy po raz pierwszy stanął na Bond Street, nie było na niej sklepu Pierre'a Renarda. Alban starał się myśleć o nim bez emocji, jak o obcym człowieku, któremu powinno się oddać szacunek należny zmarłym. Jednakże rozmyślając o Renardzie, zawsze przypominał sobie dzień, w którym poznał Mary, nie mógł więc pozostać obojętny. W tej sprawie nie ufał własnemu osądowi.

Dotarli na Bond Street o wczesnej porze, więc nie było tam jeszcze tłumów spieszących do modnych sklepów. Miały zjawić się dopiero później. Alban zapragnął przystanąć na chwilę i popatrzeć, porównując nowy obraz z tym wyrytym w jego pamięci. Był wdzięczny kuzynowi za to, że jest tu z nim. Bez Jessego pewnie wcale nie skręciłby w tę ulicę, tylko szedł dalej, wzdłuż Piccadilly. Byłby dawnym Albanem, oddalającym się, znikającym w londyńskiej ciżbie, zagubionym w komfortowej anonimowości. Nie zaszedłby za daleko; najpewniej tylko do Świętego Jakuba przy Piccadilly, gdzie, jak sądził, wstąpiłby nie po to, by się pomodlić, ponieważ nie wierzył w nic, ale po to, by nacieszyć się ciszą.

Jesse wciąż milczał. Uszli jeszcze kawałek, po czym Alban poczuł rękę kuzyna na ramieniu.

– To tutaj – powiedział Jesse i wskazał na elegancki bliźniak po drugiej stronie ulicy. Budynek miał wykuszowe okna z dobrej jakości szkła; drobne nieregularności w jego powierzchni połyskiwały w słońcu. Alban zauważył, że witryny są puste, a sklepowe półki wyłożone czarnym aksamitem. Dostrzegł też, że kuzyn przygląda mu się z nerwową uwagą.

– To Renarda, prawda? – spytał, a Jesse przytaknął w odpowiedzi. – Dlaczego więc tak tu stoimy?

– Myślisz, że nic nie pamiętam? – zwrócił się do niego Jesse. – Owszem, jesteś skryty, ale ja wiem dobrze, czemu wróciłeś wtedy do Chester. Ona nadal żyje. Ale bardzo się zmieniła.

Przed oczami Albana stanął obraz Mary jako pulchnej matrony otoczonej gromadką brzydkich dzieci Renarda.

– Powinienem śmiać się czy płakać? – zapytał.

– Możesz zbyć to żartem.

Przeszli przez ulicę, unikając spotkania z rozpędzonym powozem. Jesse zapukał lekko w sklepowe okno, pochwyciwszy spojrzenie siedzącego w środku ciemnowłosego mężczyzny, który natychmiast podszedł do drzwi. Alban poczuł rosnące w nim napięcie, zrobiło mu się niedobrze. Sklep był jednak pusty; jedynym dźwiękiem było gwizdanie dochodzące z małego warsztatu na zapleczu. Alban odniósł wrażenie, jakby uszło z niego wszelkie powietrze.

„Cały ja – pomyślał – spodziewałem się nie wiadomo czego tam, gdzie nic na mnie nie czeka”. Rozejrzał się po gustownie urządzonej pomieszczeniu. Wszystkie ściany były pokryte oszklonymi gablotami. Na długiej ladzie wystawiono tace z pierścionkami żałobnymi, biżuterią i pieczęciami. Ich powierzchnia była poznaczona bladymi plamkami – po chwili zorientował się, że to odciski palców, a widząc, że Jesse też na nie patrzy, skonstatował, iż Pierre Renard na pewno kazałby je wyczyścić.

Jesse przedstawił mu nieznanego jako Johna Grisę, subiekta w sklepie Renarda. Był to szczupły mężczyzna o czarnych oczach, ruchliwej, ekspresywnej twarzy i zręcznych dłoniach, które ani na chwilę nie zamierały w bezruchu. Grisa skinął głową; nawet Alban dostrzegł błysk zainteresowania w jego spojrzeniu.

– Mój biedny *monsieur* Renard – odezwał się Grisa i zamaszystym ruchem wyciągnął jedwabną chusteczkę, którą otarł suche oczy. – Dziś rano znaleźliśmy jego testament.

– Czy możemy złożyć kondolencje pani Renard? – zapytał Jesse. Zerknął ukradkiem na Albana, który obojętnie wpatrywał się w podłogę.

Grisa cmoknął.

– *Non, non*, nie ma takiej potrzeby. W tej chwili pani przyjmuje tylko członków rodziny. – Uniósł oczy do nieba. – I tak by panów nie poznała. Jest, jak to się mówi, rozchwiana, *insensible*.

Jesse głośno przełknął ślinę. Jego pozornie spokojna mina maskowała irytację, co Alban dostrzegł; kuzyn od dzieciństwa znał Mary i jej rodzinę. Taka odprawa uwłaczała jego godności, lecz ewidentnie był do tego przyzwyczajony.

– Powie jej pan, że przyszliśmy? – zapytał.

Grisa przytaknął i pstryknął palcami, jakby na znak, że należy zmienić temat.

– Jest dla nas praca? – spytał Jesse śmiało.

Władcza mina Grisy ustąpiła miejsca ponuremu rozbawieniu.

– Tak, oczywiście. Pojęcia nie mam, co Anglików pociąga w nagłej śmierci, niemniej mamy więcej zleceń niż kiedykolwiek. Wczoraj musiałem kazać chłopakowi odprawiać ludzi już od drzwi, wyobrażacie sobie, panowie? Pan Renard byłby wniebowzięty. O tak, mamy dla panów pracę, gdybyście nie przyszli, dzisiaj bym po panów posłał. Nie trzeba było przychodzić tutaj z wyrazami współczucia.

Wyostrzone zmysły Albana wytłumiły tyradę Grisy, kiedy usłyszał czyjeś kroki na schodach – delikatne kroki kobiety, szelest ciężkiej spódnicy. Drzwi oddzielające sklep od mieszkania były zamknięte, lecz skupił wzrok na szparze pod nimi, na wypadek gdyby dostrzegł jakiś ruch. I rzeczywiście, pod drzwiami przesunął się cień, ktoś zatrzymał się przed nimi, po czym odszedł. Alban usłyszał, jak frontowe drzwi otwierają się i zamykają, dostrzegł jej sylwetkę, kiedy przechodziła obok okna. Szła tak szybko, że tylko mu mignęła: rudobrązowe włosy, lekko upudrowane, podświetlone zimowym słońcem, drobne ciało bez odpowiednio ciepłego okrycia, blada skóra. Nie dostrzegł jej twarzy; nie obróciła się, wychodząc. Jednak w jej ruchach, w zarysie policzka było coś, co przekonało go, że to na pewno ona. Mary. Dziesięć lat starsza, chudsza i zmierzowana, jakby prawie doszczętnie wyssano z niej życie. Ledwie cień osoby, którą kiedyś była, jak obraz świętej na kościelnym tryptyku.

Gdy obejrzał się za nią, poczuł, jak Jesse ostrzegawczo kładzie mu rękę na ramieniu. Odwrócił się, zauważając, że Grisa dostrzegł jego zainteresowanie; on też odprowadzał wzrokiem panią domu. Wydął usta z rozbawieniem.

– I znów poleciała – odezwał się. – Ani płaszcza, ani kapelusza. Widzicie, panowie, jak pędzi ku własnej zagładzie? Nic dziwnego, że jest zrozpaczona, któż mógłby zastąpić takiego męża? Chodźcie, panowie, do warsztatu, wydam wam dyspozycje. Musimy się spieszyć, skoro przyjdą pośrednicy, nie będę miał ani chwili czasu.

Monolog Grisy zdawał się nie mieć końca; subiekt gadał i gadał, aż Alban stracił zainteresowanie. Pół godziny później obaj z Jessem wyszli z warsztatu, mając głowy pełne zaleceń.

Alban zerknął w kierunku, w którym poszła Mary.

– Wyglądała jak duch – skwitował.

– Mówiłem ci – powiedział kuzyn, chowając plik papierów do kieszeni płaszcza. – Jest teraz mizernym, bezkrwistym stworzeniem. On wyssał z niej całe życie. Nigdy nikogo do niej nie dopuszczał.

Poklepał Albana po ramieniu.

– Nie gap się za nią. Chodźmy na jednego. Wypijemy za nowe zlecenie i za nowego członka mojej rodziny.

Ciasna, wyłożona ciemnym drewnem sala szynku Czerwony Lew przy Crown Passage była niemal pusta, lecz czując znajomy zapach trocin, przypalonego mięsa i piwa, Alban miał

wrażenie, że cofnął się w czasie o jedenaście lat. Gdy odbierał od Jessego kufel piwa, zauważył, że z ławy pod ścianą przygląda im się jakiś mężczyzna. Był rudy i, chociaż siedział zgarbiony, miał w sobie jakąś dumę, która zwracała uwagę. Patrzył na Albana zupełnie bez skrępowania.

– Jesse – odezwał się nieznajomy. – Kogóż to przyprowadziłeś?

Jesse obrócił się z uśmiechem.

– Kuzyna z Chester, który przyjechał szukać szczęścia w mieście. Alban, poznaj Edwarda Digby'ego.

– Spotkaliśmy się już – stwierdził Digby. Jego dłoń owijała się wokół kufła, mimo że nie unióśł go do ust, odkąd Alban i Jesse weszli do szynku.

– Wybacz pan, ale nic takiego nie pamiętam – powiedział Alban.

Digby pociągnął solidny łyk.

– Nigdy nie zapominam twarzy. – Uśmiechnął się, zaśmiał gardłowo, po czym dostał ataku kaszlu.

Nie podniósł się, by uścisnąć dłoń Albana, lecz ten uznał, że Digby jest po prostu zmęczony. Z natury nie doszukiwał się w ludziach złośliwości, dopóki nie przejawiali jej otwarcie.

Digby zgrzytnął zębami.

– To miasto jest okrutną kochanką, proszę pana – odezwał się. – Wykorzysta pana i porzuci. Lepiej niech pan wraca do Chester, gdzie powietrze jest czyste, a praca uczciwa.

Alban uśmiechnął się i upił łyk piwa.

– Ewidentnie nie zna pan Chester – zripostował, a Jesse zachichotał cicho. – Poza tym nie jestem w Londynie pierwszy raz. To moja dawna miłość, może przygarnie mnie z powrotem.

– Niech pan potem nie mówi, że go nie ostrzegałem – mruknął Digby. – Gdzieście byli o tak wczesnej porze?

– Na Bond Street – odrzekł Jesse.

Z gardła Digby'ego wyrwał się chichot, który natychmiast przerodził się w kaszel.

– Nie forsuj się – powiedział Jesse.

Digby łapczywie chwycił powietrze.

– Bond Street... – stwierdził, kręcąc głową. – Pełno tam szlachetnie urodzonych. Jak tam dziś byłem, zaczął mnie szanowny pan Maynard, który koniecznie chciał się ze mną rozmówić. Mhm... Co krok trafia się tam na szlachcica.

Zacmokał pod nosem, dopił resztę piwa, po czym wstał i wyszedł bez słowa.

Gdy za Digbyem zamknęły się drzwi, Jesse popatrzył na Albana i się uśmiechnął.

– Nie słuchaj go – powiedział. – Miewa napady podłego nastroju, a wtedy wszystko widzi w czarnych barwach.

– Nie wziąłem sobie tego do serca – odrzekł Alban i znów napił się piwa. Na jego oczach Jesse wychylił swój kufel jednym haustem i zamówił kolejny. Po jakimś czasie Alban postukał kuzyna po ramieniu.

– Nie powinniśmy już iść, Jesse? Mamy mnóstwo roboty...

Kuzyn z niechętnym pomrukiem przyznał mu rację.

Ruch na ulicy zgęstniał, powietrze wypełniło się głosami, stukotem kopyt i dudnieniem kół powozów. Wchodząc w Piccadilly, Jesse skręcił w prawo. Maszerował tak żwawo, że Alban musiał przyspieszyć kroku, by za nim nadążyć. Oddech kuzyna był przyspieszony, z ust ulatywały obłoczki pary. Niebo, czyste o poranku, zasnuwało się chmurami.

– Jesse! – zawołał Alban. – Dokąd idziesz?

„Zdecydowanie nie jest to najkrótsza droga do domu” – wymamrotał do siebie. Idąc w tym kierunku, niebawem wejdą w tłum włóczęgów i podejrzanych typków, których masa poniesie ich nie wiadomo gdzie.

– Jesse! – odezwał się znów.

Kuzyn zatrzymał się tak gwałtownie, że staruszka idąca za nim z koszem jaj wpadła mu na plecy i zakłęła głośno. Alban uspokoił ją i zapłacił za stłuczone jajka. Na twarzy Jessego dostrzegł wyraz udręki.

– Agnes prosiła, żebym zaszedł do Mallory – powiedział. – Obiecałem.

Wyglądał jak ktoś, komu właśnie zabrakło odwagi.

– Dobry pomysł – stwierdził Alban. – Mówiłeś niedawno, że masz zamiar do niej wpaść, bo coś trzeba naprawić.

Wbrew sobie poczuł przyływ nadziei; wiązała się ona z myślą, że usłyszy coś więcej o Mary. Jej starsza siostra zawsze słynęła ze szczerości – Alban zapamiętał ten szczegół z opowieści Jessego. Kiedy jako dziecko przyjechał do Londynu, obie rodziny były sobie bliskie. Jesse terminował u ojca Mary i Mallory, zanim poszedł do pracy u innego złotnika. Kiedyś rozważano go jako potencjalnego małżonka dla Mallory. Od tego czasu minęło wiele lat, lecz Jesse nadal żywił do sióstr braterskie uczucia. Rzadko je widywał, ale zawsze był skłonny pomóc w potrzebie.

– Tu trzeba skrócić – powiedział Jesse, nerwowo tupiąc nogą. Po chwili podjął decyzję: – Nie idziemy. Nie dziś. Ostatnio nie przywitała mnie najlepiej, nie mam siły na kolejną taką wizytę. Zresztą w domu jest mnóstwo do zrobienia.

– To zajmie nam tylko chwilę – przekonywał go Alban. – Agnes martwiła się o Mallory? Czemu wcześniej o tym nie wspomniałeś?

– Agnes powinna martwić się o siebie – skwitował Jesse, rozglądając się dookoła. – Jest zbyt poczciwa. Kiedy ludzie dokonują kiepskich wyborów, na przykład przyjmują Renarda do rodziny, powinni sami radzić sobie z konsekwencjami. Mam dużo pracy, zresztą wystarczy mi wdów jak na jeden dzień.

Rozdział VIII

19 maja 1792

Skończywszy naukę, znalazłem klientów skłonnych we mnie zainwestować. Tym sposobem założyłem własną firmę i w końcu dorobiłem się sklepu przy Bond Street. Tuż przed tym zaczęła się smutna historia mojego małżeństwa.

Nie mogę myśleć o mojej żonie bez uprzedzeń; tak to jest, gdy człowiek czuje się oszukany. Kiedy się z nią żeniłem, miała gładką skórę i wydawała się zdrowa, ogólnie sprawiała wrażenie podatnej na wpływy, co uznałem za dobry znak. Jej uległość była jednak tylko pozorem; wszystkie moje sugestie natychmiast spływały po niej jak woda po gęsi. Nie reagowała na moje subtelne próby nadania kształtu jej osobowości i uparcie pozostawała taką, jaką była dawniej.

Teraz ma na tyle sprytu, by w mojej obecności grać potulną żonę, udawać, że jest mi posłuszna. Wydaje jej się, że jej fałszywa lojalność mnie zadowala. Ja jednak wiem, że w sercu buntuje się przeciwko mnie. Myśli, że jest ode mnie mądrzejsza. Od czasu do czasu zdradzi się nieostrożnym słowem, lecz gdy ją upominam, twierdzi, że przekręcam to, co powiedziała. I płacze.

Tymi ciągłymi łzami i udawaną melancholią kreuje mnie na potwora. Ja jednak byłbym dobrym mężem, gdyby ona była dobrą żoną; pragnę tylko szansy, by móc okazać swoją łagodność. Gdybym ożenił się z Sarah, do przyjemności, jaką czerpię z pracy, mógłbym dodać radości płynące z ciepłego łóżka i posiadania dużej rodziny. Teraz jednak mam tylko ją, a ona jest zaledwie cieniem tego, co mi obiecano.

Joanna szła do kuchni napić się herbaty, kiedy usłyszała na schodach kroki Harriet kierujące się ku bibliotece. Miała nadzieję na chwilę wytchnienia po śniadaniu, lecz widok zawziętej miny jej pani przekonał ją, że nie ma na co liczyć. Oczy Harriet błysnęły, gdy ją zobaczyła.

– Chodź, masz zostać ze mną – powiedziała, wyciągając rękę. Joanna zauważyła spojrzenie, jakie rzucił jej służący przy drzwiach, a chwilę później nieznaczne skinienie jego głowy.

Joanna wyczuła podniecenie Harriet. Dłoń młodej kobiety była rozgrzana i spocona; dość mocno pociągnęła Joannę do biblioteki. Przekraczając próg tego pokoju, służąca czuła się jak intruz – mimo marmurowych kominków i ozdób był on urządzony po męsku, w czerwonych brązach, czerwieni i złocie. Mahoniowe meble wysysały światło wpadające przez trzy wysokie okna. Pan Chichester siedział przy biurku w głębokim fotelu, z listem w dłoni. Gdy podniósł wzrok, wyglądał jak alegoria zdumienia. Obok niego stał pusty kieliszek; w kominku płonął ogień. Wreszcie z wyraźną niechęcią odłożył list, wstał i się uklonił. Joanna dygnęła i wpatrzyła się w egzotyczne wzory na dywanie, pozwalając sobie podnieść wzrok tylko od czasu do czasu.

Nie potrafiła wyrobić sobie opinii o panu Chichesterze; choć sporo o tym myślała, nie umiała przyporządkować go żadnej kategorii. Zastanawiała się, czy to przez młody wiek jego wygląd i zachowanie były takie niespójne. Każde wrażenie, jakie na niej wywierał, było ulotne jak cień.

Oglądane z osobna, części jego fizjonomii wydawały się przeciętne; miniaturzysta, który malował jego portret dla Harriet, bardzo swobodnie potraktował twarz pana Chicheстера, modyfikując jej rysy. Oblicze spoglądające z niewielkiego owalu z kości słoniowej, zawieszzonego w pokoju Harriet w ozdobnej złoczonej ramie, było szerokie i gładkie, niemal kobiece w wyrazie. W rzeczywistości skóra na jego policzkach była lekko porowata, szerokie czoło zwężało się zaś w stronę niedużego podbródka. Wokół ust i pod nosem ze skóry wystawały pojedyncze włoski, jak u wyrostka, który stara się zapuścić brodę. Każda kępka wyglądała żałośnie.

Ubierał się jednak elegancko; zadbał o to jego pokojowiec, Francuz. Joanna uznała, że pewność jego spojrzenia dodaje mu uroku. Sama tułała się bez celu przez tak długi czas, nie umiając do końca dostrzec różnicy między dobrem a złem – pragnęła ogrzać się w blasku tak nie-zachwianej pewności.

Chichester wrócił na fotel i obdarzył Joannę przelotnym uśmiechem.

– Panno Dunning. Czy chce pani mówić ze mną na osobności, pani Chichester? – zapytał. Joanna dygnęła po raz wtóry i cofnęła się o krok w nadziei, że pozwolą jej odejść.

– Zostań tu – poleciła Harriet.

Pan Chichester odsunął fotel od biurka. Cały składał się z kątów ostrych, jak marionetka zapakowana do pudełka. Długi, zakrzywiony nos, wyraźne kości policzkowe, nadgarstki, kolana – wszystko rzucało się w oczy, niczym punkty na wykresie. Spod skóry przebijała biel kości. Gdy Harriet usiadła naprzeciwko niego, Joanna pomyślała, jak niedobraną są parą. Jej pani była jasna i miękka, szczególnie teraz, gdy jej figura lekko się zaokrągliła. Twarz miała okrągłą, różową i zdominowaną przez błyszczące niebieskie oczy; mąż jej miał fizys chłodną, suchą i poszarzałą, niczym zimowy krajobraz za oknem.

Harriet patrzyła na męża z uśmiechem, w którym dało się dostrzec nutę triumfu, jakby wypija kilka kieliszków wina albo ścisnęła w ręku najlepsze karty. Ze sposobu, w jaki trzymała głowę, widać było, że właśnie wygrywa jakąś cichą, prywatną wojnę, ale jest skłonna okazać mu łaskę.

– Co ma pani do powiedzenia? – zapytał Chichester. – Przyszła mnie pani ostrzec o jakiejś fanaberii? Czyżbyś ogłosiła Bond Street z towaru?

Zimny sarkazm w jego głosie zaskoczył Joannę.

– Myślę, że być może będziesz ostrożniej obchodził się z moimi uczuciami – odezwała się Harriet – kiedy powiem ci, że wydaje mi się, to jest, pewne sygnały wskazują, iż jestem przy nadziei. Wybacz, że czekałam kilka tygodni, by ci to zakomunikować, ale chciałam mieć pewność.

Nicholas Chichester powoli opuścił dłonie na uda. Wyglądały jak dwa wielkie białe pająki. Wpił wzrok w oblicze żony. Joannie skojarzył się z lodową rzeźbą; jego rezerwa na chwilę zniknęła niczym zamrożona, lecz topniejąca z każdą mijającą sekundą. Joanna usłyszała lekkie skrzyknięcie pod drzwiami; czyżby służący podglądał przez dziurkę od klucza? Posłała w tym kierunku gniewne spojrzenie.

– Cóż... – rzekł w końcu Nicholas. Wstał, ujął dłoń żony i złożył na niej pocałunek. – Wypełniłaś swój obowiązek. Moja droga żona.

Ostatnie zdanie brzmiało bardziej jak obelga niż wyraz czułości.

– Może teraz moglibyśmy posłać po pana Renarda? – zasugerowała Harriet. – Chodzi o nasze zlecenie, nowy srebrny serwis. Rozmawialiśmy o tym.

– Odwołałem to kilka dni temu – powiedział Chichester.

– Och – wybąkała Harriet cichutko jak dziecko.

– Coś jeszcze? – Chichester ponownie zerknął na list. Nastąpiła długa cisza.

– Odesłał pan mojego woźnicę – powiedziała jego żona. – Uczył się w stajni mojego ojca.

– I wyraźnie służył tobie, Harriet. A konie to moja sprawa. Okulawił mojego najlepszego siwka.

– Jestem przekonana, że to nie była jego wina. Drogi w tej części miasta są w potwornym stanie. Czy mogę prosić, aby sprowadzono go z powrotem? Był dobrym sługą, godnym zaufania. W dzisiejszych czasach trudno o zaufanie, szczególnie w Londynie. Słyszałam, jak sam pan to przyznawał.

– Twoja troska o dobrobyt tego domu wzrusza mnie – Chichester wydawał się znudzony

– niemniej nie musisz się martwić. Znalazłem już jego zastępcę i jestem z niego zadowolony. Dama nie powinna przejmować się woźnicą męża. Jeszcze jedno, Harriet. Musisz napisać do ojca. Nie powinien dłużej ociążać się z posagiem.

Zerknął przelotnie na Joannę. Wydało jej się, że w jego spojrzeniu dostrzegła cień wstydu.

Harriet zaśmiała się z przymusem. Dźwięk ten był jak zgrzyt w tym wystawnym wnętrzu, objął się o kryształ i marmur.

– To wszystko, co chciał mi pan powiedzieć? – zapytała.

– Zaangażuję doktora Taylora jako twojego akuszerza – stwierdził Nicholas. – Jak rozumiem, asystował on przy porodzie żony mego kuzyna. Jest poważanym człowiekiem. Wydaje mi się, że studiował w Oksfordzie. Rozumiem, że nie masz nic przeciwko temu?

– To nie ma znaczenia. Powinam odpoczywać. Joanno?

Podążając za Harriet do wyjścia, Joanna starała się nie patrzeć na Chicheстера, lecz bezwiednie rzuciła mu spojrzenie. On pochwyił je i przytrzymał, nim zdążyła spuścić wzrok.

– Joanno – zwrócił się do niej. – Chciałbym zająć ci chwilę, kiedy już odprowadzisz panią Chichester do łóżka.

Kiwnęła głową.

Podtrzymując swą panią na schodach, spojrzała do góry i zamrugła, gdy jej oczy ukłuło jasne zimowe światło, sączące się przez szklaną kopułę nad schodami. Było tak piękne, że aż przystanęła, dopóki Harriet nie zaczęła ciągnąć jej za rękę. „Gdybym tylko mogła odetchnąć tym blaskiem jak powietrzem – pomyślała – wszystkie moje rany byłyby uleczone”.

Pomogła swojej pani wrócić do sypialni i ułożyć się w łóżku. Mijając sekretkę, Harriet przesunęła ręką po polerowanym blacie z mahoniu i drewna tulipanowca. Klucz do niej tkwił w zamku; zwieszała się z niego cienka wstążeczka. Dawniej była błękitna, lecz Harriet miała w zwyczaju nosić ją na szyi, więc materiał poszarzał od kontaktu ze skórą. Zapewne włożyła klucz do zamka o poranku.

– Możesz tam zajrzeć, jeśli chcesz – powiedziała, odczytując spojrzenie Joanny. Jej słowa zabrzmiały prawie jak wyzwanie. – W środku spoczywa coś, co było kiedyś obietnicą szczęścia.

– Nie będę zaglądać, proszę pani – odrzekła Joanna. Bóg raczy wiedzieć, co Harriet tam trzymała, lecz służąca nie była ciekawa zawartości sekretki. Mimo melodramatycznych deklaracji pani Chichester w środku były zapewne jedynie pamiątki z jej beztroskiego dzieciństwa: piórko, wstążka, klejnocik.

Wycofała się z pokoju z głębokim ukłonem i zbiegła po schodach. Pan Chichester czekał na korytarzu. Nie odpowiedział na uśmiech.

– Renard, ten złotnik, został zamordowany – oznajmił. – Nie mów swej pani, na razie powinno się jej oszczędzić tak szokujących wieści.

Joanna nie była w stanie odezwać; jej twarz zastygła w wyrazie obojętności, lecz usta rozchyliły się lekko z osłupienia. Poczwała, jak robi jej się gorąco. Spojrzenie Chicheстера złagodniało.

– To straszna rzecz – powiedział. – Ulice nie są bezpieczne.

Joanna potrząsnęła głową, zdołała złożyć niezgrabny ukłon i poszła. Była mu wdzięczna, że polecił jej nic nie mówić Harriet; ostatnio i tak była roztrzęsiona – Joanna obawiała się, że śmierć złotnika wpędzi ją w atak waporów.

– Dobrze słyszałem? – zapytał jeden ze służących. Podszedł do Joanny, gdy stała nieruchomo oparta o balustradę. – Ten francuski złotnik nie żyje?

– Tak – odparła i się odwróciła. Pobiegła na półpiętro i przeszła przez zamaskowane drzwiczki, którymi mogła dostać się na kuchenne schody. Potrzebowała ruchu i samotności, by uspokoić nerwy. Poszła na piętro przeznaczone dla służby, gdzie miała pokój.

Gdy Harriet była bardziej marudna niż zwykle, kazała Joannie spać ze sobą w pokoju, lecz ona wolała swoją klitkę na poddaszu. Specjalnie o nią prosiła podczas rozmowy o pracę, jaką przeprowadziła z nią matka Harriet. Pierwszego dnia pani Holland wręczyła jej klucze do pokoiku, okraszając ten gest uniesieniem brwi.

Teraz Joanna zamknęła drzwi za sobą, przekręciła klucz i usiadła na łóżku. Nadal czuła się rozgrzana i lekko niezdrowa, jakby zaraz miała dostać gorączki. Ukryła twarz w dłoniach.

„Diabli niech wezmą Renarda – pomyślała. – Diabli niech wezmą jego cwana minę i zimne oczy, i gładkie słówka”. Nawet jego śmierć siała zamęt. Nie chodziło jedynie o to, że Joanna będzie musiała użerać się z Harriet; liczyło się coś jeszcze, coś znacznie dla niej ważniejszego, kolejna strata, z którą trudno będzie się pogodzić.

Wyciągnęła spod łóżka drewnianą skrzyneczkę.

Z przegródki na świecy wyjęła to, czego szukała – niedużą papierową torebeczkę. Otworzyła ją i wpatrzyła się w pojedynczy lok ciemnobrązowych włosów. Zostało jej tylko to pasmo, chciała zawsze móc na nie patrzeć, żeby nie zapomnieć koloru. Drugi lok oddała do oprawy; powierzyła go Renardowi, a teraz obawiała się, że nigdy już go nie odzyska.

Złożyła paczuszkę i ucałowała ją, tłumiąc szloch, który ścisnął jej gardło. Nie ma czasu na żal, nie teraz. Musi wracać do Harriet i zachowywać się, jakby nic się nie stało.

Podeszła do okna i wyjrzała na Berkeley Square, starając się otrząsnąć ze smutnych myśli. Widok placu trochę w tym dopomógł. Od dawna czekała na śnieg, a teraz, gdy zrobiło się chłodniej, można było liczyć, że ten wreszcie spadnie. Skupiła uwagę i wyobraziła sobie Berkeley Square spowite w biel, młode drzewka przygięte pod ciężarem śniegu, ciemne tropy zwierząt i ślady porannych przechodniów. „Będzie pięknie – pomyślała – pod śniegiem wszystko wygląda inaczej, biały puch przykrywa brud i tłumy chrapliwe dźwięki miasta”. Widoki, które dawno już jej obrzydły, rozświetla się jak obdarzone wewnętrznym blaskiem, odmienione przez kurtynę śnieżnych płatków.

Bezwiednie ułożyła ręce tak, jakby trzymała niemowlę. Opuściła wzrok i pogłaskała wymaginowane dziecko po policzku.

– Może urządzą jarmark zimowy, kochanie – powiedziała na głos i zmytygowała się. Jednakże czuła się głupio tylko przez chwilę. Kogóż może obchodzić, że mówi do siebie w pustym pokoju?

Wychodząc z lombardu, Digby powtarzał sobie, że na pewno nikt go nie śledził. Miejsce to było tak dobrze ukryte w labiryncie bocznych uliczek Strandu, że sam miałby problem, aby ponownie je znaleźć. Był tak niespokojny, że nie zwolnił kroku nawet na widok szynku; patrzył pod nogi i parł przed siebie w kierunku głównej alei. Chciał się napić, i to bardzo, ale jeszcze bardziej chciał się stąd wynieść, zostawić za sobą smugi światła wiszące jak mgła w wilgotnym, zatechłym powietrzu. Nawet jeśli dręczyło go poczucie winy, nie miał ochoty się do tego przyznawać.

Lombard był maleńkim pomieszczeniem z zakratowanym oknem i kilkoma nędznie wyglądającymi tacami z pieczęciami i pierścionkami zdobiacymi witrynę. Digby’emu wydało się dziwne, że właściciel w ogóle ma ochotę wystawiać coś w oknie; żeby tu trafić, trzeba było wiedzieć, dokąd iść. Tego sklepu po prostu nie mijano się przypadkiem. Właściciel, zmarszczeniem brwi przytrzymując lupkę w oczodole, obejrzał pieczęcie i mały złoty wisiołek z pasmem włosów za płytką z kryształu. Wypuścił szkiełko z oka i złapał je w locie jednym płynnym ruchem. Kiedy pierwszy raz wymienił swoją cenę, Digby go nie usłyszał; zbyt był zajęty przyglądaniem się jego twarzy. Nie spodobały mu się cyniczna mina i uniesiona brew.

Wyszedł na Strand. Zaciśnął palce na zegarku; gotował się we własnym pocie. Rozluźnił rękę, czując, jak przedmiot opada na dno kieszeni. Pomyślał, że ciepło i wilgotność mogą uszko-

dzieć delikatny mechanizm. Miał zamiar wyłożyć go na stół w lombardzie – dostałby za niego wysoką cenę. Z niejaką przyjemnością myślał o minie, jaką przybrałaby wtedy twarz właściciela. Taka kosztowna rzecz nie mogła tak po prostu trafić na witrynę w bocznej uliczce, otoczona tłustymi od brudu broszkami i pierścionkami. Gdy nadszedł odpowiedni moment, nie znalazł w sobie jednak siły, by się na to zdobyć.

Wiązało się to przecież z ryzykiem – jeśli właściciel lombardu widział rozprawiane przez Taylora ulotki z informacją o kradzieży zegarka, Digby nie mógłby liczyć na nieuczciwość lichwiarza. Nim wyszedł z domu, włożył pieczęcie i wisiorki Renarda do osobnej kieszeni, tak by łatwo można je było wyjąć – zaczął się więc zastanawiać, czy od początku nie planował zachować zegarka.

Szedł przed siebie, pomrukując i podśpiewując, wychylony do przodu. Czuł się nieswojo i jak najszybciej chciał się znaleźć na znajomym terenie. Miał wrażenie, że myśli zacisnęły mu się w supeł, którego nie umie rozplątać. Oddając zegarek pod zastaw, wróciłby do domu z pokazną sumą, być może wystarczającą, aby jakaś kobieta spojrzała na niego przychylnym okiem. Nawet gdyby odłożył większość pieniędzy, miałby jeszcze fundusze na nowy kapelusik i tyle wstążek, ile dusza zapragnie. Ładnym kobietom zależało tylko na tym – na garści monet rzuconych im pod nogi.

Na ulicach panował gwar; tragarze niosący lektyki zatrzymywali się, niemal wślaząc na siebie nawzajem, słychać było stukot kopyt – to koń ciągnący dorożkę otarł się o ulicznego sprzedawcę. Pośrodku ulicy dwóch mężczyzn klóciło się o jakiś dług. Przeciskając się przez tłum przechodniów, Digby czuł, jak na jego zmysły napierają niepokoje i antagonizmy miasta; i bez tego miał już wystarczająco dużo zmartwień, od splątanych myśli we własnej głowie poczynawszy.

Śmierć Renarda wydała mu się szczęśliwym zbiegiem okoliczności; on jedynie natknął się na zegarek, wziął sobie coś pięknego, dostrzegł okazję i ją wykorzystał. Jednakże z każdym dniem coraz częściej zadawał sobie pytanie: co mu strzeliło do głowy, by okradać zwłoki zamordowanego człowieka, i to jeszcze kogoś, kogo znał? Był rozdarty między wyrzutami sumienia a niepokojem o własne bezpieczeństwo. Zaczęło mu się nawet roić, że kiedy znalazł ciało, morderca przyglądał mu się z oddali. Zeszłej nocy myśli te zakłóciły jego sen; obudził go własny krzyk.

Na dokładkę miał jeszcze na głowie Maynarda.

Szanowny pan Maynard zatrzymał go na Bond Street zeszłego poranka, by zadać mu kilka pytań o Pierre'a Renarda. Zagadnięty, Digby zacisnął dłoń na zegarku. Ze strachu zrobiło mu się gorąco. Wymówił się byle czym i poszedł prosto do Czerwonego Lwa. Gdyby znaleziono przy nim zegarek, raz-dwa znalazłby się na stryczku. Na samą myśl chciało mu się płakać ze strachu.

Jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Wreszcie dotarł do dziedzińca po zachodniej stronie kościoła Świętego Jakuba, z którego wychodziło się na Jermyn Street. Zakaszłał gardłowo, gdy stanął w cieniu. Przypomnił sobie spotkanie z koronerem w sprawie Renarda. Stał wtedy, czując się pewnie i bezpiecznie, nawet z niejaką dozą optymizmu. Nie poddał się zupełnie temu uczuciu, lecz mimo to wyraźnie żałował zmiany nastroju.

Digby oparł się o ścianę w nadziei, że przez chwilę odpocznie. Wiedział, o co tak naprawdę chodziło: zatrzymał zegarek, gdyż była to jego tajemnica. Posiadanie go dodawało mu siły; jego pięknem mógł się rozkoszować tylko on sam. Dla samej możliwości wzięcia zegarka do ręki i przyglądania się wszystkim misternym szczegółom oświetlonym blaskiem świecy warto było znieść strach przed tym, że prawda wyjdzie na jaw. Wydawało mu się, że zegarek wpadł w jego ręce zrządzeniem losu; niczym pamiątka z życia, jakie było mu przeznaczone. Kiedyś miał nadzieję, że sam będzie wykonywał takie rzeczy, że ukończy naukę i zostanie złotnikiem. Zegarek stanowił swego rodzaju rekompensatę – on też miał swoją historię, która łagodziła zgorzknienie-

nie Digby'ego. Wzrok obcego człowieka zbrukałby świętość tego cennego przedmiotu. Stróż zdał sobie sprawę, że nigdy się go nie pozbędzie.

Stał tak na dziedzińcu, kiedy z kościoła wyszedł doktor Taylor, a za nim jego żona. „Przyszli się pomodlić – pomyślał, naciągając kapelusz głębiej, aby ukryć twarz. – Lubisz się modlić, co, doktoru? Obludnie szepczesz paciorek, a później idziesz macać piękne panie. Lubisz zawłaszczać sobie miano człowieka pobożnego, tak jak zawłaszczasz sobie wszystkie te kobiety, lekceważąc je, podobnie jak lekceważysz nas wszystkich. A jednak masz żonę, która bez niechęci staje u twego boku”.

Nie mógł się powstrzymać od mrocznych myśli; jego serce przyspieszyło rytm, pompując w żyły jad zgorzknienia. „Do tej pory żyłem uczciwie – pomyślał. – Czy zasługuję na to, by moim jedynym pocieszeniem był kawałek metalu ukradziony nieboszczykowi?”

Zastanawiał się, czy zdoła zasnąć, zanim znów trzeba będzie iść na patrol. Z niechęcią myślał o powrocie do swojej ciasnej kwatery; nie chciał leżeć sam w szarówce zimowego wieczoru. Oddychał powoli, starając się nie rozkaszać. Z ukrycia przysłuchiwał się rozmowie doktora i jego żony.

– Kompletny chaos – mówił Taylor. – Nie spodziewałem się tego po człowieku tak ułożonym i precyzyjnym jak on.

– Mnie to nie dziwi – odezwała się Amelia Taylor. – Wydawało mu się, że będzie żył wiecznie.

– Jak ja jej to wyjaśnię? – zapytał doktor.

– Powiedz jej prawdę. Że jej mąż życzył sobie, aby wyszła za nieboszczyka, i że, skoro on nie żyje, o jej losie masz zdecydować ty.

Rozdział IX

1 czerwca 1792

Dostałem odpowiedź Sarah na mój list. Poznawszy jej charakter pisma na kopercie, ledwo zdołałem się opanować, czułem się jak dziecko, któremu każą czekać na łakocie. Otworzyłem list dopiero, gdy zostałem sam. Styl był formalny, nawet mój spragniony wzrok znalazł w nim jedynie cień sympatii, jaką kiedyś żywiła do mnie Sarah.

Pisze, że jej drugi syn nie wybrał jeszcze zawodu i że jest jakieś pięć lat za młody. Prosi jednak, żebym rozważył kandydaturę jej bratanka ze Shrewsbury, który pragnie wyuczyć się jakiegoś rzemiosła. Poślę po niego; potrzeba mi czeladnika, który uczyłby się prowadzenia interesów. Napisałem do niej, a następnie do Shrewsbury na załączony przez nią adres. Kiedyś miałem nadzieję, że zawodu będzie się ode mnie uczył mój własny syn i jeśli Bóg da, marzenie to jeszcze może się spełnić. Jak na razie jednak mam obowiązek przekazać wiedzę innym, na wypadek gdybym odszedł przedwcześnie. Poza tym z chęcią przysłużę się Sarah.

Był jeszcze wczesny ranek, gdy Mary dotarła do kościoła Świętego Jakuba przy Piccadilly i usiadła w swojej ławce w południowej nawie. Przyszła popatrzeć na kamienie Elego. Po jego śmierci obawiała się, że z czasem jej wspomnienia o bracie zblakną, lecz tu, w tej kaplicy, zawsze stawały jej przed oczami jasne i wyraźne. Niemal widziała, jak idzie ku niej: sześciolatek, nieduży jak na swój wiek i chwiejnie stawiający kroki, przez co brano go za młodszego. Chociaż minęło już dziesięć lat, z każdą wizytą wizja ta stawała się coraz bardziej klarowna, niczym często powtarzana modlitwa z wolna zapadająca w pamięć. Szedł, jednocześnie przesuując rączką po ścianie kościoła. Palce miał zwinne, nie tak niepewne jak nogi. Zatrzymywał się, odnalazłszy ulubiony kamień: fragment ściany, z której odpadł tynk, ukazując czarną chropowatą powierzchnię, jakby obitą jakimś przedwiecznym narzędziem; krzemień rozbity na dwoje, szorstki wewnątrz, a gładki na zewnątrz. Małe paluszki Elego zawsze zatrzymywały się na najbardziej chropowatym fragmencie, jakby ten kontakt sprawiał mu przyjemność. Zmysł dotyku rozumiał lepiej niż słowa, bo rzadko się odzywał. To był jego kamień. Dawno już go otynkowano, lecz Mary pamiętała, gdzie się znajdował. Przesunęła palcami po wyrytej tam inskrypcji.

„JA JESTEM ZMARTWYCHWSTANIEM I ŻYCIEM”.

Eli odwrócił się i uśmiechnął do niej. Jego twarz była blada, gładka jak otoczek muskany falami, z małym płaskim noskiem i migdałowymi oczami koloru nieba. Często wydawał się pogrążony we własnym świecie; lecz ludzie, którzy go znali, kochali go, a za jego uważnym spojrzeniem rodzina widziała duszę głęboką jak morze.

Wiele osób postrzegало Elego jako nieszczęście. Szybko jednak nauczyli się trzymać język za zębami; Mallory i Mary nie szczędziły gorzkich słów nikomu, kto ośmielił się źle mówić o ich bracie. Niemniej epitety takie jak „imbecyl” i „półgłówek” od lat padały poza zasięgiem ich uszu, dopóki Pierre nie ośmielił się wymówić ich wprost, zaledwie kilka miesięcy po ślubie.

Tego tragicznego dnia, ostatni raz, kiedy wybrała się odwiedzić City, powiedziała: jest nasz, a my go kochamy. Ja go kocham.

Kochałaś, powiedział. Wyjechał. I nie wróci, dopóki ja żyję.

Zamknęła oczy. „Nie chcę pamiętać pożegnania – pomyślała. – Chcę pamiętać roześmianego Elego”.

To w tej nawie kościoła siedziała z rodziną owej niedzieli, kiedy odczytywano zapowiedź jej małżeństwa trzeci i ostatni raz. Siedzieli wszyscy razem, ściśnięci w ławce, w najlepszych

strojach, z ponurymi twarzami – Mary, jej rodzice, Pierre, Mallory i jej mąż. I Eli, który poczłapał w swoją stronę, korzystając z tego, że ich uwaga była skoncentrowana gdzie indziej. Wstrzymali oddech.

Ogłaszam zapowiedź małżeństwa...

Ktokolwiek wie o jakichś przeszkodach prawnych...

W ponurą, pełną napięcia ciszę wdarł się rozradowany chichot Elego. Podreptał wzdłuż nawy prosto w ramiona mężczyzny, który podniósł go i podrzucił w powietrze. Eli śmiał się donośnie, aż zabrakło mu tchu. Część zebranych śmiała się razem z nim, inni kręcili głowami z dezaprobatą i głośno wciągali powietrze. Mary nie zwróciła uwagi na niezadowolenie Pierre'a. Obróciła się i uśmiechnęła do rozradowanego braciszka, a jej spojrzenie napotkało wzrok mężczyzny, który trzymał go na rękach. Na wspomnienie tej chwili jej serce wciąż podskakiwało, częściowo z radości, częściowo z żalu, że trwała ona tak krótko.

Jak wyjaśnił jej ojciec, człowiek ten był w kościele gościem, kuzynem jej przyjaciela z dzieciństwa, Jessego Chamaca. Ukłoniła mu się i uważnie przysłuchiwała krótkiej rozmowie, jaką przeprowadził z nim ojciec. Nieznajomy miał łagodny, przyjemny głos, a jego uśmiech rozświetlał mu twarz niczym promień słońca.

– Spotkaliśmy się dawno temu – powiedział jej wówczas. – Jeszcze jako dzieci. Ja miałem lat czternaście, a pani nie miała nawet tyle wzrostu, ile teraz ten młody człowiek.

Położył wtedy rękę na głowie Elego, a on na chwilę znieruchomiał, po czym spojrzał do góry. Mary pokiwała głową – nie poznała go, lecz miała wrażenie, że gdzieś już go widziała. Po kilku minutach uprzejmej rozmowy ojciec odprowadził ją na stronę, by powiedzieć jej, że Pierre się zdenerwował. Nie wiedziała jeszcze, że był to ostatni raz, kiedy jej rodzina siedziała razem, połączona nadzieją na przyszłość.

Nie miała okazji pożegnać się z tym mężczyzną, pamiętała jednak, że obejrzała się wtedy za siebie i widziała, jak rozmawia z Pierre'em. Teraz sobie przypominała. Poznali się w dniu, w którym ojciec po raz pierwszy zabrał ją do probierni. Jego nazwisko wróciło z mroków niepamięci litera po literze, jakby znała je od zawsze. Alban Steele.

– Panno Dunning! – Okrzyk pani Holland zaskoczył Joannę, kiedy schodziła z poddasza po schodach dla służby. – Wszyscyśmy się zastanawiali, gdzie pani jest, a pani znów schowała się w swoim pokoju.

– Co się dzieje? – zapytała Joanna, ignorując komentarz.

Ochmistrzyni trzymała w rękach zwinięty postaw lnu, stała jednak tuż przy oknie na półpiętrze, jakby coś na podwórzu przykuło jej uwagę, kiedy wchodziła po schodach.

– Wszyscy stoją na zewnątrz z nowym woźnicą – powiedziała pani Holland, zerkając na nią. – Dorodny z niego chłopak. Nie minie chwila, a będą nań popatrywać wszystkie dziewczęta.

Joanna zesła z dwóch ostatnich stopni dzielących ją od półpiętra i spojrzała przez ramię pani Holland. Woźnica stał na dziedzińcu. Odwrócony do nich plecami szcztokował konia pana Chicheстера. Na własne ubranie założył lniany surdut, by się nie pobrudzić. Ochmistrzyni miała rację – wyglądał na dorodnego, silnego mężczyznę, takiego samego, jakim był Stephen Joanny, też woźnica. Miał szerokie ramiona, a w jego ruchach znać było siłę. Nie sądziła, aby mógł być równie delikatny co jej ukochany i posiadać taką samą, niemal mistyczną wiedzę o koniach, lecz gdyby zapatrzyła się wystarczająco długo i pozwoliła spojrzeniu nieco stracić na ostrości, wyglądałby prawie zupełnie jak Stephen. On też nosił taką koszulę i też skrywał pod peruką ciemnobrązowe włosy, które na karku zwijały mu się w loki; jeden taki pukiel oddał Renardowi, żeby oprawił go w wisiorek.

Znowu poczuła łzy pod powiekami i zamrugała, żeby je odgonić, przeklinając się, że wyszła z pokoju w złym momencie, nim zdążyła zupełnie się uspokoić. Odkąd powiedziano jej o

śmierci Renarda, nie miała wiele okazji, aby pobyć sama. Była przekonana, iż pani Holland zorientowała się, że coś jest nie tak, i nie chciała narażać się na kolejną falę pytań. Woźnica zrobił ruch, jakby chciał się odwrócić, a Joanna gwałtownie odsunęła się od okna.

– Przypomina pani kogoś, prawda? – odezwała się ochmistrzyni, patrząc prosto w zaczerwienione oczy Joanny. Światło sączące się przez okno malowało opadające kąciki jej ust ostrzejszą i dłuższą linią.

– Nie – odrzekła Joanna. Udało jej się obrzucić panią Holland wyniosłym spojrzeniem. – Powinnam już iść do pani Chichester, pani wybaczy...

Tamta nie powiedziała nic więcej i nie ruszyła się z miejsca. Schodząc po schodach, Joanna czuła na plecach jej badawczy wzrok.

– Przepraszam, że panią niepokoję – zaczął Grisa. Opierał się o framugę i przyglądał się własnym paznokciom. – Bright Hemmings pragnie się z panią zobaczyć. Kazałem mu odejść, ale nie chce mnie słuchać.

Mary siedziała przy kominku wychylona do przodu. Na krześle obok niej spoczywał jej kapelus. Spojrzawszy na zegarek, zorientowała się, że wróciła z kościoła już dwie godziny temu i że od tego czasu nie ruszyła się z miejsca.

– Zejdę do niego – powiedziała. – Niech pan nie prosi go na górę.

Schodząc po schodach, próbowała wzbudzić w sobie odrobinę sympatii dla gościa. Nieszczęsny Bright, wiecznie postrzegany przez pryzmat własnego absurdu. Mary sama czuła się nie na miejscu, więc umiała mu współczuć. Historię Hemmingsa powtarzano tyle razy, że stała się miejscową legendą. Gdy był dzieckiem, jego matka zginęła przygnieciona szyldem sklepowym, który nagle się oberwał. Powiadano, że szok związany z jej śmiercią odmienił umysł Brighta, uodparniając go na głos zdrowego rozsądku. Był to pierwszy obraz, jaki przychodził do głowy na jego widok: spadający szyld sklepowy na ulicy pełnej kołyszących się szyldów. Albo świnię. Hemmings od dawna miał słabość do Mary, nie dlatego, że okazywała mu jakieś specjalne względy, lecz z uwagi na to, że nie traktowała go nieuprzejmie, w przeciwieństwie do większości osób, z którymi rozmawiał.

Czekał w sklepie, z wyraźnym zainteresowaniem przyglądając się jednej z gablot, jakby miał zamiar coś kupić. Położył nawet rękę na szkle oddzielającym go od srebrnej solniczki – widząc to, Grisa chrząknął głośno. Subiekt stał obok gościa, wyraźnie przerażony myślą, że jakiś klient mógłby zobaczyć Hemmingsa w sklepie. Kiedy Bright zagadnął go o coś, odburknął jednym słowem, w które włożył tyle wzgardy, ile tylko się dało. Co chwila nerwowo zerkał na drzwi.

Bright Hemmings wyglądał, jakby miał na sobie pożyczone ubranie: wąskie bryczesy, kamizelę w żółte i niebieskie pasy, utyłany fular zawiązany pod szyją w okazałą kokardę i ubłoczone płaszcz.

Obrócił się ku Mary, dumnie potrząsając głową. Całe współczucie, jakie dla niego miała, natychmiast wyparowało. Łatwo było okazywać cierpliwość z oddali, Bright jednak potrafił zirytować nawet ludzi wyrozumiałych. Mary pomyślała, że nawet gdyby jego matki nie spotkał tak smutny los, Bright i tak nosiłby swą obrzydliwą ulizaną perukę. I wciąż miałby tę swoją twarz krętacza, któremu wydaje się, że jest lepszy i sprytniejszy niż wszyscy dookoła.

Patrząc na niego, można było pomyśleć, że zmyślił całą historię z szyldem sklepowym.

– Szanowna pani – odezwał się. – Wyrazy uszanowania i najszczerze kondolencje.

Uklonił się.

– O co chodzi, panie Hemmings? Proszę się pospieszyć – powiedziała Mary. Przez jej głowę przemknęła myśl, że za życia Pierre'a Bright nigdy nie ośmieliłby się postawić nogi w tym sklepie.

– Jeśli mogę zająć pani zaledwie pięć minut... Czy mogę prosić o rozmowę na osobności? – ciągnął, jakby powtarzając wypracowany monolog, który Mary tak nieuprzejmie mu przerwała.

– Nie teraz – odrzekła. Za plecami Hemmingsa Grisa pokręcił głową i wyjrzał przez okno na ulicę.

– Nadejdzie czas, gdy będzie pani wdzięczna za deklaracje, jakie przyszedłem jej złożyć – oświadczył Bright z obrzydliwym uśmiechem. – Przyszedłem służyć pani opieką. Widzę jednak, że moja propozycja, wypowiedziana przy świadkach, może być zbyt onieśmielająca dla pani.

Mary rozejrzała się dookoła. Spojrzała na Grisę, który złożył ręce za plecami i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w Bond Street oraz ciągnących ulicą przechodniów. Na gabloty ze srebrem, gdzie każdy przedmiot odbijał zimne światło dnia. Na ladę, z której połyskiwały pierścionki i brosze. Na Brighta i jego twarz pełną bezpodstawnej pewności siebie; wyglądał, jakby spodziewał się szybkiej transakcji. „Jestem właśnie wystawiana na sprzedaż – pomyślała. – Nieważne, w jakie słowa to ubrać, taka jest prawda”.

– Proszę wyjść – powiedziała. Zaszło jej w ustach. – Nie ma tu dla pana żadnych świń.

Popatrzyła na Grisę, który zachichotał na wzmiankę o żywym inwentarzu, po czym podszedł do Brighta, uniósł ręce i zagonił go do drzwi, nie przejmując się, kiedy ten zachwiał się i omal nie przewrócił. Wychodząc na ulicę, Hemmings rzucał przekleństwa pod adresem ich obojga.

Mary wróciła do salonu, lecz po chwili usłyszała zgiełk na ulicy. Wyjrawszy przez okno, zobaczyła Brighta, ale i wiele innych osób; na ulicy stała nawet Ellen, skulona z zimna. Mary zauważyła, jak spojrzenie pokojówki wędruje w górę, ku oknom jej salonu.

– Co się tam dzieje? – zapytała Grisę minutę później, zasapana od biegania po schodach.

– Niech pani tam nie wychodzi – zakazał.

Odsunęła go ręką i wyjrzała na ulicę. Oczy tłumu wpatrzone były w dom doktora Taylora.

– Co oni robią? – zapytała jakaś kobieta.

– To ten stół – odezwała się inna. – Nie mogli odczyścić go z krwi.

– Kazała go spalić – dorzucił ktoś. – Trudno się dziwić. W całej tej sprawie jest coś nieprzyjemnego... Czemu jego krew nie chce się zmyć?

Ellen zauważyła swoją panią i ruszyła ku niej z niepokojem w oczach, lecz Mary ostrzegawczo podniosła dłoń. Zrozumiała, o czym toczy się rozmowa: Pierre leżał na stole kuchennym pani Taylor, gdzie zanieśli go tamtej nocy, gdy zginął. Wielokrotnie wyobrażała sobie kałużę krwi tak ciemnej, że niemal czarnej, wsiąkającą we włókna drewna; biedną służącą, która musiała to potem szorować; Pierre'a wyłożonego na stole, jak kawał mięsa do porąbania.

W tym momencie dwóch mężczyzn wyniosło stół na zalaną światłem ulicę. Bright Hemmings zaśmiał się i pokazał palcem w ich kierunku. Nigdzie nie było widać pani Taylor. Ujrawszy stół, Mary miała wrażenie, że widzi na nim odcisk śmierci. Uniosła rękę do ust, z których wyrwał się cichy okrzyk. Hemmings obrócił się; na jej widok uśmiech zniknął z jego twarzy jak zdmuchnięty.

Nie była w stanie się poruszyć. Zakryła oczy rękoma, lecz było już za późno; widziała ten stół i nie mogła wyrzucić z pamięci obrazu obrzydliwej ciemnej plamy, fizycznego dowodu na to, że Pierre został zamordowany. Po głowie kołatała jej się jedynie myśl, że plama krwi miałaby jego zapach. Nogi ugięły się pod nią; poczuła zimny pot i falę mdłości. Ktoś podtrzymał ją za ramiona – czyjeś silne, sprawne ręce. Mary nie miała siły, by podnieść oczy i zobaczyć, kto ją prowadzi. Spuściwszy głowę, pozwoliła zabrać się z ulicy do sklepu. Z ulgą powitała dźwięk dzwoneczka zawieszzonego na drzwiach, poczuła zapach wosku: nie mięsa, nie krwi. Była w sklepie; nie podejrzewała, że będzie ją to napawać taką radością. Serce waliło jej jak młotem; bezwiednie

oparła się czołem o szklaną ladę.

– Nie powinna była tego oglądać – odezwał się męski głos. W jego oddechu wyczuła woń alkoholu.

– Nie potrafiłem jej powstrzymać – powiedział Grisa.

Gdy drzwi sklepu ponownie się otworzyły, Mary uniosła głowę. Zobaczyła plecy swojego wybawcy. Obrócił się, aby rzucić jej pełne współczucia spojrzenie błękitnych oczu, i wyszedł.

Rozdział X

2 czerwca 1792

Mieliśmy dziś wielu klientów. Okazywałem wesołość; taki mam zawód, a także i przyzwyczajenia. Dobrze potrafię ukrywać prawdziwe myśli. Chociaż się uśmiechałem, głowę zaprzętała mi jedna bolesna myśl, która nadała kształt moim wieczornym modlitwom: źródło frustracji zbudzonej przez list od Sarah.

Dobry Boże, daj mi syna. Tylko o to proszę. Gotów jestem pogodzić się z faktem, że być może nigdy nie będę posiadał godnej siebie żony, ale gdybym miał dziecko, związany z tym ból byłby mniej dotkliwy. Syna z mojej krwi, który nosiłby moje nazwisko. Późnym popołudniem wezwalem żonę do swego pokoju, lecz – och, z żalem myślę o wszystkich moich staraniach, bo leżała pode mną jak nieżywa. To przez ten brak namiętności w stosunku do mnie nie zachodzi w ciążę. Mój przyjaciel doktor Taylor mówił mi to już, kiedy wino rozwiązało mu język: gorliwość kobiety jest niezbędna.

Alban przychodził do warsztatu w suterenie przy Foster Lane wcześniej, a kończył późno, wyteżając wzrok w słabym świetle. Pracował nad niedużym kubeczkim, formując jego kształt z płytki srebra. Uwielbiał początek procesu tworzenia; zdążył już raz okuć całą powierzchnię, rozgrzać ją do czerwoności i zanurzyć w roztworze kwasu. Była teraz jasna, poznaczona kraterami i chropowata, niczym powierzchnia księżycy. Popatrzył na nią, starannie obrócił ją przed sobą na ławie i znów zabrał się do obróbki: uderzenie, pauza, uderzenie, pauza; każdy cios wybrzmiewał miłym brzękiem, idealnie harmonijną nutą.

Zdawał sobie sprawę, że mało który złotnik kocha metal tak jak on. Nie pamiętał, skąd wzięło się u niego to uczucie; jego obecność w swoim życiu brał za pewnik. Wiedział jednak, że metal był kiedyś jego wrogiem. Jako trzynastolatek terminujący u wuja kojarzył srebro tylko z hałasem i ciężką pracą; było to starcie pomiędzy jego chudymi ramionami a upartym metalem. Jednakże w spokojnych, pewnych oczach Albana zawsze czaiła się żelazna wola, pragnienie, by nie dać się pokonać. Nabral siły tak szybko, że skóra porozciągała mu się na ramionach, tworząc blade rozstępy, które nigdy zupełnie nie zniknęły. Nauczył się rzemiosła, pokonał metal, a później go pokochał.

W Londynie pracował ciężiej i szybciej niż kiedykolwiek. Widok srebra posłusznie uginającego się pod młotkiem koił mu nerwy po tym, jak udało mu się zobaczyć Mary. Praca była dlań fundamentem, na którym mógł się oprzeć. Nawet po zmroku nie chciał wychodzić na górę i jeść. Nie miał ochoty patrzeć na Jessego, który siedział zgarbiony na krześle i bębnił palcami po stole. Wolał zostać w warsztacie, w czterech ścianach wytapetowanych ulotkami z tekstami piosenek i wierszy. Oświetlenie było tak słabe, że słowa dało się przeczytać, tylko wodząc po nich nosem. Na jednej ze ścian widniał też kredowy odcisk jego dłoni, który pozostawił przed wyjazdem do Chester, wiele lat temu.

Usłyszał, jak drzwi warsztatu uchylają się i zamykają, podniósł więc głowę, spodziewając się widoku kuzyna i dyskusji o terminach realizacji zleceń. Do zrobienia był skomplikowany odlew, a za dzień lub dwa – mniej wymyślne wyroby, z którymi uporał się szybko, należało więc zabrać je do siedziby cechu, oznaczyć znakami probierczymi i wnieść stosowną opłatę. W drzwiach stała jednak Agnes. Podeszła do niego z zagadkowym półuśmiechem na ustach. Nie pasowała do tej scenerii i chyba sama to czuła, bo poruszała się jakby mniej zgrabnie.

Alban odgarnął włosy z czoła i poczuł, jak pot przykleja mu się do dłoni.

– Jak się miewasz? – zapytał z uśmiechem.

– Przyszłam po ciebie – powiedziała. – Musisz coś zjeść. Mam dla ciebie kawałek sera z Gloucester, jeśli na chwilę oderwiesz się od swej ukochanej.

Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego filuternie. Popatrzył na leżący przed nim kawałek metalu i się roześmiał.

– Przyszłaś tu po mnie i zostawiłaś dzieci same, żeby spaliły ci cały dom – skonstatował. – Nie podejrzewałem cię o coś takiego.

– Mój dobry mąż ich pilnuje. Kazałam im odmawiać pacierze.

Podeszła bliżej, nieśmiało wkraczając w krąg światła, i przyjrzała się obrabianemu srebru.

– Miło patrzeć, jak pracujesz – stwierdziła. – Kiedy byliśmy młodym małżeństwem, czasem przychodziłam popatrzeć na Jesse’ego przy pracy, chociaż powtarzał mi, żebym dała mu spokój, chyba że chcę coś wypolerować. Mówił, że nie potrafi się skupić na pracy, gdy czuje na sobie mój wzrok.

Zaśmiała się nisko, wodząc palcem po ławie.

– Tak bardzo jesteśmy ci wdzięczni, Alban... Mamy szczęście, że należysz do rodziny. Jesse zamartwiał się na śmierć.

Alban potrząsnął głową.

– Nie ma za co dziękować. Powinienem był przyjechać wcześniej, tak jak obiecywałem wiele lat temu. Ale teraz już jestem, a ze sklepu Renarda przyszło mnóstwo zleceń. Jesse może spać spokojnie. – Miał wrażenie, że w jego słowach dało się wyczuć nutę niepewności. Na ustach Agnes nadal igrał uśmiech.

– Powiedział kiedyś, że zajmie się pozłacaniem, żeby więcej zarabiać – wyznała. – Mówiłam mu, że gdybym chciała wyjść za nieboszczyka, przystroiłabym kapelusz wstążkami i paradowała po cmentarzach w poszukiwaniu męża. Mówiłam, że chcę, aby dożył do końca czasu, jaki jest mu przeznaczony, i to ze mną.

Alban pokiwał głową i się uśmiechnął. Pozłotnicy rzadko dożywali trzydziestki; cały dzień otoczeni trującymi wyziewami rtęci zarabiali duże pieniądze, lecz umierali młodo. Stwierdzenie, że się tym zajmie, było bardzo w stylu Jesse’ego: rzucona na wiatr obietnica, której nie spodziewał się wypełnić.

Uśmiech Agnes przygasł. Z dala od ognia pod kuchnią i swoich obowiązków domowych wydawała się niepodobna do siebie. Gdy przestała się uśmiechać, jej okrągła twarz zwiotczała. Policzków nie zdołał rumieniec; ich kolor skojarzył się Albanowi z ciastem, które cały czas wyrabiała.

Uniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy.

– Kiedy powiedziałam mu o maleństwie, ledwo zdołał podnieść głowę i coś odpowiedzieć – rzekła. – Dręczy go melancholia. Czy to chora dusza wyniszcza mu ciało?

Alban odłożył młotek i odchylił się na ławie. To osobiste pytanie, tak nagle zadane, sprawiło, że poczuł się niezręcznie.

– Wątpię, by chodziło akurat o to – powiedział. – Choroba po prostu przychodzi. Nie wiadomo dlaczego.

Agnes pokiwała głową i złożyła ręce na piersi, wpatrując się w podłogę, jakby tam szukała odpowiedzi.

– Agnes Chamac – odezwał się Alban. – Masz skłonność do zamartwiania się, a ja nawet o tym nie wiedziałem.

Odpowiedziała uśmiechem na uśmiech, ale za jego fasadą wciąż czaiła się troska. Zastanawiał się, od jak dawna obraca w myślach swoje obawy. Biedna, wesoła Agnes, o której wszyscy myśleli, że zawsze jest silna i zdrowa, że nigdy się nie poddaje.

Otoczył ją ramionami i uściśnął krótko, mocno.

– Nie myśl o tym – powiedział. – Jesse żyje tylko dla ciebie.

Gdy wypuszczał ją z objęć, spojrzała na niego z nadzieją, jakby chciała mu uwierzyć, a on popatrzył na nią, starając się sprawić wrażenie silnego i pewnego swych słów. Czuł się jednak pusty w środku, tak jak tej nocy, gdy opuszczał Chester. Widział tylko trakt zryty koleinami, trawy falujące na wietrze, księżyc w pełni i twarze współpasażerek – przerażonych, że ktoś okradnie je z całego dobytku.

Oboje podskoczyli, kiedy drzwi warsztatu trzasnęły głośno.

– Nie wyjdiesz z pieczary? – odezwał się głos Jessego. Stał u szczytu schodów. – Nie masz dość siedzenia w ciemności?

– Nie zastanawiam się nad tym – odparł Alban. – Ale skoro oboje prosicie tak grzecznie, to pójdę z wami.

Kiedy wyszli i zajęli miejsca przy stole, zastali dzieci siedzące potulnie przy kominku. Wgryzając się w pajdę chleba, Alban poczuł, jak ogarnia go błogie uczucie przyjemności: ciepło upieczonego przez Agnes pieczywa, słonawy smak masła na języku. Agnes tymczasem nałożyła mu na talerz porcję kiszonych ogórków i kawał sera.

– Wystarczy mu tego – stwierdził Jesse. – Nie chcemy, żeby się spisał i rozleniwił, i przestał pracować.

Agnes usiadła przy końcu stołu, zerkając to na jednego, to na drugiego. W tle było słychać Anne, ich najstarszą córkę, która czytała psalm braciom i siostram.

– Powinienem częściej robić sobie przerwę – skonstatował Alban. – Chociaż to uświadamia mi jedynie, jak bardzo chciałbym wyciągnąć się przy kominku.

Wgryzł się w ogórek i chrupał przez chwilę. Nagle zdał sobie sprawę, że Jesse nie zjadł jeszcze ani kęsa.

Jego kuzyn położył ręce na stole powolnym, wyważonym ruchem.

– Zerkniesz, co u dzieci? – odezwał się cicho do Agnes. Alban podejrzliwie popatrzył na Agnes, która wycofała się cicho, nie oglądając się za siebie.

– Stało się coś? – zapytał Jessego.

– Rozmawiałem dzisiaj ze znajomymi z cechu, kiedy zaniósłem te sztuki do probierni. Mieli wieści z Bond Street.

Alban przyjrzał się uważnie twarzy kuzyna. Największym ryzykiem dla osób handlujących metalami szlachetnymi był rabunek – jego myśli natychmiast pobiegły ku Mary, bezbronnej w domu swego zmarłego męża.

– Co się stało? Czy znaleźli mordercę Renarda?

– Nie – odparł Jesse, odwracając wzrok. – Chodzi raczej o to, co stanie się dalej. Jeden z moich znajomych zauważył, że to może cię zainteresować. Sam o tym nie pomyślałem, ale założę się, że ty tak. Mary Renard będzie musiała ponownie wyjść za mąż.

Cisza.

Alban napoczął kolejny ogórek z donośnym chrupnięciem i metodycznie przeżuwał, nie bacząc na przenikliwy wzrok swego kuzyna.

– Jej mąż jeszcze nie ostygł – odezwał się, gdy już zdążył przełknąć. – A wyście już wybrali kandydata?

W jego głos wkradła się gorzka nuta; spuścił wzrok na talerz, lecz po chwili znów spojrzał na Jessego, starając się wyczytać coś z jego twarzy.

– Nie – odparł Jesse. – Doktor Taylor zajmuje się testamentem. Jeden z powierników, z którym Taylor jest w dobrej komitywie, to większy plotkarz niż on. Wygadał się mojemu znajomemu, który zaopatruje go w pieczęcie i błyskotki. Renard nie uporządkował swoich spraw należycie. Zdaje się, że życzył sobie, by Mary wyszła za jakiegoś jego kuzyna, ale ten człowiek

nie żyje. I chwała Bogu – jak dla mnie małżeństwo z jednym Renardem wystarczy na całe życie.

– Dlaczego musi ponownie wyjść za mąż? – zapytał Alban. Jesse przewrócił oczami; na ten widok w Albanie zagotowało się ze złości. – Jeśli wszystko zostawił jej, można przecież znaleźć inne rozwiązanie.

Pomyślał o Mallory. Przypomnił ją sobie jako dziecko: harde spojrzenie błyszczących oczu, blask niemal zwierzęcej witalności opromieniający ją nawet wówczas. Przez chwilę myśl o niej dawała mu nadzieję; był pewien, że wiedziała o interesach więcej niż obaj jej nieżyjący mężowie razem wzięci.

– Kobieta nie może prowadzić takiego interesu bez pomocy – stwierdził Jesse. – Wiem, że niektóre to robią, damy takie jak pani Bateman. Ale ona ma o niebo więcej doświadczenia niż Mary, a jej mąż był znacznie bardziej pobłażliwy i dawał jej wgląd w swoje sprawy. Moim zdaniem Mary nie ma pojęcia o handlu. Renard trzymał ją z dala od interesów, wszystkich innych zresztą też. Mary nie ma przyjaciół, którzy mogliby jej teraz pomóc, oprócz jednego Grisy, a on... – Jesse pomachał ręką lekceważąco. – Wydaje się, że doktor chce jak najszybciej wydać Mary za mąż. Uważa, że potrzebna jej opieka.

– Co ma do tego Taylor? – zapytał Alban.

– Jest wykonawcą i głównym powiernikiem testamentu. Odpowiada za los Mary i rozporządza całym majątkiem. Nie dziwi mnie to. Renard i Taylor byli nierozłączni.

– Nie znamy wszystkich szczegółów. Nie ma sensu o tym rozmawiać – uciął Alban.

– Warto myśleć przyszłościowo – powiedział Jesse. Wreszcie podniósł kawałek chleba z masłem i zagryzł ogórkiem. – Powinieneś z nią porozmawiać – powiedział z pełnymi ustami.

Alban oparł się na krzesło. Miał ochotę odejść od stołu, wrócić do piwnicy i na powrót zająć się pracą. Nie musiał odpowiadać, nie musiał w ogóle dawać znać, że usłyszał, co powiedział Jesse. Jednak coś w spojrzeniu kuzyna mówiło mu, że ten nie odpuści. Nie tym razem.

Przez ostatnie jedenaście lat sytuacja się zmieniła. Nie zostawią już Albana w spokoju, by robił, co mu się podoba. Jesego napędzała jakaś siła; konieczność zapewnienia mu szczęścia, przedarcia się przez mur jego milczenia. Alban z całego serca zażyczył sobie znaleźć się z powrotem w Chester, gdzie znajomi pozwalali mu wieść spokojny i samotny żywot.

Jesse przełknął jedzenie.

– Co ty na to? – zapytał.

Alban nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Pokręcił głową.

– Była między wami nić sympatii – drążył Jesse. – Wtedy w kościele. Widziałem wyraźnie. A skoro ja zauważyłem... – Wzruszył ramionami.

– Nic nie widziałeś – stwierdził Alban. – Popatrzyłem sobie na ładną dziewczynę i tyle.

– A wszystkie twoje pytania później? Twoje nagłe pragnienie wyjazdu z Londynu, kiedy powiedziałem ci, że ich małżeństwo to już pewnik? Leciałeś łapać dyliżans, małoś portek nie zgubił.

Alban gwałtownie odsunął krzesło.

– Dziękuję za posiłek, Agnes – powiedział i ruszył po schodach do piwnicy, cicho zamykając za sobą drzwi.

Na jego ławce wszystko leżało tak, jak to pozostawił. Kawałek srebra czekał na niego cierpliwie. Jednak gdy tylko wziął go do ręki, zrozumiał, że nic już dziś nie zrobi; nie będzie mógł się skoncentrować. Zaklął pod nosem. Wściekły, chciał podnieść srebro i cisnąć nim o ścianę tak mocno, żeby się odkształciło. Jedyne, co mógł, to stać i opierać się o ławę, czekając, aż wzburzenie minie. Usłyszał kroki Jesego na schodach. Kiedy się obrócił, kuzyn patrzył na niego wyczekująco.

– Nie istnieje nic, absolutnie nic, co mogłoby ją do mnie przekonać – zaczął Alban.

– Twoje finanse są w najlepszym porządku, jak rozumiem – powiedział Jesse szorstkim, pozbawionym emocji tonem, za który Alban był mu wdzięczny, choć na krótko.

– Masz swoje fundusze – mówił dalej kuzyn. – Wiem, że masz.

– Owszem, ale... – Alban nie potrafił ująć w słowa tego, co leżało mu na sercu.

– Jest jakaś inna kobieta? – zapytał Jesse. – Jakieś wcześniejsze zobowiązanie?

– Nie! – huknął. Przeszedł wzdłuż ławy w tę i we w tę, przesuwając ręką po gładkiej powierzchni drewna.

– Przysięgałem sobie, że będę takim człowiekiem jak Renard – odezwał się w końcu. – Lepszym nawet. Wiedziałem, jak się do tego zabrać, wiedziałem, że mam po temu kwalifikacje. Ale brakowało mi ambicji. Nie szukałem okazji, nie pchałem się, nie starałem. Moje życie to ciąg zmarnowanych możliwości. Widzisz, ona też do nich należy.

– Nie widzę – odparł Jesse. – Postaraj się mnie zrozumieć. Jutro na Bond Street zlecą się mężczyźni jak muchy do mięsa. Dostałeś drugą szansę. Mary nie mogłaby życzyć sobie lepszego męża, lepszego człowieka. Niech sama zadecyduje.

Alban chciał go wyminąć, lecz Jesse zastąpił mu drogę.

– Niech sama zadecyduje – powtórzył. Kuzyn jednak zdążył już przejść obok niego i pędem wbiec po schodach.

Światło boleśnie ukłuło go w oczy. Szedł szybko, nie chcąc, by Jesse go dogonił. Wstąpił do pierwszego po drodze sklepu z gorzałką; trunek smakował obrzydliwie i palił w gardło. Alban poszedł dalej chwiejnym krokiem, przedzierając się przez ulice. Wspominał dzień, kiedy w kościele ogłaszano zapowiedzi małżeństwa Mary. Przypomniawszy sobie twarz jej brata i smugę światła na kościelnej posadzce, na którą patrzył, rozmawiając z Mary i jej ojcem, zanim oni odeszli w swoją stronę. Później przybliżył się do niego Renard, wysoki i wyprostowany, w kosztownym stroju. Miał przystojną twarz skorą do uśmiechu.

– Pan jest kuzynem Jessego Chamaca, czyż nie?

– Tak jest, proszę pana – odpowiedział Alban.

Stali tak przez chwilę, a Renard rozwodził się o złotnictwie, opisując różne aspekty rzemiosła, jakby Alban był mu równy stanem, chociaż jego strój i zegarek sugerowały coś zgoła odmiennego. Wydawał się zupełnie rozluźniony, uśmiech ani na chwilę nie zniknął z jego twarzy. Alban pomyślał, że Renard umie być zajmujący; nietrudno było wyobrazić sobie, jak czaruje swoich klientów.

Z oddali dobiegł okrzyk Elego. Mallory wzięła go na ręce; mały siłował się z nią, ale z uśmiechem. Twarz Renarda momentalnie zmieniła wyraz. Alban nie potrafił sobie przypomnieć koloru jego oczu, lecz wyraźnie zapamiętał zimną złość malującą się w tym spojrzeniu, jakby dziecko, na które patrzył, było zawadą, brzydką plamą na obrazie niedzielnej sielanki.

– To dziecko... – ciągnął Renard tym samym lirycznym tonem, z cieniem francuskiego akcentu. – Za każdym razem, kiedy na nie patrzę, aż świerzbi mnie ręka.

Alban wyszedł z kościoła. Całymi dniami prześladowało go później wspomnienie uśmiechu, który rozświetlił twarz Mary, gdy jej ojciec przedstawił mu ją jako narzeczoną Renarda.

Teraz maszerował przez londyńskie ulice. Wyszedł bez płaszcza – zimowe powietrze przenikało go chłodem. Jesse rozgniewał go swoimi słowami, wzbudzając w nim uczucia z przeszłości, z którymi nie miał ochoty się mierzyć. Planował na chwilę uciec z warsztatu, lecz bezwiednie kierował się na zachód. Wmawiał sobie, że wszystkie te emocje to zaledwie reakcja na wspomnienia, echo uczuć, które już przeminęły. Gdyby znów spojrzął jej w oczy i na zimno przeanalizował własne myśli, być może zdołałby uspokoić swoje serce.

Szedł tą samą trasą, którą obrali z Jessem cztery dni wcześniej, zatrzymując się w każdym szynku i każdej piwiarni, wlewając w siebie trunek za trunkiem. Starał się zapomnieć o

przeszłości, lecz wszystkie myśli prowadziły do pytania, które od dawna go prześladowało: dlaczego wyszła za Pierre'a Renarda?

Alkohol znieczulił mu zmysły. Nim doszedł na Bond Street, minęło dwie i pół godziny. Powtarzał sobie, że nie jest jeszcze pijany, lecz czuł drętwiejące wahanie: subtelny, dający się zignorować zwiastun, że później będzie się tego wstydził. Na razie jednak przyjemnie szumiało mu w głowie, posuwał się więc z determinacją.

Bond Street wydawała się bardziej jaskrawa niż wcześniej – kolory bardziej nasyczone, kontury ostrzejsze. Odcień nieba przechodził z lapisu w lodowy błękit; nie szpeciła go ani jedna chmurka. Na tym tle wyraźną linią odznaczała się szarość kamienia, bury brąz cegieł uformowanych z londyńskiego błota i osmolonych dymem. Czy nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi? W końcu szczyił się umiejętnością dostrzegania piękna, skupienia się na detalu tam, gdzie inni widzieli tylko nudną prozę życia. Zatrzymywał się, by popatrzeć na każdy kawałek rzeźbienia: kiść winogron czy choćby wolutę. Przyglądał się im, jak dziecko przygląda się biedronce spacerującej po kwiatku – z entuzjazmem i fascynacją. Sklepowe witryny i tłumy przechodniów interesowały go znacznie mniej niż architektura; ludzi i gwar ulicy nauczył się ignorować. Szedł przez Bond Street bardzo powoli.

Panowie i damy przychodzili tu na zakupy: po srebro, klejnoty, łakocie, futra. Ich powozy i lektyki zapełniały ulicę, kroki dudniły po chodniku. Idący chwiejnie Alban parę razy zaczepił o kogoś ramieniem i został ostro upomniany, parł jednak do przodu. Spodziewał się, że lada moment jakiś nadgorliwy sługa zepchnie go z trotuaru wprost pod koła powozu, ale był przekonany, że w takiej sytuacji jakoś sobie poradzi. Wypity alkohol dodał mu odwagi, nappełnił go wiarą, że potrafi pokonać setki przeciwników, prawdziwych i urojonych, którzy stanęliby mu na życiowej drodze. Nagle wszystko stało się możliwe, nawet myśl o miłości. Z tym wnioskiem przyszło pragnienie, by spojrzeć na twarz Mary i przekonać się, czy został w niej jeszcze ślad dziewczyny, którą kiedyś poznał.

Znalazł sobie miejsce naprzeciwko sklepu Renarda. A raczej – stworzył sobie miejsce, zatrzymując się nagle i nie pozwalając, aby uniosła go ludzka fala. Tłum sunął wokół niego jak woda. Alban patrzył i patrzył na sklepowy front, doszukując się znaczenia („jak głupiec” – pomyślał) w martwej naturze, pozbawionej zmysłów i uczuć; jak gdyby szkło, cegła i zaprawa mogły mu coś powiedzieć. Wzburzenie i podniecenie, rozniecone przez słowa Jessego i przez gorzałkę, powoli gasły. Miał wrażenie, że poradzi sobie ze wszystkim, co rzuci ku niemu los – ale wiedział też, że nie znajdzie odpowiednich słów, żeby zwrócić się do Mary, poprosić o jej rękę tak, by się nie skompromitować.

Nie był taki jak Renard. Nigdy nie wiedział, co powiedzieć. Nie miał potrzeby nic nikomu wyjaśniać ani się tłumaczyć. Żył pogodzony z losem, z dala od rzeczy, które mogłyby przynieść mu radość lub cierpienie. Nie miał żadnych zasług, był czystą kartą. Nie miał za co przepraszać, a jednak czuł się niegodny. Próbował przekonać sam siebie, że powinien dać sobie spokój. Wydawało się dziwne, że cały ten ból i poczucie straty mogą brać się z tak krótkiej znajomości. Słowo „miłość” nie zagościło w jego myślach w powiązaniu z tą miłą nieznajomą, nie chciał jednak zastanawiać się, dlaczego jest mu droższa niż własne zdrowie, skoro tyle lat się nie widzieli. Jeśli rzeczywiście to była miłość – a po takiej ilości alkoholu był skłonny to rozważyć – to dawno po-
grzebana i oparta na niewiadomej.

Przez jakiś czas stał, obserwując; mijały minuty, przeszła godzina – a on nie ruszył się z miejsca. Kiedy drzwi sklepu otworzyły się i stanęła w nich Mary, był zdziwiony, chociaż na to właśnie czekał i na to miał nadzieję. Ubrana w czerń od stóp do głów, włosy upięła wysoko. Jej ciemne oczy rozjaśniał blask słońca. W jej postawie było jakby rozgorączkowanie, które przypominało Albanowi, w jaki sposób wyraził się o niej Grisa. Rozchwiana. Była sama, oderwana od

wszelkich konwenansów. Poprawiając płaszcz, rzuciła jedno spojrzenie na ulicę i go dojrzała.

Stali po przeciwnych stronach Bond Street; oddzielał ich od siebie kolorowy hałaśliwy strumień powozów, koni i ludzi. Była biegunem, ku któremu ciągnęło jego spojrzenie, i ani na chwilę nie uciekła wzrokiem. Jej usta poruszyły się, ale nie dosłyszał, co powiedziała. Dwa lub trzy słowa. „Proszę pana”? „Czy to ty”?

Sam nie wiedział, jak długo tak stali. To ona w końcu przeszła na drugą stronę; później, myśląc o tym, niezmiennie czuł wstyd. Stała naprzeciwko niego, bardzo blisko, gdyż wokół nich wciąż tłoczyli się ludzie.

– Pan Steele? – odezwała się. Kiedy przytaknął, opuściła wzrok, wzięła głęboki oddech. – Pewnie mnie pan nie pamięta. Nazywam się Mary Renard.

– Wiem, kim pani jest – odpowiedział. W myślach błagał wszystkie czuwające nad nim duchy, czy byłby to Bóg, niebiosa, czy tylko własne sumienie, by udało mu się pohamować drżenie głosu i powstrzymać głupie słowa, które same cisnęły mu się na usta. Rzeczywistość objawiła się z brutalną ostrością: był rozczochrany, miał na sobie strój roboczy i śmierdział gorzalką. Ukłonił się zdawkowo.

– Nie chciałem spotykać się z panią w takich okolicznościach – powiedział.

– Nie chciał pan mnie tu spotkać...? – Widział po jej oczach, że zrobiło jej się przykro.

– Ależ chciałem! Tylko nie tak jak teraz, ubrany jak do warsztatu, pachnący alkoholem. Zazwyczaj tak nie wyglądam. Przejdźmy się kawalek. Chciałbym z panią porozmawiać.

Ruszyła we wskazanym kierunku. Szli obok siebie, a mimo to osobno, jakby siebie nie widząc, objani przez przechodniów, na których nie zwracali uwagi. Przy Grafton Street, tam gdzie Old Bond Street zamienia się w New Bond Street, udało im się zejść z głównego traktu. Stanęli niezgrabnie, a ludzki strumień popłynął dalej bez nich. Oboje wpatrzyli się w tłum sunący jednostajnym ruchem, jak rzeka.

– I pomyśleć, że to nie jest szczytowy sezon... – odezwał się Alban, rozglądając się dookoła. Zrozumiał, że w końcu musi na nią popatrzeć.

– Jak się pani miewa? – rzucił. – Moje najszczerze kondolencje.

Mary zapatrzyła się na niego.

– Miewam się dobrze, dziękuję. – Zmusiła się do uśmiechu, lecz z jej oczu nie dało się nic wyczytać. – A co u pana? Co pan porabiał przez te wszystkie lata?

– Byłem w Chester – odrzekł. – Nie wydaje się, by minęło tak znowu dużo czasu. Kiedy wszystkie dni są do siebie podobne, nie zauważa się upływu lat.

Przypomniał sobie wieczory w małym, ciemnym pokoiku na stacji; rysowanie przy świetle świec; przelewanie na papier projektów srebrnych naczyń. I dni, podczas których nigdy tych projektów nie realizował, tylko zajmował się najprostszą, prozaiczną pracą. Przypomniał sobie jedną tylko kobietę, jej jasne plecy i ciemne włosy splecione w warkocz tak długi, że jego koniec leżał na posłaniu. Jej widok nie cieszył go tak bardzo jak rysunki, które poniewierały się po stole i po podłodze; projekty, które miał któregoś dnia poklasyfikować, a później wykonać, jeden po drugim. Przyrzekł to sobie; to i wiele innych rzeczy. Pewnego wieczoru przyrzekł sobie nawet, że pojedzie do Londynu i odszuka Mary. To było po tym, jak na jednym z projektów zauważył symbol złożony z jej inicjałów splecionych z jego monogramem, który narysował bezwiednie i bez zastanowienia. To wspomnienie ukłuło go, zakłóciło rytm oddechu. Był wtedy młodszy; przyszło mu do głowy, że być może uratowałby ją wówczas od smutku, w którym była teraz pogrążona.

– Będę w Londynie przez jakiś czas – powiedział. – Czy mogę panią odwiedzić?

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz w tym momencie rozległ się krzyk:

– Złodziej!

Na ulicy zrobiło się zamieszanie. Ludzie rozglądali się dookoła, mężczyźni chwyтали za zegarki, kobiety za biżuterię. Mary cofnęła się o krok w kierunku Bond Street. Alban uznał później, że to wypity alkohol tak go ośmielił, lecz nie był pewien, czy instynkt i tak nie wzięłby góry nad wymogami uprzejmości. Chwycił ją za nadgarstki, delikatnie, acz stanowczo, i wyciągnął z tłumu, ku sobie. Nadal trzymał jej dłonie, kiedy spojrzała ponad jego ramieniem.

– Idzie tu doktor Taylor – powiedziała. – Znów przyszedł mnie ratować. Cały czas wychodzę sama, co podobno nie uchodzi.

Alban odwrócił się i zobaczył zwalistą postać spowitą w czerń. Zmrużył oczy, by widzieć wyraźniej, i dostrzegł, że doktor ma zaciętą minę.

Steele uklonił się Mary.

– Moje uszanowanie – powiedział. Po chwili pożegnał się również z Taylorem. Ledwo zarejestrował, że Mary przedstawia go jako pana Steele'a, znakomitego złotnika z Chester. Jasne było, że doktor nie życzy sobie jego obecności; poszedł więc, zerknąwszy jeszcze na twarz Mary i jej nagle posmutniałe oczy.

Na skrzyżowaniu Grafton Street i Old Bond Street uchylił do niego kapelusza człowiek w bordowym płaszczu.

– Widzę, że jest pan znajomym pani Renard – powiedział.

– A ja nie widzę, czemu miałoby to pana interesować – odburknął Alban. Zazwyczaj nie bywał tak nieuprzejmy. Teraz jednak ledwo widział, dokąd idzie.

Mężczyzna uśmiechnął się i rozejrzał, jakby starał się zapamiętać każdy szczegół tej sceny.

– Nietutejszy – zamruczał. – A to ciekawe.

Zniknął w tłumie, nim Alban zdążył cokolwiek powiedzieć. Gniewnie marszcząc brew, obejrzał się za siebie: Mary mówiła coś do Taylora, który nadal patrzył w jego kierunku.

Ruszył dalej, obracając w myślach moment, kiedy ujął ją za rękę i odciągnął z trotuaru. Ta właśnie chwila powiedziała mu, że jego działaniem kierowała nie tylko logika. Cokolwiek czuł do Mary Renard, było to wciąż żywe.

Rozdział XI

5 czerwca 1792

Czas wolny od pracy spędzałem ostatnio samotnie, unikając wszystkiego, co mogłoby odwrócić moją uwagę, chciałem bowiem w spokoju snuć rozważania o przeszłości. Dzisiejszego wieczoru jednak napisałem do doktora Taylora, że tęsknię za jego towarzystwem, a on, jak zwykle, nie zawiódł mnie i przyszedł.

Taylor to zacny człowiek i cenię sobie jego liczne koneksje. Poznałem go, kiedy przeniosłem się tu na Bond Street, ponieważ mieszka niedaleko. Zdążył zdobyć sobie reputację dobrego specjalisty od kobiecych przypadłości, lecz dysponuje szeroką wiedzą i wszechstronnym wykształceniem i obecnie pełni także funkcję koronera. Od pierwszego spotkania zapalał do mnie sympatią, a przyjaźń z nim jest mi niezwykle użyteczna. Taylor nie ma dzieci, a że jest ode mnie jakiegoś piętnaście lat starszy, mam wrażenie, że ceni mnie niemal jak syna. W sposobie, w jaki się do mnie odnosi, jest odrobina czułości, która to sugeruje.

W rozmowach z nim przywykłem choćby udawać, że mówię otwarcie, a czasem zdarza mi się powiedzieć coś bardziej szczerze, niż zamierzałem. Zwierzyłem mu się z pragnienia posiadania rodziny, a on, wielki, postawny mężczyzna, wysłuchał tego ze łzami w oczach. Nie wspomniał o własnym małżeństwie, które trwa już od dwudziestu lat, lecz pozostaje bezdzietne. Jednak kiedyśmy o tym rozmawiali, na jego twarzy malowało się tyle uczucia, że pewien jestem, iż rozumie moje cierpienie.

„Nikt nie zasługuje na to bardziej od ciebie”, powiedział mi. „Jeśli taka jest wola boża, urodzi ci się syn, ale musisz być cierpliwy”. Jego słowa, choć wynikały z dobrej woli, nie przyniosły mi pociechy. Moje rany jątrzą się głęboko.

Digby opuścił gmach straży bardzo późno. Tej nocy sporo się działo. Rozpędził trzy bójki; złapali też i odtransportowali grupę włamywaczy. Nie czuł zmęczenia – rozprawiali z Watkinem o ostatnich wydarzeniach z werwą i humorem. Postanowił zatem wstąpić do Czerwonego Lwa na kufelek.

Piwo było smaczne, lecz zaszumiło mu od niego w głowie. Pomyślał, że może dla odmiany nalano mu z nowej beczki, jeszcze niechrzczonej. Tak czy owak, trunek zdawał się mocniejszy i otumaniał Digby'ego, wysysając z niego całą energię. Wytoczył się z szynku przytłoczony zmęczeniem. Potrąciwszy kilku przechodniów na ulicy, zdołał tylko unieść rękę w ramach przeprosin. „Padam z nóg z przemęczenia” – wymamrotał, kiedy z dużą siłą zderzył się z czyimś ramieniem i usłyszał ciąg przekleństw. Na Piccadilly przyspieszył; niebawem miał się znaleźć we własnym łóżku i wiedział, że zaśnie snem tak kamiennym, że nawet szczury nie będą mu przeszkadzać.

Na granicy pola widzenia zmaterializowała się bordowa plama. Czyjś płaszcz. Minęło jakieś pół minuty, nim Digby zdał sobie sprawę, że obok niego kroczy Maynard, wymachując laską i uśmiechając się ze zwykłym sobie humorem.

– Moje uszanowanie – odezwał się Digby, a przez głowę przemknęła mu myśl, jak długo może się ociążać ze zdjęciem kapelusza, zanim zostanie to uznane za niegrzeczne. Każdy ruch wymagał wysiłku, a już szczególnie ruch wykonywany wbrew woli.

– Piękny mamy poranek, Digby – zagadnął Maynard przyjaźnie. Był lekko zasapany, na twarz wystąpiły rumieńce. Digby'emu wydał się zaaferowany i zaciekawiony, a ta świadomość zaniepokoiła go i wzmogła jego zmęczenie. Chociaż jednak jego sympatia dla Maynarda malała, nadwątlona przez podejrzenia, jeszcze nie żywił do niego niechęci. Czym odróżniał się od

większości osób, które zazwyczaj spotykał na swojej drodze.

– Istotnie. – Digby silił się na uprzejmość.

– Szczęśliwy zbieg okoliczności, że na pana trafiłem.

Na chodnik przed nimi spłynęła majestatycznie korpulentna dama, która wysiadła z powozu. Na imponujących rozmiarów koafiurze kołysał się niepewnie wielki kapelusz, który przytrzymywała odzianą w rękawiczkę. Maynard i Digby jak jeden mąż ustąpili jej z drogi. Pierwszy uchylił kapelusza.

– Z całym szacunkiem – odezwał się Digby tonem, który sugerował coś zupełnie przeciwnego – mógłbym przysiąc, że mieszka pan na Half Moon Street, ale gdziekolwiek się ruszę, tam pana spotykam.

– Nie mam w zwyczaju zastanawiać się, gdzie pan będzie, kiedy wybieram się na poranny spacer – stwierdził Maynard nieco głośniejszym, lecz nadal wesołym głosem. – A czy pan nie powinien już od kilku godzin być w łóżku?

Digby otworzył usta i zamknął je po chwili. Jego łóżko nie było miejscem zachęcającym do dłuższego pobytu, nie chciał jednak ryzykować, mówiąc Maynardowi prawdę, a nie był pewien, czy da radę naprędce wymyślić ripostę, która nie byłaby choć odrobinę impertynencka. Odniosł wrażenie, że dalszych impertynencji z jego strony Maynard nie przełknie tak gładko.

– Poza tym – ciągnął Maynard – zapewne wiedział pan, że prędzej czy później go odszukam. Ostatnio przecież nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Jego palce zacisnęły się na ramieniu Digby'ego, zatrzymując go. Stróż wpatrzył się w dłoń Maynarda. Gdyby nie gwałtowność samego gestu, uścisk byłby mocny, lecz nie niepokojący; można by było odnieść wrażenie, że Maynard podtrzymuje go po przyjacielsku.

– Przybytek mamuśki Blacklock jest, zdaje się, niedaleko – odezwał się Maynard. – Moglibyśmy wstąpić na kawę. Sądząc z pana wyglądu, dobrze panu to zrobi. A tego typu rozmowy lepiej nie prowadzić na ulicy. Dzień dobry panu! – Uchylił kapelusza w kierunku innego znajomego. – Wszyscy od rana na nogach, co? – wymruczał, gdy mężczyzna już sobie poszedł.

Digby przez chwilę rozważał, czy nie dałoby się zabrać Maynarda do Czerwonego Lwa, lecz uznał, że to za daleko.

– Nie wiedziałem, że dżentelmen pana pokroju w ogóle słyszał o lokalu mamuśki Blacklock – stwierdził.

W odpowiedzi Maynard zaśmiał się serdecznie i pewnym krokiem poprowadził Digby'ego w boczną uliczkę. Lokal pani Blacklock mieścił się w niewielkim podwórzu; nominalnie była to kawiarnia, ale w środku świadczone rozmaite usługi. Digby przyjrzał się Maynardowi. Ten wydawał się nieporuszony; ze spokojem wręczył drobną monetę dziewczynie, która przyszła ich obsłużyć. Pomieszczenie, które niegdyś było salonem, wypełniały teraz ławy oraz dwa długie stoły. Ściany wyłożono ciemnym drewnem, światła dostarczały namoczone w tłuszczu trzcinowe witki. Wewnątrz panował zaduch, jakby dawno tu nie wietrzono; lampki kopcily, wypełniając powietrze nieprzezroczystym dymem. Maynard zamienił z dziewczyną kilka słów, po czym wskazano im maleńkie pomieszczenie, które kiedyś musiało być częścią wewnętrznej bawialni. Digby usiadł i z wysiłkiem zwalczył w sobie pragnienie, by położyć głowę na stole. Kelnerka z impetem postawiła obok imbryk z kawą i dwie filiżanki.

– Nie wiedziałem, że mają tu osobne pomieszczenia – wymamrotał Digby. Był tak zmęczony, że zaczynał mówić niewyraźnie.

– Tylko to jedno – stwierdził Maynard, rozsiadając się obok. – Oprócz tych na górze, oczywiście. Lata całe mnie tu nie było. Wizyty w miejscach takich jak to stanowią okrasę życiowych doświadczeń dżentelmena. Kimże bym był, gdybym rozmawiał tylko ze zniewieściałymi Taylorami tego świata? Pan i ja wiemy, jakie jest życie, Digby. Słyszałem, że zamiast kołatki

nocnego stróża nosisz pan ze sobą sztylet.

Upił łyk kawy, skrzywił się.

Digby ziewnął szeroko.

– Mam całkiem donośny głos, proszę pana – powiedział. – Niepotrzebna mi kołatka, a sztylet bardziej się przydaje.

Maynard się uśmiechnął.

– Masz pan bystry wzrok, Digby, trzeba panu przyznać, i to po stokroć. Zawsze to wiedziałem, zawsze to w panu dostrzegałem. Niezwykle wyczulony zmysł obserwacji. Zaskakująco wręcz.

Jego słowa nie zrobiły na Digbym wrażenia. Czyżby Maynard wyobrażał sobie, że mu schlebia?

– To, że nie jestem szlachcicem, nie oznacza, że jestem tępy, proszę pana. Nie wszyscy jesteśmy ograniczeni.

– Zgadza się zatem – stwierdził Maynard. – Jak już wcześniej mówiłem, potrzebna mi pańska pomoc. Jestem pewien, równie mocno jak tego, że ta kawa nie składa się głównie z kawy, że wokół śmierci Pierre’a Renarda rozniesie się wiele plotek. Zdaniem niektórych życzył on sobie, by i w Anglii zapanowały rządy terroru.

– To jeszcze nie powód do morderstwa – skonstatował racjonalnie Digby.

– Chyba że jest się zapaleńcem. Ja jednak też skłaniam się ku opinii, że kłopoty, w jakie wpakował się Renard, były bardziej lokalnej natury. Ostatnimi czasy zrobił się bardziej arogancki i bezmyślnym działaniem zyskał sobie wrogów, nawet pośród własnych klientów. – W konwersacyjnym ton Maynarda wdarła się mroczniejsza nuta. – Co udało się panu usłyszeć?

Stróż przetrząsała wspomnienia z ostatnich dni w poszukiwaniu nowych informacji.

– Bright Hemmings – odezwał się zachrypniętym głosem – ogłasza wszem wobec, że Mary Renard robi do niego słodkie oczy i że odpowie na jego zaloty. Exhamowi, temu grawerowi od Renarda, para poszła uszami, jak to usłyszał. Przegonił Hemmingsa prawie przez całą długość ulicy.

– A pan co o tym myślisz? – zapytał Maynard. – Napij się kawy, Digby.

– Myślę, że Bright Hemmings jest idiotą, który więcej myśli o świniach niż o kobietach. Pomysł, że kazał komuś załatwić Renarda, jest bezsensowny.

Maynard pokiwał głową.

– Znowu się zgadzamy.

Digby pociągnął łyk kawy. Była obrzydliwa i ziarnista; wysiłkiem woli zmusił się, żeby nie wypluć jej na stół. Przełknął głośnie.

– Nie wiem, czemu pan uważa, że jestem panu do czegoś potrzebny – powiedział.

– Bo sprawa nie jest prosta. Renard był typem człowieka, który wplątywał się w tysiąc różnych historii, a rozwikłanie tego węzła wymaga czasu i zastanowienia. Chcę wiedzieć, czy istnieje jakikolwiek trop prowadzący do osoby, która mogłaby chcieć go zabić.

– A dlaczego uważa pan, że ja potrafię go znaleźć? – zapytał Digby. Podniósłszy wzrok znad filiżanki, po raz pierwszy popatrzył w szare oczy Maynarda. Ich spojrzenie było spokojne i nieruchome. – Ach, rozumiem – rzekł. – To dlatego, że nikt nie zwróci na mnie uwagi. Nie jestem szlachetnie urodzony. Jestem nikim.

Maynard odezwał się dopiero po chwili:

– Tego nie powiedziałem, Digby.

Digby już zdążył poczuć się urażony; z każdą chwilą miał coraz większą ochotę złośliwie się odciąć.

– Jednego tu nie rozumiem: czemu to pana tak bardzo obchodzi? Ciekawe, kim był dla

pana Renard? – Rzucił Maynardowi szybkie spojrzenie z ukosa.

– Ależ nikim. Być może uważasz mnie pan za nieczułego, ale nie jestem taki. Martwi mnie los jego żony. Słyszałem, że ma delikatną naturę, a Taylor wydaje się zainteresowany głównie trzymaniem jej w czterech ścianach, więc nie jest prawdopodobne, by sama zrobiła cokolwiek, aby zadbać o swoje bezpieczeństwo albo poznać prawdę o ewentualnych ciemnych sprawkach jej męża, które mogłyby się na niej skrupić. Martwię się o nią. Z Renarda był kawał drania.

– Ale przystojnego drania. – Digby miał ochotę jeszcze się z nim podrażnić. – Kobiety go lubiły.

– Owszem. – Maynard uśmiechnął się ponuro. – Ale to nie przez zazdrość tak o nim mówię, Digby. Renard miał serce z kamienia, a w swoim dążeniu do statusu szlachcica... manipulował ludźmi, ludźmi takimi jak Taylor, którzy powinni mieć dość zdrowego rozsądku, by to dostrzec. Wydawało mu się, że jest przebiegły, że może ustawiać ludzi jak pionki na szachownicy. – Maynard przerwał i pokręcił głową. – Na krótko przed jego śmiercią słyszałem, że obiecał załatwić głosy poparcia dla jednego z klientów w zamian za duże zlecenie. Bóg raczy wiedzieć, jakimi sposobami chciał te głosy uzyskać. Nie mam pojęcia. Może szantażem. Chciałem go zde-maskować, pokazać światu, jaki jest naprawdę.

– A teraz już pan nie może – skonstatował Digby. – Nie mówi się źle o zmarłych.

– No właśnie. Niemniej zagadka pozostaje nierozwiązana. W jakie konszachty i z kim wszedł Renard? Idea naprawienia wyrządzonej krzywdy chyba panu odpowiada? I przyjscia z pomocą niewinnej kobiecie, która być może wciąż jest w niebezpieczeństwie? Widzę, że ma pan silne poczucie sprawiedliwości.

Digby z niejakim trudem podniósł się z ławy.

– Muszę iść się przespać. Życzę panu miłego dnia. Przemyślę to – powiedział.

– Za jakiś czas znów pana poszukam – odrzekł Maynard. – Zazwyczaj bywa pan pod Czerwonym Lwem, prawda?

– Prawda. – Digby był ciekaw, skąd on to wie, ale nie miał ochoty dopytywać.

Poszedł prosto do domu. Lecz kiedy położył się do łóżka, senność gdzieś się ulotniła. Dręczyły go słowa Maynarda. W końcu udało mu się zasnąć. Gdy się zbudził, poczuł falę paniki; rzucił się do swojego płaszcza i nerwowo obmacał kieszeń w poszukiwaniu zegarka. Uznał, że musi kupić do niego jakiś tani łańcuszek, żeby jakoś go przymocować, choć wiedział, że nie może nosić zegarka otwarcie. Przegarnął włosy palcami. W jego głowie, tuż za oczami, powoli narastał ból. Postanowił zaczerpnąć świeżego powietrza.

Przed Białym Niedźwiedziem przy Piccadilly dylizans opuszczali pasażerowie. Zmęczony umysł Digby'ego w każdej mijanej twarzy dostrzegał nadzieję i oczekiwanie. Wszyscy pasażerowie wydawali się jaśnieć wewnętrznym blaskiem; młode osoby, przyjeżdżające tu ze wsi. Czy wszyscy byli tacy młodzi? Digby owinął się płaszczem i się rozkaszał. Ludzie natychmiast ustąpili mu z drogi.

– Znowu ty – powitał go właściciel Czerwonego Lwa.

– Też się cieszę, że cię widzę – powiedział Digby. – Może dla odmiany rzucisz mi dobre słowo? Od jakiegoś tygodnia nie słyszałem prawie żadnego.

– No, może tym razem się przydasz – skwitował oberżysta. – Znasz go, prawda?

Obejrzawszy się przez ramię, Digby dostrzegł Jessego Chamaca, który siedział sam i wlewał w siebie zawartość dużego kufla, a kiedy na chwilę go odstawił, zaczynał bębnić palcami po blacie. Kiwnął głową.

– Siedzi tu od paru godzin i wpędza stałych klientów w podły nastrój – powiedział oberżysta. – Pogadaj z nim, dla jego własnego dobra. Stary Paynter nie lubi dziwaków, a ja nie

chcę, coby o takiej porze polala się krew.

Digby zabrał swój kufel i przysiadł się do Jessego.

– Byłeś na Bond Street? – zagadnął.

Jesse podniósł na niego wzrok i pokręcił głową. Jego oczy jarzyły się jakby gorączkowym podnieceniem. Z każdym oddechem rozsiewał wokół siebie zapach całodniowej popijawy. Postukał palcami po stole.

– Dajże już spokój – powiedział Digby. – Co cię dręczy?

– Baba – odrzekł Jesse.

Digby pociągnął z kufła. Nie powiedział nic.

– To nie tak! – oburzył się Jesse. – Widzę, jak na mnie patrzysz. Ona jest dla mnie jak siostra!

– Nie wątpię.

– Nie chce sse mną gadać – wybełkotał Jesse i przechylił głowę, wbijając wzrok w układ słoików na drewnie stołu, jakby nagle wydały mu się niezwykle fascynujące. – Przychodzę do niej raz po raz. Co rusz próbuję. Zaniedbuję pracę, rodzinę. Poszedłem do niej dziś i mówię: nie mogę w nieskończoność wynajdywać pretekstów, żeby cię odwiedzać, droga pani, ale skoro mam cię bronić, to muszę wiedzieć dlaczego.

– I powiedziała ci? – zapytał Digby, kręcąc kuflem i przewracając oczami w kierunku oberżysty.

– Czywiścisze nie. Nagadała mi i powiedziała, że życzy sobie, cobym sobie poszedł. A ja do niej: przecież cię widziałem. Byłem u znajomych i widziałem cię na ulicy, tamtej nocy, co to wiesz, minęłaś mnie i nie zauważyłaś, ale ja cię widziałem, wszędzie bym cię poznał, a ona pyta: jakiej nocy, a ja: tej nocy, co twój szwagier przeniósł się na tamten świat. – Teatralnym gestem pokiwał głową i niezdarnie przejechał sobie ręką po gardle. – Mogłaby za to zawisnąć. Nic nie mówię, siedzę cicho, proszę tylko o słowo wyjaśnienia, aby uspokoić sumienie, a ona wymyśla mi od najgorszych.

– O kim ty mówisz? – zapytał Digby. W ciszy, która nagle zapanowała, głośno przełknął i odstawił kufel. Przeklął w myślach Maynarda, po czym znów zapytał: – Czy chodzi o Pierre’a Renarda? – Zniżył głos. – Jesse, przecież mnie znasz. Chodzi o niego?

Jesse zmienił się na twarzy. Zamknął usta, pokręcił głową.

Z odległego końca sali rozległ się gromki śmiech. W półmroku Jesse popatrzył w tamtą stronę i przygryzł wargę. Przysunął się do Digby’ego.

– Obserwują mnie, ci tam – powiedział. Digby odchylił się, by nie czuć jego cuchnącego oddechu, i popatrzył tam, gdzie Jesse: na grupę naburmuszonych stałych bywalców. – Chcą mnie okraść. Wiedzą, że jestem złotnikiem. Chcą za mną iść, widzę to po ich oczach. Stokrotnie im za to odpłacę, gorzko tego pożałują. Muszę myśleć o rodzinie.

Jesse wojowniczo uderzył pięścią w otwartą dłoń. Zaledwie chwilę później jego oczy wypełniły się łzami.

– Moja słodka Agnes... – zaszlochał.

Digby westchnął ciężko. Chyba postradał rozum, że słucha chorych majaków pijanego. To przez stróżowanie, przez obowiązki zawodowe, przez Maynarda. Musiał się uspokoić. Popatrzył na Jessego.

– Wracaj do domu, człowieku – poradził – zanim pozbawisz cały Londyn chmielu. Pozbieraj rozum do kupy. Trzymaj język za zębami. Nie chcę cię dłużej słuchać, wszyscy inni też nie. Idź do domu, do żony, i przestań się zamartwiać o jakieś uciążliwe baby.

Brzęknął kuflem o blat i z ulgą zauważył, że Jesse wstaje i wytacza się na ulicę, mamrocząc pod nosem.

Digby już otworzył usta, żeby zamówić kolejne piwo, ale po raz pierwszy od dawna uznał, że nie ma na nie ochoty.

– Mary – odezwał się głos. Głos kobiety. – Mary.

Mary usiadła na łóżku. Pochyliła się nad nią kuzynka, ubrana w płaszcz i czepeczek. Na podłodze obok niej stał nieduży kufer.

– O mój Boże! – wykrzyknęła Mary. – Nie zamknęłam domu! Gdzie moje klucze?

– Tutaj. I dobrze, że nie zamknęłaś – odezwała się Avery. – Dzięki temu twoja Ellen mogła mnie tu wpuścić.

– Siedziałam przy ogniu w salonie – powiedziała Mary. – Kto mnie zaniósł do łóżka?

Na stoliku obok paliła się pojedyncza świeca.

– Tego ci nie powiem – stwierdziła Avery. – Dopiero weszłam. Przepraszam, jeśli cię wystraszyłam. Twoja służąca ledwie zdążyła mnie wpuścić, kiedy usłyszałyśmy twój krzyk.

– Nie wiedziałam, że przyjedziesz dzisiaj.

– Gdy dostałam list Mallory, nie mogłam usiedzieć ani minuty. – Avery uśmiechnęła się szelmowsko. – Cóż za idealny pretekst, żeby uciec od zięjącego nudą sklepu brata. Nie miałam czasu wysłać wiadomości. Zresztą nietrudno tu było trafić spod Białego Niedźwiedzia. Na Piccadilly o tej porze jest taki tłum!

Znów się uśmiechnęła i wyciągnęła rękę. Mary, wciąż zdezorientowana, wstała i ją uścisnęła.

– Każę zrobić ci coś do jedzenia.

– Twoja służąca już się tym zajęła – powiedziała Avery, rozwiązując wstążki czepka. – A spać będę dzisiaj z tobą, zważywszy na stan, w jakim cię znalazłam. Co ci się śniło?

– Pierre – odrzekła Mary.

We śnie krew Pierre'a była gęsta jak roztopiony wosk, a biała skóra na jego szyi tak delikatna, że rozeszła się pod nożem niczym jedwab. Otwarta rana pulsowała, a każde uderzenie jego silnego serca wypompowywało w pustkę coraz więcej krwi. Wokół głowy Pierre'a z każdą chwilą rosła czerwona aureola, twarz zastygła w wyrazie przerażenia i zdziwienia. Patrzył na nią, a z minuty na minutę jego oczy robiły się coraz bardziej mętne, aż zaczęły przypominać oczy ryby, którą tego dnia oprawiała w kuchni Ellen. A ona, Mary, przyglądała mu się, nie robiąc nic, nic nie czując.

– Wołałam jego imię? – zapytała.

– Nie – odrzekła Avery. – Krzyczałaś: „Przebacz mi”.

Rozdział XII

12 czerwca 1792

Niebawem będzie lato; klienci wyniosą się z miasta w poszukiwaniu czystszej powietrza i uroków życia na wsi. Ja nie mam jeszcze letniej posiadłości, do której mógłbym uciec. Zostanę tu, w cuchnącym mieście, gdzie będę miał aż za dużo czasu na rozmyślania, kiedy będziemy uzupełniać zapasy towaru.

Ciesz się przede wszystkim tym, że Grisa robi się coraz lepszy w obsłudze klientów. Sam nie umiałbym skuteczniej schlebiać wszystkim tym panom i damom. Jest oddanym i lojalnym pracownikiem, który nigdy mnie nie okradł. Niedługo po tym, jak zaczął dla mnie pracować, zaprosiłem go, by się ze mną napił; taka ilość dobrego wina szybko poszła mu do głowy. Wyjawiał mi, że przyszedł na świat w Southwark, w skrajnej biedzie, i że nie zawsze prowadził zupełnie praworządny żywot – i teatralnie błyskał ku mnie oczami. Ubawiło mnie to, ponieważ wcześniej przekonywał mnie, że pochodzi z zamożnej rodziny o francuskich korzeniach. Teraz wiążę go ze mną fakt, że znam jego przeszłość; nigdy później o niej nie wspominałem. Opowiedział mi, że od dna odbił się, gdy pracował jako nauczyciel tańca w niedużej szkole w Stockwell. W to jestem w stanie uwierzyć.

Żałobny ton pojedynczego dzwonu wdarł się w gwar londyńskiej ulicy. Było późne popołudnie, a światło już zaczynało tracić swój blask, cienie stawały się głębsze i bardziej zamglone. Tu i ówdzie w witrynach sklepowych zapłonęły świece, niczym latarnie morskie sterujące w swym kierunku przechodniów. Jednakże okno sklepu Pierre'a Renarda przy Bond Street pozostało ciemne.

– Posłuchaj – odezwała się Mary do Mallory, obracając gałązkę rozmarynu w dłoniach odzianych w rękawiczki. – Słyszę dzwon. To chyba nie dzwon u Świętego Jakuba? Czy to nie za daleko?

Mallory nie odpowiedziała, skrzywiła się tylko z niesmakiem. Siedząca obok niej Avery wyglądała znacznie przyjaźniej: ubrana w czerń, schludnie, lecz skromnie, z cieniem łagodnej troski na twarzy. Delikatnie podała pochlipującemu Grisie kolejną chusteczkę. Subiekt rozpostarł ją zamaszystym gestem, na chwilę przerywając swój lament.

– Jakże łatwo go rozczulić – wymruczała Mallory.

Siedzieli w salonie przed otwartą trumną Pierre'a. Mary starała się na niego nie patrzeć. Jego ranę zakryto obszernym, idealnie zawiązanym fułarem, bielszym niż twarz Pierre'a. Ciemne drewno trumny podkreślało kontury sylwetki; policzki wydawały się dziwnie zapadnięte, a w linii ust wreszcie widać było okrucieństwo. Wargi Pierre'a wyginał jakby szydce uśmiešek. Mary zastanawiała się, czy czasem nie jest jedyną osobą, która to dostrzega.

Doktor Taylor zwrócił się do Ellen, żeby przyniosła dla wszystkich po kieliszku czerwonego wina. Co do joty wypełniał instrukcje Pierre'a dotyczące pogrzebu, chociaż przygotowania trwały o dzień lub dwa dłużej, niż komukolwiek było to na rękę. Mary była Taylorowi wdzięczna: to on zamówił czarne rękawiczki, rozmaryn i pierścienie żałobne. Wiedziała, że tego typu zadania należały do jej obowiązków, lecz potrafiła tylko biernie obserwować i przyjmować to, co jej przedkładano. Teraz przysłuchiwała się rozmowie Taylora z Ellen; doktor instruował dziewczynę spokojnym, stanowczym tonem. Mary zwróciła uwagę na niepodważalny szacunek, z jakim jej służąca słucha Taylora.

Mallory pochyliła się ku niej.

– Ile kosztowało epitaforium? – zapytała oschłym tonem.

– Wszystko było wyszczególnione w testamencie – odrzekła Mary. – Pierre wszystko

sprecyzował. Nie jest to wystawny pogrzeb, nie będzie procesji z siedziby cechu. Wyraźnie życzył sobie jedynie, żeby pochowano go u Świętego Jakuba, z inskrypcją na kamieniu nagrobnym.

– Gdyby mógł, kazałby się pochować u Świętego Jerzego przy Hanover Square – szepnęła Mallory. – Całe szczęście nie urządzają tam pogrzebów. Nawet z własnej śmierci musiał zrobić widowisko.

Rzuciła na trumnę jadowite spojrzenie.

– Przestańże się patrzeć takim wzrokiem – mruknęła w jej kierunku Avery.

– Nie myślał, że umrze tak prędko – powiedziała Mary miękko. – Wszystko było częścią jego wielkiego planu – chciał zostać szlachcicem.

Mary była pewna, że gdyby Pierre pożył dłużej, kazałby zorganizować znacznie bardziej okazałą procesję pogrzebową, na przykład z gmachu cechu złotników, a także wystawić pomnik jego własnego projektu, zapewne marmurowy, stylowy i zgodny z najnowszą modą, z urnami i liłiami. Ponieważ jednak zmarł tak wcześnie, zdążył spisać jedynie bardzo pobieżne wytyczne i wykupić miejsce w niepoślednim kościele. Oczywiście, będzie miał epitafium, skoro za nie zapłacił, lecz będzie ono bardzo skromne. „Niemał chciałoby się nad nim zapłakać” – pomyślała, lecz jej oczy pozostawały suche. To przypomniało jej o dniach, kiedy wydawało jej się, że wypłakała już wszystkie łzy z żalu po Elim, a potem po rodzicach.

Nie powiedziała Mallory, że Pierre nie wykupił podwójnego grobu, aby jego żona mogła spocząć u jego boku; kiedy zapytała o to doktora Taylora, wbił wzrok w podłogę i pokręcił głową, unikając jej spojrzenia.

Taylor nie pytał jej o nic, co miało związek z pogrzebem, za co nie mogła go winić – przyjęła rolę bezbronnej ofiary. Wiedziała, że jej wygląd zewnętrzny tylko pogarsza sprawę: sine cienie pod oczami, obojczyki wyraźnie rysujące się pod skórą na dekolcie. Taylor wyrozumiale zaproponował, że zrobi jej napar na uspokojenie, lecz ona nie chciała środków odurzających, powiedziała więc, że go nie potrzebuje. Bała się, że popuszczenie wodzy samokontroli, ściągniętych od tak dawna, doprowadzi ją do nie wiadomo czego. Obawiała się tego, co drzemało pod maską jej spokoju; wolała dryfować w przestrzeni pomiędzy rzeczywistością a majakiem, pozostać milczącym obserwatorem.

Drzwi otworzyły się, a doktor Taylor ruszył, by powitać pana Exhama, grawera z zakładu Pierre’a. Ten wydawał się zaniepokojony. Pozdrowiwszy panie, wrócił do Taylora i zaczął mu coś tłumaczyć, cicho, ale z wyraźnym naciskiem. Mallory wpatrzyła się w nich, lecz już po chwili nachyliła się do siostry.

– Nie słyszę, co mówią – powiedziała. – Grisa za głośno się mazgai.

Wszyscy z zadowoleniem zarejestrowali powrót Ellen, która niosła czerwone wino na srebrnej tacy. Służąca zepsuła cały efekt, gdy z nielicującym z okazją pośpiechem zestawiała kieliszki, cały czas odwracając wzrok od trumny, i niemal wybiegła z pokoju. Puszczone przez nią drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem.

Stojąc pod iglicą kościoła Świętego Jakuba, Mary mimowolnie przypominała sobie chwilę, kiedy przybyła tu jako panna młoda. Tamten dzień także wydawał jej się nieco nierealny. Teraz jednak, w cichy zimowy wieczór, czuła się bardziej opanowana. W dniu ślubu cały drzemający w niej strach przemieniał się w rosnącą irytację. Dziś nie było z nią ojca; ta i inne straty przebiły się przez mur jej odrętwienia i wypełniły ciało tęnym bólem.

Nabożeństwo było krótkie; słowa kapłana zlewały się w monotony pomruk. W północnej nawie zdjęto płyty posadzki, tak by można było dostać się do krypty pod kościołem. Gdy jeden z grabarzy poślizgnął się na schodach i trumna zjechała po nich z głośnym hukiem, zebrani, jak jeden mąż, wydali z siebie cichy okrzyk grozy. Na pogrzeb nie przyszedł wprawdzie żaden z

klientów Pierre'a, lecz obecnych było wielu podwykonawców z warsztatu („Wszyscy chcą się pokazać – zauważyła Mallory – żeby nie pominięto ich przy rozdawaniu kolejnych zleceń”). Mary zwróciła uwagę na Exhama, który stanął z tyłu i popatrywał na prawo i lewo, a czasem nawet za siebie, jakby kogoś szukał. Wydało jej się dziwne, że co jakiś czas wyciąga chustkę i przeciera czoło, jakby się pociał, choć wieczór był chłodny.

Kiedy liturgia dobiegła końca, Mary zauważyła Albana Steele'a i jego kuzyna Jessego z żoną, Agnes. To Agnes podeszła do niej jako pierwsza. Jej twarz wydawała się odbijać nikłe zimowe światło, a może było to tylko wrażenie wywołane przez ciepły blask jej oczu. Ujęła Mary za rękę i ucałowała ją w oba policzki.

– Niech Bóg ześle ci wszelkie łaski – powiedziała.

– Dziękuję ci za życzliwość. Lata całe cię nie widziałam.

– Kiedy ostatnio byłaś w City? – zapytała Agnes. – Mąż mówił mi, że rzadko kiedy ruszasz się z Bond Street.

„To było wtedy, gdy poszłam pożegnać się z Elim” – pomyślała Mary. Ból powiązany z tym wspomnieniem zamknął jej usta i odmalował się na jej twarzy tak wyraźnie, że Agnes i Avery popatrzyły na siebie z niepokojem.

– Proszę na kieliszek wina, pani Chamac – odezwała się Avery, żeby przerwać przedłużające się milczenie. Mary nadal zmagала się ze swoimi emocjami.

– Serdecznie dziękuję – powiedziała Agnes. – Muszę pomówić z mężem.

Alban postąpił krok do przodu z kapeluszem w dłoni i się uklonił. Mary miała wrażenie, że wzrokiem szuka czegoś w jej twarzy. Świadoma własnej bladości, uciekła spojrzeniem w bok i dostrzegła Exhama, który stał odwrócony plecami i wpatrywał się w ulicę pogrążoną w prawie zupełnych ciemnościach.

– Moje kondolencje, pani Renard – powiedział Alban.

– Mam nadzieję, że pani Chamac wybaczy mi milczenie – odezwała się Mary i wreszcie podniosła ku niemu oczy. – Wspomniała o mojej ostatniej wizycie w City. To było wiele lat temu, i prawie o tym zapomniałam. To był ostatni raz, kiedy widziałam brata. W ostatnich dniach coraz częściej narzuca się mojej pamięci.

Oczy Albana wypełnił smutek.

– To była kryształowa dusza – powiedział. – Myśl o nim powinna dodać pani sił.

– Wybaczy pan – odezwała się Mary – ale nic pan nie rozumie.

Jej woalką szarpnął wiatr, odrzuciła ją nerwowym gestem.

– Rozumiem pewne rzeczy – powiedział Alban cicho. – Musi pani o siebie dbać. Wygląda pani, jakby od kilku dni nic nie miała w ustach.

– Jeszcze mam w sobie dość siły.

– Dawno temu, gdy panią poznałem – Alban zniżył głos jeszcze bardziej – miała pani tyle samo radości, tyle ducha, ile miał pani brat. Wierzę, że zasługuje pani na szczęście na tym świecie. Chciałbym pewnego dnia zobaczyć, że je pani odzyskała.

Widząc zbliżającego się ku nim kuzyna, uklonił się, po czym razem z Agnes i Jessem wycofali się szybko, zamieniwszy po drodze kilka słów z księdzem.

– Zrobiło się zimno – powiedziała Mallory. – Lepiej się pospieszmy.

Mary ani drgnęła. Avery podeszła i otoczyła ją ramieniem.

– Jeśli myślisz o Pierze, nie zaprzataj sobie nim głowy – poradziła jej Mallory. – On myślał tylko o sobie, i to kiedy miał dobry dzień. Uważał się za niezwykłego człowieka, lecz gdzie się podzieli wszyscy jego znamienici klienci?

Rozejrzała się po pustoszejącym placu przed kościołem.

– To o własne życie powinnaś się martwić, nie o tego uciążliwego drania.

Spiorunowała spojrzeniem kościelnego, który patrzył na nie zaszokowany i pobladły.

– A pan, Savery, czemu się przygląda? Od kiedy to chrześcijańska powinność obejmuje też podsłuchiwanie cudzych rozmów?

– Bądź cicho – ucięła Mary. Patrzyła na Taylora, który rozmawiał z żoną i od czasu do czasu rzucał ku niej ukradkowe spojrzenie. Kilkakrotnie wychwyciła na sobie jego wzrok, jakby zamierzał powiedzieć jej coś ważnego i nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

– Wydaje mi się, że doktor Taylor niepokoi się testamentem – stwierdziła. – Nie jest dla mnie korzystny, wiem to na pewno. Nie dopełniłam swego obowiązku. Nie mieliśmy dzieci.

– Powinnaś się z tego cieszyć – skonstratowała Mallory. – Dziecko Pierre’a wpędziłoby cię w obłąd. Musiałabyś udawać, że je kochasz. Chociaż, przynajmniej, zapewniłoby ci to dach nad głową.

– Gdybym miała dziecko – powiedziała Mary – nasi rodzice być może jeszcze by żyli, Eli być może też. Pierre obiecywał, że sprawy miałyby się między nami inaczej, gdybyśmy mieli potomstwo.

– Jego obietnice były nic niewarte.

– I kochałabym swoje dziecko. Bez względu na to, co mówisz.

Mallory pokręciła głową.

– Miłość przychodzi ci zbyt łatwo, tak jak mnie zbyt łatwo przychodzi nienawiść – rzekła. Nagle zmarszczyła brew.

– Co tu robi Edward Digby?

– Kto taki? – zdziwiła się Mary.

Widziała go tylko przez chwilę; rude włosy mignęły jej, gdy się odwracał i odchodził szybkim krokiem. Przypomniała sobie, że mężczyzna, który zaprowadził ją do domu po incydencie z kuchennym stołem, też był rudy.

W tej samej chwili usłyszała krzyk. Exham poderwał się do biegu. Jasne było, że kogoś goni, lecz udało jej się dostrzec tylko plecy mężczyzny umykającego w mrok.

– Co się stało panu Exhamowi? – zwróciła się Mary do doktora Taylora, gdy tylko weszli do domu. Mieszkanie już zaczęło wypełniać się gośćmi; słyszała szmer głosów dochodzący z bawialni na górze.

– Och, nic istotnego, pani Renard – uspokoił ją Taylor.

Jego żona Amelia stanęła obok niego.

– Musimy z panią porozmawiać, droga pani Renard – powiedziała. – Na osobności.

Przechodzili z pokoju do pokoju, lecz każde pomieszczenie było już pełne ludzi. Mary usłyszała, jak lokator z górnego piętra gniewnie puka w podłogę, niezadowolony z hałasu. Wreszcie w akcie desperacji zabrała Taylorów do kuchni. Ellen zajmowała się gośćmi na górze.

– No dalej, James – odezwała się Amelia. – Pani Renard na pewno chce poznać prawdę. Wyłóż jej sprawę szybko i jasno, jednym honorowym cięciem.

Mary zerknęła na nią przez pogrążoną w półmroku kuchnię. Amelia Taylor często wydawała jej się zimna i nieczuła, teraz jednak patrzyła na nią z bezpośrednim, życzliwym zrozumieniem, którego Mary nie dostrzegła u doktorowej nigdy wcześniej.

– Przepraszam, że zwracam się do pani w takich okolicznościach – powiedział Taylor. – Trzeba jednak będzie odczytać testament i pomyślałem, że dobrze będzie panią uprzedzić o jego treści. Pan Renard wyznaczył na powierników mnie i kilku znajomych mi dżentelmenów. Zapewne nie chciał pani tym obciążać.

– Tak – przytaknęła Mary.

– Pieniądzy jest mniej, niżśmy się spodziewali. – Taylor wyglądał, jakby czuł się niezręcznie. – Niemniej dostanie pani pewną sumę na własne utrzymanie, pani mąż uszanował

również umowę przedmażeńską, a zatem cała porcelana i wszystkie książki należą do pani. Ma pani prawo mieszkać w tym domu do końca życia. Pierre życzył sobie jednak, by firma działała nadal. Napisał, że interes ma odziedziczyć jego kuzyn, jego jedyny krewny, i że powinien on wstąpić z panią w związek małżeński, jeśli taka byłaby wola obojga stron. – Wychwycił jej spojrzenie i pospieszenie ciągnął dalej: – Gdy napisałem do tegoż kuzyna, okazało się, że zmarł kilka miesięcy temu.

– Och – wyrwało się Mary. Fala ulgi rozluźniła mięśnie jej ramion; najwyraźniej musiała bezwiednie je napiąć, jakby przygotowując się na cios.

– Pierre dodał też załącznik, bardzo niedawno, w którym stwierdza, że jego czeladnik Benjamin powinien pozostać przy firmie i stać się współnikiem, gdy tylko osiągnie pełnoletniość. Załącznik głosi, że jeśli nie będzie dzieci, a dzieci nie ma, wraz z pani śmiercią warsztat i sklep mają przejść w ręce Benjamina. Ja i pozostali powiernicy mamy, w pewnym sensie, zostać pani opiekunami w kwestiach majątkowych i matrymonialnych.

– Mój mąż chciał powiedzieć – wtrąciła Amelia – że do ponownego zamążpójścia będzie pani potrzebowała ich zgody. – W jej oczach wciąż czaiło się współczucie. – Jeżeli nie zaaprobowują pani wyboru, będą mogli odebrać pani prawo do dziedziczenia. Wówczas straci pani dach nad głową.

– Żono – w głosie Taylora pobrzmiwał ból, nie reprimenda – nie ma potrzeby mówić takich rzeczy. Jestem pewien, że pani Renard nie zrobiłaby niczego, co mogłoby do takiej sytuacji doprowadzić.

– Benjamin? – odezwała się Mary. – On ma odziedziczyć firmę?

Czuła się otumaniona, jakby próbowała się nauczyć czegoś bardzo trudnego.

– Benjamin to jeszcze niemal dziecko – powiedział Taylor. – Będziemy trzymać go w ryzach. Pierre bardzo panią kochał i prosił mnie, abym zapewnił pani bezpieczeństwo, chronił panią, skoro on już nie może.

Amelia objęła Mary ramieniem. Mary wciągnęła w nozdrza nieznamy zapach potu i zamokłych soboli. Ten łagodny gest przypomniał jej dotyk rąk Albana na jej ramionach, zaledwie kilka dni temu. Dotyk tak czuły, że aż przebiegł ją dreszcz. Od lat wszystkie kontakty fizyczne ograniczały się do lepkich, brutalnych epizodów z jej małżeńskiego łóżka, tak że niemal zapominała, czym jest łagodny dotyk. Tęskniła za nim, choć bezwiednie.

– Dlaczego zrobił coś takiego...? – wyszeptała Amelia.

Mary знаła odpowiedź, potrafiła nawet wyobrazić sobie wyraz twarzy, z jakim jej mąż pisał ten załącznik: wyraz gorzkiej satysfakcji.

Pewnego wieczoru powoli i ze szczegółami, jakby znajdował w tym przyjemność, opowiedział jej historię jego znajomości z kobietą imieniem Sarah; mówił, że ją kocha i że to ona powinna być zostać jego żoną, ale jej ojciec nie dopuścił do małżeństwa. Wspominał, że wziął pod swoje skrzydła Benjamina, jej bratanek, jako swego rodzaju lekarstwo na bólczki przeszłości, aby nadal być z nią w jakiś sposób związany (tego ostatniego nie powiedział wprost; jedynie przedstawiał obraz samego siebie jako pełnego życzliwości i miłosierdzia, prawdziwego świętego).

– Czy jestem do niej podobna? – zapytała wtedy. Nawet teraz nie była pewna, po co zadała to pytanie.

– Owszem, jesteś – odpowiedział. – Tak samo samolubna i uparta.

Jakąż radość musiało sprawić mu pisanie tej części testamentu. Teraz ani ona, ani Sarah nie będą mogły o nim zapomnieć już nigdy. Zanim jednak Mary zdążyła cokolwiek powiedzieć, na piętrze rozległy się krzyki.

– Co, u kaduka...? – wyrwało się Taylorowi. Skłonił się pospieszenie i ruszył w górę po

schodach. Mary i Amelia poszły w jego ślady.

Drzwi do sklepu zamknięto z impetem dosłownie chwilę wcześniej – owinięty w tkaninę dzwonek jeszcze obijał się o framugę. Pośrodku sklepu stał Exham, trzymając za kołnierz Brighta Hemmingsa, który wodził wkoło wybałuszonymi ze strachu oczami. Był blady, czarne włosy opadały mu luźno na ramiona.

– Popatrz pan – warknął Exham. Mary знаła go, odkąd była małą dziewczynką, lecz nigdy nie widziała go w takim stanie, roztrzęsionego, z dzikim wzrokiem. Exham rzucił Taylorowi gniewne spojrzenie.

– Mówiłem panu! – krzyknął. – Nie trzeba było zamykać trumny!

– Panie Exham? – odezwała się Mary, a jej głos jakby przywołał go do porządku.

– Najmocniej przepraszam. – Skłonił się lekko w kierunku Mary, cały czas trzymając mocującego się z nim Brighta. – Ten łajdak włóczy się po ulicach, rozprowadzając na prawo i lewo, że się z panią ożeni, pani Renard. Wszyscy wiemy, jak się ostatnio zachowuje. Mówiłem doktorowi Taylorowi, że mam zamiar znaleźć gagatka i przyprowadzić go, aby dotknął naszego zacnego pana Renarda, i jeśli jego krew by popłynęła, znalazłbyśmy odpowiedź. Ale teraz już za późno. Mam nadzieję, że kiedy on spojrzy pani w oczy, prawda wyjdzie na jaw.

Mary domyśliła się, o co chodzi. Kiedy była mała, starsza pani Moore została zamordowana przez męża, a gdy on dotknął jej martwego ciała, z rany popłynęła krew, na dowód jego winy.

Exham przyciągnął Brighta bliżej ku Mary.

– Możesz spojrzeć w oczy tej zacnej kobiecie, łajdaku? – wyszczał. Hemmings zaskowyczał cienko i odwrócił głowę.

– To nam wystarczy za dowód, czyż nie? – spytał Exham.

– Chwileczkę – odezwała się Mary. – Jak może pan przypuszczać, że Bright byłby zdolny do czegoś takiego? Czy powiedział pan o tym straży nocnej albo konstablowi?

– Konstablowi mówiłem. Wyśmiał mnie. – Exham skierował wzrok na Hemmingsa. – Widzę, że wszystkich udało mu się oszukać. Ale ja dostrzegam przebiegłość w tej jego twarzy póldioty!

Ledwie wypowiedział ostatnie słowo, na policzki wystąpił mu rumieniec, w oczach błysnął wstyd. Eli.

– Pani wybacz. Nie chciałem obrażać... – Przerwał w pół zdania.

Mary w odpowiedzi tylko potrząsnęła głową. Zwróciła się do Hemmingsa, który zwiesił głowę, tak że włosy opadły mu na twarz.

– Zna mnie pan od dawna, prawda, panie Bright? – zagadnęła.

Hemmings nadal patrzył w podłogę.

– Tak.

– Więc niech się pan nie obawia. Jeśli jest pan niewinny, nic złego się panu nie stanie.

Proszę na mnie spojrzeć.

Bright powoli podniósł wzrok ku jej twarzy.

– To prawda, że chciałem, żeby pani została moją żoną – powiedział. – Ale ja nic mu nie zrobiłem, przysięgam.

Jego dolna warga zadrżała raz i drugi. Ledwie skończył mówić, rozplakał się otwarcie.

Mary obróciła się do Exhama.

– Żeby go skazać, będzie pan potrzebował więcej dowodów niż jego głupie gadanie – rzekła. – Zostawię pana, by mógł pan pomówić z doktorem Taylorem. Niemniej moim zdaniem powinien pan go puścić.

Poczuła obezwładniające zmęczenie. Gdy jednak postąpiła krok w kierunku schodów,

usłyszała, że Exham rusza za nią.

– Pani Renard? – zagadnął.

Odwróciła się ku niemu.

– Nie chciałem powiedzieć nic złego o pani bracie – przyznał. – To był miły, uroczy chłopiec. Jeszcze pamiętam jego twarz.

– Ja również – odrzekła Mary.

Pozwolili jej udać się na górę, myśląc zapewne, że pójdzie do swoich gości. Ona jednak tego nie zrobiła. Była zadowolona, że wbrew utartym zwyczajom zamknęła swój pokój na klucz. Teraz weszła tam i zaryglowała drzwi od środka, żeby móc zostać sama.

Siedziała i czekała, aż dom na powrót opustoszeje, dręczona obrazem, który raz po raz narzucał się jej myślom, chociaż próbowała o nim zapomnieć: płonący w kominku list przekłuty przez środek pogrzebaczem. Gdy tylko ta scena stanęła jej przed oczami, Mary zgięła się wpół, zakryła twarz dłońmi i wreszcie rozplakała się głośno i otwarcie.

Rozdział XIII

13 czerwca 1792

Dziś rano miałem do czynienia z przedstawicielami księcia Grafton oraz rozmaitych earłów i lordów, choć to nie pora roku na takie wizyty. Następnie pospiesznie udałem się do Chichesterów. Pani Chichester leżała w łóżku złożona przeziębieniem, lecz jej mąż polecił mi wstąpić do niej na górę. Odnosił się do mnie bardzo niegrzecznie, jakbym był byle sprzedawcą. Jego żona ma jednak uroczą naturę. Ponadto jest bardzo piękna. Spędziłem z nią trochę czasu, czerpiąc przyjemność z zachwyty i radości, jakie wywoływały w niej srebra, które jej pokazałem. Ucieszyłem się na wieść, że nie wyjeżdża z miasta na lato.

Wychodząc, zwróciłem uwagę na wiszący na ścianie portret i poznałem w nim podobiznę uroczej damy, z którą dane mi było spędzić czas. Zafascynował mnie ten obraz idealnej piękności; różnił się nieco od twarzy kobiety, z którą tak niedawno rozmawiałem, lecz to tylko poprawiło jej wizerunek w moich oczach.

Jej pokojowa ma wiecznie kwaśną minę. „Nie będę czekać cały dzień”, powiedziała mi, kiedy tak stałem wpatrzony w portret. Przyniosę jej parę błyskotek, a zaraz się do mnie przekona.

Gdy wracałem z rezydencji Chichesterów, na mojej twarzy zagościł uśmiech, i to szczery. Czulem się zupełnie, jakby ubyło mi dziesięć lat i jakbym na powrót stał się młodzieńcem bez żony, kroczącym bez przeszkód drogą sukcesu, jaśniejącym ambicją i wiarą w boże łaski.

Harriet zbyt długo zaniedbywała swoje obowiązki – wysyłała służącego, by roznosił odpowiedzi na zaproszenia i pukał do różnych drzwi o nietypowych porach. Wreszcie była zmuszona wyjść sama i zostawić Joannę w domu.

Joanna zamknęła się w pokoju i zajęła przeglądaniem swoich rzeczy. Lubiła patrzeć na posiadane przez siebie przedmioty; miała wrażenie, że łączą ją z chwilą obecną, jakby dzięki nim stawała się bardziej realna. Przez lata zebrała sporo podarków od hojnych pracodawców: tu kawałek wstążki, tam klockową koronkę. Dostała nawet cztery sukienki naraz – kochana pani Higgins podarowała jej je na łożu śmierci. Dziś Joanna miała na sobie jedną z nich: z szarego jedwabiu, ze sztywną czarną halką pod spodem. Lubiła szary, pasował do żelaznej woli, którą próbowała w sobie wyćwiczyć, do samokontroli. Zdawało jej się, że ten kolor pomaga duszy, wypłukuje z niej barwny zamęt; jest stateczny, spokojny, wyzuty z wszelkich namiętności. Niektóre służące starały się upodobnić do swoich pań, paradując w kapeluszach z piórami i sukniach najnowszego kroju, lecz Joanna szczyciła się tym, że jest niewidzialna. Oszczędzała pieniądze na coś istotniejszego. Nie wiedziała jeszcze, co to będzie, była jedynie przekonana, że ukaże jej się to pewnego dnia, a wtedy będzie gotowa – inaczej, niż kiedy w jej życiu pojawił się Stephen.

Miała też maleńki srebrny naporstek, którym Pierre Renard próbował wkupić się w jej łaski. Przyjęła prezent z uśmiechem, lecz poczuła się raczej urażona. Nie dla niej ciężkie, kute srebro, które sprzedawał bogaczom – dał jej cienką blaszkę, jakie zapewne tuzinami kupował od producenta zabawek. Gdyby nie utrata pukła włosów Stephena – a wiedziała, że będzie musiała znaleźć w sobie siłę, by pójść o niego zapytać – śmierć tego złotnika nie obeszlaby jej wcale.

Na samym końcu wyjęła monety, oglądając uważnie każdą z nich, pocierając je delikatnie i przygryzając kilka, jakby kryły w sobie jakąś świętą tajemnicę. Wiedziała, że pewnego dnia kupi za nie coś, czego jeszcze nie dane jej było zaznać: wolność.

Wreszcie zamknęła skrzynkę na kluczyk, wsunęła ją pod łóżko i owinęła się płaszczem, z którego fałd ją wyjęła. Płaszcz był wełniany; miał kilka lat. Zawijanie się weń było kolejnym ze

zwyczajów praktykowanych przez Joannę. Wracała wówczas myślą do znajomych obrazów z przeszłości. Ciepła tkanina przypominała jej przyjemne letnie popołudnie, kiedy w ten sam płaszcz wbijały się ździebełka trawy, a ona i Stephen położyli się na nim na łączce w parku ukrytej przed wzrokiem ciekawskich. W oddali słychać było pobrzękiwanie dzwoneczków, które miały na szyjach krowy pasące się w okolicy. Kiedy przysunął się do niej, poczuła zapach skórzanej uprzęży; jego ręce były szare od brudu. Martwiła się, że pogniotą jej się sukienka oraz włosy, które wtedy układała w wymyślną fryzurę. Lecz wszystko potoczyło się tak naturalnie, nie było momentu, w którym by pomyślała, że oto rzuca się w nieznaną. Zdziwiło ją, z jaką łatwością jej ciało zajęło się czynnością, przed którą ją ostrzegano. Przyjemne doznanie niemal natychmiast zastąpiły bolesna pustka i poczucie własnej bezsilności.

Gdy mocowała się ze swymi ubraniami, starając się okryć nagość i doprowadzić strój do porządku, Stephen patrzył na nią i żuł ździebło trawy, nieco bledszy niż przedtem.

– Nie wiedziałem, że będę dla ciebie pierwszy – powiedział. – Widziałem krew. Nie zostawię cię.

Twarz miał zmienioną, zamyśloną, jakby zaszokowało go to, co właśnie się stało, chociaż jeszcze przed chwilą zachowywał się tak pewnie.

Nie uwierzyła mu, ale dotrzymał słowa. Nie zostawił jej, mimo że miała się później przekonać, iż nie był człowiekiem, za jakiego go uważała. Przyjaciel, obrońca, zdrajca – kiedy o nim myślała, te trzy wątki splatały się w jeden. Bywały dni, gdy narzucał się jej myślom bezustannie, był z nią cały czas, jakby fizycznie jej towarzyszył; kiedy indziej nie mogła znieść myśli o nim.

Tym samym płaszczem przykrywała go, gdy się źle poczuł. Odwiedzała go w jego pokoju nad stajnią tej zimy, która miała być jego ostatnią. Dręczące go bóle głowy odbierały mu wzrok. Leżał z ręką na czole; jego twarz była biała jak papier.

– Wykończy mnie to, Jo – mówił.

Śmierć krążyła nad nim już od jakiegoś czasu. Uciekał przed nią; miał naturalną zdolność ignorowania bólu. Joanna nie umiała wyobrazić go sobie martwego; miał taki promienny uśmiech i ostry język.

Nikt nie wiedział o jej miłości do Stephena i o ich wspólnym cierpieniu. Świadkiem tych uczuć był tylko ten płaszcz. Po śmierci Stephena wydawało jej się, że nadal można na nim wyczuć jego zapach. Ale to było dawno temu, tyle lat... Żeby więc uwierzyć samej sobie w tej kwestii, musiałyby przyznać, że jest niespełna rozumu.

Tymczasem w świecie rzeczywistym należało odebrać czasopisma i dwie nowe powieści dla Harriet. Joanna wyszła po nie chętnie, nadal otulona swoim płaszczem. Księgarnia mieściła się niedaleko, a ona szła szybko, żeby zdążyć jeszcze wstąpić do szwagierki. Odkąd zmarł jej brat, wdowa po nim i jej dzieci były jej jedyną rodziną.

Zastała Mallory w jej obskurnym salonie, pomstującą nad dokumentami z lombardu, w którym udziały odziedziczyła po mężu. Kiedy Joanna weszła do kuchni, Mallory odłożyła pióro, plamiąc atramentem arkusz, na którym właśnie podliczała wydatki.

– Napijemy się herbaty – zdecydowała.

Joanna z hukiem postawiła na kuchennym stole paczkę z książkami.

– Gdzie dzieci? – zapytała.

– Na górze. Z Lisbeth zrobiła się istna nauczycielka.

Lisbeth była najstarsza z gromadki; to ją Joanna lubiła najbardziej. Ona jedna nie protestowała, kiedy ciocia Jo ścisnęła ją i obsypywała całusami, tylko uśmiechała się z anielską słodyczą, jakby doskonale rozumiała ciotczyną potrzebę miłości, chociaż sama jej nie odczuwała.

– Sporo czasu minęło, odkąd cię widziałam – powiedziała Mallory, gdy Joanna usadowiła się na krześle. – Jak cię tam traktują, na tym Berkeley Square?

Joanna obiecywała sobie, że nie będzie się nad tym rozwodzić, ale nie mogła powstrzymać cierpkiego uśmiechu, jakby wszystkie myśli odmalowały jej się na twarzy bez jej wiedzy i zgody.

– Całkiem dobrze. Po mojej szanownej pani ledwie widać ciążę, ale już paraduje po domu, klepiąc się po brzuchu. – Głos lekko jej zadrżał; nagle zmieniła się temperatura rozmowy.

– Pewnie nie jest ci łatwo – powiedziała Mallory. Otworzyła herbatnicę i zaczęła grzebać łyżką w jej ołowianych trzewiach, w nadziei że wyskrobie z kątów dość herbaty do imbryka.

Joanna wzruszyła ramionami.

– To nic takiego. Na starość mam po prostu mniej cierpliwości do młodych. Też tak masz?

– Cierpliwości to ja nie miałam nigdy – skwitowała Mallory.

– Jej życie byłoby o tyle łatwiejsze, gdyby przyjaźniej zwracała się do męża – mówiła dalej Joanna – jeśli nie chce, by stracił nią zainteresowanie. To atrakcyjny mężczyzna.

– Uważasz, że warto się dla niego starać? – spytała Mallory obcesowo.

Joanna obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem. Z typową dla siebie wnikliwością Mallory zwróciła jej uwagę na coś ukrytego, nad czym wcześniej się nie zastanawiała, ba, nawet nie była gotowa, aby zacząć o tym myśleć.

– Nic takiego nie powiedziałam, więdźmo jedna – odcięła się, ale bez złośliwości.

Mallory się zaśmiała.

– Wydaje mi się, że cokolwiek by ta młoda pani robiła, i tak by ci się nie spodobało. Ty i ja nie zostałyśmy stworzone na służące, Jo – powiedziała, po czym mocno zacisnęła dłoń na dłoni Joanny. – Wiem, ile musi cię kosztować doglądanie ciężarnej. Powiem ci to, co mówię zawsze: i tak by się nie udało. Postąpiłaś słusznie.

Joanna nie ruszyła dłoni spod ręki Mallory.

– Przecież wiem – rzekła cicho. – A ty bierzesz moje zmęczenie za zgryzotę. Powiedz lepiej, jak się miewa twoja siostra.

Gdy wyszła od Mallory i skręciła z powrotem w Piccadilly, rzuciła jedno spojrzenie na kościół Świętego Jakuba. Cień jego dzwonnicy ostrą linią rysował się na bruku. Po śmierci Pierre'a Renarda Joanna zdała sobie sprawę, że nie czuje już antypatii do Mary Renard. Pozbyła się tej niechęci jak ciężaru, który uparcie niosła; mroczne uczucie tylko dokładające się do jej zgorzknienia. Rozsnuło się niczym węzeł rozwiązany jednym pociągnięciem.

Wróciła myślami do tego uczucia, próbując odszukać je w pamięci. Kiedyś jej się wydawało, że Mary Renard wiezie idealne życie, otoczona opieką, jakiej Joannie brakowało. Pewnego razu zauważyła Mary na ulicy i chciała do niej zagadać, lecz tamta popatrzyła nad jej głową, jakby w ogóle jej tam nie było. „Czyż nie jesteśmy takie same? – myślała wtedy Joanna. – Tylko ślepy los zdecydował, że nasze życie potoczyło się inaczej. Nie, oszukuję sama siebie – skonstataowała. – Nie żywiłabym do niej niechęci, gdyby nie tamten dzień”.

Dzień, w którym umarł Stephen. Joanna trzymała go w objęciach całą noc, słuchając, jak jego oddech zwalnia, a wreszcie zupełnie ustaje. Nie ruszyła się nawet, gdy już odszedł, nie obchodził ją ból nóg zbyt długo trzymany w tej samej pozycji. Obejmowała go, aż niebo zaczęło różowieć, a jego ciało zrobiło się całkiem zimne. Potem wstała, zostawiając go opartego o poduszki. Wyszła na ulice Londynu, rozczochrana i skołowana. Było jeszcze bardzo wcześnie. Pomyślała, że da sobie jeszcze godzinę, zanim stawi czoła rzeczywistości. Na razie będzie udawać, że on nadal żyje i czeka na nią. Nikt by się nie domyślił; gdyby spotkała kogoś znajomego, kto zapytałby o jego zdrowie, mogłaby udawać, że nic się nie stało.

Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła, błędząc tak bez celu; wiedziała jedynie, że wygląda niechlujnie i że ludzie się na nią gapią, biorąc ją za pijaczkę, a pewnie i za ladacnicę. Joanna była wtedy młodsza, ledwie zdążyła przeżyć pierwszą miłość, a w jej rozpaczynie jeden mężczy-

zna dostrzegł delikatność i niemoc, za którą byłby skłonny zapłacić: niewinne dziewczę, pewnie dopiero co przybyłe ze wsi, łatwy łup. Jeden nawet przyciągnął ją ku sobie, a ona uderzyła go tak mocno, z taką zaciekłością, że później się zastanawiała, skąd wzięła się krew za jej paznokciami.

Gdy znalazła się na cmentarzu przy kościele Świętego Jakuba przy Piccadilly, zorientowała się, że minęło wiele godzin – zegar wybijał ósmą. Skryła się pośród zieleni, a drzewa ją otoczyły, tworząc półmetrową oazę spokoju. Do dziś nie wie, co ją tam zagnało; może chciała pomodlić się za Stephena, który nadal czekał w swoim pokoju na moment, gdy reszta świata zacznie go oplakiwać.

Kilka minut po ósmej pod bramę kościoła na Jermyn Street podjechał powóz. Joanna z fascynacją obserwowała otwierające się drzwiczki i pannę młodą, która ciężkim krokiem zeszła na chodnik. Odprowadzając ją wzrokiem, zdała sobie sprawę, że ją poznaje: to siostra Mallory. Nie знаła jej dobrze, pamiętała tylko, że widziała ją raz czy drugi – cichą dziewczynę, która nie szukała towarzystwa innych i zawsze biegła za swoim młodszym bratem. Malca nie było widać. Dziewczyna była ubrana w kosztowną suknię obszytą srebrną koronką. Do trzewików miała przyszyte duże kwadratowe sprzączki z białymi kamieniami, które skrzyły się w słońcu. Wyglądała jak chodząca figurka ze srebra, której stworzenie wymagało wielu godzin pracy: wypolerowana, jasna, migotliwa. Jednakże na jej twarzy Joanna dostrzegła wyraz niezadowolenia. Jedynym naturalnym elementem całego jej stroju był kwiat wpięty w upudrowane włosy: biała róża.

Gdy siostra Mallory wysiadała z powozu, róża spadła na ziemię, a dziewczyna zasyczała gniewnie, wydymając usta.

– Spójrz, papo – powiedziała, gdy dołączył do niej ojciec i wziął ją za rękę.

Kiedy ruszyli w kierunku drzwi kościoła, Joanna wysunęła się ze swojej kryjówki i stanęła na chodniku za nimi. Widziała, jak wchodzi do środka, krocząc powoli, niemal jak na pogrzebie. Gdy skręcili w boczną nawę, Joanna wśliznęła się do kościoła, gdzie właśnie odbywał się ślub Pierre'a Renarda i Mary Just.

Joanna sama pragnęła zostać panną młodą. W marzeniach wielokrotnie widziała się w takim właśnie kościele. Wyobrażała sobie, jak idzie powoli przez nawę, opromieniona światłem wpadającym przez wielkie okna. A przy ołtarzu czeka na nią Stephen, odwraca się i wita ją uśmiechem.

Dręczona świeżym bólem po jego stracie, ujrzała Mary Renard jako pannę młodą, a kontrast pomiędzy nimi zasiał w jej sercu ziarno goryczy. Uznała Mary za próżną, zadowoloną z siebie i nieświadomą szczęścia, jakie ją spotyka. Nie mogła wybaczyć tak lekceważącego podejścia do darów losu.

Doczekała do słów przysięgi, po czym wyszła z kościoła. W jej kieszeni spoczywał cienki zwitek banknotów, które Stephen przekazał jej poprzedniego wieczoru; były suche jak podpałka pod jej palcami. Powiedział Joannie, że brał już kiedyś ślub, nadal był żonaty. Wiedział, że jest bliski śmierci, chciał więc uspokoić sumienie, wyznać prawdę. Postanowił oddać Joannie, swojej prawdziwej żonie, wszystko, co miał. Ona jednak wiedziała, że to nie wystarczy. Była w ciąży.

Minęła kościół i poszła dalej, dzierżąc w dłoniach książki dla Harriet. Los potraktował je obie tak samo. Był czas, kiedy nienawidziła Mary Renard na tyle, że nawet nie chciała przebywać z Harriet, gdy pan Renard przychodził na umówione spotkanie; wołała mijać go na schodach, niż siedzieć z nim w pokoju, słuchając, jak monologuje na swój temat. Tego wieczoru, kiedy zamówiła u Renarda wisiorek z puklem włosów Stephena, zaprosił ją do siebie na Bond Street na czekoladę. Poszła, mając nadzieję, że znów zobaczy Mary i jeśli ta się zgodzi, chwilę z nią porozmawia. Jednakże pani Renard była tego dnia niedysponowana, więc zabawiał ją tylko sam Renard. Biorąc pukiel włosów w ręce, uśmiechnął się tym swoim dziwnym uśmiechem.

Spieszyła się z powrotem tak, że niemal biegła. Zimne powietrze kłuło w oczy, lecz ona czuła tylko ból związany z cudzym nieszczęściem, który coraz mocniej zaciskał jej gardło. „Za-
zdrościłam ci – pomyślała – a teraz jest mi przykro”. Myśląc o pannie młodej, którą tak dawno
temu widziała na ścieżce prowadzącej do kościoła, sunęła przez tłum, by jak najszybciej wrócić
na Berkeley Square z paczką książek przyciśniętą do piersi.

Rozdział XIV

14 czerwca 1792

Popadłem w apatię, a wieczory spędzam, rozmyślając o przeszłości; muszę to jednak robić, albowiem ze zmarnowanych chwil powstanie moje nowe życie, a mój cel zajaśnieje na nowo.

Moja żona miała brata, niedorozwinięte dziecko, które mimo to hołubiła. Tuż po ślubie myśl o nim psuła mi humor. W ostatnią niedzielę przed weselem siedziałem u Świętego Jakuba przy Piccadilly, zastanawiając się nad tym, jaki los zgotował dla mnie Bóg. Zamknąłem oczy i modliłem się o spokój, o to, by czuć się tak jak wtedy, gdy spoglądałem w niebo nocą. Jednakże w głowie słyszałem tylko śmiech tego opóźnionego chłopaka. Obrzydłego idioty. Podejrzewam, że tamten gniew zostawił ślad w moim sercu.

– Jakże wieści, mój dobry człowieku? – zapytał Maynard. Stał w nonszalanckiej pozie, z ręką w kieszeni, jakby zdziwiony widokiem Digby’ego, stróż jednak nie dał się zwieść pozorom. Widział, jak Maynard pchnął drzwi szynku ramieniem i zajrzał do środka z zaciekawionym wyrazem twarzy, taksując spojrzeniem całe pomieszczenie. Jego jowialny, przesadnie serdeczny ton stanowił ostrzeżenie; brzmiał nienaturalnie i przejmująco, zwracał uwagę innych gości. Kilku siedzących nieopodal mężczyźn zmierzyło Maynarda wzrokiem.

Szacunek, jakim Digby darzył Maynarda od dawna, w ostatnich dniach wyraźnie zmalął. Teraz stopniał jeszcze bardziej, gdy stróż zauważył zarumienione policzki gościa i resztki sutej kolacji na jego twarzy i fularze. Sama obecność plam po jedzeniu ubodła Digby’ego, który nie marnował ani okruszka.

– Witam szanownego pana – powiedział i pociągnął łyk piwa. Maynard usadowił się obok niego; postawny mężczyzna na wąskim stołku.

– Słyszałem, że wczoraj pochowano naszego wspólnego znajomego, Renarda – odezwał się Maynard. Digby’emu wydało się, że jego wesołość zaczęła się ulatniać, zastępowana przez typowy dla niego spokój. – Wszystko chyłkiem, cichcem, prawda? Taylor ledwo wybąkał parę słów, kiedy z nim o tym rozmawiałem.

– Czyżby kolejne spotkanie u koronera? – zainteresował się Digby.

Maynard pokiwał głową.

– Samobójstwo – powiedział. – Collins, jubiler. Wydaje mi się, że od czasu do czasu zopatrywał Renarda. Podobno to taka pora roku. Tak więc... Poszło się do Świętego Jakuba zobaczyć, jak chowają Francuza, co, Digby?

Digby nie odezwał się od razu, zmełł w ustach przekleństwo.

– Nie wiem, po co mi pan każe mieć na wszystko oko, skoro ewidentnie wszędzie ma pan szpiegów – mruknął. Popatrzył w kufel, żeby nie spoglądać w twarz Maynarda. – Owszem, byłem w kościele. Modlitwa nikomu nie zaszkodzi, nie?

Maynard roześmiał się tubalnie.

– W istocie, nie. A Renardowi się przyda.

– Myślałem, że pan też tam będzie – powiedział Digby.

– Ja? – Maynard uniósł brew. – Mam lepsze rzeczy do roboty, niż udawać żal po stracie jednego rzemieślnika, i to nieuczciwego.

– Trumna spadła po schodach. Zacząłem się zastanawiać. Wie pan, taki niepokój. Że zmarły nie zaznał spokoju, bo nie został pomszczony.

– Jak wyglądała pani Renard? – zapytał Maynard. Choć jeszcze chwilę temu wydawał się

rozbawiony, teraz jego oczy błyszczały zainteresowaniem.

– Niezdrowo – odparł Digby.

„Jak rozpruty bukłak z winem – pomyślał. – Jakby cała dusza z niej uleciała”.

– Ciekawe, czy naprawdę go oplakuje.

– Daj jej Boże szczęście – powiedział Digby. Słowa te wyrwały mu się niemal wbrew jego woli. Zaskoczyło go to. Przepił bardziej do tego zaskoczenia niż do czegokolwiek innego.

– Jak już mówiłem, ma pan oko do takich rzeczy – odezwał się Maynard. Uśmiechnął się przelotnie, lecz po chwili jego twarz stała się poważna. – Trochę jestem zmęczony gonitwą za panem. Jeśli dowie się pan jeszcze czegoś, co dotyczy sprawy, proszę mnie o tym powiadomić. Co pan na to, Digby?

– Niby czemu miałbym to robić, szanowny panie? – odciął się Digby. – Patrowanie ulic i tak jest męczące. A może zostaną wynagrodzony za moje wysiłki?

Podobało mu się, że Maynard do czegoś go potrzebował; to, że nerwowo przekreślił się na krześle.

– Na moje oko to kupa roboty – skończył.

Maynard przez chwilę nie mówił nic. Kiedy wreszcie pochylił się ku Digby'emu, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Słyszałem, że pił pan za zdrowie Toma Paine'a[1] – rzucił cicho. Stróż nie podejrzewał, że Maynard w ogóle potrafi się odzywać takim tonem, miękko jak kobieta.

– Nic takiego nie robiłem – stwierdził. – I dobrze pan o tym wie.

– W takich burzliwych czasach ludzie niechętnie słuchają tego typu plotek, panie Digby. Naszym stróżom nocnym płaci się za utrzymywanie porządku na ulicach, nie za sianie niezgody.

– Nie jestem żadnym lewelerem[2] – powiedział Digby. Zaschło mu w ustach. Spojrzał na ciemne piwo w kuflu. Upiłby łyk, lecz powstrzymała go myśl, że zapewne w tej chwili będzie smakować gorzko jak trucizna. A gdyby się zakrztusił, okazałby słabość. – Nic mnie nie obchodzi politykowanie – stwierdził. – I wie to każdy, kto mnie zna.

Jego głos zabrzmiał szorstko, wyzywająco. Zarejestrował to z ulgą; był to dowód, że udało mu się ukryć strach.

– Politykowanie – odezwał się Maynard – to najmniejszy z pańskich problemów. Było się niedawno w lombardzie?

Digby patrzył na niego, czując narastającą panikę, prawdziwą panikę, której nie dało się opanować prowokującym słowem.

– Skąd pan miał rzeczy pod zastaw? – ciągnął tymczasem Maynard. – Czyżby znalazł pan jakieś skarby w godzinach pracy? Czy mam zapytać, co też pan zastawiał?

Siedział nieruchomo. Digby nie dostrzegł żadnych oznak triumfu na jego twarzy.

– Widzę, że się rozumiemy – powiedział Maynard. – Miej pan dla mnie oko na sprawy, Digby, a ja nie będę się dalej tym interesował. Zależy panu na pracy, nieprawdaż?

Dopijając swój trunek, wydawał się niemal smutny.

Digby lekko wzruszył ramionami i nie odezwał się ani słowem, gdy Maynard podniósł się i wyszedł z szynku. „Nic nie wie – pomyślał. – Bóg mnie strzegł, że zostawiłem sobie zegarek. Osaczają mnie z każdej strony. Wpadłem w niezłe gówna, jak biedna wdowa po Renardzie”.

Było ciemno; gęsty, przytłaczający mrok zimowej nocy zdawał się wypełniać wszystkie kąty. Mary wysłała Benjamina z wizytą do rodziny, każąc mu przybyć, gdy już otrze łzy i będzie gotów wrócić do pracy jako osoba, która pewnego dnia odziedziczy sklep. Pojechał, ale Mary wyczuła niechęć, z jaką usłuchał jej polecenia. Świadomość rodzącej się władzy już zaczęła odciśkać się na jego młodzieńczych rysach.

Mary powiedziała Avery, że chce przejść się po domu, nim pozamyka drzwi. Zejście do

ciemnego warsztatu wymagało odwagi, chociaż miała ze sobą świecę. Przez cały okres małżeństwa noc zawsze była jej wrogiem, który budził w niej lęk.

Poszła prosto do stanowiska, które Pierre nazywał własnym: niedużej przestrzeni z ławą i sporą skórzaną sakwą pod spodem. Czasami pokazywał ją gościom, wskazując w jej stronę szerokim gestem. Zawsze mówił wtedy to samo: „To moja ława. Może i jestem właścicielem sklepu, sprzedawcą pięknych przedmiotów i pracodawcą wielu rzemieślników, ale nadal pracuję jako złotnik, mimo upływu lat”. Przerzywał i kiwał głową, jakby komunikował się ze swoim zawodowym powołaniem, żyłą szlachetnego metalu przecinającą jego serce.

Mary wiedziała, że ten pokaz to po części sentyment, a po części sposób na klientów. Jej zdaniem te dwie rzeczy zupełnie do siebie nie pasowały, mimo to on łączył je bez wysiłku.

Tak naprawdę przez ostatnie kilka lat rzadko kiedy zabierał się do obróbki srebra, a mgliste wspomnienie Pierre'a pochylonego nad ławą, jakie Mary zachowała z pierwszych miesięcy po ślubie, kojarzyło się jej z dyskomfortem. Pamiętała go, jak uderzał młotkiem w blachę z zaciętym wyrazem spoconej twarzy. Zawsze z rozrzewnieniem wspominał panującą w warsztacie koleżeńską atmosferę; to, że może się nazwać mistrzem w swoim fachu, wiele dla niego znaczyło. Niemniej jednak bardzo szybko stał się kimś, kto ma do czynienia z ludźmi: sprzedawcą, architektem koneksji i układów. Nadal miał czeladnika i kilku pracowników w zakładzie, lecz coraz większy odsetek srebra dostarczali mu w gotowej formie zleceniobiorycy.

Oczywiście, wielu klientów było przekonanych, że Pierre osobiście wykuwa każdy lśniący przedmiot pyszniący się na jego witrynie sklepowej. Zanim wszystkie kandelabry i tace trafiły do swoich właścicieli, wybijano na nich puncę Pierre'a, zacierając znak prawdziwego wytwórcy. Stanowiło to powszechną praktykę, lecz Mary wyraźnie była jej przeciwna. Wyglądało na to, że jej mąż żyje w zupełnie innym świecie niż ludzie, którzy dostarczali mu towaru. Jego ręce zrobiły się chude; wydawał się szczęśliwszy, mając dłonie poplamione atramentem, a nie szorstkie i pocięte przez narzędzia rzemieślnicze.

Dawno temu, podczas pełni księżyca, obiecał zrobić dla niej ślubny kielich. Nigdy tego przyrzeczenia nie dotrzymał. Przypomniała sobie, jak stała wpatrzona w okrągły księżyc, czując dłonie męża na swoich ramionach. W myślach przyznała mu wtedy rację: był to księżyc złotnika, zimny i nieustępliwy niczym niewyżarzone srebro.

Nadal kojarzyła z nim tę pustą ławę. Kiedy tam tak stała, ze świecą w drżących rękach, Pierre wydawał się znajdować tuż obok; powietrze przesiąkał jego zapach. W tej pustej przestrzeni było coś wzruszającego: narzędzia starannie poodkładane na miejsca, blat tu i ówdzie poznaczony starymi wgnieceniami od obijania srebra. Mary pomyślała, że nietrudno byłoby pokochać przestrzeń, którą po sobie zostawił, nierealny byt wypełniający pustkę. Wspomnienie jego twarzy zacierało się, pozostawiając tylko nieuchwytnie, bezcielesne wrażenie. Nieprzyjemne obrazy intymnego współżycia też zbladły: zapach jego skóry, jego smak.

Ostatnie kilka dni Mary spędziła, myśląc o przeszłości, odgrzebując każdy aspekt i oglądając go z różnych stron, niczym jubiler oceniający nieoprawiony kamień. Doszła do przekonania, że Eli został sprowadzony do Londynu zbyt szybko po jej ślubie. Była to jej wina; za szybko nabrała pewności siebie, wsłuchawszy się w obietnice Pierre'a, że wszystko będzie dobrze.

– Chcę zawsze być blisko ciebie – powiedział to takim tonem, jakby przyznawał jej wielki zaszczyt. Poczowała wdzięczność i postanowiła wykorzystać swoją szansę.

– Pozwolisz Elemu wrócić? – zapytała. – Moi rodzice źle znoszą rozłąkę ze sobą, a zdrowie Elego się pogarsza. Jeśliby wrócił, nie mógłby już chodzić wszędzie tak swobodnie, jak to miał w zwyczaju. Ale on czuje się dobrze tylko pośród ludzi, których kocha.

Pierre był w lirycznym nastroju.

– Kiedy tak na mnie patrzysz rozświetlonym wzrokiem, jakże mógłbym się nie zgodzić?

Następnego dnia Mary napisała do rodziny, a dziesięć dni później jej matka wróciła z Elim do miasta.

Do ponownego spotkania z braciszkiem doszło w bawialni rodziców. Na widok siostry rozpromienił się, poderwał na nogi i wyciągnął ręce, starając się wypowiedzieć jej imię. Mary zatarciła się w swojej radości, lecz kiedy się obróciła, wystraszył ją wyraz twarzy męża. Miał zaciśnięte szczęki i patrzył w przestrzeń surowym wzrokiem.

– Chodź, kochanie – powiedziała, sadzając Elego na podłodze przy kominku. – Cicho już, cicho.

Podekscytowany Eli nadal bełkotał pod nosem, gdy Mary głaskała go po twarzy. Kiedy Pierre wykonał gwałtowny ruch, chłopiec wreszcie skierował ku niemu wzrok: nieruchome, martwe spojrzenie niebieskich oczu, które nie skupiało się dokładnie na twarzy Pierre'a, lecz zdawało się ogarniać go jedynie jako kształt, ciemną sylwetkę, której Eli nie chciał oglądać. Odwrócił wzrok.

Pierre trzymał w ręku monetę.

– Chodź no, matolku, jeśli chcesz się ze mną pobawić – powiedział z wymuszonym uśmiechem. – Dostaniesz to, jeżeli się uciszysz.

Eli popatrzył na niego. I natychmiast, bez mrugnięcia okiem, wyrwał mu monetę z ręki i wrzucił ją do ognia.

– Powinam była cię ostrzec. – Mary stanęła pomiędzy nimi, splatając palce z palcami brata. – Jest bardzo szybki. Nie chciał cię zdenerwować. Kiedy widzi coś, co się błyszczy, po prostu się na to rzuca.

Pierre się nie odezwał. Był blady z gniewu. Gdy do pokoju weszli jej rodzice, milczał, wpatrując się w ogień w kominku. Dopiero później dał wyraz swej złości.

– Robiłem wszystko przez wzgląd na ciebie, wybierałem to, co najlepsze, na chwałę bożą – powiedział jej.

Mary miała wrażenie, że w jego oczach dostrzega współczucie. Przysięga, którą składali sobie przed Bogiem, była dla niej święta. Nienaruszalność ta stanowiła podstawę ich małżeństwa; impuls, by odciąć się od złych wspomnień i powiedzieć sobie, że na tak osłabionych fundamentach da się zbudować miłość. Treść testamentu przekonała ją, że on nigdy nie postrzegał wiążącej ich przysięgi jako świętej, przez co Mary tym dotkliwiej czuła się zdradzona. Zdała sobie sprawę, że trwała u boku Pierre'a z poczucia obowiązku, wmawiając sobie miłość.

„Nie wiedziałam – pomyślała – że można jednocześnie kochać i nienawidzić. Lecz tak naprawdę nie da się czuć obu tych rzeczy naraz. Jedno uczucie musi pozostać uśpione, ukryte, dopóki to drugie nie wypali się do cna”.

„Kiedy ostatnio byłaś w City?” – łagodny, pełen dobroci głos Agnes na kościelnym podwórzu. Odpowiedzią było wspomnienie, które – jak serce Mary – długo trwało w zawieszaniu, zmrożone wieczną zimą.

„Dawno temu” – pomyślała. Poszła do City, do domu swoich rodziców. Frontowe drzwi ustąpiły, kiedy je pchnęła.

W hallu stała matka, przytrzymując zamknięte drzwi do salonu. W bladym styczniowym świetle kształty były rozmyte, jakby zapadał wieczór, lecz Mary i tak dostrzegła łyzy na jej twarzy. Zza drzwi dobiegł ją dźwięk kroków brata, który krążył po pokoju i gaworzył do siebie; cicho, nieskładnie wyrażając ciekawość i ekscytację.

– Mamo? – odezwała się Mary.

– Nie może widzieć, że płaczę – wyszeptwała matka. Jedną dłonią ocierała łyzy, drugą trzymała na kłamce. – I tak już dyszy. Tylko go to zdenerwuje.

– Czemu płaczesz? – zapytała.

– Nie powinno cię tu być. – Matka spuściła wzrok na podłogę. – Powóz już jedzie.

Na Mary spłynęła fala zrozumienia.

– Pierre – odezwała się.

Odpowiedziało jej milczenie.

– Dlaczego? – pytała.

– Nie ma na to rady. Pierre nie życzy sobie, żeby on tu był. Obiecaliśmy mu. Nie powtórzę ci, co powiedział, nie będę źle się wyrażać o twoim mężu. Pojedziemy do mojej siostry. Mary, proszę, nie protestuj. Już postanowione. Wiesz, że twój brat ma słabe zdrowie. Drugi raz takiej podróży nie przetrzyma.

Dochodzące z salonu kroki Elego przyspieszyły. Oddychać też zaczął szybciej, bardziej chrapliwie. Od dawna była wyczulona na ten dźwięk.

– Wpuść mnie – poprosiła. Matka odsunęła się od drzwi.

Gdy Mary weszła do środka, Eli odwrócił się, a na widok siostry buzia ułożyła mu się w zdziwione „O”. Uśmiechnął się szeroko i podbiegł do niej, a kiedy ukucnęła przy nim, ucałował jej usta.

– No, mój mały – powiedziała Mary, obejmując go mocno. – Za czym tak gonisz?

Nawet po jedenastu latach wyraźnie pamiętała zapach jego włosów, jego ciepło i iskierkę życia, którą trzymała w objęciach.

Zza okna dał się słyszeć turkot kół powozu i głos jej ojca, który odezwał się do kogoś.

– Zawiozą nas na Charing Cross – powiedziała matka. – Stamtąd pojedziemy dalej.

Po czym ta kobieta, na której opanowanie Mary zawsze mogła liczyć, wybuchła niepowstrzymanym płaczem.

Eli zakwilił cicho; Mary odsunęła się nieznacznie, by na niego spojrzeć. Na widok zapłakanej matki wyraz radości na jego twarzy ustąpił strachowi. Chłopiec zaczął płakać, a potem głośno krzyżeć. Kiedy do pokoju weszli jej ojciec i Mallory, musieli przytrzymać Elego, gdy matka siłą odrywała od Mary jego małe rączki, mocno wczepione w ramiona siostry. Kiedy udało im się zabrać jedną dłoń, tym mocniej zaciskał drugą. Następnego dnia miała sińce tam, gdzie jego paznokcie wbiły jej się w skórę.

Usłyszała za sobą jakiś hałas. Obróciła się na pięcie, choć wzrok przesłaniały jej łzy. Okazało się jednak, że to tylko głosy w jej głowie; dźwięki z odległej przeszłości. Przypomniała sobie mocny uścisk Mallory, która przytrzymała ją, żeby nie pobiegła za powozem. „Mallory – pomyślała – zawsze stara się mnie chronić”.

W tej chwili otaczała ją jedynie ciemność, której nie potrafił rozproszyć blask pojedynczej świecy. Mary odstawiła świecę i oparła się o ławę, walcząc z żalem i furią. Poczwała impuls, by zdemolować warsztat, porozrzucić rzeczy, podpalić je i patrzeć, jak płoną. Oddychała miarowo z nadzieją, że to minie. Falą wróciły wspomnienia z ostatnich jedenastu lat, niegdyś poblakłe, teraz aż nazbyt wyraziste. Chciała wyrzucić z siebie całą zawartość umysłu, a jutro zacząć wszystko od nowa. Nie było jednak powrotu.

„Wszystko zbrukałeś – pomyślała, przypominając sobie chwilę, kiedy Pierre wepchnął na jej palec ślubną obrączkę. – Jestem jak woda, do której wpuszczono kroplę atramentu; twój kolor na zawsze zabarwił moje życie”.

Rozdział XV

15 czerwca 1792

Ledwo moja żona zdążyła zadomowić się na Bond Street, natychmiast poprosiła, żeby sprowadzić to niedorozwinięte dziecko z powrotem do rodziny. Uśmiechnąłem się do niej, chociaż gniew zaczernił mi umysł. Dałem jej wszystko i byłem jej mężem, a ona nadal tęskniła za tym małym, nieudanym dzieciakiem. Cała sprawa skończyła się brzydko, jak się spodziewałem, przekonałem więc jej ojca, żeby wywiózł chłopca z Londynu, i to na dobre. Mary uparcie nie chciała o nim zapomnieć. Ostatni raz, gdy mnie poprosiła, odmówiłem. Tej nocy przymusiłem ją. Trochę się tego wstydzę. Jej nadgarstki w moich dłoniach wydawały się tak cienkie i kruche, że pomyślałem, iż mógłbym je zetrzeć na proch, gdybym chciał. Ciężko mi o tym myśleć: chociaż jest mi utrapieniem, żałuję, że sprawiłem jej ból. Nie będę się jednak tym zadręczał. W jej oczach dostrzegłem wolę, którą trzeba złamać, żeby nie stała się sekutnicą, jak jej siostra. Miałem do tego prawo.

Liczyłem, że ułagodzi mój gniew uległością i pokorą, lecz grubo się pomyliłem. Mam wystarczające środki, by zawsze zapewnić jej transport, lecz ona upiera się, żeby wszędzie chodzić piechotą. Obstaje też przy utrzymywaniu przynajmniej sporadycznych kontaktów z siostrą, która cieszy się wątpliwą reputacją. Ostatnimi czasy stara się mnie sobie zjednać, lecz ja wszędzie widzę jej kłamstwa.

Harriet siedziała przy sekreterze jak potulne dziecko, ubrana w bladuróżowy pikowany szlafrok z kapturem chroniącym od przeciągów. Powoli kreśliła list do matki; powieści ułożyła w stosik na krześle obok, w ramach motywacji do właściwego zachowania się. Skrzywienie pióra po pergaminie przyprawiało Joannę o ból zębów. Jej irytację pogłębiało jeszcze to, że kończąc każde zdanie, Harriet powtarzała je sobie półgłosem.

Głównym tematem konwersacji tego ranka był kolor wstążek, które najlepiej będą pasować do nowo zamówionej sukni pani Chichester. Strategia Joanny polegała na tym, by wyrazić zdecydowaną opinię na samym początku rozmowy. Taka pewna siebie postawa zazwyczaj wystarczyła, by doprowadzić dywagacje Harriet do szybkiego i zadowolającego końca. Sprawiało to też wrażenie, że Joanna jest istnym autorytetem w dziedzinie wstążek i że pani Chichester, zatrudniając ją, zyskała sobie usługi konesera. Dziś jednak służąca nie była wystarczająco szybka i nie dość stanowcza w swoich sądach, chociaż całe jej długie doświadczenie podpowiadało jej, że brak precyzji oznacza śmierć. Rozmowa tak się rozciągała w czasie, iż Joanna pomyślała sobie, że gdyby nie udało jej się skierować energii Harriet ku pisaniu długo odkładanego listu do mamy, chyba roztrzaskałaby o ścianę jedno ze srebrnych puzderek.

A teraz żaden *monsieur* Renard nie przyszedłby go naprawić. Nie ukloniłby się, wyciągając przed siebie jedną nogę, jakby był na dworze w Wersalu, a nie w londyńskim domu. Joanna nie wspomniała Harriet o jego śmierci. Słyszała o służącej, która straciła posadę przez to, że przyniosła nowinę o czymś zgonie.

Poprosiła o pozwolenie, by wyjść i przekazać instrukcje nowemu szefowi kuchni. Modny francuski kucharz pana Chicheстера odszedł przed tygodniem, Harriet zaś nie polubiła jego następcy, który straszliwie kaleczył samogłoski, nieudolnie imitując francuski akcent. Skutek był taki, że Harriet postanowiła przekazywać mu polecenia za pośrednictwem Joanny, początkowo w formie gryzmołonych w bólach notatek, a później ustnie. Dzięki temu Joanna każdego ranka mogła liczyć na kilka chwil wytchnienia przy kuchennym stole, pytając, czy do wieczornej kolacji naprawdę potrzebne będzie aż tyle sosów.

Zszedłszy na dół, przekazała instrukcje kucharzowi, który nie wydawał się zainteresowany. Zdażyła usiąść, kiedy do kuchni wpadł Oliver. Z oddali dobiegł ją nikły dźwięk srebrnego dzwonka stołowego, którym pan Chichester wzywał do siebie służbę.

– Niech pani lepiej idzie, panno Dunning – powiedział Oliver. – Ona wrzeszczy, aż szyby lecą.

Niepokój malujący się na jego twarzy natychmiast poderwał Joannę na nogi.

Minęła lokaja i pobiegła na górę, na główne schody, gdzie było słycać upiorne wycie, w którym ledwo dało się rozpoznać głos Harriet. Na schodach stało już dwóch innych służących. Twarze mieli pobladłe. Pan Chichester wysunął się z biblioteki z dzwonkiem stołowym w rękę.

– Co jej jest? – zapytał. Był widocznie wystraszony. – Pójdzie tam pani, na miłość boską?

Kiedy Joanna biegła po marmurowych schodach, w domu zapadła cisza. „Pewnie poroniła – pomyślała Joanna. – Muszę się na to przygotować. Będzie pełno krwi. Ona będzie mieć skurcze. Trzeba zawołać o brandy i gorącą wodę. Ktoś musi posłać po doktora Taylora, który miał przyjść z pierwszą wizytą po południu”. Otworzyła drzwi.

Jeszcze nigdy sypialnia, ze ścianami obitymi błękitnym jedwabiem i draperiami nad oknami z widokiem na plac, nie wydała jej się tak ogromna, a Harriet taka drobna. Siedziała skulona na podłodze przy łóżku i pojękiwała. Gdy usłyszała otwierane drzwi, spojrzała w górę na służącą, po czym wzięła głęboki oddech i zaczęła krzyczeć, jak dziecko, które widząc rodzica, wie, że wreszcie może podnieść raban.

Joanna podbiegła do niej. Pomyślała o czekających na dole ludziach, służbie i panu Chichesterze, zakrywających uszy dłońmi.

– Co się stało? – Jej głos przebił się przez wrzask. Nie było krwi, żadnych śladów poronienia, którego się spodziewała. Złapała Harriet za ramiona. Dziewczyną wstrząsał konwulsyjny szloch.

– Krwawi pani? – zapytała Joanna. Harriet pokręciła głową.

Na łóżku leżał list. Joanna chwyciła go jedną ręką, drugą cały czas przytrzymując panią Chichester.

Z głębokim żalem piszemy do Pani, by poinformować o przedwczesnej śmierci Pierre'a Renarda.

– Musi się pani uspokoić – stwierdziła. – Uspokój się.

Kątem oka dostrzegła ruch. To Jane, jedna z pokojówek, weszła przez otwarte drzwi i zbliżyła się ku nim. Obrzuciwszy dziewczynę jednym spojrzeniem, Joanna zauważyła coś niepokojącego w wyrazie jej twarzy.

– Nie kazałam ci tu wchodzić – powiedziała. – Wyjdź! Wyjdź natychmiast!

Podniosła głos na tyle, by dało się go słyszeć ponad szlochami Harriet. Pokojówka obróciła się i wymaszerowała z pokoju, wyprostowana jak struna.

Harriet kołysała się w przód i w tył, ciągnąc Joannę za sobą.

– Nie powinnam była mu odmawiać. Ona go zabiła – wyrzucała z siebie pomiędzy spazmami – mówił, że ona go nienawidzi. Mówił...

– Nie obchodzi mnie, co mówił – ucięła Joanna. Poczwała ucisk w skroniach. W jej umyśle, w jej wyobraźni, było miejsce tylko na jej własne sekrety. – Nie chcę tego wiedzieć – oświadczyła. – Musi się pani uspokoić, dla dobra dziecka.

Wzmianka o dziecku chyba przebiła się przez strumień myśli Harriet, bo ta zaczęła oddychać głęboko, z wysiłkiem, choć wydawała się zdziwiona tym, że została upomniana. Joanna głaskała ją po włosach, zastanawiając się, czy pokojówka nadal stoi gdzieś poza zasięgiem jej wzroku, przy ścianie obok drzwi.

– Cicho – powiedziała. Chciała, aby zabrzmiało to uspokajająco, lecz wydała z siebie syk,

ostrzeżenie.

Joanna spodziewała się, że doktor Taylor będzie niewysokim energicznym mężczyzną z kobiecą twarzą; wyobraziła go sobie tak dokładnie, że niezdamy olbrzym o szerokich ramionach i wesołej, grubo ciosanej twarzy, który przywitał się z nią przy schodach, wydał jej się oszustem. Poruszał się powoli, lecz z zaskakującą u człowieka tej postury gracją, jakby zwracał baczną uwagę na każdy gest. Pozdrowił Joannę z błyskiem sympatii w oczach, ale na widok Harriet wyraz jego oblicza stracił jakby odrobinę ciepła.

Kiedy położył wielką dłoń na obitej błękitnym jedwabiem poręczu leżanki, Harriet aż odskoczyła. Uśmiechnął się, patrząc przed siebie zamglonym wzrokiem, jak gdyby skupiał się na jakimś odległym punkcie na horyzoncie, nie zaś na swojej pacjentce.

– Pani Chichester – powiedział. – Nie musi się pani martwić. Postaram się być możliwie najbardziej delikatny. Lady Whiteacre twierdzi, że nie spotkała delikatniejszego lekarza.

Harriet się uśmiechnęła.

– Trochę się boję – przyznała.

– Nie ma powodu do strachu. Będzie pani pod staranną opieką. Pani mąż powiedział mi, że bardzo się pani zdenerwowała. – Taylor wstał i z uwagą położył dłonie na jej brzuchu. – Czy odczuwa pani jakieś dolegliwości?

– Nie – pisnęła Harriet drżącym głosem.

– Doktorze Taylor, jeśli wolno mi coś powiedzieć... – odezwała się Joanna, starając się zabrzmieć dystyngowanie, a przy tym pogodnie. – To tylko nadmierna wrażliwość. Pani Chichester czytała powieści. Bardzo gwałtownie na nie reaguje. Wywołują w niej silne emocje.

Doktor przerwał badanie, jakby próbował zrozumieć znaczenie jej słów. Potem uśmiechnął się i powiedział z udawaną surowością:

– Na pani miejscu wrzuciłbym je do kominka.

Joanna zmusiła się, by zachichotać.

– To książki od pana Holta – powiedziała. – Odniosę je do księgarni.

– Proszę to zrobić bezzwłocznie. – Taylor ujął Harriet za nadgarstek. – Czy mogłaby pani poczekać w pokoju obok, panno Dunning?

Joanna przeszła do garderoby. Jej dłoń powędrowała do zagłębienia pomiędzy obojczykami – gdzie miał spoczywać jej wisiorek. Gdy minęła początkowa panika, w Joannie obudziła się nadzieja, że medalion czeka na nią w sklepie Renarda. Miała już wstążkę do niego – małego, skromnego wisiorka z, jak to określił złotnik, „artystycznie zaaranżowanym” puklem włosów, chociaż zasugerowany przez niego kształt płaczącej wierzby zupełnie nie pasował do jej wspomnień o Stephenie. Uszczypnęła się tam, gdzie szyja przechodzi w dekolt; własna skóra wydała jej się bardziej wiotka niż kiedyś. Zbierało się na burzę; deszcz gniewnymi falami obijał się o szyby, w oddali Joanna słyszała niepokojący pomruk gromu. Cieszył ją ten hałas; jeśli Harriet by krzyknęła, ona nie chciała tego słyszeć.

Przed wyjściem lekarz powiedział pani Chichester, że jego zdaniem to prawda – spodziewa się dziecka. Zalecił odpoczynek, niewyszukane potrawy i uspokajające zajęcia, nie pobudzające nerwów. Joanna siedziała z Harriet, jedząc z nią ciastka owsiane, wprost z pieca pani Holland i jeszcze ciepłe, oraz popijając mleko, prosto od krów z Saint James's Park. Później położyła swą panią do łóżka, a ta zasnęła natychmiast, wymęczona wydarzeniami tego dnia. Joanna przez jakiś czas czuwała przy niej, patrząc, jak śpi.

Zeszła na dół długo po kolacji. Na schodach było ciemno, zimno i pusto. Gdy stała na górze, ledwo mogła dojrzeć białe i czarne płyty podłogi na parterze i mokre ślady zostawione przez kogoś, kto niedawno wszedł z zalanej deszczem ulicy. Służący nie pilnowali drzwi; mogła się założyć, że poszli się gdzieś napić, potańczyć, pograć w karty z lokajem i splukać się do cna.

A szachrajka Holland pewnie topiła na patelni ogarki świec, żeby jutro móc je sprzedać.

Joanna była zmęczona, a do tego zaczęło się jej krwawienie. Ból szarpał ciało, wznowiając comiesięczny test na wytrzymałość. Cieszyła się na myśl, że niebawem wróci do siebie i się położy. Kiedy jednak ruszyła w kierunku zamaskowanych drzwiczek na tylne schody, otworzyły się drzwi biblioteki, ukazując prostokąt migotliwego ciepłego światła i ciemny kontur sylwetki.

– To pani – odezwał się Nicholas Chichester. Wydało jej się, że mówi mniej wyraźnie niż zazwyczaj, lecz mogło to być tylko wrażenie – jego głos odbijał się echem po korytarzu, a ona była zmęczona. Dygnęła niepewnie na schodku, na którym się zatrzymała.

– Zejdzie pani do mnie? – zapytał i na powrót zniknął za drzwiami pokoju.

Wszedłszy do biblioteki, zauważyła, że Chichester wygląda bardziej nieporządnie niż zwykle, ubrany w pludry, koszulę i kremową kamizelę, na które narzucił ciemny szlafrok. Fular zwiślał pod szyją niezwiązany. Z włosów opadł mu puder; sterczały do góry, jakby wielokrotnie przeczesywał je ręką. Przechadzał się tam i z powrotem przed kominkiem, pogrążony w rozmyślaniach. Ogień buzował radośnie; światło podskakiwało i migotało, rzucając cienie na ścianę.

– Proszę pana? – odezwała się Joanna, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Zatrzymał się i popatrzył na nią.

– Wygląda pani jak z krzyża zdjęta – rzekł z troską w głosie. – Proszę usiąść.

Mówił odrobinę bełkotliwie; karafka na jego biurku była prawie pusta. Piętrzyły się tam sterty książek. Siadając na jednym z foteli pokrytych pięknym francuskim obiciem, dostrzegła numer „The Gentleman’s Magazine” niedbale rzucony w kącie.

– Musi być pani wykończona – stwierdził. – Miałaby pani ochotę na kieliszek wina?

Była tak zaskoczona tym pytaniem, że nic nie powiedziała, lecz jej wzrok powędrował ku karafce. Chichester się uśmiechnął.

Nalewał niepewną ręką, rozlewając nieco wina na blat. Kosztowna srebrna przywieszka z nazwą wina zabrzęczała o szkło, gdy odkładał karafkę. Jej widok skojarzył się Joannie z Renardem. Ujęła kieliszek i wychyliła jego zawartość dwoma łykami; wino było rubinowe, ciężkie i mocne.

– Doktor Taylor mówi, że moja żona jest zdrowa i ma się dobrze – powiedział Nicholas, stając przed kominkiem. – Że te jej krzyki i wycia zdychającego lisa były spowodowane chwilowym zaćmieniem umysłu. Że panie miewają czasem dziwne upodobania, kiedy są w odmiennym stanie. Co pani w tej sprawie podpowiada doświadczenie, jeśli mogę zadać tak niedyskretne pytanie?

Joanna nadal delectowała się smakiem wina.

– Każda kobieta jest inna – powiedziała.

Nicholas przytaknął, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Owszem. Ale to było dość dziwne, czyż nie? Taylor poradził mi tylko, żebym pozwalał jej jeść, na co tylko najdzie ją ochota, aczkolwiek nie bez umiaru. Zdaje się, że wspomniała słodczyce od Guntera.

Zaśmiał się, a kiedy padł na niego blask ognia, Joanna dostrzegła, że jedna strona twarzy zdrząła mu w nerwowym tiku. Służąca poczuła skurcz w brzuchu i z wysiłkiem zwalczyła chęć, aby się skrzywić. Marzyła o drugim kieliszku, lecz wiedziała, że nie może o to poprosić.

– Nie myślę o pani jako o służącej – odezwał się nagle Nicholas. Zaskoczona Joanna podniosła ku niemu wzrok. – Matka Harriet mówiła, że jest pani kobietą szlachetnie urodzoną, którą do obecnego statusu przywiodło nieszczęście. Mam jednak nadzieję, że zawsze będzie się pani czuła w tym domu kimś więcej aniżeli tylko służącą.

„Aha – przypomniała sobie. – Moja fałszywa osobowość. Może posunęłam się odrobinę

za daleko”. Chciała zmienić pracodawcę tak bardzo, że napisała sobie kwiecisty list polecający i sfałszowała podpis. Nie podjęła wątku.

– Dlaczego zawsze nosi się pani na czarno? – zapytał. – Na czarno albo na szaro. Jest pani w żałobie?

Milczała, w myślach próbując znaleźć odpowiedź, która by go zadowoliła. Jakby świadom, że nie połknęła przynęty, Chichester usiadł naprzeciwko niej.

– Czuję, że z panią mogę porozmawiać – powiedział. – Wydaje się pani spokojna, zawsze taka sama.

Był bardziej pijany, niż początkowo sądziła. „Przynajmniej cztery butelki” – pomyślała Joanna.

Chichester odchylił się na krześle.

– Po raz pierwszy zobaczyłem moją żonę na sali balowej w jakimś domu niedaleko stąd. Powiedziałem doktorowi, że wydała mi się taka idealna, że gdyby to było czterdzieści lat temu, to jeszcze tej samej nocy jakiś księżyna z Fleet[3] udzielałby nam pospiesznego ślubu.

„Idealna i bogata – pomyślała Joanna. – Nie powinieneś brać doktora za idiotę, jeśli chcesz, żeby był z tobą szczerzy. Doktor pewnie wie to i owo o małżeństwach ludzi z wyższych sfer”. Wyobraziła sobie Taylora, jak siedzi zgarbiony, czytając rubrykę towarzyską w „The Times”, zapisuje daty ślubów w notatniku, odlicza miesiące i zaznacza kolejną datę, by zaoferować swoje usługi przy kolejnych narodzinach. Podejrzewała, że w pewnym sensie jest taki jak ona: na wszystko ma baczenie; w końcu dobrze jest być przygotowanym. To niezbędne do przetrwania.

– Rozmawiam z panią bardziej szczerze, niż powinienem – mówił Chichester – lecz tylko pani mnie zrozumie, spędza z nią pani tyle czasu. Uczono ją, jak się sprzedąć na targowisku żon. I nie jest tym, kim się wydaje. Pani to wie.

Stęknął głośno.

– Martwiłem się o panią. Dręczy mnie, że musi pani znosić taki ciężar. A co do mnie... – Chwycił swój kieliszek i wlał w siebie jego zawartość. „Ja też poproszę” – pomyślała, starając się jednak udawać, że słucha. – Czuję się, jakby ciążyła nade mną jakaś klątwa – ciągnął. – Jej osobowość wydaje mi się niestabilna. Mówią mi, że z czasem to się zmieni, ale ja rozumiem logicznie, a widząc materiał, z jakim mam do czynienia... – zamachał ręką w powietrzu, a Joanna przestraszyła się, że zmiecie z biurka całe szkło – ...szczerze w to wątpię.

Siedzieli w ciszy nad pustymi kieliszkami. Płomień w kominku to wznosił się, to opadał.

– Ale cóż pani może z tym zrobić...? – podjął na nowo. – Proszę mi wybaczyć. Pewnie chce pani odpocząć.

– Jeśli można – odrzekła Joanna. – Jestem dosyć zmęczona.

Wstał i się uklonił. Ruch był nieznaczny, lecz dla niej miał znaczenie objawienia. Jego gest przebił się przez mury jej cynizmu, tak jak nie potrafiły tego zrobić słowa; w tej chwili bowiem wydało jej się, że patrzył na nią jak na damę, a nie jak na pokojową.

Rozdział XVI

16 czerwca 1792

Dziś rano zaniósłem projekty do pani Chichester, więc przez godzinę lub dwie byłem w siódmym niebie. Wróciłem do domu i natychmiast otoczyła mnie chmura niezadowolenia. Obiad. Potem obejrzałem szczucie terierów na szczury. Suka pana Rowana radziła sobie świetnie. Dobrze mi robi oglądanie przelewu niewielkiej ilości krwi. Pomaga to choć trochę wyładować kipiący we mnie gniew.

Później grałem w karty. Doktor Taylor cały czas był przy mnie jak dobry duch, lecz z młodym Maynardem grałem bardzo ostro. To porywcze, uparte chłopię, w którego spojrzeniu jakby czegoś brakuje. Byłem na tyle zaprawiony, że mu to powiedziałem. Roześmiał mi się w nos i powiedział: „O tobie mówią to samo, Francuziku”. Ograłem go wtedy, raz za razem – jakbym zabierał pieniądze dziecku. Przyszło mi wówczas do głowy, że połowę pieniędzy, którą wykladał na stół, pożyczyłem mu ja – i nie mogłem przestać się z tego śmiać. Zdenerwował się. Położył na stole tabakierę, zagraliśmy o nią i znowu wygrałem. Poznałbym ją wszędzie, nawet w słabym świetle, bo to typ, który widziałem wiele razy. Cyzelowana złota oprawa wyszła spod ręki ojca Mary.

– Jeśli ten dzieciak dalej będzie tak hałasował – powiedział Digby – skopię go ze schodów.

Sąsiadka w milczeniu popatrzyła na niego z dołu. W świetle poranka jej jasne włosy wymykające się spod czepka jego zmęczonym oczom wydały się podobne do aureoli. Miał zamiar pomstować dalej, lecz ten widok sprawił, że zawahał się i zamilkł.

– Proszę go uciszyć – powiedział w końcu.

Potarł oczy. Sen uciekł, przegoniony przez tupot dziecka, zbiegł jak szydercze widmo. Sąsiadka odwróciła się bez słowa, bez uśmiechu. Digby wrócił do swojego pokoju, czując się głupio, że tak spuścił z tonu. Trzasnął za sobą drzwiami.

Święte i pobożne: dawniej same garnęły się do niego, czegoś szukając; teraz na każdym kroku rzucały mu się w oczy. Raz niemal się z taką ożenił – jak też miała na imię? Nie był na tyle cyniczny, by nie wstydzić się, że nie pamięta. Przed oczami nadal miał jej twarz, spojrzenie, jakim często go obdarzała. Jakby był dla niej źródłem radości, przedmiotem kultu, alchemikiem umiejącym przemienić w złoto kurz i popiół ich życia. Nie wytrzymali próby czasu. Przez długie lata, kiedy byli zaręczeni, ta radość zbladła; więcej przyjemności czerpała ze słów księdza niż z towarzystwa Digby'ego. Pewnego dnia nie mieli sobie już nic do powiedzenia i oboje zrozumieli, że spoiwo, które trzymało ich razem, się ulotniło.

Nie pamiętał, jak to się skończyło. Tylko to, że powiedziała mu z półuśmiechem na twarzy, tak że nie wiedział, czy to obelga, czy przejaw czułości: nie masz duszy, Edwardzie. A gdyby mógł sprowadzić ją teraz z powrotem pod swoje drzwi, zaprosić, by weszła po ciemnych schodach do jego pokoju, gdzie mimo starań w kątach leżał brud, powiedziałałby jej: Alice czy tam Jane, czy tam Emmo, kimkolwiek jesteś, nie masz racji.

Dręczyła go niezagojona rana. Nie na ciele, lecz gdzie indziej. Czuł ją, a zatem wiedział, że – choć wcześniej nie zastanawiał się nad tą kwestią – on też ma nieśmiertelną duszę. Wcześniej miał siebie tylko za cielesny byt, zestaw nawyków i przyzwyczajzeń rządzonych rytmem świata; mógł wskazać palcem na to i owo i powiedzieć: w tym leży powód. Matka mówiła mu, że był wynikiem przygody ze szlachcicem. Chociaż głośno ją za te słowa ofuknął, jakaś jego część w to uwierzyła. Rysy miał delikatne: orli nos i bladoniebieskie oczy wydawały się dowodem na poparcie słów matki. Tajemnicę swego pochodzenia zagrzebał głęboko w sercu, tylko od

czasu do czasu pozwalając sobie o niej myśleć. Wzbudziła w nim poczucie, że do pewnych rzeczy powinien mieć prawo, a ono z kolei sprawiło, iż zaprzepaścił jedyną szansę, jaką dał mu los.

Jako chłopiec został oddany do terminu u złotnika, a pewnego dnia kazano mu zanieść wiadomość do domu bogatego klienta. Miał wtedy czternaście lat; ogrom przedsiönka tamtej rezydencji przytłoczył go, tak jak celebranta przytłacza kopuła londyńskiej katedry Świętego Pawła. Oczywiście, słyszał opowieści o życiu bogaczy, lecz do tej pory nie zobaczył tego na własne oczy: to trzeba było zobaczyć. Obrazy. Jedwab. Marmury. Srebro. Cały ten przepych głęboko go poruszył, dotąd nieukierunkowanej niechęci nadając siłę i kurs. Stał się zgorzkniały i trudny i stracił posadę terminatora.

Przez lata podsyczał w sobie to zgorzknienie, karmiąc się rozmyślaniami o życiu tych, których strzegł w nocy. Czasami przechadzał się po Berkeley Square i okolicznych ulicach nawet w dzień, nie do końca wiedząc po co, wiedziony jedynie przymusem, by widzieć i poznać wszystko. Teraz jednak zdawał sobie sprawę, że jest czymś więcej niż tylko sumą swych gorzkich myśli i niechęci.

Próbował dojść do źródła tej świadomości. Kiedy przewracał butem ciało Renarda, był jeszcze dawnym Digbym, mocno stąpającym po ziemi. Być może zatem stało się to przed Świętym Jakubem, kiedy zobaczył, jak Mary Renard spogląda w niebo wzrokiem pełnym uczucia, które jakby rozpoznał; a może to przez dotyk zegarka Renarda pod palcami, gdy wracał z Czerwonego Lwa po tym, jak Maynard rzucił swoją groźbę. Nie, to nie stało się w żadnej konkretnej chwili; był to stopniowy proces.

„I ty, i ja jesteśmy w pułapce” – pomyślał, przywołując w myślach twarz Mary. Oplakujemy to, co już było, i to, co mogło się stać. Odniósł też wrażenie, nieskażone przez tkwiącą w nim gorycz, że w tej kobiecie jest jakby świętość, której świat jeszcze nie zdołał zniszczyć. Nie chciał jej zdobyć, chciał tylko ją chronić.

Przypomniał sobie zapach wina i mięsiwa w oddechu Maynarda oraz jego natarczywy wzrok i próbował zgadnąć, jaka to siła go napędza. Szczelnie owinął się kocem, w szorstkiej tkaninie szukając odrobiny ciepła. „Będę ją miał na oku – pomyślał. – Jeśli zdołam złożyć w całość elementy układanki, może uda mi się uratować i siebie, i ją. Może obojgu nam uda się uwolnić”.

– Muszę się dopasować do miejscowych standardów – powiedziała Avery i uśmiechnęła się szeroko znad filiżanki herbaty, którą przed chwilą podała jej Mary. – Kiedy tylko postawiłam stopę na londyńskim gruncie, zdałam sobie sprawę, że potrzeba mi tuzin nowych czepków na dzień. Byłam już u bławatnika i podałam twoje nazwisko, kochana. Żartuję. Oczywiście, że żartuję! Mam tu robić za twoją szacowną towarzyszkę. Będę nosić tylko tę nudną znoszoną czarną kieckę i podpierać ściany.

Starła się rozweselić atmosferę i dobrze jej szło. Udało jej się wywołać uśmiech na twarzy Mary: słodki uśmiech, który wymagał wysiłku. Obie były blade i miały ciemne obwódki pod oczami.

Ostatnie noce były bardzo ciężkie. Kiedy Mary szła spać, Avery siadała przy niej, czuwając nad nią i głaszcząc ją po włosach, gasząc świece. Mary spała spokojnie przez jakąś godzinę, po czym budziła się z krzykiem i waliła pięściami w zamknięte drzwi sypialni.

– Jesteś straszliwie silna – powiedziała Avery za pierwszym razem, kiedy tak się stało. – Stare drzwi aż drżały we framudze.

– Powinnaś zostawiać mnie samą – mówiła Mary. – Obudzę się, a potem wrócę do łóżka. Nie chcę być nikomu ciężarem, chcę sama dawać sobie radę.

Chociaż się z tego nie zwierzała, wydawało jej się, że widzi Elego wszędzie. Stał na leżance w oknie salonu i wyglądał w dół na ulicę, a jego złote włosy podświetlało słońce. Bujał się na poręczy u szczytu schodów. Jego widok był pokrzepiający, ale miał jeden minus. W jej

urojenia Eli zawsze stał do niej tyłem, nigdy nie mogła zobaczyć jego twarzy. Patrzył na Bond Street, a ona czuła, że ciekawi go to, co widzi, dostrzegała jego nieznaczne ruchy, które pozwalały mu lepiej się przyjrzeć, lecz nigdy się nie odwracał i nie uśmiechał do niej.

Na dole zadzwonił sklepowy dzwonek. Mary skrzywiła się, a Avery to zauważyła.

– Nie chciałabyś wyjść na chwilę? – zapytała łagodnie. – Mallory twierdzi, że za bardzo zamkasz się w czterech ścianach.

– Zapewne ma rację – zgodziła się Mary. – Pierre wołał, żebym siedziała w domu, jeśli z nim nie wychodziłam. A ja zawsze byłam domatorką. Myślę, że jestem trochę jak Eli. On wołał, żeby nic się nie zmieniało. Chodził po domu i dotykał to tego, to owego, jakby z pamięci. Uspokajało go to.

– Pamiętam, jak do nas przyjechał. Twoja matka mówiła, że wszystko robiliście razem.

– Tak było – przyznała Mary. W oczach stanęły jej łzy. Poczowała wzbierającą w niej falę żalu; do jej uwolnienia wystarczyłby najmniejszy ruch. – Kiedy umarł, a po nim odeszli matka i ojciec, czułam się, jakby wyrwano mi korzenie. Od tego czasu błędzę w ciemności. Oprócz tych paru dni po tym, jak usłyszałam o jego śmierci – wówczas budziłam się co rano, nim nadchodziła ta świadomość, i słyszałam kroki Elega. Były tak wyraźne jak dzwony w kościele. Wydawało mi się, że jest ze mną, ale tylko przez chwilę, później przypominałam sobie, że już go nie ma, i było mi przez to ciężiej.

– To całkiem normalne, by w ten sposób dawać upust żalowi po stracie ukochanej osoby – powiedziała Avery.

– Bardzo mnie cieszy, że mogę o nim porozmawiać. Ale nie potrafię zapomnieć... – Zawiesiła głos. – Wybrałam Pierre'a. Eli nie umarłby tak wcześnie, gdyby nie ta decyzja. A podjąwszy ją, nie potrafiłam się jej trzymać, dręczyło mnie to cały czas. Mój ojciec powtarzał mi, Pierre zresztą też, że moim obowiązkiem jest bycie dobrą żoną. Ale ja nie mogłam.

Łzy na jej policzkach powoli wysychały; popatrzyła na Avery nieruchomym wzrokiem, który skojarzył jej się z Mallory.

– Nie mogłam się na to zdobyć.

– Mary – odezwała się Avery. – Nie zrobiłaś nic złego.

– Wydaje mi się, że zrobiłam.

Zauważyła, że wreszcie zwróciła na siebie uwagę kuzynki. Avery zawahała się, a w jej niebieskich oczach pojawił się cień wątpienia. Mary ciągnęła dalej:

– Jako młoda małżonka miałam, jak mi się wydaje, to samo usposobienie co dawniej.

Kiedy moi rodzice zostali zmuszeni do wywiezienia Elega, poszłam porozmawiać z Pierre'em; nie ukrywałam gniewu. On jednak miał swoje sposoby, by mnie uciszyć. Nie będę o nich mówić. Nie minęło wiele czasu, a zaczęło zależeć mi tylko na tym, żeby się nie narazić, żeby nie denerwować go bez potrzeby. Za wszelką cenę starałam się złagodzić jego zły nastrój i zatrzeć wrażenie, że byłam dla niego niesprawiedliwa. Pewnego dnia przyszedł do mnie list od matki. Kiedy przyniosła go służąca, Pierre'a nie było w domu, więc postanowiłam go otworzyć, nim on go zobaczy. Gdy tylko poznałam pismo matki, nie mogłam się powstrzymać. Donosiła, że Eli ma się źle. Że nie ośmieliłaby się do mnie pisać, gdyby nie to, że on jest bliski śmierci, a jego oczy szukają czegoś z taką desperacją, iż nawet jej modlitwy nie są w stanie tego przeczyczyć. Że jej jedynym życzeniem jest, abyśmy się zobaczyli. A ja, nieszczęsna idiotka, zaniósłam ten list do Pierre'a. Pomyślałam, że słowa matki poruszają jego serce.

Siedziała wtedy bez ruchu we własnym salonie. Twarz Pierre'a wykrzywił grymas obrzydzenia. Czekala do wieczora w nadziei, że tego dnia interes będzie szedł dobrze i mąż będzie w dobrym humorze. Jednak gdy tylko podała mu list, natychmiast zmienił się na twarzy.

– Czy już do końca życia ma mnie prześladować to niedorozwinięte dziecko? – zapytała. –

Na Boga, ty nigdy się nie zmienisz. Nigdy nie zrozumiesz swojej powinności wobec mnie.

– To mój brat – powiedziała.

Ruszył się błyskawicznie, bezszelestnie, przecinając powietrze. Poczowała podmuch na moment przed tym, jak jego dłonie zacisnęły się na jej nadgarstkach, wykręcając jej ręce do tyłu, niemal wpychając ją do kominka.

– Nie ugniesz się inaczej, jak tylko przez ból – wysyczał. Przez chwilę wydawało jej się, że zamierza ją spalić tu i teraz, i z zaskoczeniem stwierdziła, że nie czuje strachu. Od gorąca na jej twarz wystąpiły drobne kropelki potu; patrzyła w płomienie, aż zaczęły ją szczypać oczy. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku; w tamtej chwili myślała – a może ta myśl przyszła jej do głowy dopiero teraz? – że naprawdę chce umrzeć. Na dole odezwał się sklepowy dzwonek.

Grisa nadal obsługiwał klientów, którzy z podziwem patrzyli na gładkie zimne srebro wyłożone na półkach.

– Należysz do mnie – powiedział Pierre cienkim, wysokim głosem. Głosem młodego chłopaka. – Zawsze będziesz do mnie należeć, za życia i po śmierci. – Jego ręce mocniej zacisnęły się na jej nadgarstkach. – Uszanujesz przynajmniej jedną część złożonej mi przysięgi. Będziesz mi posłuszna.

Mary wysiłkiem woli przywołała się do rzeczywistości. Kurczowo trzymała poręczę krzesła, drewniane i gładkie. Popatrzyła kuzynce w twarz.

– I tak się stało – powiedziała. – Nie próbowałam uciec. On spalił list. Przebił go pogrzebaczem; patrzyłam, dopóki płomienie nie pochłonęły go do ostatka. Trzymał mnie tak, a ja płakałam. A teraz, z perspektywy czasu, wydaje mi się, że byłam strasznym tchórzem. Wtedy myślałam, że jestem do niego przywiązana więzią, której nic na tym świecie nie może rozerwać. Ale teraz zastanawiam się: czemu nie odeszłam? Nie znalazłam sposobu, by wrócić do brata, do rodziny. Rozumiesz mnie? A mogłam wszystko zmienić.

– Łatwo tak teraz powiedzieć – odezwała się Avery. – Lecz nie bierzesz pod uwagę przeszkód, jakie stanęłyby ci na drodze. Twoi rodzice by ci za to nie podziękowali, przyniosłabyś im wstyd.

– To lepsze, niż być taką, jaką się stałam. Słabą, obciążoną smutkiem i goryczą. Nie mam w sercu chrześcijańskiej miłości. Pochłaniają mnie poczucie winy i nienawiść. Były całe dni, całe tygodnie, kiedy żyłam bardziej w swoim świecie niż w rzeczywistości. A wszystkie moje rojenia były mroczne. Budziłam się i krzyczałam z furją, jaką powinnam okazywać mu na jawie. Nie miałam pojęcia, co działo się przez ostatnie godziny. Co zrobiłam? Do czego jestem zdolna?

– Nie mów tego głośno – powiedziała Avery. – Nie mów.

Mary pochyliła się do przodu.

– Cały czas widzę śmierć Pierre’a. Nazbyt wyraźnie.

– Cicho... – Twarz Avery była poważna. Obejrzała się przez ramię, nim znów się odezwała: – Mnie mogłaś się z tego zwierzyć. Ale więcej nie mów tego głośno.

– Kiedy taka jest prawda.

– Nie ma pożytku z prawdy, która może jedynie zaszkodzić – powiedziała Avery. – Nie zrobiłaś nic złego, Mary. Nie byłabyś zdolna kogokolwiek skrzywdzić. – Przynęła się bliżej, by móc zniżyć głos do szeptu. – Chciałabym, żebyś to ty zrobiła. Przez wzgląd na Elego. Tylko na niego. Ale to nie byłaś ty. Tyle tylko wiem i tyle wiedzieć muszę. – Odchyliła się na krzesło i zabębniła nerwowo palcami o kolana. – Nie będziemy więcej o tym wspominać. Potrzebne ci świeże powietrze, pójdziemy dzisiaj do parku. Tak postanowiłam.

Kiedy wróciły ze spaceru, drzwi łączące sklep z domostwem były otwarte. Za nimi stał Grisa i starannie układał pierścionki na wystawie. Benjamin opierał się o framugę drzwi na zapleczce ze ścierką w rękach i patrzył prosto na Mary. Nie wstydził się już podnosić na nią wzroku,

choć jego spojrzenie było dziwne, przenikało przez nią, jakby była niewidzialna.

Trzymał się też bardziej prosto, nie garbił się już i nie podskakiwał nerwowo za każdym razem, kiedy Grisa wydawał mu polecenie.

– Zeszłej nocy widziałem pana Renarda, proszę pani – powiedział. Grisa zamarł w pół gestu i zmierzył Benjamina złym wzrokiem.

– Co masz na myśli? – zapytała Mary.

– Odkładałem rzeczy na zaplecze. A on przeszedł przez drzwi. Tylko przeszedł, nawet na mnie nie spojrzał. Kiedy wyszedłem, już go nie było. – Postąpił krok w jej kierunku. – To był on, proszę pani, na pewno on. Chciał sprawdzić, czy wszystko w porządku. Takie mam wrażenie.

Znów zaczął wycierać ręce, powoli i z namysłem.

Mary popatrzyła na Grisę, który pokręcił głową.

– Niech pan kręci głową, jeśli taka pana wola, panie Gie[4] – odezwał się Benjamin. – Ale prędzej czy później to wszystko będzie moje.

Mary mu się przyjrzała. Wyraz jego twarzy, ton głosu, nawet ruchy były jakby groteskową imitacją jej męża. Poczowała obrzydzenie.

– Benjaminie. – Jej głos zabrzmiał dźwięcznie i surowo. Czeladnik nie uznał za słuszne się odezwać, uniósł tylko brwi. Wytrzymała jego spojrzenie. – Zważ na moje słowa – powiedziała. – Testament testamentem, lecz jeśli jeszcze raz tak się przy mnie odezwiesz, każę cię złoić i wyrzucę na bruk.

Serce tłukło jej się w piersi, gniew kipiał. Benjamin popatrzył na nią, ale nic nie powiedział. Avery położyła dłoń na ramieniu Mary.

– Mary, chodź już. Taylorowie zaraz tu będą.

Ona jednak się nie odwracała, dopóki Benjamin patrzył jej w twarz. W końcu ugiął się pod jej spojrzeniem; już po chwili spuścił wzrok na podłogę.

Było wpół do ósmej. Doktor Taylor uparcie rozprawiał o ostatnich wiadomościach z Europy. Słuchając jego monologu, Amelia trzęsła się jak w gorączce. Po jej twarzy spłynęła mętna kropelka potu.

– Do diabła, James! – fuknęła w końcu, a Mary ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że owo drżenie miało być wyrazem irytacji.

Doktor Taylor wydawał się nieporuszony tym, że jego żona nabrała zwyczaju przeklinania, który kultywowały panie z arystokratycznych kręgów; Mary odniosła wrażenie, że być może jest nawet z tego dumny. Wyobraziła sobie, co by było, gdyby odezwała się tak do Pierre'a, wzbudzając tym jego poplątane poczucie krzywdy.

– Cierpliwości, moja droga – uspokoił żonę Taylor, po czym zwrócił się do Mary: – Rozmawiałem z Grisą. Jego zdaniem przez wzgląd na bezpieczeństwo najlepiej będzie, jeżeli się tutaj przeprowadzi. Argumentował swoją prośbę bardzo racjonalnie. Jeśli byłoby to dla pani do zaakceptowania, być może...

Fala wdzięczności, jaka zalała Mary, zaskoczyła ją samą.

– Uważam, że to dobry pomysł – powiedziała. – Tak będzie dużo bezpieczniej. Ostatni z moich lokatorów wyprowadził się dzień po pogrzebie. Pan Grisa może zająć dwa pokoje na drugim piętrze, salon i dwa pokoje na pierwszym piętrze zostaną nasze. To całkiem dogodne rozwiązanie.

– Bardzo pani wielkoduszna – stwierdził Taylor. – Ja sam nie narażałbym pani na takie niedogodności. Skoro zdecydowała się pani tak mieszkać, przyślę tutaj murarza. Pani kwatery powinna mieć osobne wejście. Przyda się dodatkowa ściana z solidniejszymi drzwiami, gwoli przyzwoitości. Będzie je pani mogła zamykać na noc, tak jak wewnętrzne drzwi.

– Och, James – odezwała się Amelia. – Czemu myślisz, że pani Renard chciałaby się za-

murować?

Zignorował tę uwagę; coś w jego cichym, smutnym spojrzeniu powiedziało Mary, że Taylor nie da się odwieść od tego pomysłu. Zerknęła na Avery i zauważyła niepokój malujący się na jej twarzy.

Znowu poczuła, jak wzbiera w niej gniew, niczym morze; jakby jej dusza pełna była wody przelewającej się to w tym, to w innym kierunku. Przed oczami stanęły jej fale Tamizy. Jako dziecko przyglądała się im z promenady. Za nią stali jej rodzice; Mallory trzymała Elega za rękę i pokazywała mu palcem śmieciarzy, którzy przekopywali błoto przy brzegu. Eli śmiał się, przerywając tylko na chwilę, aby zgarnąć trochę mułu i go posmakować. Mary rzuciła się ku niemu, a gdy zobaczyła, z jakim zażenowaniem spojrział na nią, kiedy przykryła dłońmi jego małe, uniesione ku buzi rączki, nie mogła powstrzymać śmiechu.

Taylor odchylił się na krześle, a to zaskrzybiało pod jego ciężarem.

– Dobrze się pani czuje, kochana pani Renard? – zapytał. W jego oczach malowała się szczerą troską. – To dla pani dobra. Moim obowiązkiem jest panią chronić.

„Pierre wyszydziłby delikatność doktora” – pomyślała. Jego łagodność była niczym rysa, szczelina w murze, przez którą cisnęły się do środka nienazwane lęki. Uśmiechnęła się przyjaźnie i spróbowała go uspokoić.

Następnego dnia dwóch ludzi przyniosło naręczę żółtych londyńskich cegieł. Rozrobili zaprawę i zbudowali dodatkową ścianę, zostawiając na podłodze białe błotniste kresy, przywodzące na myśl martwe gąsienice. Mary zastanawiała się: przed kim chcesz mnie chronić, doktorze?

Rozdział XVII

18 czerwca 1792

Przyjemny wieczór z Taylorem; rozmawialiśmy o moim zakładzie i o tym, jak dobrze mi się powodzi. Mary siedziała w kącie z robótką. Gdybyż Taylor wiedział, ile kosztuje mnie każdy uśmiech w jej kierunku i każde łagodne słowo. Za każdym razem, kiedy wspominam o konieczności powiększenia mieszkania, on konstatuje, że to czy owo na pewno spodoba się Mary. Słucham tego z obojętną twarzą, choć burzę się, widząc, jakie okazuje jej względy. Za długo ją rozpieszczęłem. Gdyby nie ona, kto wie, jakie bogactwa bym teraz posiadał.

Kiedy Mary poszła spać, wysuszyliśmy kolejną butelkę i wesoło gadaliśmy o niczym. Bez ustanku chwalił srebrny imbryk, który sprzedałem mu jakiś miesiąc lub dwa temu; nie powiedziałem mu, że kupiłem go pięć lat wstecz. Taylor zupełnie nie ma gustu.

Z mebli w największych pokojach ściągano pokrowce – na polecenie pana domu. Pani domu – Harriet – zachowywała się tak, jakby zupełnie jej to nie obchodziło.

– Chciałabym pójść dziś do kościoła – oznajmiła Joannie. – Sama.

Zażyczyła sobie założyć koronkę, którą dostała od matki. Joanna odwinęła chroniący ją papier, a po pokoju rozszedł się zapach lawendy zapakowanej wraz z koronką. Było to zmysłowe doznanie, drobna przyjemność rozweselająca ponury i szary poranek. Starannie przypięła koronkę do złotych loków Harriet – nieupudrowanych, cięża bowiem sprawiła, że dziewczyna nie mogła znieść zapachu połowy kosmetyków pozamykanych w srebrnych puzderkach od Renarda i ustawionych na toalecie. Następnie służąca nałożyła na głowę Harriet kapelusz. Jej pani siedziała cierpliwie i potulnie, niczym nowicjuszka, która niebawem ma przyjąć śluby. Gdy Joanna odłożyła puzderka z powrotem na miejsca, pani Chichester wychyliła się do przodu i ucałowała jej dłoń. Na ten nieoczekiwany przejaw czułości Joanna aż podskoczyła.

– Dziękuję – powiedziała Harriet. – Jesteś dla mnie taka dobra. Pomożesz mi zejść ze schodów?

Joanna podała jej ramię. Zeszły na parter i udały się do głównego wejścia, przy którym stali Will i Oliver. Po całym wieczorze spędzonym na picciu rabarbarowego wina wyglądali, jakby było im niedobrze. Joanna przyglądała się Harriet, gdy ta wsiadała do powozu. Odjeżdżając, Harriet podniosła drobną dłoń i pomachała do pokojowej, a ta instynktownie odwzajemniła ten gest. Powóz jednak zdążył już odjechać. Odwróciwszy się, Joanna zauważyła, że Will, lokaj, też kpiąco macha ręką.

– Nie pozwalaj sobie – powiedziała.

– A niby czemu mam cię słuchać? – zapytał, składając ręce na piersi.

– Dlatego że stoję ponad tobą w hierarchii tego domu i wszędzie indziej też.

– Myślisz, że jesteś ode mnie taka znowu lepsza?

– To nie wymaga myślenia – odcięła się i zmusiła go, by ją przepuścił, wbijając mu łokieć w mostek. Ta drobna demonstracja siły sprawiła jej przyjemność; przez chwilę miała ochotę rzucić się na niego i tłuc go pięściami, dopóki by nie zamilkł. Uratowała go jednak jedna z pokojówek, która chyżo zbiegła po kamiennych schodach.

– Pan chce panią widzieć, panno Dunning – powiedziała. – Jest w dużym salonie. Powiedział, że mam odłożyć odkurzanie na później.

– Pan chce panią widzieć! – zapisał Will szyderczo. Joanna spiorunowała go spojrzeniem i ruszyła na górę.

Zatrzymała się na progu salonu. Wielkie drzwi były otwarte. Nicholas Chichester stał

przy jednym z okien.

Do tej pory widziała ten pokój jedynie otulony białymi pokrowcami chroniącymi meble i ściany od kurzu. Teraz ukazał się jej w całym majestacie. Ściany obito zielonym adamaszkiem; kolor był soczysty i nasycony nawet w bladym zimowym świetle. Drobne detale połyskiwały złoceniami i migotliwym szkłem. Krzesła i leżanki zdobiła szmaragdowa tapicerka ze złotą lamówką. Wszystkie barwy były tak żywe, że Joanna poczuła, jak poruszają jej zmysły zupełnie tak jak muzyka, która czasem zwalniała rytm jej serca lub przynosiła zapach dawno zapomnianych przeżyć.

Pan Chichester spojrział na nią i uśmiechnął się, widząc wyraz zachwytu na jej twarzy.

– Proszę wejść – powiedział.

Joanna zdała sobie sprawę, że stoi z rozdziawioną buzią, natychmiast więc ją zamknęła. Wchodząc na ułożoną na legarach podłogę, miała ochotę stąpać na palcach, onieśmielona ogromem przestrzeni. Jeszcze bardziej pragnęła dotknąć tkaniny na ścianach i meblach, wiedziała jednak, że najmniejszy dotyk może je zaplamić. Oba ogromne kominki ze sienneńskiego marmuru były niedawno czyszczone; z odległych końców pokoju patrzyły na nią szklanymi oczami dwie pary kariatyd podpierających ich gzymsy. Nad kominkami zawieszono duże lustra, których powierzchnia obramowana była rzeźbionymi owocami i wijącymi się wzorami. Chociaż Joanna mrużyła oczy, nie potrafiła stwierdzić, jakie motywy kryją się w tej płataninie. Po bokach każdego lustra wisiały kinkiety z pozłacanego srebra, które miały odbijać blask osadzonych w nich świec.

Służąca popatrzyła na sufit i głośno wciągnęła powietrze. Nad jej głową widniało obramowane sztukaterią malowidło ze sceną mitologiczną, tak bogatą i szczegółową, że nie mogła ogarnąć jej wzrokiem.

– Jowisz – rzucił Chichester.

Pod stopami boga namalowano złote słońce, z którego spływał deszcz kryształowych kropeł – ogromny żyrandol z fasetowanymi kryształkami, czekającymi na moment, gdy będą odbijać blask setki świec.

– Zobaczy pani, jak będzie wyglądał zapalony – odezwał się Nicholas. Stanął pół metra od niej, założył ręce za plecami. – Zapiera dech w piersiach, prawda? Nie jest to wprawdzie Devonshire House ani Lansdowne House, ale i tak stanowi miniaturowe dzieło sztuki. Wszystko to za sprawą mojej ciotki. Mieszkała tu sama przez wiele lat po śmierci męża.

„A jeśli chodzi o kwatery dla służby, była straszną sknerą” – pomyślała Joanna, która musiała stoczyć walkę o to, by w jej pokoju pojawił się choćby mały stolik. Jedną kobietą i wszystkie te świece, adamaszki, złoto i szkło. Całe to powietrze tylko dla niej. Myśl ta zepsuła Joannie przyjemność przebywania w tym pomieszczeniu.

– Jak się miewa pańska ciotka? – zapytała.

– Dość dobrze, niemniej nie na tyle, by wracać do Londynu – odpowiedział. – Podyktowała służącemu list z prośbą, żebym pootwierał największe sale i korzystał z nich. Píše, że nie widziała żadnych wzmianek o mnie w londyńskich gazetach i że jest tym rozczarowana. Jako jej ulubiony bratanek muszę stosować się do jej poleceń. Myślę, że zadowolony ją drobne przyjęcie i długi list. Dopiero co kazałem zdjąć pokrowce z mebli...

Położył dłoń na złoconym podłokietniku jednego z krzeseł.

– Wspaniale... – zaczął. – Wciąż z pochyloną głową zerknął na Joannę. – Widzę, że docenia pani piękno – rzekł. – Przyznaję, że trochę martwi mnie perspektywa zabawiania dam siedzących z filiżankami herbaty na tych jedwabiach.

– Jakie to będzie przyjęcie? – zapytała, w myślach przeglądając suknie Harriet i oceniając, która nada się na tę okazję.

– Myślę, że setka gości zaproszonych na wieczorną herbatę i lekką przekąskę nikomu nie zaszkodzi. Sądzi pani, że moja żona temu podolea? Czy dwie godziny wymiany uprzejmości nie będą ponad jej siły?

Joanna dygnęła.

– Nie miałem zamiaru tamtego wieczoru zarzucać pani swoimi problemami... – powiedział.

– Proszę się tym nie przejmować – odrzekła.

– Po prostu mam do pani zaufanie. – Uśmiech nadał jego twarzy chłopięcy wyraz, nieliczący z jego formalnym strojem. – Chciałbym móc myśleć o pani jako o swojej stronniczce. Nie będzie mnie przez kilka dni. Mam do załatwienia pilną sprawę. Pani Holland mówiła mi, że moja żona pochłania całymi beczkami ostrygi, można więc odnieść wrażenie, że nie dba o siebie i o dziecko tak, jak powinna.

„Jaka z tej Holland złośliwa małpa” – pomyślała Joanna. Na głos nie powiedziała jednak nic.

– Gdy mnie nie będzie, niech pani czuwa nad moją żoną – poprosił. – Może mogłaby pani zwracać uwagę, co ona je i o co prosi, i na ogólny stan jej zdrowia. Czułbym się lepiej, wiedząc, że ktoś dba o nią w ten sposób.

Na moment położył dłoń na jej dłoni; ciepło dotyku rozgrzało jej zgrabiłą skórę.

– Ufam pani, Joanno. Dostanie pani, o co tylko poprosi. Dodatkowy opał, atrament, papier, więcej świec. Rzeczy, które odzwierciedlają pani status w tym domu.

– Dziękuję panu – odrzekła Joanna.

Harriet wróciła nadąsana.

– Widziałam w kościele panią Williams – powiedziała, mijając Joannę, która podążyła za nią po schodach. – Myślałam, że o takiej porze będę tam sama. Że będę mogła się wypowiedzieć... – Zatrzymała się, uśmiechnęła i wyszeptwała Joannie na ucho: – Jak papistka!

Joanna odwzajemniła uśmiech, choć czuła, że ten wyraz twarzy do niej nie pasuje; świadczy o przewinieniu.

– Jak wyglądała? – spytała, starając się załagodzić to poczucie.

– Bardzo ładnie – stwierdziła Harriet. – Miała na sobie zieloną jedwabną suknię ze srebrną koronką i zieloną wstążkę, długą chyba na milę, wplecioną we włosy pod ogromnym kapeluszem. Jej loki wiły się wszędzie. Całkiem mnie przyćmiła.

– Ależ proszę pani, pani zawsze wygląda tak uroczo! – powiedziała Joanna odruchowo. Znajoma reakcja uspokoiła ją. Prawienie pochlebstw było jedną z pierwszych umiejętności, jakie nabyła, kiedy jeszcze przyszywała wstążki do czepeczków jako pomocnica modystki. Teraz komplementowała innych automatycznie i tak przekonująco, że nawet nie uważała tego za kłamstwo. Był to raczej obowiązek, z którego musiała umieć się wywiązać.

– Jeśli pani chce, możemy poeksperymentować z lokami, ale moim zdaniem ta bardziej wymodelowana fryzura, którą pani teraz nosi, naprawdę pani pasuje.

Harriet wzięła w palce list, który położono na jej stoliku. Zdjęła rękawiczki i rzuciła je na łóżko, po czym zerwała pieczęć i zabrała się do czytania. Po chwili uniosła rękę do ust.

– Moja własna matka – powiedziała, podnosząc wzrok. Głos jej drżał, lecz oczy pozostały suche. – Zwraca się do mnie jak do obcej, a przecież wie, że wkładam w to pisanie całe serce.

Joanna przypomniała sobie, jak Harriet mozoliła się nad listem do matki, mamrocząc pod nosem, pochylona nad sekretarzykiem.

– Kilka słów o powinności, tyle ma mi do zakomunikowania – ciągnęła Harriet. – A list kończy ojciec, pisząc o kwestiach finansowych. Przynajmniej mój mąż będzie zadowolony.

Podniosła się i zaczęła maszerować w tę i w tę wzdłuż łóżka, po czym z impetem rzu-

ciła się na krzesło. Joanna podeszła do niej, zdjęła jej kapelusz i odpięła koronkę. Nadała gestom łagodność; wiedziała, jak uspokoić swoją panią bez słów.

Pod koniec tej przemowy głos Harriet załamał się lekko, ale nie, nie rozpląkała się; to tylko jej głos, przesadnie ekspresyjny, jakby dziewczyna miała wiecznie podrażnione gardło.

– Traktuje mnie teraz jak portret rodzinny – skarżyła się dalej. – Nic więcej. Co będzie, kiedy już wypełnię swój obowiązek? Wygląda na to, że nic.

– Pani matka na pewno wkrótce znów napisze – odezwała się Joanna jednocześnie miękko i energicznie, co nadało jej słowom pewność. – Mam nadzieję, że przez ten czas moja obecność nieco panią pokrzepi, chociaż to tylko nędzna namiastka.

„Jesteś już stateczną małżonką – pomyślała. – Długo czekałam, aż z dziecka przemienisz się w dorosłą kobietę, a teraz domyśliłaś się prawdy ledwie w kilka chwil”. Zastanawiała się, co dokładnie Harriet napisała matce – zapewne nie za dużo; czuła przed nią wyraźny respekt. Zdecydowanie nie wspomniałaby choćby słowem o swych kontaktach z *monsieur* Renardem.

Harriet podeszła do toaletki i położyła dłoń na jednym ze srebrnych naczyń.

– Zrobiłam, o co mnie prosili – powiedziała. – Noszę diamenty, które ojciec odkupił dla mnie od jakiejś nieszczęsnej zubożałej rodziny. On chce wystylizować nas na stary ród, ale tego nie da się zrobić w tak krótkim czasie, prawda? Rezydencja mojego ojca w Northumberland zajmuje całe akry, ale dom, w którym wychowała się moja matka, już nie. Moja babka była kobietą surową, lecz praktyczną. U paska wisiało jej ze czterdzieści kluczy. Kontrolowała zapasy, liczyła i cerowała pościel, nadzorowała pracę kuchni. Nawet swoje przepisy trzymała pod kluczem. Przewadziła dom w każdym tego słowa znaczeniu, była potrzebna.

Harriet przerwała na chwilę, po czym zapytała:

– Czym zajmowała się twoja matka?

– Matkowaniem mi – odrzekła Joanna. – Nie pamiętam.

Nie ośmieliła się wyznać prawdy: że jej ojciec był introligatorem, matka harowała ciężko, ona sama zaś w wieku czternastu lat została oddana do terminu u modystki. Nie wiadomo, czy rzucone w złą godzinę słowo nie obróci się przeciwko mówiącemu, szczególnie jeśli wcześniej posłużył się on fałszywym listem polecającym. Joanna dość już się w życiu naszorowała podłóg; za wszelką cenę chciała zachować obecną posadę.

Harriet popatrzyła na nią przeciągle.

– Wiedziałam, Joanno, od chwili kiedy cię zobaczyłam, i mama też. Była w tobie jakaś dobroć, dostojeństwo. Zostawiła cię ze mną, abyś była mi pocieszeniem.

Joanna się nie odezwała. Zawijała koronkę z powrotem w papier.

– Mama powiedziała mi: ta kobieta cię poprowadzi, zadba o twój wizerunek u pana Chicheстера. Nie powiedziałam ci tego, bo smutkiem napawała mnie myśl, że potrzebuję opiekunki. Trochę się ciebie bałam na początku.

Serce Joanny ścisnęło się, jakby w obawie.

– Ale jakżeby mama mogła przy mnie zostać? – ciągnęła Harriet. – Byłoby to niemożliwe. Jestem pierwszym z jej dzieci, które wyszło w świat, muszę pociągnąć za sobą pozostałe, dając im idealny przykład. Wiesz, jest nas ośmioro... To jest: ośmioro żyjących.

Joanna nagle zrozumiała, że chociaż miała się za perfekcyjną służącą, czegoś nie dopilnowała. Zlecono jej zadanie, a ona nie wywiązała się z niego. Harriet była dzieckiem, nad którym opiekę powierzyła Joannie jej umęczona matka. Dzieckiem, z którego trzeba było zrobić damę.

– Ciekawe, jak to jest, wieść takie życie jak moja babka? – zastanawiała się tymczasem Harriet. W jej tonie nie było złośliwości, jedynie ciekawość.

– Trudno mi zgadywać – powiedziała Joanna.

– Chciałabym to wiedzieć. Zanim przyjechałam do Londynu, uważałam się za rozsądną.

Ale tak szybko zaszumiało mi w głowie. Wszystkie te stroje, rozrywki. Tyle szeptów, plotek. A potem on. – Harriet spojrzała na swoje dłonie. – Nie patrzyłam na niego jak na mężczyznę. Widziałam tylko nazwisko, tylko to, jaką byłby wspaniałą zdobyczą dla mnie i dla mojej rodziny. Wskazano mi go. Nie rozglądałam się dalej. Zaręczyliśmy się kilka dni później. Szalenie mi wszystko ułatwiłam. Próbuję sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek się do mnie uśmiechnął... Chyba to zrobił, przynajmniej raz. Musiał, prawda? Ale i tak tego nie pamiętam. Miałam jeden krótki sezon rozrywki. A teraz całym moim światem jest ten dom. Wyjątkowo piękne więzienie.

– Znów pani czytała te powieści? – odezwała się Joanna, zastanawiając się, które ze służących Harriet wysłała po książki.

– Widzę je takim, jakie jest – ciągnęła Harriet, nie zważając na nią. – Wiem, że jest cudowne. Moją matkę zatkało, kiedy zobaczyła ten dom, mnie zresztą też. Myślałam, że zamieni mnie on w żonę, jaką życzy sobie mieć mój mąż. Że nim przesiąknę, stanę się jego częścią, jak inne rzeczy. Lecz on nie ma na mnie wpływu; nie wsiąkam weń, jestem tylko tymczasowym dodatkiem.

– Przyniosę pani coś do picia – stwierdziła Joanna. – Proszę tu siedzieć spokojnie.

„Nie walcz z życiem i ze ścieżką, którą cię ono prowadzi – pomyślała. – Nie marnuj sił, objijając się o ścianki złotej szkatuły, w której cię zamknięto”. Z tą myślą Joanna poczuła, jak w jej sercu budzi się coś na kształt współczucia.

Rozdział XVIII

19 czerwca 1792

Znów do Chichesterów z nowymi projektami przerobionymi podług gustu pani. Przyznać muszę, że jak na nowych klientów Chichesterowie zajmują sporo mego czasu. Wiem, że długo będę musiał czekać na wynagrodzenie za swoje usługi, lecz pani tego domu jest naprawdę uroczą. Jej widok dobrze na mnie wpływa. Ma najbardziej błękitne oczy, jakie kiedykolwiek widziałem, takie błyszczące i niewinne; nie ma w niej ani krztyny zmęczenia życiem, jest tym nieskazona i zawsze zdaje się promienieć radością.

Na moją żonę nie mogę już patrzeć bez nieprzyjemnego ciężaru w dolku, niby po kiepskim winie; chociaż Taylor chwali jej delikatność, uczuciowość, jakby było to coś godnego podziwu, ja widzę tylko, że jej wyimaginowane troski (bo jakież troski może mieć ta kobieta, skoro los obdarzył ją takim szczęściem?) zostawiły trwałe ślady na jej twarzy.

Długo po tym, jak promień słońca zniknął z zimowego nieba, domowników Mary Renard zaalarmował hałas. To drobna piąstka z mocą dobijała się do frontowych drzwi. Mary siedziała przed dogasającym kominkiem. Usłyszała, jak Grisa otwiera główne drzwi i zaczyna perorować. Kiedy wyszła na schody, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie śni – Grisa konwersował z jakąś drobną postacią, ubrany w cudaczną czerwoną haftowaną czapę.

– Piękną ma pan szlafmycę, panie Grisa – odezwała się, schodząc po schodach. Chwilę później zauważyła, że subiekt strofuje jej siostrzeńca, Matthew. Na szczęście mały był w stu procentach synem swojej matki i nie zwracał uwagi na irytację Grisy, nie dał się też zastraszyć. Z beznamiętnym wyrazem twarzy czekał, aż ciotka zejdzie na dół.

– Powinna go ciocia zamknąć na noc – odezwał się, kiedy stanęła przed nim. Ruchem głowy wskazał na Grisę.

– O co chodzi, kochanie? – zapytała Mary.

– Matuś grzebie w skrzyniach i wyrzuca rzeczy – powiedział. – Chciała, żeby to ciocia zobaczyła. Mówiła, że to pilne. Że się od tego lepiej poczujesz, ciociu Mary.

I podał jej list.

W słabym świetle dało się dostrzec, jak oddała się biegiem po nierównym chodniku. W oddali Mary usłyszała dźwięk kołatki nocnego stróża.

– Będzie pani łaskawa wejść do środka, zanim wszystkich nas pomordują w łózkach – wysyczał Grisa. Zatrzasnął drzwi i zasunął sztabę. W powietrzu nadal unosił się słaby zapach wędzonej makreli, którą jedli na kolację.

– Bardzo to w stylu Mallory – odezwała się Avery ze szczytu schodów. – Wysłać biedne dziecko po nocy. Nie mogła poczekać do rana? – Co powiedziawszy, podreptała z powrotem do łóżka.

– Biedne dziecko? – powiedział za nią Grisa. – Żal mi każdego, kto wejdzie mu w drogę stąd na Piccadilly.

Mary wróciła do salonu, subiekt zaś, tupiąc głośno, wszedł na piętro i z impetem zatrzasnął swoje drzwi. Usiadła na brzegu krzesła, przysuwając się do tłących się dREW, które były jedynym źródłem światła.

Od razu zauważyła, że adres wypisany był pewnym, eleganckim pismem jej matki, lekko pochylonym do przodu. Na widok znajomych liter, dawno nieoglądanych, poczuła ukłucie w sercu – przypomniały jej one list, który dawno temu spalił Pierre. Rozwinęła papier i powoli zaczęła czytać. Matka napisała go po tym, jak wyjechała z Londynu, zabierając ze sobą Elego. Dziwne to

było wrażenie, zobaczyć nieznanego list od nieżyjącej matki. Opowiadała o przetworach warzywnych, o nowej pokojowej zatrudnionej przez jej siostrę i o Elim. Widząc jego imię na papierze, Mary się uśmiechnęła. Jednak w miarę czytania uśmiech zaczął zniknąć z jej twarzy.

Powiedz, jak miewa się Mary. Śni mi się czasem. Eli nie woła jej już, ani ciebie, ani ojca. Nadal śmieje się i bawi, ale czasem nieruchomieje i patrzy w przestrzeń, a ja wiem, że zastanawia się, gdzieście się podzieli. Stan jego zdrowia nie jest najlepszy i boję się, że wasza nieobecność jeszcze go pogarsza.

Żałuję, że to małżeństwo doszło do skutku. Żleśmy robili, zachęcając Pierre'a Renarda i uciszając wątpliwości Mary, bowiem on nie miał dla niej życzliwości, a to jedyna rzecz, której nie może zabraknąć w małżeństwie.

Pod tym ostatnim zdaniem widniała kresa świeżego atramentu; Mallory je zaznaczyła. „A więc wszyscy byliście tego świadomi” – pomyślała Mary, przypominając sobie ich nieruchome twarze, kiedy zachwiała się w postanowieniu, że wyjdzie za Pierre'a. I to, jak Mallory i rodzice na nią popatrzyli: zdziwionym, nierozumiejącym wzrokiem. Mur twarzy bez wyrazu. Sprawily one, że zamilkła, więc w pokoju słychać było tylko bawiącego się nieopodal Elego i brzęk wiadra sprzątaczkki, które wyrzucił do góry dnem.

– On zapewni ci byt – powiedział jej ojciec pewnego wieczoru na krótko przed weselem.
– Jestem o tym przekonany, moja złota. – Ucałował ją w czoło i odprowadził wzrokiem, kiedy ruszyła na górę po schodach, przyświecając sobie pojedynczą świecą. – Powiedziałaś, że ci się spodobał, gdy go pierwszy raz spotkałaś.

Wiedziała, że Mallory przysłała jej ten list, aby ją pocieszyć. Lecz obraz Elego siedzącego po turecku na podłodze i wpatzonego w przestrzeń poruszył ją bardziej, niż jej siostra mogła się spodziewać. Mary zorientowała się, że trzyma list kurczowo zaciśnięty w dłoni; starannie rozłożyła go na podółku i rozprostowała ręką. Podciągnęła rękaw czarnej sukni z bombazy. Sińców już prawie nie było widać; były teraz bladożółte. Nie wiedzieć czemu nie mogła znieść myśli, że miałyby zniknąć zupełnie. Potrafiła jedynie pomyśleć: „Jeszcze nie teraz”, i wbić palec wskazujący w każdą żółtą plamkę po kolei.

Obecność Elego była jej jeszcze potrzebna; Mary musiała więc sprawić, by wspomnienie o nim stało się jej bliższe niż obraz przedartego listu czerniejącego w płomieniach. Był przy niej, przyglądał się powozom i przechodniom na Bond Street. I kazał jej żyć dalej.

Przed wieczornym obchodem Digby poszedł na Half Moon Street z zamiarem rozmówienia się z Maynardem. Jego zainteresowanie Renardem męczyło Digby'ego, więc postanowił dowiedzieć się czegoś więcej. Był też zły na siebie, że pozwolił się zastraszyć. Szedł zdecydowanym krokiem, nie kulił się dla ochrony przed wilgocią i chłodem, lecz maszerował z podniesioną głową i wyprostowanymi ramionami, jakby dumny chód mógł przydać jego znoszonym ubraniom nieco majestatu. Jego zdaniem był to dość porządny strój; Digby płacił jednej sąsiadce z tej samej kamienicy, żeby cerowała mu ubrania i utrzymywała je w dobrym stanie. Był też bardzo dumny ze swoich koszul. Nie były to jednak stroje, w jakie chciał się ubierać – gładkie, grube płótno zamiast kosztownego adamaszku, satyny czy strzyżonego aksamitu, jakimi mogli cieszyć się dżentelmeni pokroju Maynarda. Myśl o spotkaniu ze swoim upartym patronem sprawiła, że Digby poczuł się jeszcze uboższy.

W miarę jak zbliżał się do rezydencji Maynarda, jego bojowy duch powoli się ulatniał. Postawił kołnierz, częściowo zakrywając twarz. Minęło go kilka okazałych powozów oraz parę lektyk, którymi państwo podróżowali do klubów i na umówione spotkania. W jednej z nich mignęła mu biała od pudru twarz kobiety z futrem wokół kołnierza. Zerknęła na niego z mieszaniną pogardy i lęku. Ciekaw był, czy obawiała się o białe perły wiszące u wydłużonych od kolczyków płatków jej uszu. Niemal miał ochotę rzucić się w jej kierunku, żeby podskoczyła ze stra-

chu, lecz przecież mogła go poznać, a on nie chciał stracić posady.

Dom Maynarda był dość okazały; wysoka kamienica z londyńskiej cegły z imponującą bramą nabijaną żelaznymi ćwiekami. Przy wejściu płonęły pochodnie, na podjeździe czekał powóz. Koń niecierpliwie machał ogonem. Digby przygryzł wargę i przyznał się do porażki. Odwrócił się. Nie umiał wyobrazić sobie, że wchodzi po tych schodach i łomocze do drzwi, a nie miał ochoty obchodzić domu od tyłu i narażać się na ciekawskie spojrzenia służby, ponieważ był człowiekiem wolnym, a nie służącym. Zatrząsał nim kaszel, a kiedy starał się go opanować, drzwi się otworzyły i na schody wyszedł Maynard.

Digby zrobił krok w tył, nie chcąc, aby go widziano. Maynard był ubrany jak na kolację poza domem; spod jego płaszcza błysnęły stróżowi czerń i biel. Kobieta, którą prowadził, była zapewne jego żoną. Miała pokraczną wysoką fryzurę zwieńczoną monstualnych rozmiarów kapeluszem złożonym głównie z piór. Digby zignorował jednak cały ten przepych i przyjrzał się jej oczom: jaskrawoniebieskim i pełnym smutku. Delikatna skóra pani Maynard była poznaczona zmarszczkami, tak że wydawała się ona starsza od męża. Kiedy ten pomagał jej wsiąść do powozu, obdarzyła go uśmiechem, który mówił o zaufaniu i pełnym zrozumieniu. Uśmiech ten poruszył serce Digby'ego.

Nim powóz zdążył odjechać, Digby ruszył w swoją stronę, przechodząc przez smugę zapachu róż, który zostawiła po sobie pani Maynard. Rad był, że go nie zauważyli; serce biło mu przyspieszonym rytmem, a przy kontaktach z Maynardem wołał zachować spokój. Mżyło, a wilgoć przenikała jego ubrania, więc wkrótce potem całe jego poruszenie zmieniło się w smętne niezadowolenie.

Dotarłszy do kwatery straży nocnej, zastał swego partnera w buntowniczym nastroju.

– Dostyc mam wymyślania za ciebie wymówek! – zawołał Watkin.

Digby słyszał to już niejedyn raz.

– Nie kłap dziobem – powiedział. – Możemy wyjść teraz, ledwie kwadrans wybił.

– Nie tak szybko – odezwał się naczelnik, przekładając glinianą fajkę w drugi kącik szerokich ust. – Posłałem już dwie ekipy na patrol wokół placu. Wy pójdziecie na Castle Street; pod dwunastką na placu zeszłej nocy było włamanie, a służąca twierdzi, że w witrynie lombardu widziała taki sam srebrny imbryk, jaki zabrali złodzieje. Pójdziecie z wizytą do właścicielki lombardu.

– Gdzie w takim razie jest konstabl? – zapytał Digby. – Przy takich sprawach powinien być obecny, przecież my nie mamy nakazu. Zresztą to nie nasz rewir.

– To ja o tym decyduję, Digby – oświadczył naczelnik napuszczonym tonem. – Konstabl ma ważniejsze sprawy na głowie, a ponieważ rzecz dotyczy placu, jest to nasza działka. Lombard należy do wdowy nazwiskiem Dunning. Wstąpcie tam i sprawdźcie, czy dacie radę coś z niej wyciągnąć.

Po drodze na Castle Street Digby puszczał niezadowolone jęki Watkina mimo uszu. Chwilę zabrało, nim dotarło do niego, że mają iść do Mallory Dunning, lecz kiedy zdał sobie z tego sprawę, poczuł ogarniające go napięcie. Nim Watkin zdążył zebrać się w sobie, Digby odsunął go ręką i zapukał do drzwi.

Uchyłono je tylko nieznacznie. Digby podniósł latarnię, oświetlając twarz kobiety. Przedstawił się i wyjaśnił cel wizyty. Bez słowa otworzyła im drzwi.

– Tylko porządnie wytrzymaj buty – polecił Watkinowi Digby. – Nie chcemy nanieść pani Dunning błota do domu.

W jej ładnych ciemnych oczach błysnęła aprobata. Zaprowadziła ich do kuchni, dłonią osłaniając płomień świecy. Było to ciemne pomieszczenie z gołymi deskami na podłodze. Przy stole stała dziewczynka i wałkowała ciasto pod czujnym okiem młodszej siostry.

– Przyszli panowie za wcześnie – odezwała się Mallory, zauważywszy, gdzie patrzy Digby. – Szarlotka, ale niegotowa. Matthew! – Zwróciła się do krępego chłopca, który patrzył na nich identycznymi jak matka oczami. – Przynies garniec piwa dla pana Digby’ego i... – Jej spojrzenie spoczęło na twarzy Watkina.

– W-Watkin – wyjąkał tenże niepewnie. Digby miał ochotę szturchnąć go raz jeszcze. Jasne było, że jego partner nie nawykł do rozmów z przedstawicielkami płci pięknej.

– W jakiej panowie przyszli sprawie? – zapytała Mallory. – Ale! Gdzie moje maniery! Powinam panów zaprosić do bawialni. Tyle że tam nie jest napalone.

– Nic nie szkodzi – powiedział Digby. – Jesteśmy uodpornieni na chłód. Nie będziemy przeszkadzać pani córkom w pieczeniu.

Bawialnia była nieduża. Widać było, że kiedyś musiała być całkiem ładna, patrząc jednak okiem przybysza, Digby natychmiast zauważył, że niewiele stało w niej mebli i że, choć utrzymane w czystości, pomieszczenie to dawno straciło pretensje do wszelkiej elegancji. Tapeta, niegdyś *à la mode*, poszarzała już od dymu z londyńskich kominów i zaczęła odłazić od ścian. Tu i ówdzie stały jeszcze jakieś ozdoby, a na podłodze leżał dywan, porwany niemal na strzępy przez dziecięce buciki. Kiedy Watkin usiadł, krzesło z cienkich deseczek, które sobie wybrał, zaskrzyphiało pod jego ciężarem.

– Czym mogę służyć? – zapytała Mallory.

– Przyszliśmy w sprawie interesu, który pani prowadzi, pani Dunning – odezwał się Watkin.

Digby rozparł się na krześle. Jeśli trzeba było przynieść złe wieści, nie wahał się zrzucić tego obowiązku na Watkina.

– Rzecz w tym, że zeszłej nocy na Berkeley Square doszło do włamania – ciągnął Watkin. – I powiedziano nam, że srebrny imbryk, który stamtąd skradziono, znalazł się w pani sklepie. Chyba zdaje sobie pani sprawę, jak poważne byłyby konsekwencje, gdyby to okazało się prawdą.

Mallory wciągnęła powietrze. Może Digby’emu tylko się zdawało, ale zrobiła się jakby bledsza; jednak w tak słabym świetle nie mógł mieć pewności.

– Wątpię, by tak było, panie Watkin – powiedziała, a w jej potężnym alcie nie dało się wychwycić ani odrobiny drżenia. – Mój lombard prowadzony jest przez subiekta i więcej z tego szkody niż pożytku, zaręczam panom. Niemniej dobrze go pilnuję i wiem, że dzisiaj nie przyniesiono żadnego nowego towaru. Wysyłam tam syna codziennie, a pan Ibbotson, subiekt, musi zgłaszać mi każdy nowy zakup, a nie uczynił tego. Mogą panowie zajrzeć rano do sklepu i przeszukać go. Otwiera się codziennie o ósmej.

Drzwi do bawialni otworzyły się i do środka wszedł Matthew, niosąc dwa kufle piwa.

– Dziękuję, młody człowieku – powiedział Digby, biorąc jeden do ręki. – Jesteś już w odpowiednim wieku, żeby pójść do terminu, prawda?

Chłopak pokiwał głową z cieniem uśmiechu.

– Kim chciałbyś zostać? – spytał Digby.

– Złotnikiem, jak dziadek – odpowiedział Matthew bez wahania. Digby zmarszczył brew.

– Mój ojciec robił srebrne szkatułki – odezwała się Mallory. – Tak jak i mój dziadek. Choć nikt już o tym nie pamięta, teraz, kiedy mój zacny szwagier przyćmił jego dokonania swoim eleganckim sklepem na Bond Street.

– Pan Renard? – podchwycił Digby. – Dobrze się z nim pani dogadywała?

– Mattie, idź do kuchni – rzuciła Mallory. Kiedy za chłopcem zamknęły się drzwi, zwróciła się z powrotem do obu stróżów: – Nie miałam dla niego wielkiego poważania – powiedziała. – I nie boję się tego przyznać. Złamał mojej siostrze życie. A na sam koniec sprowadził do domu obcego i wszystko zostawił jemu.

„Cóż za niezwykła kobieta” – pomyślał Digby, patrząc jej prosto w oczy. Wzburzona, wydawała się jaśnieć wewnętrznym blaskiem.

– Pani mąż, pani Dunning... – Głos Watkina zdradzał, że jego pamięć budzi się do życia, jak powoli rozkręcająca się maszyna. – Czy nie przymknęli go za paserstwo? Skupowanie sztab z przetopionego srebra?

– Został uniewinniony – ucięła Mallory ostro. – Mój świętej pamięci mąż był dobrym człowiekiem i za bardzo ufnym. W życiu nie zrobił nic nieuczciwego, a to samo tyczy się mnie.

– Wierzimy pani – powiedział Digby, dopijając piwo. – Chodź, Watkin. Dość już żeśmy się ponaprzykrzali uczciwej kobiecie.

Popchnąwszy partnera przez sień w kierunku drzwi, Digby odwrócił się ku Mallory.

– Jak pani myśli, kto zabił pani szwagra, pani Dunning? – zapytał.

Mallory wyglądała na nieporuszoną. Zatrzymała się, jakby rozważała w myślach to pytanie. Po świecy spływała w dół kropla łoju; blask ognia odbijał się w ciemnych oczach gospodyni.

– Ktoś, kto go nienawidził – odpowiedziała. – Ale Bóg widzi, że takich ludzi jest dużo.

Rozdział XIX

20 czerwca 1792

Młody Maynard przyszedł do mnie: w kiepskim stanie, z podkrążonymi oczami. Już nie stroszył piórek. Powiedział mi, że chce odzyskać tylko tabakierę i że jego ojciec ureguluje cały dług. Że to pamiątka rodzinna. Będąc w życiu traktowany tak jak ja, człowiek uczy się czerpać przyjemność z takich chwil. Czyżby temu podrostkowi wydawało się, że tak szybko się ze mną upora? Powiedziałem mu: nie, dodając, że tabakierę wykonał ojciec mojej żony i że mi się podobają. Że należy do mnie i zamierzam ją zatrzymać.

Oczywiście stracił zimną krew, zaczął przeklinać, położył rękę na szpadzie – nic nieznaczący gest, bo Maynard za bardzo dba o swoją młodzieńczą twarz, a za mało o honor, żeby się ze mną pojedyńkować.

Kiedy sobie poszedł, porządnie schowałem tabakierę; nie zdziwiłbym się bowiem wcale, gdyby ojciec Maynarda przyszedł do sklepu pod moją nieobecność i kazał Grisie przetrząsnąć wszystkie kąty w poszukiwaniu pudełeczka.

– Całe to bicie piany o twoim wdowieństwie! – oburzała się Avery, odkrawając dla Mary kawałek ciasta z owocami. – Doktor Taylor wspomina o nim bez ustanku, jakbyś była szacowną damą z niezależnym źródłem dochodów, kiedy jasne jest, że w twojej sytuacji finansowej nie możesz sobie pozwolić na stwarzanie takich pozorów. Oczywiście, trzeba mieć na uwadze poczucie przyzwoitości, ale nie mogą przecież oczekiwać, że zamkniesz się tutaj na dwa lata żałoby. W moich stronach, kiedy umiera właściciel firmy, obowiązkiem jego żony jest znaleźć godnego zastępcę. Nie miej takiej zszokowanej miny! Jesteś przecież siostrą Mallory.

Mary ziewnęła.

– Moim zdaniem prawisz mi o małżeństwie, bo sama masz na nie ochotę – powiedziała. – Widziałam cię w sklepie, rozmawiałaś z bardzo przystojnym panem.

– Świeżo się zaręczył – odparowała Avery z udawaną pruderią. – I chciał się poradzić, jaka srebrna zastawa stołowa może się spodobać jego żonie.

Uśmiechnęła się, widząc, jak Mary zjada odrobinę ciasta.

– Poza tym niedługo posiedziałam w sklepie, gdyż Grisa zobaczył mnie i przegonił. Zdaje się, że poważnie go wystraszyłam.

Pochyliła się do przodu i nałożyła kuzynce kolejny kawałek.

– Jedz. Chciałabym zobaczyć choć trochę koloru na twoich policzkach.

– Widzisz zadowolającą poprawę? – zapytała Mary.

– Nie.

– Wobec tego potrzebny ci plan działania – stwierdziła Mary z uśmiechem. – Przepraszam cię na chwilę. Wydaje mi się, że słyszę na dole pana Exhama.

Celowo zostawiła oboje drzwi otwartych, żeby słyszeć, co dzieje się w sklepie. Teraz na palcach wyszła na schody. U ich stóp stał George Exham, pogrążony w rozmowie z Benjaminem. Mary nie widziała go od pogrzebu. Dziś znowu był taki, jakim go zapamiętała – zadbany i spokojny. Miał na sobie coś, co wyglądało jak niedzielny strój: elegancki ciemnozielony płaszcz i kapelusz z połyskującą klamrą, w której odbijało się całe światło, jakie wpadało do ciemnego korytarza. Odsunęła się, nie chcąc, by ją zauważył.

– Myślałem, że Taylor będzie otwarty na negocjacje. Ale skoro sprawy mają się tak, jak mówisz... – powiedział Exham powoli.

– Tak jest. – Ton Benjamin był ostry. – Nie ma po co rozmawiać o małżeństwie z tą za-

suszoną wiedzmą, oszczędzę panu kłopotu. Po co w ogóle chcesz pan się z nią żenić? Rozumiem, że pana uczucia skierowane były w inną stronę, jak by to powiedział pan Grisa.

– Były – odparł Exham. – To jest, nadal są. Ale czasy mamy trudne. Sytuacja we Francji... ceny... – Zamilkł, nie dokończywszy zdania.

– Potrzebny panu zastrzyk gotówki, co? – odezwał się Benjamin. – Cóż, tu nie ma pan czego szukać.

Słuchając ich rozmowy, Mary czuła, jak przyspiesza jej tętno, lecz mimo oburzenia zdziwiła się, dlaczego Exham, przewyższający Benjamina wiekiem i doświadczeniem zawodowym, nie udzielił mu reprimendy. I nagle do niej dotarło: oczywiście, wszyscy wiedzą, że to on odziedziczył warsztat. Trzeba go hołubić. Schlebiać mu. „Mógłby mnie zamknąć w piwnicy – pomyślała – i nikt by nie przyszedł mi na pomoc, chyba że by mu się to opłacało”.

– Wygląda na to, że niepotrzebnie zmarnowałem w tym celu popołudnie – powiedział Exham, zakładając rękawiczki. – Lepiej powiedz innym. Przyjdzie ich więcej.

– Niech sobie przychodzą – skwitował Benjamin. Jego chłopięcy głos nabrął szorstkości. Brzmiało to sztucznie i nieprzyjemnie. – Powiem im to samo. Pewnego dnia ja będę tu właścicielem, a ona dostanie za swoje.

Dziewczyna, której zapłacił Digby, była warta swojej ceny, lecz kiedy tylko minęła przyjemność spełnienia, jej miejsce zastąpiło zawstydzenie. Czy była aby czysta? Z jego szczęściem nie zdziwiłby się, gdyby zafundowała mu francję. Mówiła, że dopiero co przyjechała, czysta i świeża, z jakiejś wioszczyny pod Oksfordem, „ledwie parę chat, proszę pana”. Przypomniał sobie, jak wyraźnie podkreśliła, że jest „czysta i świeża”, zaczynał mieć wątpliwości. Był tak zaślepiony żądzą, że równie dobrze mogła powiedzieć „plugawa i prosto z Francji”, a i tak by się zdecydował.

Szlag by trafił jego chuć i jego grzeszne ciało! Ona zmykała w noc, niosąc ze sobą jego pieniądze; była już odległą sylwetką, zwinną jak wesz skacząca po przesuszonych włosach. Chciał za nią zawołać. Wracaj tu, chociaż na chwilę. Przytul się do mnie. Potrzebuję tylko odrobiny czułości.

Podniósł latarnię i ruszył z powrotem w kierunku stróżówki na Hay Hill, gdzie – jak wiedział – Watkin znów będzie utyskiwał. Kiedy usłyszał krzyk, potrzebował chwili, aby zebrać myśli. Dojrzał dwie siłujące się ze sobą postacie i biegiem rzucił się w ich kierunku.

– Kto tam?! – zawołał. Słaniał się trochę; wyłopał pod Czerwonym Lwem tyle piwa, że oberzysta powiedział, iż wszystko, co Digby wziął na kreskę, nie mieści mu się już na kartce i potrzebuje nowej. Natychmiast zatrząsł nim kaszel, podrywając go do góry; drobna sylwetka odbiegła w ciemność, zostawiając na ulicy mężczyznę, który jął się otrzępywać.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – wydyszał Digby, podchodząc do niego. Był to ani chybi szlachcic: ze srebrną koronką przy szyi, ubrany w kamizelkę – Digby dostrzegł ją tylko na mgnienie oka – która wyglądała, jakby do jej wykonania zatrudniono siedemnastu rzemieślników, cała była w srebrnej nici i cekinach.

– Niech się pan nie kłopotce – powiedział młodzieniec. Oddychał ciężko. Twarz miał bladą i wychudłą; na chwilę zasłonił ją ręką, jakby chciał ukryć jej wyraz. – Jestem pańskim dłużnikiem – wymamrotał, drżącymi rękami otwierając portmonetkę.

Digby doskonale znał tę twarz; przyjął zaofiarowane mu monety.

– To nie jest dobra pora, żeby się tędy przechadzać, proszę pana – odezwał się. – Wszędzie czają się zbóje.

– To był goniec – powiedział tamten. – Nie znałem go. Zapłaciłem mu, żeby odprowadził mnie do domu. A to drań!

– Nie widziałem jego latarni.

– Zgasił ją, kiedy próbował mnie okraść. Mógłbym przysiąc, że widział w ciemności jak sam diabeł. Wygląda na to, że sam jestem sobie winien. Ale nic się nie stało. Życzę panu dobrej nocy.

– Dobranoc. I niech pan uważa – powiedział Digby nieco bełkotliwie. – W tym mieście pełno jest ciemnych sprawek, panie Chichester.

Odwrócił się w kierunku stróżówki i odszedł, rzucając jedno spojrzenie na monety, które właśnie dostał. Ofiarodawca okazał się hojny; zdecydowanie zbyt hojny. Digby był pewien, że Chichester zapłacił chłopakowi za znacznie więcej niż tylko odstawienie go do domu. Trudno się dziwić, że dzieciak wziął nogi za pas. Pokręcił głową i schował pieniądze do kieszeni. Kiedy zerknął za siebie, zastanawiając się, dokąd mógł uciec chłopak, zobaczył tylko ciemność.

Rozdział XX

20 czerwca 1792

Przyjechał dziś mój nowy czeladnik. Ma na imię Benjamin. Jest bardzo drobnym nieśmiałym chłopcem, lecz uważam, że uda mi się wykuć z niego pożądaną kształt ostrymi słowami oraz przykładem dyscypliny. Będzie spał w sklepie. Nie mogę okazywać mu zbyt wielkich względów, żeby nie zwróciło to uwagi Grisy, który jest zazdrosnym człowiekiem, ale jeść będzie resztki z naszego stołu. Zdecydowanie wolę mieć u siebie takiego chłopca jak on, bez młodzieńczej buty, ponieważ pewien jestem, że będzie zważał na moje polecenia. Będę dla niego surowym nauczycielem, lecz na tyle sprawiedliwym, by chwalił mnie przed swoją ciotką Sarah. Ciesz mi się myśl, że w jakiś sposób się jej przysłużyłem. Wydaje mi się, że w Benjaminie jest coś z niej.

Wszyscy domownicy udali się do kościoła, lecz Joanna wymówiła się bólem głowy. Nie była chora na ciele; to okładka wczorajszego „Timesa” zepchnęła jej myśli w spiralę bólu, kierując je przeciwko niej samej. Pomyślała cynicznie, że właśnie dlatego damy nie powinny czytać gazet.

Szpital dla podrzutek przyjmuje dzieci

Osoby pragnące dokonać przyjęcia dzieci (będących właściwym obiektem niniejszej działalności charytatywnej) do tego szpitala, mogą zgłaszać się między godziną dziesiątą a trzecią.

Przeczytała to w kuchni; służba zaniósłła sobie na dół gazetę porzuconą przez pana domu, jako że tego samego ranka powóz wywiózł go z miasta. Joanna zazwyczaj kontrolowała swoje urojenia, czerpiąc z nich pociechę, chociaż za ich sprawą rzeczywistość wydawała się nieco bardziej ponura, lecz ten maleńki drukowany kwadracik w gazecie odblokował w niej całe pokłady wrażeń i obrazów. Pomyślała wtedy, że za bardzo nadwerżyła umysł, wracając do wspomnień o Stephenie, siła tych myśli mało jej bowiem nie przytłoczyła. Zamknęła się w pokoju i opadła na łóżko, wstrząsana bezgłośnym szlochem.

Prawie czuła w dłoni maleńki metalowy dysk, zimny i twardy, który zaciskała tak mocno, że został po nim czerwony ślad.

„Nie – pomyślała – to nieprawda. To tylko omamy. Za dużo sobie wyobrażasz. Jesteś tutaj, siedzisz w klitce przy Berkeley Square. Przeszłość już minęła, żyje tylko w twojej głowie”. Nie było jednak ucieczki, czy zamykała oczy, czy nie.

Droga do szpitala dla podrzutek była najdłuższym marszem w jej życiu; każdy krok spowalniały wycieńczenie i świadomość, że to ostatnie chwile, które dane jej będzie spędzić ze swoim dzieckiem. Córeczka spała jej na piersi, przywiązana kawałkiem tkaniny, a Joanna szła, trzymając dłoń na ciepłym policzku dziecka. Nie było najmniejszej potrzeby zostawiać pamiętki. Wszystko jest spisane, powiedział urzędnik. Mamy pani nazwisko na wniosku. Lecz ona błagała, by wzięli też metalowy krążek, i mężczyzna w końcu z westchnieniem wyciągnął po niego dłoń. Była to wygrana z zimowego jarmarku w roku 1776; nieistotna pamiątka z dawno minionego dzieciństwa. Joanna nie miała nic po Stephenie; nic, co przypominałoby o ich miłości, oprócz kosmyka włosów. Postanowiła zachować go dla siebie, żeby do końca nie postradać zmysłów. Bała się, że inaczej w końcu uzna, iż stanowił on tylko wytwór jej wyobraźni. Były jeszcze pieniądze, które jej zostawił, lecz wydała już prawie wszystko, zresztą niemowlęciu nie można było zostawić pieniędzy.

Najgorsze, że uwierzyła, iż będzie silna. Tak jakby dyscyplina i nawyki, jakich wyuczyła się jako służąca, mogły ją na to przygotować. Złudzenie trwało, dopóki nie odwinęła dziecka z chusty i nie podała go urzędnikowi. A później prysło. Niech pan się nią opiekuje, powiedziała. Każde słowo wymagało wysiłku, bo wstrząsało nią łkanie. Wróć po nią. Potrzeba mi tylko czasu. Ostatni raz spojrzała na buzię córki, utrwalaając w pamięci jej obraz, nim ich drogi życiowe się rozeszły. Coś w niej tego dnia umarło.

Oddech powoli zwalniał. Joanna przeżyła wspomnienie do końca, uspokajała się. Przypomniała sobie twarz pana Chicheстера. Jego życzliwy wzrok, sposób, w jaki się do niej zwracał. Pomyślała o Harriet szwargoczącej do swojego brzucha. Wraz z powracającą równowagą poczuła znajomą zimną pustkę w trzewiach i pomyślała: „Nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań, pani Chichester”. Siłą zmusiła się, żeby zdusić wszelkie zaczątki sympatii, którą zaczęła odczuwać do swojej pani.

Kiedy szła do pokoju Harriet, w oddali było słycać echo kościelnych dzwonów. Poprzesuwawała srebrne pudzeczka na miejsca, jakby znalazła się tu w zupełnie zwyczajnym celu. Przekonała Harriet, żeby zaczęła trzymać kluczyk do swojej sekretery w jednym ze srebrnych naczyń od kompletu, ukryty pod szpilkami. Otworzyła je, wyciągnęła kluczyk na cienkiej wstążeczce i otworzyła sekreterę, przypominając sobie słowa pani Chichester: w środku spoczywa coś, co stanowiło kiedyś obietnicę szczęścia.

Wnętrze było subtelnie zdobione – intarsjowany wzór z różnokolorowych kawałków drewna układał się w kwiaty. Szufladki były maleńkie, a cały mebel wyglądał, jakby wykonano go dla lalki, a nie dla dorosłej kobiety.

W środku leżały odłożone pospiesznie listy od mamy; Joanna rozpoznała jej charakter pisma. Sekretny mechanizm był prosty. Pomyślała, że dopasowano go do potrzeb pustogłowej Harriet; ona rozpracowała go w kilka chwil.

Wyciągnęła listy ze skrytki; upchnięto ich do niej tak wiele, że niemal wylewały się na obity skórą blat do pisania, roztaczając delikatny piżmowy zapach. Były poukładane byle jak, bez porządku. Serce biło jej jak młotem. Ledwo na nie zerkała, przeglądała pobieżnie każdą stronę, czytając niektóre fragmenty, a ignorując inne.

Najdroższe moje dziewczę!

Piszę na pamiątkę wspomnienia, które dla mnie otwiera bramy nieba. Nie mogę uspokoić pędzących myśli. Gdybym tylko był wolny.

Chcę słyszeć z twoich słodkich ust tylko jedno słowo: moje imię.

Nie zdołam jej znieść do końca życia.

Wszystkie listy wyszły spod jednej ręki; pismo pełne było zawijasów i ozdobników, lecz mimo to wyglądało na dziwnie wymęczone i dziecinne. Każdy list podpisano tymi samymi inicjałami.

P.R.

Joanna zamarła na moment. Dowiedziała się tego, czego chciała się dowiedzieć, a jednak poczuła ucisk w żołądku, po którym nadeszła świadomość, że gdyby mogła po prostu odłożyć listy na miejsce i wymazać je z pamięci, natychmiast by to zrobiła. Od dawna żywiła co do Pierre’a Renarda podejrzenia, lecz widok namacalnego dowodu, jego inicjałów, okazał się zbyt nagłym doznaniem. Przeczytała listy uważniej, ale to tylko pogorszyło sytuację, ponieważ w pełni poznała ich treść, a część była dość obrazowa, co pobudziło jej wyobraźnię.

Gdzieś w głębi domu rozległ się brzęk; srebrny nóż upadł na marmurową posadzkę. Odległy dźwięk – wszystko w tym domu odbijało się echem, jak w katedrze – szarpnął za struny jej strachu. Wcisnęła listy z powrotem do skrytki, nie dbając, że je pogniecie, zatrzasnęła drzwiczki i

zaczęła mocować się z kluczem. Drżącymi dłońmi włożyła go z powrotem do puzderka na toaletce i z trzaskiem zamknęła wieczko.

Całe jej ciało trzęsło się jak w gorączce.

Stała tak w ciszy. Nikogo nie było. Cofnęła się o kilka kroków i usiadła na jednym z wyściełanych jedwabiem krzesel. Rozejrzała się po pokoju; spojrzała na połyskliwe zasłony, wysokie okna, serwis toaletowy. Stosik książek przy łóżku Harriet i miniaturowy portret pana Chichestera.

„Moje działanie jest usprawiedliwione – pomyślała. – Czemu kobieta taka jak Harriet Chichester miałaby żyć bezkarnie, skoro świat pozwolił, aby moje dziecko umarło, wołając matkę i ojca, którego nigdy nie miało poznać?”

Joanna siedziała tak kilka minut, mamrocząc do siebie ostre słowa i tuląc do piersi nieistniejącą już córkę. Potem poszła do swojego pokoju, wyciągnęła przybory do pisania, które podarował jej pan domu, ułożyła równo kałamarz i pojemnik z piaskiem i zaczęła pisać.

Alban szedł do Świętego Jakuba przy Piccadilly od strony York Street. Kościół był oświetlony na wieczorne nabożeństwo. Alban przystanął na chwilę na zewnątrz, by nacieszyć oczy widokiem światła przebijającego się przez zimowy mrok i uspokoić tętno, które przyspieszyło na myśl o spotkaniu z Mary. Wnętrze kościoła zdało mu się prawdziwie błogosławione; w przestrzeni ograniczonej ogromnymi oknami z płytek nierównego szkła wszystko zdawało się jaśnieć ciepłym blaskiem, podczas gdy reszta świata tonęła w ciemności. „Jeśli to tylko iluzja świętości – pomyślał – jest ona bardzo przekonująca”.

Spóźnił się, a że po drodze myślał tylko o Mary, nie był przygotowany na taksujące spojrzenia członków kongregacji: najznamienitsi mieszkańcy Piccadilly, cali w jedwabiach i aksamitach, skierowali pytający wzrok ku ubranemu w czarny płaszcz obcemu o czarnych, nieupudrowanych włosach, który szukał kogoś spojrzeniem. Albanowi przypomniało się, co przed wyjściem usłyszał od Jessego: „Przeliczaj pieniądze w twojej kieszeni, jeszcze zanim cię wpuszczą”.

Chociaż jego wejście zagłuszyły grzmiące organy, parę osób i tak zwróciło na niego uwagę i szturchnęło stojących obok, kiedy Alban skinął głową do kościelnego i w kierunku krzyża, stając z tyłu nawy.

W wielkich mosiężnych kandelabrach płonęło światło. Nie zatrzymał się, by policzyć, lecz wydało mu się, że bielone ściany kościoła i złoczone detale połyskują w blasku setek świec. Przesunął wzrokiem po zebranych: wysokie peruki, pudrowane loki, pióra, czapki i kaptury. Gdy wreszcie wypatrzył Mary, aż drgnął ze zdumienia, siedziała bowiem dokładnie w tym samym miejscu co tamtego dnia dawno temu, plecami do niego, wpatrzona w ołtarz. „Renard musiał dużo wcześniej wykupić tutaj ławkę” – pomyślał. Jakaś część Albana zakładała, że jej tu nie będzie, że cała ta wyprawa jest tylko po to, by zamknąć Jessemu usta. Popatrzył na Mary ubraną tak, jak przystało wdowie. Przy brzegu jej czepca widać było kilka upudrowanych kosmyków; wzrok Albana spoczął na jej białej szyi.

„Tyle się zmieniło – pomyślał – a ja staram się zatrzymać czas, oprawić go w kryształ. Kiedy mnie poznała, byłem o wiele młodszy. Czy jestem teraz inny, poza tym, że trudniej mi zginać plecy, a w prawym łokciu zaczęło mnie rwać tak, że czasem muszę odłożyć na chwilę młotek?” Uznał, że być może z dnia na dzień zachodziły w nim drobne zmiany i że Alban Steele, który stał teraz w kościele, był zupełnie innym człowiekiem niż ten, który przyszedł tu jedenaście lat temu. Zastanawiał się, co się zmieniło, a w jego myślach zakiełkowało ziarno wątpliwości.

To Jesse go tutaj przysłał. Strugając kawałek drewna, podniósł oczy na Albana i powiedział:

– Przyszła po ciebie.

– O czym ty mówisz? – zapytał Alban.

– Dzień po tym, jak się poznaliście w kościele. Wyszła z bratem, żeby załatwić dla ojca jakąś sprawę, i przechodziła koło naszego domu. Stałem akurat na ganku, odprowadzałem kogoś. Eli biegał po ulicy, mało nie wpadł pod koła powozu, więc go złapałem. Był z niego mały diabełek, zawsze roześmiany.

– Więc spotkałeś ją na ulicy? – zauważył Alban sarkastycznie.

– Przyszła po ciebie – powtórzył Jesse. – Świadomie czy nie. Dałem jej do zrozumienia, że wyjechałeś.

– Czemuś mi o tym nie powiedział? – zapytał kuzyn.

– Nic już nie dało się zrobić. Siedziałeś już w powozie jadącym do Chester. Ona w ciągu tygodnia wyszła za męża, a małego wywieziono z miasta. Nie wspominałem o tym wcześniej, bo myślałem, że będziesz miał to sobie za złe, a mówię ci teraz, gdyż może cię to skłonić do działania.

Stojąc w tym samym kościele, gdzie po raz pierwszy zobaczył Elego i Mary, przypominał sobie rysy chłopca ze wszystkimi szczegółami – jego niebieskie oczy, uśmiech, który rozświetlał mu twarz, i jego ciężar, kiedy podrzucił go w powietrze. A później uśmiech, którym obdarzyła go Mary.

– Kto to jest? – zapytał szeptem Jessego, kiedy już odprowadził małego do ławki rodziców i oddał go matce.

– Mary Just – odpowiedział kuzyn. – Siostra Mallory.

„Ta mała dziewczynka” – pomyślał, przypominając sobie epizod, kiedy jako czternastoletni czeladnik, jeszcze dzieciak, przyjechał z wizytą. „Pamiętam ją, tę dziewczynkę z diablikiem w oczach”.

Oczywiście już po chwili połączył w całość wszystkie fakty; właśnie odczytano zapowiedź jej ślubu, i to po raz ostatni.

Wiele tygodni później, już w Chester, obudził się z myślą: „Wtedy w tym kościele doświadczyłem odrobiny boskości. Tyle lat jej szukałem, a dana mi była tylko na chwilę”. Wówczas jednak rozbudził się całkiem, ochlapał twarz zimną wodą i znów był sobą. Utwierdził się w tym przekonaniu, idąc tego dnia do pracy: „Nie wierzę w ślepy traf. I nie wierzę w Boga”.

Mary siedziała z pochyloną głową do samego końca nabożeństwa. Ludzie zaczęli się kierować do wyjścia; od białych ścian kościoła odbijał się szmer setek głosów. Poczula rękę Avery na swoim ramieniu. Obróciła się i zobaczyła Albana, który przyglądał się jej, tak samo jak na porzebie. Na jego widok jej serce wypełniło się nadzieją i głębokim poczuciem ulgi. Kiedy do niego podeszła, odmierzoną, powolnym krokiem, aby dłużej móc na niego patrzeć, na jego twarzy pojawił się niepewny uśmiech.

Uklonił się i pozdrowił ją imieniem; ujął podaną sobie dłoń.

– Miło mi pana widzieć – powiedziała Mary. – To szczęśliwy zbieg okoliczności. Zazwyczaj chodzę do Świętego Jerzego, ale przyjaciele pozwolili nam dziś zająć miejsce w ich ławce. Przychodzę tu czasem przez wzgląd na brata.

Obejrzała się przez ramię, jakby spodziewając się, że zobaczy Elego, jak biegnie w ich stronę. Nie było tam jednak nikogo oprócz ostatnich członków kongregacji, którzy jeszcze nie zdążyli wyjść, oraz Avery pograżonej w rozmowie z dwoma spośród nich.

Odwróciwszy się, dostrzegła odbicie własnego smutku w jego oczach.

– Ten kościół przypomina mi o nim i o rodzicach. To jedyne takie miejsce. Dom mojego ojca dawno został wynajęty.

– Przykro mi – powiedział Alban.

Mary się uśmiechnęła.

– Nie... Nie powinno być panu przykro. Pamiętam, z jaką życzliwością go pan potraktował. – Wciągnęła powietrze, zastanawiając się, jak może przedłużyć miłą sobie rozmowę. – Jak się panu podoba w Londynie?

– Londyn zmienia się ciągle, a jednak pozostaje taki sam – odrzekł Alban. – Czasami trudno mi tu wytrzymać. W tym mieście człowiek o pozornie uczciwej twarzy może skrywać fałszywe myśli i nigdy nie zostać zdemaskowany. Z drugiej strony ja jestem tu obcy. Może nie umiem piąć się po tutejszej drabinie do sukcesu.

Rozejrzał się, jakby zdenerwowany. Kiedy odezwał się ponownie, w jego głosie po-brzmiewało zdecydowanie.

– Przyszedłem pani powiedzieć... – zaczął i przełknął ślinę. – Moje finanse są w najlep-szym porządku. Mam pewne zasoby. Nie jestem bogaty, ale wystarczy to, by żyć wygodnie.

Nie od razu pojęła, o co mu chodzi; mówił szybko, a ona trochę się spłoszyła.

– Miło mi to słyszeć – powiedziała, uciekając się do uprzejmej uwagi.

– Pani wybaczy, nie wyraziłem się jasno. – Ton jego głosu był nagły. – Przyszedłem za-pytać panią, czy rozważyłaby pani propozycję zostania moją żoną. Jak powiedziałem, moje fi-nanse są w najlepszym porządku, w stosownej chwili mogę pokazać doktorowi Taylorowi moje rachunki.

Mary szukała śladu emocji w jego oczach, lecz na próżno. „Oczywiście, że mówi o pie-niędzach – pomyślała. – Dlaczego miałby tego nie robić? Głupia byłam, że wyobrażałam sobie coś innego”. Miała wrażenie, jakby wszystko wokół nagle poszarzało. Przypisywała znaczenie nieistotnym wydarzeniom, które rozegrały się tak dawno temu. W jednej chwili wydała się sobie śmieszna, poczuła się oszukana, zdenerwowała się. Wspomnienie rozmowy Benjamina i Exhama zasłyszanej na schodach wciąż było świeże.

– Pomimo krążących plotek – odezwała się – nie jestem dobrą inwestycją, panie Steele. Dziękuję panu za propozycję. Udam, że nigdy jej pan nie złożył.

Odwracając się, miała wrażenie, jakby całe ciepło wycofało się w głąb jej ciała, czyniąc ją słabą.

– Poczekaj! – zawołał za nią.

Zatrzymała się, plecami do niego.

– Nie myślałem o pieniądzech – powiedział cicho. Bardziej poczuła, niż usłyszała, jak postąpił krok w jej kierunku. – Proszę, niech pani przemyśli moją propozycję. Jest naprawdę szczerą.

Czekała jeszcze chwilę, lecz nie dodał już ani słowa. Nie poczuła iskry gniewu, tylko ołowiany ciężar rozczarowania w trzewiach.

– Nie chciałabym się powtarzać – powiedziała, ale nie ruszyła się z miejsca. O jedną rzecz musiała spytać. Nie wiedziała, czy chce w ten sposób chronić mocno przetrzebiony skar-biec swoich wspomnień, czy raczej opustoszyć go do reszty.

– Czy myślał pan o mnie czasem przez wszystkie te lata? – zapytała. Zauważyła, że Avery przygląda im się w milczeniu z przeciwległej strony nawy.

– Czemu miałbym o pani myśleć? – odezwał się. – Pani była mężatką, a ja byłem daleko. Nie znalazła na to żadnej odpowiedzi; popatrzyła tylko na niego, jak gdyby po raz ostatni.

– Obiecuję zawsze być z panią szczerą – oświadczył.

Mary odwróciła się, dygnęła, nie patrząc mu w oczy, i wyszła z kościoła. Avery dogoniła ją dopiero na pogrążonej w ciemnościach Jermyn Street.

Rozdział XXI

22 czerwca 1792

Przeglądałem dziś wieczór księgi rachunkowe, gdy moja żona przyszła naprzykrzać mi się ze swoją nieistotną paplaniną. Wspomniała, że Benjamin wydaje się miłym chłopcem, choć trochę nieśmiałym, a ja natychmiast wyczułem w tych słowach jej perfidię. Powiedziałem, że to nie jej miejsce krytykować go i że znaczy on dla mnie więcej, niż jej się wydaje. Zaprotestowała.

Mam w zwyczaju zachowywać swoje sprawy dla siebie i nie dzielić się nimi z Mary, lecz nie mogłem się powstrzymać, by nie opowiedzieć jej, że przed nią był ktoś inny, znacznie ją przewyższający. Jednakże powiedziałem nie do końca to, co chciałem; w moich słowach była gorycz. Zły jestem, że nie zachowałem nad sobą kontroli, lecz u człowieka krzywdzonego tak często jak ja naturalne jest, iż od czasu do czasu wysączy się odrobina jadu. Muszę brać przykład z doktora Taylora, uzbroić się w cierpliwość i modlić się, albowiem wiem, że Bóg jest sprawiedliwy.

Alban leżał na materacu, wsłuchany w tupot stóp swoich małych kuzynów, którzy biegali tam i z powrotem po podłodze nad jego głową. Nadal był wykończony, lecz odgłosy dochodzące z góry go uspokajały. Przypominał sobie, jak to jest być dzieckiem, uganiać się bez celu, gdy każdy dzień jest jak osobne życie.

Jesse zszedł ze schodów i ziewnął przeciągle.

– Nie wstawaj – powiedział. – Do której wczoraj pracowałeś?

Alban wzruszył ramionami.

– Posłuchaj no ich. Nie dziękujesz losowi, że nie jesteś ojcem? – zapytał Jesse.

Kuzyn nie odpowiedział. Pomyślał, że może to i lepiej, że nigdy ojcem nie zostanie; nie chciałby patrzeć, jak jego dzieci grzęzną w bagnie trosk tego świata. Męczyło go, kiedy Jesse i Agnes starali się wymusić na nim wyrazy akceptacji; wołałby, aby tego nie robili. Mógł szukać jej na swój sposób, ale nie chciał odtrącać ich życzliwych gestów.

Leżąc beczynnym, nie potrafił odpędzić od siebie wspomnienia sprzed jedenastu lat. „Nie byliśmy sami – pomyślał – przez tę jedną, krótką chwilę, dawno temu. Odnaleźliśmy się nawzajem. To było jak nagle światło, kiedy słońce wychyla się zza jednej chmury, by za moment schować się za inną”.

Powtarzał sam sobie, że Mary ukarała go za to, iż powiedział prawdę. Że jej próżność nie była w stanie tego znieść. Nie miał czasu wyjaśniać jej, że nie było sensu o niej myśleć ani dręczyć się bezcelową zazdrością. Do chwili ich spotkania na Bond Street był przekonany, że dla niej nie istnieje; trzymanie się nadziei obudzonej na chwilę i brutalnie zduszonej miałoby dokładać nie tyle samo sensu co bicie głową w ścianę.

To, czego jej nie powiedział, to że w momencie, kiedy po raz pierwszy spotkały się ich spojrzenia, jej imię zapadło mu w pamięć razem ze wspomnieniem Elego, który kołysał się w jego ramionach, ciepły, żywy ognik o błyszczących błękitem oczach.

Mary Just. Odłożył tę kombinację liter w tę samą część umysłu, dokąd wędrowały dekoracyjne motywy, bordiury, obramowania i projekty; jej imię było dla jego świadomości jak obraz. Należał do ludzi pochylających się nad każdą odrobiną piękna, zachowujących cenne drobiazgi w pamięci do czasu, aż będzie można ponownie ich użyć w procesie tworzenia. Wypowiedział więc na głos jej imię i zagrzebał je w pamięci. Nie rozmyślał o niej przez te wszystkie lata. Od czasu do czasu, podczas długich wieczorów spędzanych na rysowaniu, wpadał w zadumę i w marzeniach wracał do Londynu i do Mary. Pewnego razu zaprojektował serwis stołowy, całkowicie według swojego pomysłu. Wyobraził go sobie na własnym stole – element życia, jakie mógłby

wieść. Ona też była jego częścią, chociaż symbolizował ją jedynie ornament, który Alban stworzył z jej inicjałów. Jej imię pozostawało w jego pamięci cały czas. Jeśli nie widziała w tym żadnej wartości, problem leżał w niej samej.

Kiedy wrócił do domu z kościoła i opowiedział o całym zajściu, Agnes wyszła z pokoju, złapawszy się za usta, z oczami pełnymi łez.

– Łatwo się teraz wzrusza, to przez jej stan – powiedział Jesse. – Chciałaby, żebyś tu został, jak i my wszyscy. Uroiła sobie ciebie jako żonatego mężczyznę z domem pełnym dzieci.

– Zostanę tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebować – odparł Alban.

– Przeklęte miejsce, ten dom Renarda – ciągnął Jesse z poważnym, nieżyczliwym wyrazem twarzy. – A ona jest częścią tej klątwy.

– Jak możesz tak mówić? – oburzył się Alban. Okrutny ton kuzyna przejął go chłodem; uznał, że to dobrze, iż Agnes tego nie słyszy. – Przyznaj, że nie chciałeś tego powiedzieć, inaczej się posprzeczamy.

Jesse westchnął ciężko.

– Przepraszam. Jeśli wyrwało mi się ostre słowo, to tylko z sympatii dla ciebie. Ta kobieta cię uraziła, a mnie jest przykro, że miałem w tym swój udział. Chciałbym sprawić, by cierpiała tak jak ty teraz.

– Nie mów tak. Nie życz jej źle. Nie zrobiła nic złego. A moja duma nie ucierpiała poważnie, za tydzień zapomnę. Źle zrobiłem, oświadczając się naprędce, opierając się na jednym spojrzeniu sprzed jedenastu lat.

Mary zeszła do sklepu nieco po dziesiątej rano. Wnętrze wydawało się mniej ciemne niż zazwyczaj, bo Grisa pościągał część czarnych aksamitnych kotar, które kazał zawiesić na znak żałoby. Zimowe światło odbijało się od szkła na kontuarze i w gablotach. Grisa trzymał w rękach tacę, obracając ją na wszystkie strony i przyglądając się cyzelowanym ornamentom. Jej powierzchnia błyskała w słońcu, kiedy nią poruszał: szarość, biel, szarość. Mary miała ochotę przesunąć ręką po gładkiej, zimnej tafli tacy. Na ladzie obok leżał częściowo rozpakowany zestaw sześciu solniczek. Jedna z nich nadal spoczywała w parcianym worku. Palcem prawej dłoni Mary odwinęła solniczkę z opakowania, pozwalając, by tkanina opadła bezgłośnie na kontuar.

– Pięknie zrobiona – stwierdziła. Grisa popatrzył na nią, odkładając na bok soczewkę.

– Oczywiście – powiedział. – Tylko najlepsze rzeczy trafiają do firmy Pierre’a Renarda, choć teraz wybieramy na nich pani puncę.

– Kto to wykonał? – zapytała Mary.

– Zakład Jessego Chamaca – odrzekł Grisa, a Mary poczuła nieprzyjemne ukłucie w dołku. – Ten nowy złotnik, Alban, robi ładne rzeczy. Prosiłem go, żeby przysłał więcej ilustracji z projektami. Wyglądają dokładnie tak, jak trzeba: są czyste, bez niepotrzebnych ciężkich ornamentów. Moje uszanowanie!

Pomachał ręką, a Mary obejrzała się i zauważyła stojącego przy oknie stróża nocnego. Unosił dłoń w powitalnym geście. Skinęła głową, a on poszedł dalej.

– Cały czas tu zagłada – stwierdził Grisa, unosząc brew. – Czuję, że mnie pilnuje.

Mary dotknęła jednej z solniczek. Jej powierzchnia była zimna i nadzwyczaj twarda. Krawędź naczynia zdobiło groszkowanie.

– Kiedy je zrobiono? – zapytała.

– Dopiero co zostały dostarczone.

Przesunęła palcami po zdobieniach. Elementy groszkowania wykonano pewną ręką. Sprawiały wrażenie przemyślanych, nie tylko cieszących oko, jakby ich twórca miał głębokie zrozumienie naturalnej równowagi. „Możliwe, że zrobił ją Alban – pomyślała. – Może trzymał ją w rękach”. Wyobraziła go sobie pochylonego nad ławą, przy pracy. Wydawało się rzeczą zupełnie

naturalną, że jest złotnikiem, jakby jego dłonie – pamiętała je jako duże i szorstkie, o długich palcach – stworzone były po to, by kształtować metal. Mimo gorzkiego rozczarowania, jakie sprawił jej w kościele, nie mogła pozbyć się raz wyrobionej dobrej opinii o nim. Teraz myśląc o Albanie, czuła smutek; melancholię, która kładła się na wszystkim niczym warstewka kurzu.

– Każę chłopakowi je wypolerować – odezwał się Grisa, z przyganą zauważając, że dotknęła srebra palcami. – Miejmy nadzieję, że tym razem klient zapłaci.

– A to? – zapytała, wskazując na balię stojącą na podłodze u stóp Grisy. Nie miała zdobień, lecz jej rozmiary były imponujące.

– To się przetopi i przerobi na coś innego – powiedział subiekt. Mary pokiwała głową. Pierre uwielbiał przetapiać stare srebra na nowe; przypominało mu to o własnej potrzebie ciągłych zmian. Wydobyła z pamięci obraz swego męża ze starą tacą przeznaczoną na przerób – zgiął ją gołymi rękami, wyłącznie dla zabawy, i podeptał ze śmiechem. Musiała szczerze przyznać, iż nienawidziła go za to, że bez namysłu potrafił zniszczyć coś, co zostało zrobione takim nakładem pracy. Śmiała się jednak, gdy to na niej wymusił. Ze wstrętem myślała teraz o własnej uległości.

W sklepie nie było klientów, więc Mary zawinęła się w płaszcz i – ignorując milczącą dezaprobatę Grisy – wyszła na ulicę. Stała tam przez chwilę, patrząc to w górę, to w dół, aż zauważyła idącego w jej kierunku pana Digby’ego. W świetle poranka jego rude włosy wydawały się jeszcze bardziej jaskrawe, a niebieskie oczy patrzyły prosto na nią z wyrazem melancholii.

– Dzień dobry – odezwał się. – Wygląda na to, że będzie dziś ładnie.

– Miejmy nadzieję – odrzekła. – Proszę mi wybaczyć, od dłuższego czasu noszę się z zamiarem, żeby panu podziękować. Pomógł mi pan raz, kiedy z domu doktora Taylora wynoszono stół na ulicę. A później widziałam pana na pogrzebie męża. Czuwa pan nade mną, panie Digby?

Uśmiechnęła się, a on odpowiedział tym samym, choć wydawało się, że jego twarz do tego nie nawykła. Jego uśmiech był dość niezadarny.

– Moim zadaniem jest czuwać – odpowiedział. – Po to tu jestem. Jeśli zyskałem nagrodę w postaci pani przychylniej opinii, nie musi mi pani dziękować.

Mary otworzyła usta, żeby wyrazić zgodę, lecz coś podpowiadało jej, że Digby nie ma ochoty na dalszą wymianę uprzejmości. Wydawało się, że nie krępuje go panujące milczenie; żaden jego ruch nie wskazywał, że chce iść dalej. Zaplótł ręce za plecami i popatrzył w niebo, jakby cieszył się dotykiem słońca na skórze.

– Kiedy patrzę na spokojną ulicę w porannym świetle – odezwał się – wydaje mi się zupełnie nieznaną. Mogę sobie wyobrazić, że znów jestem małym chłopcem i widzę ją pierwszy raz. Taki wygląd to pewna sztuka, nie sądzi pani?

– Owszem, jest to sztuka – zgodziła się Mary. – Ale i wydatek. Ta ulica wiecznie tętni życiem. Wydawało mi się kiedyś, że jest ona scenerią mojej egzystencji, ale teraz myślę, że Bond Street żyje własnym życiem, które będzie trwać, nawet kiedy my już przeminimy. Proszę wybaczyć, pewnie ma mnie pan za wariatkę, co wychodzi bez kapelusza i wygaduje głupoty.

– Słuchanie pani to sama przyjemność – odparł.

– Lecz takie ponure myśli powinnam chyba zachować dla siebie.

– Nie wydaje się pani osobą zdolną snuć ponure myśli.

– Jestem do tego zdolna – powiedziała Mary. – Mnie samą przeraża, do czego jestem zdolna.

– A jednak, za pozwoleniem... Nie chce mi się wierzyć, że w pani głowie goszczą złe myśli, gdy widzę panią tak jak teraz, z twarzą w słońcu.

– Kiedyś rzeczywiście tak było. Gdy byłam młoda i miałam przy sobie rodzinę. Pamiętam, że otaczała mnie miłość, nawet wobec przeciwności losu.

– A co otacza panią teraz? – zapytał Digby. Wyglądał na zasluchanego; jego pytanie nie było przemyślane, lecz zadane spontanicznie.

Obróciła się, by spojrzeć na niego.

– Nic – odpowiedziała.

Wiedział, że minie trochę czasu, nim Mallory podejdzie do drzwi, lecz nie zamierzał rezygnować. Odniósł wrażenie, że należy ona do kobiet, które nie lubią nieoczekiwanych wizyt, szczególnie takich gości, którzy już kiedyś się nie zapowiedzieli. I rzeczywiście, otworzywszy, Mallory zastygła w bezruchu i przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Czym mogę służyć, panie Digby? – zapytała.

– Czy mogę wejść, pani Dunning?

Otworzyła drzwi szerzej.

– Składa pan teraz wizyty i za dnia, i w nocy? – zagadnęła. – Obawiam się, że nie ma już ani kawałka szarlotki. Nie ma nic oprócz kapusty z masłem.

W hallu Digby poczuł zapach pleśni i stęchlizny. Mallory zaprowadziła go do bawialni; za dnia wyglądała ona jeszcze bardziej ubogo. Machnięciem dłoni gospodyni wskazała mu krzesło, a kiedy przez drzwi wbiegło jedno z dzieci, wypchnęła je, dość bezceremonialnie, z powrotem do kuchni, gdzie, jak Digby zakładał, ktoś inny mógł się nim zająć.

– Chciałem poinformować panią osobiście – odezwał się – że kilku naszych ludzi było w pani sklepie i, tak jak pani mówiła, wszystko okazało się w najlepszym porządku. Jest tam podobny imbryk, ale znajduje się w lombardzie od dłuższego czasu, służąca po prostu się pomyliła.

– Wiem, żeście tam byli, dostaję sprawozdania, jak zresztą mówiłam – odrzekła Mallory.

– Cieszę się jednak, że przychodzi pan mi o tym powiedzieć. Niedobrze mi się robi na myśl, że ktoś rzuca w moją stronę oskarżenia, wiedząc, że karą za takie przestępstwo jest stryczek.

Poruszyła się na krześle, gotowa wstać i odprowadzić go do drzwi.

– Jeszcze jedna rzecz... – zaczął Digby. – Tej nocy, kiedy zginął Pierre Renard, rozmawiała z nim pani, prawda?

Musiał przyznać, że Mallory miała nerwy ze stali; nawet się nie ruszyła. Żadnych hysterii, żadnego mdlenia, tylko jej ciemne oczy wpatrzone w jego twarz.

– Kto panu coś takiego mówił? – zapytała.

– Słyszałem to z ust kilku osób.

Było to kłamstwo.

– Rzecz w tym – ciągnął stróż – że nie mam ochoty z nikim o tym rozmawiać. I nie zrobię tego, jeśli pani mi powie, o czym mówiła z Renardem.

– Czyżby życzył pan sobie innej zapłaty? – zapytała. W jej oczach odmalowało się podejrzenie. – Jeśli tak, to możemy od razu przejść do tej kwestii. Wiem, co ludzie sobie o mnie myślą, skoro mieszkam sama, tylko z dziećmi.

– Właśnie widziałem się z pani siostrą, panią Renard – powiedział Digby. – O każdej z pań myślę wyłącznie z szacunkiem.

– Moja siostra żyje w innym świecie niż ja, jak doskonale pan wie. Może nie mam tyle co ona, lecz ona drogo za to wszystko zapłaciła. Staram się dać panu do zrozumienia, że nie lubię, kiedy ludzie tu przychodzą i stawiają wobec mnie żądania.

Mówiła teraz głośniejszym, stanowczym, niemal agresywnym głosem.

– Spokojnie, spokojnie. – Digby starał się załagodzić sytuację. – Wiem, do czego pani pije, i nie zamierzam stawiać żadnych żądań. Chcę tylko usłyszeć, co mu pani powiedziała. Jestem pewien, że tak czarująca osoba jak pani nie może być zamieszana w nic nieodpowiedniego. Jeszcze bardziej pewien jestem, że są ludzie, którzy zrobiliby dla pani wszystko. Na przykład tacy jak Jesse Chamac.

Tuż za oknem wybuchła kłótnia, jakiś mężczyzna głośno na kogoś krzyczał, lecz Mallory nie wzdrygnęła się ani nie spojrzała w tamtą stronę. Siedziała jakby wsłuchana w rozmowę swoich dzieci, odległy szmer ich cieniutkich głosików. Wreszcie, uspokojona, przechyliła się ku Digby'emu.

– Sama potrafię walczyć o swoje – powiedziała półgłosem. – Skoro koniecznie chce pan wiedzieć, rzeczywiście rozmawiałam z Renardem tamtego wieczoru. Poszłam poprosić, żeby przyjął mojego syna do terminu. Widzi pan, jak żyjemy, i dość już miałam słuchania tylko obelg z jego strony. Moi rodzice wychodzili z założenia, że jako mąż Mary Renard będzie pomocą dla nas wszystkich, że przynajmniej mój najstarszy syn będzie mógł liczyć na posadę u niego. Moi rodzice są już co prawda w niebie, ale ja chciałam, żeby ten człowiek wywiązał się ze złożonej im obietnicy. Poszłam na Bond Street, lecz zanim zdążyłam tam dojść, spotkałam go na ulicy, na rogu Old Bond Street i Piccadilly. Był wstawiony i dokądś się spieszył. Ale ja nie chciałam go puścić, nie usłyszawszy od niego odpowiedzi. Miałam do tego prawo.

Jej oczy błyszczały gniewem.

– I co pani powiedział? – zapytał Digby.

Mallory ze świstem wypuściła powietrze; wściekłość jakby przesączała się przez całe jej ciało, jej oddech.

– Że nie jesteśmy dla niego rodziną. Że już wystarczająco długo musiał nas znosić. Że w jego domu nie ma miejsca dla... – odetchnęła – niedorozwiniętych dzieci.

W tym momencie jej twarz, dotychczas zastygła w wyrazie spokoju, nagle się poruszyła. Mallory zakryła ją dłońmi. Po dłuższej chwili Digby zorientował się, że nie płacze, po prostu potrzebuje czasu, by odzyskać spokój.

– To miał być przytyk do mojego brata, Elego – odezwała się w końcu, składając ręce na podolku. – Był ułomny, a Pierre kazał go wywieźć z miasta. Co za człowiek, pytam ja pana, byłby zdolny zrobić coś takiego? Tylko lajdak, który pojęcia nie ma o miłości. Renard potrafił mówić o koleżeństwie i uczuciu, ale powtarzał tylko zasłyszane słowa; puste dźwięki, nic więcej. Zabrał nam Mary i wyssał z niej całe życie równie skutecznie, jak gdyby fizycznie otworzył jej żyły. A jednak żył i śmiał się, jakby cudza krzywda dodawała mu sił. Tamtej nocy powiedziałam mu to, co zawsze chciałam mu powiedzieć: że modłę się tylko o to, by Mary wybaczyła nam, żeśmy ją do niego przykuli. Że będę go przeklinać każdego dnia, dopóki żyje.

– I jak zareagował? – spytał Digby.

– Jestem pewna, że go to zdenerwowało. Ale zaśmiał się, bo wiedział, że sprawi mi tym przykrość. Niczym złośliwe dziecko nie mógł się powstrzymać, żeby nie dotknąć czulego punktu. Powiedział, że Elego powinno się było utopić zaraz po narodzinach, że on by tak zrobił, gdyby przy tym był. Że by... – zrobiła krótką pauzę – załatwił wszystko, jak trzeba.

Popatrzyła na Digby'ego, który cofnął się nieco wobec jej spojrzenia przepelnionego furją.

– Uderzyłam go – powiedziała. – Strasznie mnie rozwścieczył. Nie mogłam się powstrzymać, w ogóle wtedy nie myślałam, zaślepił mnie gniew. Tylko go uderzyłam. Nie zrobiłam mu krzywdy, przysięgam. Rzucił przekleństwo i podniósł rękę, ale nie zadał ciosu. Ruszył, gdziekolwiek tam się wybierał, i to dość szybkim krokiem. Cieszę się, że go uderzyłam, to fakt. Ale nie ja odpowiadam za jego śmierć.

W drzwiach stanęła kolejna mała dziewczynka z burzą jasnych poplątanych loków wokół twarzy. Digby uśmiechnął się, widząc jej poważną minę.

– Wracaj do kuchni – rzuciła ku niej Mallory. – Zaraz tam przyjdę.

Wstała, zamknęła drzwi.

– Dziękuję, że była pani ze mną szczerą – powiedział Digby. – Dotrzymuję danego słowa.

Nie powiem nikomu, co dziś usłyszałem.

– Dziękuję panu za to – odrzekła Mallory, obrócona twarzą do drzwi. – Nie mam ochoty więcej słyszeć nazwiska tego człowieka, choćbym miała dożyć setki.

– Życzę dobrego dnia, pani Dunning – pożegnał się Digby.

Skręciwszy z Castle Street w kierunku domu, nie zwracał już uwagi na urodę poranka.

Był mocno zafrasowany. Zdawał sobie sprawę, że Maynard niebawem zacznie go szukać, łasy na nowe informacje, a on za diabła nie wiedział, co mu powie. Miał nadzieję znaleźć jakieś nieistotne skrawki plotek, którymi mógłby go zapchać, żeby był zadowolony. Nie zamierzał jednak wplątywać w tę sprawę Mary ani Mallory. Wiedział, jak cenne jest wspomnienie miłości; jeśli jedna z nich w imię czegoś takiego popełniła zbrodnię, instynktownie chciał ją ochronić.

Kiedy za Digbym zamknęły się drzwi, Mallory przez chwilę stała w ciemnym, dusznym hallu, opierając się o framugę. Nie wiedziała, czy da radę się ruszyć; czy nogi nagle się pod nią nie ugną. „Po prostu oddychaj – pomyślała, usiłując skupić się na jednostajnym rytmie: wdech, wydech, wdech. – Jeśli będę oddychać, jeśli przeczekam ten moment, wszystko znów się uspokoi. Będę mogła żyć dalej”.

– Mamo?

Mallory powoli poruszyła głową, zerknęła przez ramię na córkę, na oczy małej – jej oczy – i na splątane włosy.

– Idź do siostry, niech cię uczesze. – Głos załamał się jej na pierwszym słowie. Dziecko popatrzyło na nią przenikliwie, pojmując, że coś jest nie tak.

Nie po raz pierwszy własne dzieci podrywały Mallory do działania. Była przekonana, że nie jest im nic winna, nawet gdy myślała o tym na spokojnie. Zdarzały się jednak dni, gdy wstawała z łóżka tylko ze względu na nie. Zmusiła się, by się ruszyć.

– Chodź – powiedziała i położyła dłoń na głowie dziecka. Tak uspokojona, córka podrep-tała za nią przez korytarz do gwarnej kuchni.

– Liz, uczesz siostrę – poleciała Mallory, po czym precyzyjnie się przez zapach warzyw i gwar dziecięcych głosów, przez ciemność korytarza, aż stanęła na świeżym powietrzu – jeśli to określenie można było zastosować w odniesieniu do jej podwórza. Zadarła głowę i spojrzała na widoczny stamtąd mały skrawek nieba. Chmury pędziły po nim, kłębiąc się i rozwijając, aż odniosła wrażenie, że wszystko wiruje zbyt szybko.

Uklękła na ziemi i zwymiotowała.

Rozdział XXII

1 września 1792

W dniu dzisiejszym spisałem załącznik do testamentu, pieczętujący moje związki z Sarah w osobie Benjamina. Musimy pielęgnować związki, które są nam mile, choćby miały inną formę, niżbyśmy sobie tego życzyli.

Joanna miała pół dnia wychodnego. Zawsze to sobie ceniła, a w tym tygodniu chwila wytchnienia była absolutnie niezbędną, służąca czuła się bowiem, jakby mury domu miały ją przytłoczyć. Napisała do pana domu o tym, czego dowiedziała się o Harriet i Renardzie; list ten spoczywał zamknięty w jej szkatułce i uparcie narzucał się jej myślom.

Zazwyczaj snuła jakąś opowieść dotyczącą tego, co zrobi tym razem: pójdzie dalej niż zwykle, zobaczy miejsca, o których jej się nie śniło. Może nawet trafi aż na zielone pola, gdzie powietrze nie jest sine od dymu, a ludzie nie podchodzą za blisko. Zawsze byli za blisko. Pewnego razu razem ze Stephenem wymarzyli sobie, że otworzą szynk z dala od Londynu, i czasami wydawało jej się, że gdyby poszła wystarczająco daleko, znalazłaby życie, które miało być jej udziałem, wesolą gospodę, Stephena i ich córkę, która na nią czekała.

Spoglądając na siebie w kawałku lusterka ze swojej szkatułki, pomyślała: „Zniknęła”. Ta ulotna aura, która sprawiała, że mężczyźni oglądali się za nią, kiedy szła ulicą. Nie został po niej nawet ślad – umknęła w noc.

Wyszedłszy na ulicę, Joanna skierowała się tam gdzie zawsze; nogi z przyzwyczajenia poniosły ją w tamtą stronę. Poszła do Saint James's Park. Rzeka była już prawie zamrznięta. Kilkoro ludzi paliło ogniska przy brzegu, w powietrzu Joanna wychwyciła zapach prażonych kasztanów. Kupiła sobie garść i zjadła ze smakiem, z każdym chrupnięciem czując, jak słodki aromat rozplywa się po ustach. Młody chłopak, który je sprzedawał, przyglądał się jej beznamiętnym wzrokiem. „Podobnie jak ja, cały czas obserwuje” – pomyślała.

– Jeżeli Tamiza zamrznie na dobre – odezwała się do niego – urządzą festyn zimowy. I będą piec wołu na lodzie, jak w siedemdziesiątym szóstym.

– Nie było mnie wtedy na świecie, psze pani – powiedział.

– Pewnie nie...

Przespacerowała się wzdłuż rzeki. Zauważyła łabędzia uwięzionego przez cienką taflę gęstniejącego lodu. Bił skrzydłami i trącał ciałem jego powierzchnię, jakby chciał przebić ścieżkę przez lód. Zatrzymała się, by chwilę go poobserwować. Jej napięte mięśnie nieco się rozluźniły.

W 1788 szła samotnie po zamrzniętej Tamizie. Stephen już nie żył, lecz przywołała w myślach jego obraz tak dokładnie, jak gdyby rzeczywiście z nią był. Na ten jeden dzień przyjęła jego nazwisko, nadal miała bilecik wykonany w jednym ze stoisk z pamiątkami: „Wydrukowany na lodzie dla pani Joanny Best, 1788”. Mijała tłumy, spacerując pośród gier i zabaw, życząc sobie, by dzień ten nigdy się nie skończył. Przykryte śniegiem miasto było piękne, a przed nią rozciągała się rzeka światła.

Wtedy nie bała się światła ani tego, czy mężczyźni będą wodzić za nią wzrokiem. Czuła się tak, jakby ona i widmowy Stephen mogli iść po zamrzniętej tafli przez wieczność, trzymając się za ręce. Chciała znaleźć wyrwę w lodzie i wślizgnąć się w mroczną błękitną toń, żeby nie czuć już bólu.

A jednak się zatrzymała. Coś wezwało ją z powrotem, odciągając od śmierci w lodowatej rzece, jakiś cichy wewnętrzny głos, który kazał jej żyć dalej.

Otrząsnęła się z myśli o przeszłości i wróciła tą samą drogą. Kiedy weszła do domu, resz-

ta służby siadała do kolacji, lecz ona nie czuła się głodna. Była lekko zamroczona; przepelniało ją uczucie rozedrganej ekscytacji: nie wiedziała, czy to strach, czy radosne oczekiwanie. Wrażenie to zagłuszało wszystkie pozostałe, nie zostawiając miejsca na zwyczajne troski, tłumiąc zazwyczaj dobry apetyt. W ustach nadal miała smak kasztanów.

W kominku w jej pokoju płonął nieduży stosik drewna, na polecenie pana Chicheстера. Joanna wyciągnęła ze skrytki list, który napisała do niego, podała go na strzępy i wrzuciła w płomienie. Patrzyła potem, jak zamieniają się w popiół.

Słońce schowało się już niemal całkowicie; schody były puste i pogrążone w ciszy. W zimnym powietrzu rozświetlonym nikłym wieczornym światłem Joanna czuła napięcie i drżenie odzwierciedlające jej stan ducha. Nagle ogarnęło ją zmęczenie, śmiertelne wycieńczenie, jakie może czuć ladacznica po nocy obfitującej w niebezpieczeństwa.

Zeszła po schodach. Miała całą przestrzeń tylko dla siebie: płytki w czarno-białą szachownicę, ciszę przywodzącą na myśl kościół, skomplikowane złożenia na ścianach i na suficie, których nie umiała zinterpretować. Zastanawiała się, czy da się je przeczytać, jak jakiś sekretny kod.

Położyła się na podłodze. Dokładnie na środku hallu, na czarno-białych płytkach. Całym ciałem czuła chłód i twardość podłogi, w tył głowy wbijały się włosy zwinięte w skromny węzeł, co zapewniało czaszce pewną amortyzację. Joanna poczuła się lekko, strach uleciał, jak nigdy dotąd. Nie dbała o to, czy ją tak znajdują. Patrzyła w górę, na kopułę sufitu zdobioną kwadratami ze złoconego stiuku, która w gasnącym świetle wydawała się bardzo odległa. Myśl o panu Chichesterze była dla niej jak talizman: ochraniał ją przecież ze swej wysokości, niczym jeden z bogów wymalowanych na suficie w salonie. Wiele wycierpiała, a teraz miała odebrać swoją nagrodę. Niepewność zniknęła; Joanna wiedziała, że przetrzyma przeciwności, a przyszłość przyniesie coś pięknego. Pan Chichester sam wydawał się niczym Jowisz: dawca łask i przywilejów. A ona była skąpana w jego złotym blasku.

Czuła, że mogłaby tak leżeć wiecznie, dopóki kopuła nie zawaliłaby się jej na głowę, dom nie popadł w ruinę, a dzika roślinność nie zaczęła oplatać prętów balustrady wygiętych w kształt liry, zieleń na czerni, winorośl na winorośli. Oczami wyobraźni ujrzała soczyste zielone liście, aż w końcu nie wiedziała już, czy śni, czy marzy na jawie.

Wtedy usłyszała przybliżające się głosy dochodzące z wnętrza domu. Usiadła, poderwała się na nogi i otrzepała spódnice. Z rozdrażnieniem zdała sobie sprawę, że cały czas nasłuchiwała wyostrozonymi zmysłami.

Digby bawił się w nowym szynku całkiem dobrze; gwar tłumił jego niepokój. W Zabieganym Lokaju panował taki tłok, że stróż zmuszony był stać. Kiedy kazano mu zapłacić za trunek, poczuł się urażony, lecz uznał, że nic nie odwiedzie go od realizacji zamierzonego celu. To miejsce pełne było służących, energicznych ludzi z roziskrzonymi oczami, śmiejących się i plotkujących ze sobą, jakby nigdy w życiu nie przepracowali ani dnia. „Cóż – pomyślał Digby – wszak to służący z Londynu”. Każdy wiedział, że londyńska służba jest szczwana i leniwa i chce dostawać więcej za mniej. Któż mógłby się dziwić. Niemniej ich bez troskie podejście do lojalności i pracodawców zdecydowanie było mu na rękę.

Nie dbał o to, że inni się na niego gapią. Nie wyspał się, a Watkin powiedział mu, że ma podkrążone oczy. Kaszel nie brzmiał bardzo źle, chociaż Digby zbyt długo przebywał dziś na zimnie, spacerując po ulicach, jakby mógł tam znaleźć rozwiązanie dręczących go trosk. Ciepło gospody było mu miłe i bardzo potrzebne.

Rozejrzał się uważnie, wyprostowany, z gołą głową. Rozpuścił wieści. Podejrzewał, że długo nie będzie musiał czekać. Zauważył, że ludzie zerkają w jego stronę, kontynuując rozmowę z kimś innym lub milcząc. Po kilku minutach podszedł do niego jakiś mężczyzna. Był

młody, wysoki i barczysty, miał szeroką twarz i jeszcze szerszy uśmiech. Natychmiast wzbudził w Digbym nieufność.

– Słyszałem, że dopytuje się pan o Pierre'a Renarda – zagadnął nieznajomy.

Stróż uśmiechnął się i zamachał do oberżysty o dolewkę piwa.

Rozdział XXIII

5 września 1792

Stary Maynard przyszedł dziś do sklepu. Chodząca hucpa i buta. Na wzmiankę o tabakierze uniosłem rękę, żeby go uciszyć, i odwróciłem twarz. Przyjemnie było móc mu powiedzieć, że skoro jego syn złamał warunki drugiej naszej umowy, ja podnoszę wartość odsetek od pożyczonej sumy. Pomyślałem, że chyba dostanie ataku apopleksji, taki się zrobił czerwony. Żałuję, że tak wyszło, albowiem przez długi czas miałem nadzieję pielęgnować znajomość z nim; dobrze jest nie mieć zbyt wielu wrogów. Szybko jednak stało się jasne, że on nigdy mnie nie zaakceptuje, mimo przyjacielskich gestów z mojej strony i moich sukcesów zawodowych. Jest staroświecki; szanuje tylko szlachetnie urodzonych, nie ludzi, którzy doszli do wszystkiego sami, ponieważ sam nigdy nie zdołałby czegoś takiego dokonać. Tak czy owak, wyłożyłem mu nowe warunki i dałem słowo szlachcica, a on powiedział: „Pan nie jest szlachcicem, drogi panie. Jest pan od tego tak daleki, jak tylko się da”. Nadejdzie dzień, kiedy nie będzie już śmiało powiedzieć o mnie czegoś takiego. Widzę to i czuję: pewnego dnia ludzie będą kłaniać mi się jako lepszemu od nich. Będę miał posiadłość na wsi, jak Thomas Havering. I będę ojcem gromadki dzieci. Mój ród będzie prosperował.

Grisa przyglądał się parze ciężkich srebrnych chlebaków, a Alban z niejakim zdumieniem skonstatował, że nieśmiały uśmiech, jaki wykwitł na twarzy subiekta, jest przeznaczony dla niego. Nie był na to przygotowany; pogrążony w rozmyślaniach nie podejrzewał, że cyniczny kierownik sklepu Renarda ucieszy się na jego widok. Zauważył, że Grisa zachowuje się mniej przesadnie niż kiedyś; nawet jego francuski akcent nieco zelżał, jakby pozbawiony wpływu Renarda subiekt powoli się anglicyzował. Alban podał mu dwie karty z projektami zamówionych zleceń.

– Więcej znakomitych wyrobów! – ucieszył się Grisa. – Pani właścicielka bardzo chwaliła najnowszy komplet solniczek.

„Doprawdy?” – pomyślał Alban. Głośno zaś powiedział:

– Najważniejsze, żeby klient był zadowolony.

Jemu samemu podobały się własne projekty, chociaż dziwił się, że będąc w dołku psychicznym, zupełnie niezainteresowany pracą, miewa najlepsze pomysły i produkuje eleganckie srebra z klasycznymi zdobieniami, nieprzeładowane, idealnie harmonijne.

– Czasami zdaje mi się, że wszystko się sypie – powiedział Grisa poufnym tonem. – Poszedłem do magazynu szukać pary świeczników, lecz one zniknęły bez śladu. Bez śladu!

Teatralnie zamachał rękami w powietrzu.

– To niemodne srebra, w starym francuskim stylu, z muszlami i kwiatami, ale ciężkie.

Dałoby się je przetopić na tuzin sztuk *à la mode*, ale gdzież się podziały? Przez żalobę po śmierci *monsieur* Renarda nie wiem nawet, gdzie widziałem je po raz ostatni.

– Może jeszcze się znajdą – pocieszył go Alban.

Powiódł wzrokiem po gablotach. Sklep nadal tchnął elegancją, lecz Albanowi wydało się, że wystawionych towarów jest jakby mniej, aura rygorystycznej przedsiębiorczości natomiast, której źródłem był zapewne Renard, ulotniła się po jego śmierci. We wnętrzu pachniało woskiem, a z warsztatu unosił się ledwie wyczuwalny odór siarki.

– Gotujecie srebro[5] na zapleczu? – zapytał.

Grisa jęknął i pokiwał głową.

– Szerniało – przyznał. – I nie mogę liczyć na to, że chłopak zrobi to porządnie. Moje biedne nerwy... Przez wieści z Francji zastanawiam się czasem, po co ja się w ogóle tak męczę.

Po co to wszystko? Lada moment tu też rozpęta się rewolucja i bandyci na pewno znajdą sposób, by w pierwszej kolejności zrabować nasze srebro i klejnoty.

Pokręcił głową. Wtem jego oczy rozszerzyły się i skupiły na jakimś widoku za oknem. Obejrzawszy się przez ramię, Steele dostrzegł, że przed sklepem zatrzymał się powóz. Gdy mężczyzna, który z niego wyszedł, skierował się do sklepu, Alban usilnie starał się nie zwracać na siebie jego uwagi. Cofnął się o krok, stając pod ścianą. Drzwi otworzyły się gwałtownie i zamknęły z trzaskiem, dzwonek zabrzączał hałaśliwie.

Młody człowiek, który właśnie wszedł do sklepu, musiał być cenionym klientem, chociaż ubrany był w zachlapaną błotem płaszcz, a Albanowi wydał się podobny do dziecka przebranego w strój dorosłego. Wyglądał na odprężonego, a wchodząc do sklepu, powiódł dokoła jasnym, skupionym wzrokiem, jak gdyby chciał wywołać wrażenie, że nic nie umknie jego oczom. Grisa skłonił się tak nisko, że Alban zastanawiał się, czy czasem nie dotknął nosem kolana.

– Panie Chiiichester. – Francuski akcent w głosie subiekta niespodziewanie powrócił.

Młodzieniec uśmiechnął się, przyjmując to uniżenie jak należny mu hołd.

– Witam – odezwał się.

Pochylił się nad oszklonym kontuarem, prześlizgując się spojrzeniem po wyłożonych tam błyskotkach i klejnotach. Zabrało mu to ledwie minutę.

– Poproszę to. – Wskazał palcem na jeden z naszyjników. – Zapakuje go pan? Proszę dopisać go do mojego rachunku.

– Oczywiście, proszę pana – powiedział Grisa, zamaszystym gestem odsuwając szufladę pod ladą. – To z nowej dostawy. Życzy pan sobie, żebyśmy wykonali pasujące do niego pudełeczko?

– Nie, nie. To tylko drobny prezent. Proszę zapakować go w to, co pan ma pod ręką, byle starannie.

Grisa zniknął na zapleczu, a po chwili wrócił z kawałkiem papieru woskowego. Ułożył na nim naszyjnik i powoli zajął się pakowaniem.

– Bardzo są ładne – odezwał się pan Chichester, podnosząc z lady jeden z koszy na chleb przyniesionych przez Albana. Chwilę ważył go w dłoni. – Coś takiego bardzo by mi się przydało. Od jakiegoś czasu noszę się z zamiarem złożenia sporego zamówienia. Chodzi o srebrną zastawę stołową.

Alban zauważył zaniepokojoną minę Grisy, który przełknął ślinę i odezwał się:

– Te dwa zrobiono na zamówienie innego klienta... – zająknął się lekko. – Ale jest tu rzemieślnik, który je wykonał. Pozwoli pan, że przedstawię pana Albana Steele'a.

– Moje uszanowanie – przywitał się Chichester. Wydawał się zdziwiony widokiem trzeciej osoby, choć Alban gotów był się założyć, że zauważył go już wcześniej. Młodzieniec spojrział na złotnika, a na jego chłodnym obliczu przelotnie zagościł uśmiech.

– Ten styl wydaje mi się idealny – powiedział. – Czy mógłby pan pofatygować się do mnie za dzień lub dwa?

– Ależ oczywiście – odrzekł Grisa, nim Alban zdążył się odezwać. – Będziemy zaszczytzeni.

– Doskonale – ucieszył się Chichester. Schował zapakowany naszyjnik do kieszeni. – Wracam właśnie z prowincji. Byłbym rad zobaczyć pana we wtorek, panie Steele. Pan Grisa poda panu adres.

Sprężystym krokiem wyszedł ze sklepu. Jego płaszcz zafurkotał za nim tak zamaszysto, że Alban niemal liczył na to, że przytrzaśnie go drzwiami.

Grisa starannie zamknął drzwi za klientem i przyglądał się, jak tamten wsiada do powozu.

– Czemu się pan odezwał? – zaczął Alban, a subiekt teatralnym gestem zwiesił głowę. –

Jestem przecież tylko pracownikiem na zlecenie.

Miał ochotę nakrzyczeć na subiekta, bo ostatnio wyraźnie brakowało mu cierpliwości, lecz starał się kontrolować ton głosu ze względu na dobro swego kuzyna.

– Takim ludziom jak on się nie odmawia – powiedział Grisa przymilnie. – Poza tym spodobał mu się pan, zauważyłem od razu, a to liczy się w biznesie bardziej niż wszystko inne. Ja sam w przeszłości radziłem z tym sobie dość dobrze, lecz odkąd pan Renard od nas odszedł, przechodzę... *crise*. Miałem nadzieję, że pani właścicielka szybko poślubi innego złotnika, tak uczyniłaby kobieta praktyczna, ona jednak nie ma takiego zamiaru. Jestem przytłoczony pracą, a ani ja, ani – ściszył głos – ten głupi młodzik, któremu *monsieur* zostawił całą firmę, nie mamy oka do projektów. Potrafię jednak poznać dobrą rękę, a pan ją ma, panie Steele. Chciałbym prosić o pańską pomoc, nosiłem się z tym zamiarem już od paru dni. Powiernicy testamentu posłuchają mojej rady. I pan, i pański kuzyn na tym skorzystacie.

– Muszę się zastanowić – odrzekł Alban. Nie był do końca pewien, o co tamtemu chodzi, chciał tylko jak najszybciej się stąd wynieść. – Tymczasem życzę panu dobrego dnia.

Wyszedł, nim Grisa zdążył pociągnąć swoją argumentację dalej. Zamknął za sobą drzwi, zupełnie nie zwracając uwagi na jego słowa.

List od Grisy dotarł na Foster Lane przed Albanem. Steele zastanawiał się, kogo subiekt posłał; zapewne jakiegoś czyżego młodzika z ulicy, chętnego zarobić błyszczącą monetę. List leżał na stole, kiedy Alban wszedł do domu. Złamał pieczęć i zmarszczył brew na widok treści.

– Co to? – spytał go kuzyn, który wygrzewał się przy kominku.

– Ten kierownik od Renarda – rzucił Alban – chce, żebym pomagał mu w prowadzeniu interesu, dopóki nie znajdzie sobie innego partnera. Obiecuje hojne wynagrodzenie.

Pokazał Jessemu list.

– Jezusie słodki! – wykrzyknął Jesse na widok wyszczególnionej sumy. – Wiedziałem, że on cię lubi. Dziwny człowiek z tego Grisy. Często zastanawiam się, co kryje się za tą całą jego pozą.

– Pisze, że może to uzgodnić z Taylorem później, ale mnie się wydaje, że nie powinien składać takich propozycji bez wiedzy doktora. Nie mam ochoty mieszać się do układów, w które wplątują się ci ludzie – powiedział Alban. Słyszeli plotki w urzędzie probierczym: źle się działo w zakładzie Renarda.

– A wdowa? – zapytał Jesse, jakby nie chciał wymawiać na głos imienia Mary. Alban ze zniecierpliwieniem pokręcił głową, jak gdyby nic dla niego nie znaczyła.

– Więc powinieneś się zgodzić – stwierdził Jesse zmęczonym głosem. – Jeśli nie przez wzgląd na siebie, to na nas. Będziemy mieli z czego żyć, kiedy nas zostawisz.

„Nie miał zamiaru mnie zranić” – pomyślał Alban, lecz słowa Jessego i tak boleśnie go ukłuły; kolejny raz. Pomyślał, że ucieszy się, gdy stąd wyjedzie, już niebawem.

To podekscytowany Grisa zaaranżował spotkanie z Taylorem. Powiedział, że doktor nabrał zwyczaju wpadać z codzienną wizytą. Tak więc Alban znalazł się w sklepie Grisy, gdzie bez większego zainteresowania przyglądał się towarom w gablotach i oczekiwał na przybycie Taylora. Należał do ludzi cierpliwych, lecz to, że musi stawić się na jego zawołanie, wyraźnie mu się nie podobało. Zresztą wiele aspektów tej sytuacji mu się nie podobało.

– Czy pani Renard jest w domu? – zapytał. Rozpraszała go myśl, że Mary być może jest na piętrze. Oznaczałoby to, że każdy najmniejszy dźwięk dochodzący z góry będzie wzmagał w nim napięcie.

– *Non* – odpowiedział Grisa. – Panna Avery zabrała ją na spacer.

Drzwi sklepu otworzyły się i do środka wszedł Taylor. Zdjął kapelusz. Był zdyszany. Gdy Grisa zaczął kwiecistą prezentację, doktor starannie unikał wzroku Albana, po czym skłonił się

lekko.

– Czy pracował pan w srebrze całe swoje życie, panie Steele? – zapytał w końcu.

– Prawie – odparł Alban, zbity z tropu tym pytaniem.

Grisa popatrywał to na jednego, to na drugiego z konsternacją na twarzy.

– Hmm... – zaszemrał pod nosem doktor, jakby nad czymś się zastanawiał. – Hmm...

– Doktorze Taylor, z całym szacunkiem – odezwał się subiekt. – Pomoc pana Steele jest nam tu potrzebna. To znakomity rzemieślnik, bardzo pracowity...

– Nie kwestionuję pańskich umiejętności jako złotnika, niech mi pan wierzy, panie Steele'a, nie mam takiego zamiaru, lecz to bardzo delikatna sprawa, a ta decyzja jest mi poniekąd narzucana. Pozostali powiernicy są skłonni zgodzić się na ów pomysł, ale ja jestem związany z tą kwestią bardziej niż oni. Czuję wielką odpowiedzialność, dlatego się waham. Proszę, niech pan nie czuje się tym urażony.

– Nie czuję się – odparł Alban. – Ale chcę wiedzieć, czy jestem potrzebny, czy nie.

– Skoro pan Grisa tak mówi – zaczął Taylor – oznacza to, że ktoś do pomocy jest potrzebny. A ten chłopiec, Benjamin... na razie został oddany pod opiekę pani Renard. Miałem nadzieję znaleźć kogoś, kto by tę sytuację rozwiązał.

– Jestem pewien, że moja pomoc nie będzie potrzebna na długo. Może pan zapytać w cechu o moje referencje. Czy ktoś oprócz mnie zaoferował współpracę?

– Nikt. Jakiś głupiec rozpuścił plotkę, że nad zakładem ciąży klątwa. Przesady! I to w naszych czasach! Można by pomyśleć, że kiedy ludzie protestują na ulicy, a na polach pod Stoc-kwell wznosi się Drzewo Wolności[6], złotnicy naprawdę będą mieli nadto realnych zmartwień.

– To właśnie wtedy najłatwiej roztrząsać te wymyślane – odezwał się Alban.

– Może i ma pan rację – zgodził się Taylor. – Wdzięczny jestem za pańską pomoc, panie Steele.

Nadal wyglądał na zafrasowanego; odwracając się, posłał Grisie ponure spojrzenie.

– Boże, chroń króla! – rzucił za siebie i otworzył drzwi.

– Boże, chroń króla – powtórzył Alban.

Rozdział XXIV

7 września 1792

Otrzymałem dziś liścik od pani Chichester. Uznała, że życzy sobie kolejnych zmian w projekcie. Dobrze na mnie wpłynęła wiadomość od niej i myśl o jej ślicznej buzi. Zastanawiające, że myślenie o tak przyjemnych sprawach działa na mnie jak zmiana pór roku. Zawsze głęboko wszystko odczuwałem, a ta odrobina ludzkiego ciepła dobrze mi robi. Tego wieczoru podczas spotkania z Taylorem byłem w znakomitym humorze; gdy przyszedł do mnie, rozmawialiśmy o tym, co czytaliśmy w gazetach, i zabawialiśmy się żartami, jak to mamy w zwyczaju. Cieszę się z jego towarzystwa, bo czuję już jesienny chłód w powietrzu, a kiedy pomyślę o długich wieczorach, które wkrótce nadejdą, niechęć wzbudza we mnie perspektywa siedzenia poza domem albo samemu z żoną.

Joanna leżała na łóżku kompletnie ubrana. Jedna z pokojówek łomotała w jej drzwi, lecz ona tylko patrzyła w sufit i ani myślała się ruszyć.

Wrócił pan Chichester.

Podarunek od niego leżał na łóżku obok niej: naszyjnik z granatami owinięty w woskowany papier. Kamienie nie skrzyły się – miały nasyconą barwę, która jej się podobała: głęboką czerwień dobrego wina, jakie piła z nim tamtego wieczoru w bibliotece. Jej ręka sama powędrowała do naszyjnika. Podniosła go tak, że zwieszał się z jej dłoni. Poruszała nim to w lewo, to w prawo. Co miał oznaczać taki podarunek? Pozwoliła sobie wymówić w myślach jedno słowo, którego nie używała od tak dawna. Niewykłuczone.

Cieszyła się, że nie wysłała do niego tego listu. Teraz wydawało jej się, że napisała go bardzo dawno temu, lecz myśl o tym nadal była niemiła. W zdradzie przelanej na papier czaiło się coś strasznego. Wyrażona słowami była mniej znacząca, słowa ulatywały i pękały jak bańki mydlane. Joanna zdecydowała, że osobiście powie panu Chichesterowi, że Harriet nie była mu wierna.

Spróbowała go sobie wyobrazić, nie potrafiła jednak złożyć w całość jego twarzy, we wspomnieniach zostało jedynie wrażenie: ciepło pod powłoką chłodu, ciepło, które chciała wydobyć na zewnątrz.

Poczekwała, aż pokojówka zejdzie z powrotem na dół, po czym wstała i odryglowała drzwi.

W kuchni siedziała pani Holland, jedząc piętękę od chleba obficie posmarowaną masłem. Jej górna warga była nim wymazana.

– Gdzieś była? – odezwała się. – Pani cię szukała. Posłałam Jane z tacą na górę, ale ona będzie jęczeć o to przynajmniej pół dnia.

– Zaraz do niej pójde – powiedziała Joanna. W tej samej chwili w drzwiach ukazała się Jane. Przez jej sprężysty chód resztki śniadania obijały się o siebie na tacy.

– Woła panią – rzekła ponuro. – Powiedziała, że miała pani spać wczoraj w jej pokoju.

– Nie dało się tego zrobić – stwierdziła Joanna. – Zresztą nie muszę się tłumaczyć, ani tobie, ani nikomu innemu.

Obróciła się na pięcie i poszła. Niemal słyszała, jak pani Holland i pokojówka wymieniają znaczące spojrzenia.

Kiedy szła przez korytarz przy schodach, drzwi biblioteki otworzyły się i wyszedł z niej pan Chichester.

– Panno Dunning, co za spotkanie! – powiedział.

Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że fala ciepła, którą poczuła na twarzy, nie jest rumieńcem. Dygnęła.

– Wstąpi tu pani na chwilę? – zapytał. Joanna zauważyła, że Will i Oliver popatrzyli na siebie. Gdy drzwi biblioteki się zamknęły, pomyślała, że dobrze byłoby, gdyby mogła wyciągnąć chusteczkę i zatkać nią dziurkę od klucza, co uniemożliwiłoby im podglądanie. Zamiast tego stanęła w samym rogu pokoju i postanowiła mówić możliwie najciszej i miękko. Jej pozycja za-intrygowała chyba pana Chicheстера, bo podszedł w jej stronę z uśmiechem.

– Jak się panu udał wyjazd? – zapytała.

– Było ciekawie – odrzekł. – Wpadłem na chwilę do ojca i do rodziny. Proszę nie mówić o tym pani Chichester; będzie się tylko dąsać. Jak mają się sprawy tutaj?

Patrzył na nią szczerym, nieruchomym wzrokiem. Spojrzenie było tak jawne, tak uważne, że poczuła się uwodzona. Było to dziwne wrażenie, które nie przytrafiło się jej od wielu lat; zareagowało na to nawet jej ciało.

– Dość spokojnie, proszę pana – powiedziała. – Jestem pewna, że w podróży miał pan więcej rozrywek i podniet.

– Szczerze wątpię. Moi rodzice są bardzo poruszeni wieściami z Francji. Wydaje się, że wszędzie dookoła nas stary porządek się rozpada. Zarządca mojego ojca ma córkę tak udaną, jakiej można by życzyć każdemu. Mówi po francusku i gra na szpincie lepiej niż moja żona. A ty, Joanno? Życzysz sobie podnieść swoją pozycję w świecie? Stanąć powyżej miejsca, w którym postawił cię Bóg albo ktoś inny?

Powiedział to podniosłym tonem, ewidentnie rozkoszując się swoimi słowami. Ledwo mogła oddychać przygwożdżona jego spojrzeniem. Następny ruch należał do niej, lecz nie wiedziała, co to powinno być. Nie ufała swojej umiejętności ważenia słów i reagowania wystarczająco szybko; obawiała się pomyłki.

– Znam swoje miejsce, proszę pana – powiedziała. – Nigdy go nie kwestionowałam.

Było to kłamstwo najlepszego rodzaju: tak niezbędne, że wypowiedziała je z najgłębszym przekonaniem, które niemal przemieniło je w prawdę.

– Cóż... – Uśmiechnął się, nadal patrząc jej prosto w oczy. Było jej gorąco; od wielu lat nie czuła już takiego ciepła. W tamtej chwili nie myślała nawet o wydaniu sekretu Harriet. Chciała tylko, żeby na nią patrzył. Żeby ją widział.

– Przed chwilą widziałem się z żoną – powiedział Chichester.

– Ach tak? – Słowa wyrwały się Joannie, zanim zdążyła się powstrzymać.

– Tylko na moment. Wyglądała dobrze. Doskonale się pani spisała z doprowadzeniem jej do porządku. Muszę już iść. Ale chętnie porozmawiam z panią później, może dziś wieczorem? Mogłaby pani wejść do mnie, kiedy wrócę; sam będę sobie przyświecał.

– Do widzenia panu – powiedziała, składając ukłon. Gdy otwierał drzwi i wielkimi krokami wychodził na korytarz, myślała tylko o tym, jak dobrze wygląda.

Radość spowodowała, że Joanna była tego dnia łaskawa. Poruszała się jakby w świecie marzeń, uśmiechała się łagodnie w odpowiedzi na każdą reprimendę i spełniała wszystkie zachcianki Harriet, nie narzekając nawet w myślach.

Nadal miała na sobie gorset i spódnicę, lecz zdążyła już obnażyć ramiona, kiedy dochodzące z wnętrza domu dźwięki powiedziały jej, że pan Chichester już wrócił. Przyjrzała się swojemu odbiciu w małym kawałku lustra – naszyjnik z granatami wyraźnie odznaczał się od jej bladej skóry, ciemny jak krew. Starannie zaczesła do tyłu ciemne włosy, w blasku dodatkowych świec, które jej podarował. Efekt był przyjemny dla oka: w migotliwym świetle niemal można było pomyśleć, że znowu jest młoda.

Nie traciła czasu na szukanie szala, którym mogłaby okryć ramiona, zeszła bosą po scho-

dach dla służby, niosąc jedną z nowych świec w srebrnym kandelabrze, który wzięła z toaletki Harriet. Od kamiennych stopni zionął chłód; przeszedł ją mimowolny dreszcz, gdy gdzieś w głębi domu otworzyły się drzwi, a ona poczuła lodowaty podmuch zimowego wiatru. Kiedy wyszła na półpiętro, Chichester kierował się do swego pokoju lekko chwiejnym krokiem, jedną ręką przytrzymując się ściany. Wracał sam, tak jak obiecywał. Lecz kiedy wyszła z cienia, zmarszczył brew, jak gdyby przerwała mu jakieś rozmyślenia.

– Joanno – pozdrowił ją.

– Proszę pana. – Ukłoniła się.

– Zimną mamy noc. Musi być pani zmarznięta.

Serce waliło jej tak, że słyszała dudnienie w uszach. Wiedziała, że musi wykorzystać chwilę, póki jeszcze ma na to odwagę. Atmosfera nie była taka, jak jej się wydawało; lecz dana jej była tylko ta jedna szansa, a że zawsze odważnie mierzyła się z życiem, postanowiła zaryzykować. Podeszła do niego i położyła dłoń na jego twarzy.

Uskoczył w tył.

– Co pani robi? – zapytał.

– Ma pan do tego prawo – powiedziała, przyciągając jego twarz ku swojej.

Nim zdążyła się zorientować, co się dzieje, cofała się chwiejnie, czując pulsujący ból w lewym policzku. Wpadła na balustradę i obijała plecy. Świecznik wypadł jej z ręki na podłogę, metal tępo brzęknął o kamień. Świeca zgasła. Dopiero po chwili dotarło do niej, że ją uderzył, szybko i mocno, jednym ruchem nadgarstka. „Wprawiona ręka” – pomyślała. Popatrzyła na niego, nieświadoma, że maska spokoju opadła jej z twarzy, a przez oczy prześwieca ból.

On tymczasem trzymał swoją świecę wysoko pomiędzy nimi.

– Wybacz – powiedział. Jego głos był wyższy niż zazwyczaj, z nieprzyjemną nutą samousprawiedliwienia. – Ale zapomniałaś się, Joanno.

Chwyciła leżący na posadzce świecznik; nim zdążyła się odwrócić, on podniósł z podłogi ogarek świecy i odpałił go od swojej. Trzymała kandelabr w drżącej dłoni, pozwalając mu osadzić świecę z powrotem na miejsce.

– Nie będziemy więcej do tego wracać – rzekł.

Ona jednak pędziła już w kierunku drzwi na kuchenne schody. Z dołu błyskało światło. Oliver jeszcze nie spał; zdała sobie sprawę, że na pewno ją widział. Upokorzenie ścisnęło jej gardło.

– Panno Dunning – rozległ się jego śpiewny głos. – Och, panno Dunning...

Był to ledwie szept, lecz w pustej przestrzeni niósł się daleko, odbijając się echem od ścian, w miarę jak biegł po stopniach w jej stronę. Dogonił ją i zastąpił jej drogę na schody dla służby w chwili, gdy pan Chichester z trzaskiem zamykał drzwi do swego pokoju.

– Przyjęli cię, bo jesteś nieładna. To była twoja przewaga nad innymi, co tam twój francuski i doświadczenie zawodowe. – Modelował głos tak, że choć mówił basem, niemal idealnie naśladował ton i sposób wyrażania się matki Harriet. – Nic się nie martw, moja droga, nie wypadniesz źle w porównaniu, wybrałam taką, że Chichester będzie cię kochał stokroć bardziej. – Przyśunął świecznik bliżej. – Musisz się nauczyć, gdzie twoje miejsce, panno Dunning.

Odepchnęła go mocno, tak że się zatoczył. Nie czekała, aż odzyska równowagę; miała nadzieję, że jego liberia zajmie się ogniem i spali go na popiół. Pobiegnęła do siebie ile sił w nogach, jedną dłonią osłaniając płomień świecy.

Dziesięć minut później zeszła do piwnicy i zbudziła ze snu ochmistrzynię.

– Musi mnie pani wypuścić – powiedziała. – Pani potrzeba lekarza.

Pani Holland otworzyła usta, by powiedzieć, że wyśle któregoś z chłopców, lecz się zmiętkowała. W oczach Joanny połyskiwała stal. Wyglądała blado, włosy miała ciasno zaczesane.

Otulał ją płaszcz.

– Poważnie się rozchorowała? – zapytała ochmistrzyni. – Coś z dzieckiem?

Joanna pokręciła głową.

– To bardziej zachcianka. Zaraz będę z powrotem. Nie ma potrzeby nikogo budzić, tylko by to pogorszyło sprawę.

Wybiegła w kierunku stajni Hays Mews. Uderzył ją nocny chłód. Księżyc świecił jasno, bliski pełni. Widok żdźbła słomy na brukowanej ulicy przyniósł wspomnienie o Stephenie. Zgięła się wpół i rozpląkała, haustami łapiąc lodowate powietrze, od którego aż rozboleły ją płuca. Jakiś stajenny wyrzwał zza drzwi, ale postanowił ją zignorować. Jedna zrozpaczona kobieta nie będzie niepokoić koni.

Znajoma okolica budziła w niej wstręt. Za nią niczym góra wznosił się dom Chichesterów; jego ciemna sylwetka była jak cień śmierci za jej plecami. Joanna ruszyła biegiem przed siebie, przytrzymując płaszcz dla ochrony przed chłodem.

Pierwszą jej myślą była rzeka. Było za ciepło, aby skuwał ją lód. Gdyby tam poszła, wskoczyła do niej, czy Stephen by na nią czekał? Przy jej szczęściu, gdyby spróbowała się utopić, zapewne wyratowałby ją i ocucił jakiś dobroduszny członek Towarzystwa Pomocy Humanitarnej, żeby nadal mogła wieść swój marny żywot. Parsknęła śmiechem na samą myśl. Jej oczy wypełniły się łzami, które długo czekały na to, by zostać przelane. Kiedy spłynęły jej na policzki, już popędzały je kolejne, łza płynęła za łzą, mgłą zasnuwając jej oczy. Joanna biegła jednak dalej. Nie dbała o to, czy się przewróci.

Całym rozpędem wpadła na jakiegoś człowieka. Przypominało to uderzenie w ceglana ścianę: jeśli go zaskoczyła, nie okazał tego w żaden sposób. Nie drgnął ani o cal, a jego żyłaste ręce oplotły się wokół niej niczym stalowe pręty. Próbowwała się wyrwać, lecz natychmiast zdała sobie sprawę, że z nim nie wygra. Natychmiast więc przestała się szarpać i, zrezygnowana, zaczęła gorączkowo myśleć, zmuszając umysł do wysiłku.

Ręce mężczyzny też zamarły w bezruchu. Zwiesiła się na nich, nagle bezwładna i wycieńczona.

– No, już dobrze – powiedział nieznajomy. – Spokój.

Skojarzyło jej się to ze stajennym uspokajającym zwierzę i pomyślała, że w zasadzie zachowuje się jak narowisty koń.

Zebrała się na odwagę i spojrzała w górę. W świetle księżycy zobaczyła znajomą twarz.

– Ja pana znam... – rzekła.

Uśmiechnął się.

– Istotnie, proszę pani. Należę do straży nocnej.

– Co pan tu robi o tej porze? – zapytała ostro.

Roześmiał się.

– Stróżuję. Wie pani, na tych ulicach nadal czai się morderca. Kazałem Watkinowi, mojemu partnerowi, zrobić jedną rundkę dookoła placu w pojedynkę. Nie ucieszył się, ale ja ostatnimi czasy wolę mieć oko szczególnie na ten dom, żeby się upewnić, że wszyscy państwo są bezpieczni. Wracalem właśnie do partnera, kiedy się pani o mnie rozbiła.

Nadal ją obejmował; powoli przyzwyczajała się do ciepła jego ramion.

– Może mnie pan puścić – powiedziała.

– Coś mi się zdaje, że woli pani, aby ktoś panią trzymał – odrzekł. – Tak po prawdzie.

Nie protestowała. Nie czuła fizycznej bliskości i dotyku innego człowieka od tak dawna, że całkiem zapomniała, jakie to uczucie. Zalała ją fala ulgi. Sama nie wybrałaby sobie stróża na towarzysza, ale jego ciepło już przesiąkało przez jej skórę. Łzy już wyschły, lecz teraz poczuła, że ma ochotę znów się rozpląkać, tym razem ze szczęścia. Usta ścisnęły jej się konwulsyjnie, gdy

próbowała powstrzymać szloch.

– No już... – powiedział do niej jak do dziecka, nadal ją podtrzymując, na wypadek gdyby próbowała uciec. – Cicho.

Pochylił się i otarł się policzkiem o jej twarz, jakby chciał zetrzeć w ten sposób jej łzy.

– Digby! – Krzyk dochodził z placu. Po chwili rozległ się znowu, tym razem bliżej.

– Mój partner – odezwał się stróż.

– Digby, dopadłeś jakąś ladacznicę w bocznej uliczce? – Głos dochodził już z bardzo bliska.

Wreszcie wypuścił ją z objęć.

– Będę tu jutro o dziewiątej, jeśli nadal potrzebny będzie pani pocieszyciel – powiedział. Joanna nie odezwała się ani słowem. Cofnęła się, potykając się o własne nogi. Pokręciła głową.

– Następanej nocy też – dodał. A później odwrócił się i krzyknął: – Tu jestem! Wydawało mi się, że coś widzę. Już wychodzę.

– Akurat coś widziałeś, stary draniu – odezwał się drugi stróż w odpowiedzi. – Możesz się pospieszyć?

– Do zobaczenia, panienko – rzucił w jej stronę.

– Jak pan śmie pozwalać sobie na takie rzeczy – odezwała się Joanna, lecz bez stanowczości w głosie.

Digby wzruszył ramionami.

– Tak sobie myślę, że jednak pani przyjdzie.

Odwrócił się i pomaszerował szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie. Nim zniknął jej z oczu, zauważyła, że przystaje przy rogu stajni i zgina się wpół, i kaszle, samotna, melancholijna sylwetka w nocnym krajobrazie.

Rozdział XXV

10 września 1792

Wróciwszy do domu po wizycie u klienta, zastałem Grisę całego w nerwach. Machał chustką naokoło jak omdlewająca dama. Moje rozbawienie uleciało jednak, kiedy okazało się, że połowa gablot stoi otworem, a mój subiekt wyjaśnił, że do sklepu przyszła grupa mężczyzn, każąc pokazać sobie to i owo, i że Benjamin nie potrafił sobie z nimi poradzić. Powiedzieli Grisie, że wiedzą, iż udzielam pożyczek i z jakim zabezpieczeniem, i jaka suma jest w sklepie. Koniec końców udało mu się ich wyprosić. Wygląda na to, że nic nie zginęło – umiem szybkim okiem zwerfikować stan gablot – lecz podejrzewam, że za wszystkim stoi młody Maynard albo inny lajdak, któremu udzieliłem pożyczki.

W poniedziałkowe przedpołudnie kwadrans przed jedenastą Mary stanęła w oknie i obserwowała, jak Alban Steele kieruje się ku jej kamienicy. Szedł powoli, rozglądając się dookoła. Jego widok jednocześnie elektryzował ją i doprowadzał do wściekłości. Gwałtownie odwróciła się od okna.

– Chciałabym się stąd wynieść – powiedziała do kuzynki. – Przyrzekam ci, Avery, gdyby ciotka zechciała nas u siebie przyjąć, wyjechałabym z Londynu jeszcze tej nocy.

Avery zajęła miejsce Mary przy oknie.

– Po co on tu przychodzi? – zapytała. – Przecież nic tym nie zyska.

Mary zerknęła na kuzynkę, zastanawiając się, czy w tajemniczym wyrazie jej oczu kryje się zrozumienie. Nie wspomniała jej ani słowem o oświadczeniach Albana, ale miała wrażenie, że Avery domyśla się wielu rzeczy, o których nikt jej nie mówił.

– Nie wiem – powiedziała. – W firmie podobno co chwila coś się sypie, może próbują tym sposobem załatać kolejną dziurę.

Taylor zdążył już poinformować Mary, że Grisa zwrócił się do Albana o pomoc, a ten zgodził się jej udzielić. Oddano mu do dyspozycji jeden z pokojów, by miał gdzie zanoć, kiedy nie zdoła wrócić do City. „To interesy – pomyślała – tylko interesy: muszę powtarzać sobie to słowo, aż stanie się ono prawdą”.

W ciągu ostatnich kilku tygodni nauczyła się patrzeć surowo na Benjamina, gdy tylko znalazł się w zasięgu jej wzroku, odpowiadać na jego spojrzenie bez cienia słabości. Wyczerpywało ją to jednak, podobnie jak pytania Grisy. Rozmawiał ponoć w szynku z jakimś człowiekiem, który utrzymywał, że Pierre został zabity z powodów finansowych i najprawdopodobniej przez bliską mu osobę. Musiała powtarzać Grisie raz po raz: tej nocy, kiedy zginął Pierre, Benjamin był w domu i nie mógł wymknąć się na Berkeley Square i poderżnąć mu gardła. Jednakże lata małżeństwa z Pierre'em nauczyły ją wątpić we własne słowa, więc mimo wszystkich zapewnień sama zaczęła kwestionować swoją ocenę sytuacji.

– Najlepiej, jeśli nie będzie się pani spoufalać z panem Steele'em – poradził jej Taylor – bowiem jego pomoc jest tymczasowa. Oczywiście mamy u niego dług wdzięczności, ale to tylko pracujący złotnik, nie ten sam typ człowieka, jakim był Pierre. Nie jest pani równy stanem.

Wiedziała, że determinacja Grisy, by uczynić z Albana swego współpracownika, wprawia doktora w zakłopotanie. Subiekt rozmówił się na ten temat z pozostałymi powiernikami, a ci również zaczęli wywierać na Taylorze presję. Nie wspomniała Taylorowi o oświadczeniach, wiedząc, że przyjąłby tę wieść z dezaprobatą i zaczął wymyślać coraz to nowe obiekcje, aż w końcu Alban nie mógłby nawet przestąpić progu tego domu. Postanowiła więc jak na razie zachować to dla siebie. Troska doktora była ujmująca, a jego nadopiekuńczość świadczyła o sympatii,

jaką ją darzył, lecz powoli zaczynała jej ciążyć.

Celowo nie domknęła drzwi do salonu, więc doszedł ją głos Albana. Usłyszała jego niski, przyjemny ton; czuła, jakby ten dźwięk wygrzebywał jej serce spod gruzu. Owszem, ich ostatnie spotkanie u Świętego Jakuba zbrukało wspomnienie, jakie o nim zachowała. Lecz gdy wymawiano na głos jego imię, serce podskakiwało w niej tak samo jak wówczas, gdy zobaczyła go na Bond Street kilka dni po śmierci Pierre'a.

Zostawiła Avery zajętą robótką i wyszła na schody, żeby z góry popatrzeć na Grisę i Albana, którzy stali w korytarzu i wymieniali uprzejmości. Słyszając jej kroki, obaj unieśli głowy; Alban się uklonił. Minę miał poważną, ale w jego oczach nie dostrzegła zażenowania ani niepokoju. Wydał jej się zmęczony: nie ogolił się, a płaszcz, który miał na sobie, był rozpięty i nieco wygnieciony.

– Panie Steele – pozdrowiła go.

– Pani Renard.

Przez okna sklepu wpadało dość światła, by mogła zwrócić uwagę na kolor jego oczu i przyjrzeć się wyraźnie rysom jego twarzy. Na dźwięk ciężkich kroków Benjamina odwróciła się na pięcie i weszła z powrotem do salonu, czując nieprzyjemny ucisk w dołku.

Pół godziny później, gdy Avery zeszła do kuchni porozmawiać z Ellen, Alban zapukał do drzwi bawialni. Stał na progu, niezdecydowany. Jego milczenie było oznaką szacunku, lecz zauważyła, że od ich ostatniego spotkania wyraz jego twarzy stracił nieco ze swojej łagodności.

– Wybacz pani, że przeszkadzam... – odezwał się.

– Nie przeszkadza pan. Proszę, niech pan wejdzie i usiądzie na moment.

Pokręcił głową.

– Zabiorę pani tylko chwilkę – powiedział tonem tak oficjalnym, że zastanawiała się, czy Benjamin już nie nastawił go przeciwko niej. Jeśli tak, byłaby to szybka robota.

– Nie przyszedłem się pani naprzykrzać – ciągnął Alban. – Po pani twarzy wnioskuję, że moja obecność zapewne jest pani niemiła.

– Skądże znowu – odrzekła zdziwiona, że można było tak źle zinterpretować jej zachowanie.

– Przyszedłem powiedzieć, że jeśli nie życzy sobie pani mnie tutaj widzieć, zrezygnuję. Proszę zrozumieć, cokolwiek między nami zaszło, minęło, i sam wolę o tym zapomnieć. Zachęcono mnie, bym z panią pomówił, i źle oceniłem sytuację. Niewłaściwie zapamiętałem minionie wydarzenia i... cóż, to już za nami. Oferuję pani mój szacunek i moją przyjaźń.

– Nie chcę, by pan rezygnował – odpowiedziała szczerze. Jednak uczucia, które chciała przekazać tymi słowami, wyraźnie umknęły jego uwadze. Z wahaniem mówiła dalej: – Jesteśmy pana dłużnikami za to, że pomaga nam pan, kiedy inni się od nas odwracają. Jestem panu wdzięczna, proszę mi wierzyć.

Nie dał po sobie poznać, czy jej słowa sprawiły mu satysfakcję. Pożegnał się i zszedł po schodach, wyraźnie szybciej, niż po nich wchodził.

Miłość własna podpowiadała jej: „Być może ubodła go twoja odmowa”. Pozwoliła sobie na tę myśl tylko przez chwilę. Zamknięta we własnym salonie, ograniczana ze wszystkich stron, zdawała sobie sprawę, że w jej umyśle każda drobnostka urasta do rangi czegoś ważnego. Bezpieczniej było wierzyć, że nie patrzył na nią jak na osobę godną miłości, lecz raczej dodatek do firmy, z którą chciał być w ciepłych stosunkach. Patrząc na nią, ludzie nie widzieli jej samej, tylko złoto i srebro należące do jej męża. Mimo wspomnień nie powinna była zapominać, że człowiek ten zaczął od rozmowy o pieniądzach. Przynajmniej był szczery. Przypadek jedynie sprawił, że wspomnienie o nim było powiązane ze wspomnieniem o bracie.

Wielokrotnie w ciągu dnia słyszała, jak Alban rozmawia z Benjaminem; a przynajmniej

docierał do jej uszu bezdźwięczny głos czeladnika udzielający odpowiedzi. Gdy starała się wychwycić jakieś słowa, przypomniał jej się wieczór na krótko przed ślubem, kiedy Pierre przyszedł rozmówić się z jej ojcem. Zastanawiała się, czy już zawsze koleje jej życia będą zależeć od rozmów mężczyzn, zasłyszanych z pokoju obok. Spruła kawałek robótki i zabrała się do niej od nowa, z frustracją i rozdrażnieniem dochodząc do wniosku, że jeśli siła jest cechą nabytą, to nie udało jej się wyćwiczyć w sobie tej umiejętności. I nie wiedziała, jak zrobić to teraz.

Nie miała wątpliwości, że Alban zdoła zyskać sobie trwały szacunek Benjaminą, co jej się nie udało. Zastanawiała się, czy zostaną przyjaciółmi – myśl ta przejmowała ją bólem. Miała powody przypuszczać, że Benjamin nocą wymyka się wraz z innymi czeladnikami do Covent Garden[7], by popatrzeć na przechadzające się tam dziewczęta poubierane w jaskrawe kolory, obwieszane sztucznymi klejnotami, z piórami w wysoko upiętych koafiurach. Za garść monet taka kobieta zabierała ich do izby w gospodzie; Mallory opowiadała jej o tym, z kamienną twarzą, jak to ona. Mary zastanawiała się, czy Alban będzie skłonny któregoś wieczoru pójść z Benjaminą i poszukać sobie takiej kobiety. Już sama myśl o tym ukłuła ją boleśnie. Pomyślała, że to kolejna lekcja w szkole życia: musi się uodpornić na tego typu rany. Wiedziała, że spowita w żałobną czerń nie może konkurować z kobietami w szkarłatach i purpurach, i wmawiała sobie, że wcale nie chce tego robić.

Alban wyszedł z zakładu na jakąś godzinkę. Razem z Grisą spędzili niemal całe popołudnie, szukając wisiorka, który nie chciał się znaleźć. Jakaś kobieta przyszła do sklepu, twierdząc, że pan Renard mówił, iż naszyjnik dla niej już na nią czeka. Nigdzie go jednak nie było; Grisa nie wiedział, jak jej to powiedzą – patrzyła na nich tak zbolalym wzrokiem, kiedy krzatali się, zaglądając to tu, to tam.

Miał ochotę się napić. Pod Czerwonym Lwem siedział tylko jeden znajomy, i był nim Digby. Sączył piwo z wyrazem zadumy na twarzy. Mina, którą zrobił na widok Albana, nie wyglądała obiecująco.

– A, to pan – mruknął.

– Witam, panie Digby – przywitał się Alban. Próba przeprowadzenia uprzejmej konwersacji z Mary wycieńczyła go; nie był pewien, czy ma dość sił na kolejną rozmowę o niczym.

– Jak tam na Bond Street?

– Już spokojnie. To zawsze był pański rewir? Kuzyn mówi, że był pan kiedyś złotnikiem.

Starał się być uprzejmy i rozmowny; próbował wyrzucić z myśli obraz Mary wracającej na górę po kolacji, ubranej w tę swoją szkaradną żałobną sukienkę, oraz niezadowolone pomruki, które wydawał z siebie Benjamin na każde wspomnienie jej imienia.

– Nic panu nie pomogę – powiedział Digby. – Mówię to szczerze, żeby oszczędzić panu konieczności rozmowy ze mną.

– Źle mnie pan zrozumiał. Chciałem po prostu być uprzejmy.

– Dołączył pan do firmy Renarda – stwierdził Digby. – Widzi pan, ja wiem takie rzeczy. Na wszystko mam oko. Jak ona się miewa? Żona tego złotnika?

– Dość dobrze, jak mi się zdaje – powiedział Alban.

– A więc... ma pan dość gościny u kuzyna i czeredy jego dzieci włączających panu na głowę?

– Ani trochę – zaprzeczył Alban. – Wiele lat mieszkałem sam, a dzieci wnoszą do domu iskrę życia. Myślę, że teraz, kiedy będę miał trochę spokoju, zatęsknię za nimi. Będę tam wracać tak często, jak praca pozwoli.

– Próbuje pan ugrać coś dla siebie, co? – zagadnął Digby. – Widzi pan siebie jako drugiego męża pani Renard? A tak w ogóle, to gdzie pan był tej nocy, kiedy Renarda zamordowano?

– Obraża mnie pan. – W Albanie aż się zagotowało. – Skoro koniecznie chce pan wie-

dzieć, byłem w powozie z Chester. W okolicy Charing Cross znajdzie pan na to kilka setek świadków.

– No, niech się pan nie wścieka – powiedział Digby. – Tylko się z panem drocę.

Wyłopał resztkę piwa, zamówił kolejne. Oberżysta znacząco popukał w ladę, ale przyniósł kufel.

Steele nie ruszył się z miejsca. Czekał, aż uleci z niego gniew. Twarz Digby’ego była ciekawa, niby zwyczajna, lecz z rysem subtelności, który przyciągał oko.

– Ma pan dzieci? – zapytał, mając nadzieję, że swoim zainteresowaniem wzbudzi sympatię Digby’ego. Lecz ten tylko przeszył go spojrzeniem. Alban zwrócił uwagę na jego niebieskie oczy, głębokie i wyraziste, o zaczerwienionych białkach.

– Nie.

– W takim razie przepraszam. – Przypomniawszy sobie, dlaczego zazwyczaj trzyma głowę na kłódce i czemu nie lubi odpowiadać na wścibskie pytania innych.

– Nie ma za co – stwierdził Digby. – Prędzej poderżnąłbym gardła własnym dzieciom, niż pozwolił, by żyły tak, jak ja żyję. Długo pan zamierza naprzykrzać mi się swoim towarzystwem? Czekać na kogoś.

Steele zostawił go w spokoju. Poszedł uregulować rachunek.

– Za jego piwo też płacę – powiedział.

– Cieszy mnie to – rzekł karczmarz. – Wziął u mnie na kreskę więcej niż wszyscy szanowni bywalcy razem wzięci.

Rozdział XXVI

11 września 1792

Byłem dziś u Chichesterów pod pretekstem doniesienia nowych wzorów. Zaprowadzono mnie do pokoju pani Chichester. Kiedy podawałem jej rysunki, musnąłem jej dłoń. Dotyk zupełnie przypadkowy, a jednak nadal go czuję, bo poruszył serce w mojej piersi. Nie wszystko jest wynikiem racjonalnego myślenia.

Joanna nie spała całą noc. Odbijające się w kawałku lustra oczy były podpuchnięte i okolone fioletowym cieniem. Próbowwała ubrać się równie starannie co zawsze, lecz wyglądała zgoła nieporządnie i nie potrafiła nic z tym zrobić, choćby nie wiadomo jak starała się wywołać wrażenie ładu i harmonii.

Następnego dnia po zejściu z panem Chichesterem poszła do sklepu Pierre'a Renarda i dowiedziała się, że wisiołek zaginał – a wraz z nim duży pukiel włosów Stephena. Tej nocy nie zdołała zmrużyć oka; to wdawała się w wymaginowane kłótnie, to płakała. Dopiero nad ranem zapadła w niespokojny sen. Zbudziwszy się, zauważyła, że jedną rękę trzyma podwinętą przy piersi. We śnie tuliła do siebie swoje dziecko. W ustach miała metaliczny smak. Natychmiast zorientowała się, że sen nie przyniósł ukojenia.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Harriet, gdy Joanna odstawiła jedno ze srebrnych pudełek tak, że zderzyło się z innym. Służąca obróciła się ku swojej pani, zdając sobie sprawę, że od dawna nie popatrzyła jej w oczy ani nawet nie przyjrzała się jej uważnie. Zdziwiło ją to, co zobaczyła. Złote loki Harriet były zaczesane od czoła, jej cera zaś, choć nadal bez skazy, straciła zdrowy, różowy odcień. Dziewczyna wyglądała krucho i mizernie, a w jej oczach widać było podszyte nerwami zatroskanie, które dodawało jej lat.

Joanna pokręciła głową.

– Muszę pani o czymś powiedzieć.

Harriet gestem wskazała jej krzesło. Joanna usiadła; zazwyczaj trzymała się prosto, ale tym razem jakiś instynkt kazał jej zgarbić plecy. Spojrzała na swoje dłonie, potarła je o siebie.

– Zapewne niebawem usłyszysz pani o tym od pana Chicheстера – zaczęła – chociaż on być może nie ujmie tego tak bezpośrednio jak ja. Powie tylko, że skrywam pewne sekrety i że wcale nie mam nieposzlakowanej reputacji.

Mówiła dalej, cały czas wpatrując się w swoje ręce. Wiedziała, że jeśli pozwoli słowom płynąć, siłą rozpędu opowie swoją historię do końca.

– Wiele lat temu zakochałam się w pewnym człowieku. Mój wybranek, mój mąż, już nie żyje. – Dodała do opowieści to drobne kłamstwo, by ochronić swoją dumę, nadać ich związkowi pozory przyzwoitości. – Zmarł, zanim urodziłam córkę. Nasze dziecko. Musiałam ją oddać.

Nie rozplakała się. Sama była zdziwiona. Zrzuciła z siebie brzemień tajemnicy. Gdy podniosła głowę, zobaczyła, że oczy Harriet zaszklily się z żalu. W jej spojrzeniu było jednak coś jeszcze, jakaś iskra, radość posiadania wspólnego sekretu.

– Oto moja tajemnica – odezwała się Joanna. – Proszę mnie nie przepędzać... – Zaskoczył ją błagalny ton we własnym głosie. – Proszę.

Wezbrał w niej płacz, łzy potoczyły się szybko, oddech rwał się, gdy próbowała stłumić szloch.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – zapytała Harriet po chwili. Wyciągnęła rękę i pogłaskała służącą po dłoni. – Nie płacz, nie osądzam cię źle.

Joanna nie czuła się bezpieczna; miała wrażenie, że podkopuje grunt pod własnymi stopa-

mi, lecz musiała drażnić dalej, ile tylko mogła.

– Pan myśli, że jestem upadłą kobietą – powiedziała. – Powie pani, żeby mnie pani przepędziła.

– Dlaczego? – zapytała Harriet. Nie było to do końca niewinne pytanie; Joanna poczuła zimny dreszcz strachu. Otworzyła usta, aby się odezwać, nie wiedziała jednak, co powiedzieć. Wtedy Harriet jednym szybkim gestem położyła palec na ustach Joanny.

– Nie mów mi – rzekła miękko. – Będziemy razem radzić sobie z kompromitacją. Wiesz o moim dziecku, prawda? O jego ojcu?

Joanna podniosła oczy; nadal płakała i nie była pewna, co odrzec. Pokiwała tylko głową.

Harriet uśmiechnęła się smutno.

– Ten złotnik mnie kochał. Nie musisz się bać. Będziemy razem oplakiwać nasze dzieci.

Oparła plecy o krzesło, odruchowo kładąc ręce na brzuchu.

Joanna była wycieńczona, lecz kiedy schodziła do hallu przywitać doktora Taylora, umysł miała jasny i spokojny. Był środek popołudnia, mimo to słońce nachyliło się już nad horyzontem. Zeszła ze schodów w chwili, gdy Oliver ze znużoną miną odbierał od doktora płaszcz. Postanowiła zabawić Taylora miłą rozmową, lecz kiedy się ku niej odwrócił, dostrzegła, że nie ma ochoty się odzywać. Jego spowita w czerń sylwetka była niezmiennie potężna i przygarbiona, sprawiał jednak wrażenie krańcowo wyczerpanego i zatroskanego. Wiedziała, że jest rozchwytywany, choć nieco dziwiło ją, że wszystkie te delikatne arystokratyczne niemowlęta sprowadza na świat człowiek o twarzy grabarza. Ewidentnie miał tyle pracy, że część pacjentek musiał odstąpić jakiemuś panu Cracknellowi. Harriet wyjawiała jej jednak, że Taylor pracuje też jako koroner, co dokłada mu sporo obowiązków. „To musi być trudne – pomyślała – w takim tempie kursować pomiędzy kołyską a grobem”.

– Doktorze Taylor – pozdrowiła go, kłaniając się.

Skinął głową i przeszedł obok niej. Jego ubrania pachniały wilgotną stęchlizną i potem, jakby zbyt długo stał na deszczu.

Harriet nadal siedziała tak, jak ją Joanna zostawiła: skromnie i posłusznie, choć nieco niespokojnie.

– Pan Chichester przysłał mi wiadomość – odezwał się Taylor. – Pisał, że nie czuje się pani dobrze.

Uśmiech zniknął z twarzy Harriet. Odpowiedziała łamiącym się głosem:

– Powiedziałam tylko, że coś czuję...

Taylor usadowił się na krześle, które Joanna przystawiła do łóżka. Jego torba ciężko grzmotnęła o podłogę tuż obok.

– A więc, pani Chichester – odezwał się, pocierając skronie – co dokładnie pani czuje? Może mi pani powiedzieć. Proszę mówić otwarcie, dla dobra dziecka.

Położył szczególny nacisk na słowo „dziecka”. Z jakiegoś powodu Joannę to zniesmaczyło; zadrzała, czując na skórze ciarki zwiastujące kłopoty. Niepokoili ją też jego oczy: do znajomej obojętności w ich wyrazie dołączyła oznaka niezadowolenia, jakby irytowało go coś, czego musiał się pozbyć.

Harriet wyglądała na przygaszoną.

– Bardzo mi zależy na dziecku. To, co odczuwam, jest troską o nie; obawą, kiedy się tak porusza, jakby coś je niepokoilo.

Taylor pokiwał głową.

– Trzeba, bym panią zbadał – powiedział, po czym zwrócił się do Joanny: – Czy mogłaby pani nas zostawić?

Ku zdziwieniu Joanny Harriet nie zareagowała na to, w milczeniu pozwoliła jej wyjść z

pokoju na schody. Służąca zamknęła za sobą drzwi i stanęła jakiś metr od nich, na wypadek gdyby Harriet ją zawołała. Po chwili pojawiła się Jane, niosąc na tacy dwa kieliszki nalewki. Brzęczały z każdym jej krokiem; gdy pokojówka zatrzymała się obok Joanny, ta wyciągnęła rękę i odsunęła kieliszki od siebie.

– Pani Holland powiedziała, że doktor może ma ochotę na jednego i pani Chichester też – odezwała się Jane.

„Założę się, że sama też sobie golnęła” – pomyślała Joanna. Głośno zaś powiedziała:

– Daj mi to. Nie możesz tam teraz wchodzić. Sama je zaniosę.

– Mogę poczekać – zaprotestowała Jane.

Z pokoju dobiegł głos Harriet. Wołała Joannę.

– Otwórz mi drzwi! – syknęła do Jane, wrywając jej tacę i tyłem wchodząc do pokoju.

– Wszystko w porządku – odezwała się Harriet pogodnie. Joannie wydało się jednak, że jest roztrzęsiona. Doktor stał przy oknie.

Przyjął zaoferowany przez Joannę kieliszek i wychylił zawartość jednym haustem, odwrócony plecami do obu kobiet. Służąca delikatnie postawiła drugi kieliszek na stoliku obok Harriet, po czym stanęła przy niej, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

– Tak więc, pani Chichester... – zaczął Taylor, ciężką dłonią odstawiając kieliszek i usadawiając się z powrotem na krześle. – Wygląda na to, że nic złego się nie dzieje. Proszę mi powiedzieć, co tak naprawdę panią gnębi?

– Strasznie się boję – wyznała Harriet – porodu.

Nuta smutku w jej głosie zaniepokoiła Joannę. Harriet nerwowo skubała brzeg sukni drobnymi rączkami. Joanna pomyślała, że mimo dawnej skłonności do pozerstwa jej pani wreszcie pokazała prawdziwą twarz, jeśli w ogóle takową posiadała. Zrobiło się jej żal dziewczyny.

Harriet zdawała sobie sprawę, jakie ryzyko pociąga za sobą jej stan. Zwierzyła się Joannie, iż ma wrażenie, że otwiera się przed nią ziejąca otchłań śmierci. Wtedy Joanna omal się nie roześmiała, ale głównie dlatego, że wiedziała o śmierci to i owo – nie była to żadna otchłań, lecz wydarzenie szybkie i niezapowiedziane, niemal zupełnie zwyczajne: zmiana oświetlenia w pokoju, którą zauważa się tylko kątem oka.

„Trudno jej wyjaśnić, co ma na myśli – pomyślała Joanna. – W ciąży człowiek robi się otepiały”. Pamiętała to wrażenie. Jej umysł był wtedy jak znajomy krajobraz zasnuty gęstą mgłą. Szukała nadziei i sensu, lecz wszystko wydawało się obce, każdy krok trzeba było wykonywać ostrożnie, z wyciągniętymi przed siebie rękoma.

Harriet podjęła kolejną próbę:

– Czuję w sobie takie drgnienia, jakby trzepot. Trochę jakby opętał mnie jakiś duch.

– Nie jest to szczególnie fortunne określenie – stwierdził doktor Taylor. – Panie czasami czują się nieco bardziej kruche. Pomiędzy łonem a emocjami istnieje pewne powiązanie, więc pewna doza niepokoju jest jak najbardziej normalna i nieunikniona. Lecz musi się pani starać przezwyciężyć te dziwne wrażenia, szczególnie jeśli są one nieprzyjemne.

„Jedno życziwe słowo – pomyślała Joanna. – Tylko tego jej trzeba”.

Jeszcze zanim skończyła formułować w głowie ten wniosek, Taylor zaczerpnął tchu, jakby próbował uzbroić się w cierpliwość. Pomyślała o tłumach ludzi przy Białym Niedźwiedziu na Piccadilly, czekających na powóz, który zabierze ich z Londynu. Cierpliwość doktora też była na wyczerpaniu.

– Jeśli uparcie będzie pani sobie pobłażać, oddając się ponurym fantazjom – odezwał się doktor – może pani zaszkodzić dziecku. Odcisnąć na nim jakiś ślad, a wszystko przez słabość pani woli.

– To chyba naturalne w takim stanie, czuć się dziwnie – powiedziała Joanna.

Doktor ją zignorował.

– Ma pani obowiązek radować się swoim stanem i go zaakceptować.

Wydawał się przytłoczony własnymi myślami; głowa ciążyła mu na ramionach. Wpatrywał się w podłogę.

– To pani obowiązek jako matki – powtórzył.

Na twarzy Harriet malował się przerysowany wyraz smutku; jej dolna warga drżała, jakby dziewczyna zaraz miała się rozpląkać. Taylor jednak spojrział na nią z pogardą. Było to tak wyraźne, że Joanna aż się przestraszyła.

– Panie doktorze? – odezwała się.

Popatrzył na nią, jak gdyby nie wiedział, skąd się tu wziął i co robi.

– Myślałam, że będzie pan moim lekarzem – powiedziała Harriet. – Widzę jednak, że jest pan w zмовie z moim mężem. On chce mnie tu zamknąć jak w więzieniu.

– Mąż pani jest dżentelmenem – odciął się Taylor. – A czy ten dom można nazwać więzieniem?

Joanna postąpiła krok do przodu, kładąc Harriet dłoń na ramieniu delikatnie, ale ostrzegawczo.

– Moja pani sama nie wie, co mówi – oświadczyła. – Jest przemęczona. Na pewno pan rozumie, jakie to dla niej wyczerpujące. Sama ledwie przestała być dzieckiem, a to jej pierworodny. Myśli o nim z czułą troską i płacze na myśl, że mogłoby mu się stać coś złego.

Celowo użyła rodzaju męskiego. Jej wzrok mówił: ona nosi w łonie dziedzica, a pan jest za nią odpowiedzialny. Z satysfakcją spostrzegła, że doktor natychmiast się opamiętał.

– Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze – powiedział; w jego głosie nadal nie było ani odrobiny ciepła. – Życzę pani dobrego dnia, pani Chichester. Przed wyjściem porozmawiam jeszcze z pani mężem.

Kiedy za Taylorem zamknęły się drzwi, Harriet wstała i uniosła rękę, nakazując Joannie milczenie. Po jakiejś minucie sama podeszła do drzwi, otworzyła je cicho i wymknęła się na korytarz, starannie je za sobą zamykając.

Joanna czekała, miotana sprzecznymi instynktami. Było jasne, że Harriet nie życzyła sobie, aby szła za nią, lecz z każdą mijającą minutą służąca bała się coraz bardziej. Nasłuchiwała głosów z korytarza, spodziewając się awantury. Aż podskoczyła, kiedy drzwi ponownie się otworzyły. Z niepokojem rzuciła się do przodu.

Do pokoju weszła Harriet. Wyglądała na jeszcze bardziej kruchą niż wcześniej. Usiadła. Twarz miała ściągniętą, usta tworzyły cienką linię.

– Podśluchiwałam pod drzwiami – powiedziała.

– Ale Will i Oliver...? – zaczęła Joanna.

Harriet uniosła brwi i spojrziała na nią z ponurym rozbawieniem.

– Nie mogli mnie przecież powstrzymać, jestem panią tego domu.

Znów spoważniała.

– Hackney[8]. Wspomnieli o Hackney. Myślą, że jestem obłąkana, a przynajmniej taką udaję. Mają zaczekać i obserwować sytuację. Jeśli mi się nie polepszy... – głos zdrzął jej lekko – ... zapakują mnie w prywatny powóz i po cichu wywiozą na wieś, jakbym w ogóle nigdy nie istniała. Ten doktor... – popatrzyła na Joannę – wydaje mi się, że nienawidzi mnie jeszcze bardziej niż mój mąż.

Digby obserwował przez długi czas, lecz niewiele się działo. Był zmarznięty i zmęczony stanem w bezruchu w szarówce zimowego popołudnia. Już miał się odwrócić i ruszyć do domu, kiedy zauważył doktora Taylora, który wychodził od Chichesterów frontowymi drzwiami. Przyjrzał mu się uważnie – pochyłona głowa i posępna mina powiedziały mu, że Taylor pogrążony jest

we własnym świecie. Jednakże doktor zrobił coś, czego nie uczynił jeszcze nikt przez cały dzień: podniósł wzrok i zauważył Digby'ego.

Digby odwrócił głowę i zerknął w przeciwnym kierunku. Taylor jednak nie zrezygnował; przeszedł przez ulicę. Spojrzawszy ponownie w jego stronę, stróż uniósł brwi z zaskoczeniem i odrobiną respektu – doktor przeskoczył kupę końskiego gnoju z niewymuszoną lekkością.

– Panie Digby – odezwał się, podchodząc do ogrodzenia, o które opierał się stróż. Był lekko zdyszany; policzki miał zaróżowione, z zimna, a może z wysiłku.

Digby popatrzył na niego, ale nie ściągnął kapelusza.

– Szanowny panie doktorze – pozdrowił go i pochylił głowę tak nieznacznie, że Taylor zamrugał, wyraźnie niepewny, czy rzeczywiście widział ten gest.

– Chciałem coś panu powiedzieć – zaczął Taylor. – To jest... od jakiegoś czasu czekałem na okazję. Tej nocy, kiedy zginął mój serdeczny przyjaciel pan Renard, mam wrażenie, że nieładnie się wobec pana zachowałem. To jest, użyłem ostrych słów i ciąży mi to na sumieniu.

Digby przyglądał się Taylorowi bez słowa.

– Miałem ostatnio sporo zmartwień – kontynuował doktor. – Byłem zmuszony przemyśleć swoje poglądy na wiele spraw. Ale to nieistotne. Przyszedłem prosić pana o wybaczenie, panie Digby. Jako człowiek i chrześcijanin, wybaczy mi pan?

– To nie ma znaczenia – stwierdził Digby, patrząc nieruchomym wzrokiem przez ramię Taylora na fasadę domu Chichesterów. – Lecz jeśli zależy panu, żebym tak powiedział, to powiem.

– Dziękuję – rzekł Taylor, po czym odwrócił się i szybkim krokiem odszedł w swoją stronę.

Joanna miała nadzieję, że uda jej się wymknąć, lecz Harriet wymogła na niej obietnicę, że zostanie przy niej podczas wieczornego przyjęcia. Po kolacji poszła więc za nią do salonu. W żyrandolu płonęły świece; wpatrywała się weń przez dłuższy czas, nie mogąc oderwać wzroku od kaskady kryształowego szkła. Harriet ruszyła do przodu, rozglądając się po sali. Joanna usłyszała, jak mówi do siebie półgłosem:

– Jest wielka...

Podeszła do Harriet.

– Jest tu pani u siebie – powiedziała. – To tylko herbata i drobne przekąski, nic więcej.

– Racja – zgodziła się Harriet. – Chyba muszę być dzielna.

Nicholas Chichester, który właśnie wszedł do salonu, poprawiał na sobie długi surdut, ręką przesuwając po guzikach. Światło połyskiwało po wyszyciach i barwnym jedwabiu jego kamizeli. Harriet poderwała się z drżeniem i uśmiechnęła do niego. Udręka nadawała jej rysom pikanterii, która bardzo do niej pasowała.

Joanna wpatrzyła się w przestrzeń, kiedy pan Chichester kłaniał się i całował dłoń żony. Wiedziała, że nie życzy sobie, by przypominała mu o swoim istnieniu.

– Sala wygląda wspaniale – powiedziała Harriet przyjemnym, niewymuszonym tonem. Służąca wyobraziła sobie zdziwienie, jakie musiał poczuć Chichester. Usłyszała, jak odpowiada:

– To był ulubiony pokój mojej ciotki. Cieszę się, że ci się podoba.

Gdy zaanonsowano pierwszych gości, Joanna odetchnęła z ulgą. Nie mogła znieść myśli o tym, że mieliby stać we troje w pustej sali, a oczy pana domu wędrowałyby to tu, to tam, byle tylko na nią nie patrzeć. Harriet, skoncentrowana na własnej niedoli, na pewno by nic nie zauważyła, ale służba tak.

Sala powoli zapełniała się gośćmi, Joanna zaś cofnęła się pod ścianę. Pomyślała, że bardzo jej to odpowiada, że za żadne skarby nie chciałyby być na miejscu Harriet i wyciągać dłoni do każdej nowo przybyłej osoby z nieobecny, anemiczny uśmiech na bladej twarzy. Tłum

gęstniał. Wokoło kręcili się ludzie w pysznych strojach, pachnący obfitą kolacją, jaką właśnie zjedli: cebulą, sosem, mięsem i winem. Mężczyźni bekali ukradkiem, po czym szli po kolejną bułeczkę z masłem. Harriet, w białej sukni z turkusową szarfą, sunęła po sali niczym duch.

Czas mijał szybko. Gdy hałas rozmów nasilił się, wypełniając całe pomieszczenie nieprzyjemnym echem, Joanna wymknęła się na korytarz. Pan Chichester przeszedł tuż obok; poczuła pęd powietrza. Stukot jego eleganckich obcasów o posadzkę wywołał w niej obrzydzenie.

– Panie Chichester – pozdrowiła go cicho.

Zatrzymał się, obrócił i zmierzył ją lodowatym wzrokiem. A później bez słowa ruszył w dół po schodach.

Lokaj stojący u drzwi popatrzył na Joannę. Należał do nowo zatrudnionej służby; Joanna była wdzięczna losowi, że nie stał tam Will czy Oliver.

– Podły niewdzięcznik, prawda? – odezwał się półgłosem.

Joanna westchnęła z ulgą. On zaś ewidentnie wziął to za potwierdzenie, bo zerknął na nią z ukosa, choć nadal stał wyprostowany jak struna.

– I wszyscy wiemy, dokąd się wybiera, prawda? – powiedział.

– Co masz na myśli?

– Jakiś czas temu byłem w Zabieganym Lokaju. Słyszałem, jak o nim rozmawiają. Spiesz się do burdelu dla pederastów, ot co. Zwyrrodnialec. Nie obchodzi go żona, myśli tylko o chłopcach, i to bardzo młodych, jak słyszałem. Któregoś dnia ktoś zafunduje mu taki koniec, na jaki zasługuje.

Palcem wskazującym przejechał sobie po gardle.

Joanna oparła się o ścianę. Lokaj znów na nią popatrzył.

– Nie chciałem pani urazić – rzekł. – Zapominam się czasem, nie pilnuję się, co mówię.

Przepraszam panią. Nie powie pani nikomu, prawda?

Joanna pokręciła głową.

Rozdział XXVII

12 września 1792

Co za dzień. W taki dzień chce się padać na kolana i dziękować Bogu.

Rano poszedłem na Berkeley Square. Chichesterowie przyjęli mnie w pokoju śniadaniowym. Coś było między nimi nie tak, zauważyłem to od razu. Uparła się, bym dokonał drobnej zmiany w projekcie serwisu i dostarczył jej nowe rysunki jeszcze tego samego popołudnia. Gdy wychodziłem, wsunęła mi do ręki liścik.

Napisała: „Przez te wszystkie zmiany mogę widzieć pana częściej. Po południu będę sama”.

– Teraz, gdy król Francji nie żyje... – stwierdził Grisa, polerując zestaw solniczek nerwowymi, urywanymi ruchami – ...wszyscy rozmawiają tylko o rozlewie krwi i o wojnie z Francją. W takich czasach nikogo nie obchodzi piękno. Niedługo ten interes przepadnie.

Pstryknął palcami i pociągnął nosem.

Kilka nocy wcześniej ktoś zaskoczył ich podczas obiadu, tłukąc jedno z okien sklepowych. Wprawdzie zostało już naprawione, ale to zdarzenie wyprowadziło Grisę z równowagi bardziej niż innych domowników. Miotał się teraz pomiędzy ekstatyczną radością a głęboką melancholią.

– Nie nadajesz się na towarzysza zimowego dnia – rzekł Alban. Jego również rozdrażniła sprawa okna; wyszedł wtedy wieczorem na dwór, lecz po sprawcy już nie było śladu. – Masz rację, handel przycichł, ale jeszcze się odbije.

Nie miał pewności. Od tygodni nie zaprojektował żadnego srebra, wykonał jedynie kilka drobnych napraw w zaciszu warsztatu, szczęśliwy, że Benjamin pojechał z wizytą do rodziców. List od doktora Taylora załagodził sytuację, więc chłopaka miało nie być przez kilka tygodni – rozkoszował się towarzystwem rodziny, gdyż pewnego dnia miał zostać właścicielem zakładu złotniczego w Londynie i jawnie upajał się lokalną sławą.

– Lepiej wykonuje pan pracę czeladnika niż on – pochwalił go Grisa, przyglądając się, jak Alban uważnie przestawia przedmioty na tacy z pierścieniami żałobnymi, pieczęciami i naszyjnikami. A potem wydał z siebie stłumiony szloch i cisnął ścierkę do polerowania na ziemię.

Alban westchnął. Teatralne skłonności Grisy nie wydawały się zabawne, gdy w pobliżu nie było Mary, która również uważała je za wydumane; przez ostatnie kilka tygodni stali się sprzymierzeńcami w tym źle dopasowanym domostwie.

– Ten dom jest przekłęty – oznajmił w końcu subiekt, jawnie zirytowany, że Alban go ignoruje.

To słowo ukłuło Albana, pamiętał, że Jesse też go użył.

– Więc czemu nadal pan tu pracuje? – spytał. – Z lojalności wobec pana Renarda?

– Wiem, dlaczego pan nie odszedł – odparł Grisa, pociągając nosem.

– Gdyż już od dawna tu przynależę – stwierdził Alban z nutą ostateczności w głosie.

Odłożył tacę z biżuterią z powrotem na właściwą półkę. – A pan już dosyć długo tonie w melancholii. Przyniosę trochę tych pigulek, o które pan prosił.

Grisa przetarł oczy wierzchem dłoni i wrócił do polerowania.

– Dobry z pana przyjaciel, panie Steele – rzekł z prawie niezauważalnym uśmiechem.

„Będzie okazja do wypróbowania mojego nowego handlowego podejścia” – myślał Alban, idąc przez Bond Street. Cel jego wędrówki nie znajdował się daleko. Apteka pana Jonesa mieściła się zaledwie kilka metrów od sklepu Renarda, na tejże ulicy. Pomieszczenie sklepowe

prezentowało się znakomicie: dużo ciemnego drewna, luster i złotych napisów reklamujących mikstury i pigułki sprzedawane przez Jonesa, który specjalizował się w leczeniu modnych dolegliwości.

Jones wypowiadał się samymi ozdobnikami. Nie było jasne, czy urodził się z tym manieryzmem, czy też sam go sobie wymyślił. Alban podejrzewał, że mógłby godzinami słuchać tego głosu podnoszącego się i opadającego jak fale. Cechowała go dziwna muzykalność, a często również powodował rozbawienie.

– Ach, panie Steele, panie Steele – powitał go Jones. – Jak mogę panu pomóc? Dokucza panu ból głowy? Mdłości? Może mi pan powiedzieć, panie Steele, jeżeli wczoraj zbyt długo ucztował pan z Bachusem.

Alban się roześmiał.

– Przyszedłem po kilka pana pigulek dla pana Grisy – odparł. – Co drugi dzień nabiera przekonania, że jest gruźlikiem, a reklama w „Timesie” przekonała go, że wyzdrowieje, jeśli zażyje pana specjalne pigułki.

– On gruźlikiem? – zdziwił się Jones, tracąc odrobinę swój delikatny akcent. – Pochodzi z Southwark, ma krzepę jak muł. Ale kimże ja jestem, by spierać się z moimi klientami? – Z uśmiechem wręczył mu paczuszkę.

– Tak przy okazji... – zaczął Alban; czuł się niezręcznie, lecz podejrzewał, że Pierre Renard nigdy by się nie zawahał, jeżeli chodziło o zaproponowanie komuś interesu. – Pan Holt wspomniał, że był u pana na obiedzie. Zauważył, że ma pan elegancką parę świeczników naszej produkcji. Czy jest pan z nich zadowolony?

Krew odpłynęła z twarzy Jonesa.

– I co z tego? – spytał słabym głosem. W rogu sklepu dama wpadła w zachwyty nad słoiczkiem warzywnego kremu do cery.

– Zastanawiałem się jedynie, czy nie chciałby pan innych elementów zastawy do kompletu? – ciągnął Alban, zmartwiony wyrazem irytacji na twarzy aptekarza.

– Obecnie nie – odparł Jones. Po czym dodał podniesionym głosem: – Tak właściwie to żałuję, że je kupiłem. Nie planuję więcej odwiedzać pańskiego sklepu.

– Czy są wadliwe? – spytał Alban.

– Nie, nie o to chodzi. Są staroświeckie, o ciężkim francuskim wzorze. Wydaje mi się, że świętej pamięci pan Renard namówił mnie na nie. Przyjaźniliśmy się, a on potrafił być przekonujący.

– Być może moglibyśmy je wymienić? – zaproponował Alban, ale ten pomysł wyraźnie nie spodobał się Jonesowi. Pokręcił głową i zrobił krok w tył, nerwowo przygładzając włosy.

– Muszę pana przeprosić, panie Steele, muszę zająć się klientami. Życzę miłego dnia.

– Zapłacę tylko za...

– Proszę je wziąć – rzucił Jones nieco zbyt ostro. – I proszę więcej w tej sprawie nie przychodzić. I zaklinam pana, by pan o tym nikomu nie wspominał.

– Czy możemy się do pana przyłączyć, panie Steele? – zapytała Mary tamtego wieczoru.

– Jeżeli nie przeszkadza paniom, że będę w tym czasie polerował asortyment – odparł. – Pan Grisa zaczął to dziś robić, ale teraz jest już w łóżku.

W oknach paliły się świece, gdyż sklep był otwarty do późna. Alban pochwycił słodki zapach Mary, gdy przechodziła obok niego.

Trzymając kieliszek czerwonego wina, weselsza niż zazwyczaj Mallory ukradkiem podążała za nią. Głosy jej dzieci dobiegały z góry, gdzie z pełnym profesjonalizmem zajmowała się nimi Avery, niestrudzenie zabawiając je rozmową i wymyślając im gry. Siostry przechadzały się po sklepie. Oglądały razem towary i je komentowały. Mallory założyła na szyję Mary sznur

ametystów w stopniowanych odcieniach. Ich kolor pasował do jej bladej skóry. Gdy Mary obróciła się w świetle świec, jej oczy błyszczały w sposób, którego Alban nigdy wcześniej nie widział. Z wrażenia przestał zwracać uwagę na srebra i odłożył je na blat.

– Czemu pudruje pani włosy? – spytał. – Mają taki wspaniały kolor.

– Chciałby pan, żebym wyglądała jak rewolucjonistka? – odparła z uśmiechem. – Jest tyle nieoczywistych rzeczy, ukrytych znaków. Mój mąż uczułał mnie, bym na nie uważała, więc teraz przerażają mnie wszelkiego rodzaju wykroczenia poza normę. Trudno mi za nimi nadążyć. Wie pan, doktor Taylor wszystkich podejrzewa o radykalizm. Jeżeli zostawiłabym włosy takie, jakimi je Bóg stworzył, to co drugie zdanie wtrącałby: „Boże, chroń króla”.

– Już tak robi – przypomniał, co wywołało jej śmiech.

Ostatnio ich słowa i spojrzenia coraz częściej do siebie pasowały, jakby wspólnie pracowali nad układanką.

– Teraz nie powinna się pani obawiać – powiedział. Zauważył, że Mallory upiła kolejny solidny łyk czerwonego wina.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Zobaczę, kto to – zaoferowała Mallory i ciężkim krokiem udała się w stronę wejścia.

Otwierane drzwi uderzyły w dzwonek i do środka zajrzał doktor Taylor.

– Pani Renard, pani Dunning, panie Steele – przywitał się, zdejmując kapelusz i kłaniając się. – Zauważyłem panią przez okno, pani Renard.

W jego głosie dało się słyszeć nutę nagany.

– Pamiętam, jak pan Renard powtarzał, że klejnoty ze sklepu wprawiają panią w zdumienie.

– Całe życie byliśmy otoczone metalami i kamieniami – stwierdziła Mallory. – Trudno mówić o zdumieniu, proszę pana.

– Nie chciałem pani urazić, pani Dunning – odparł Taylor. – Chociaż widzę, że jak zwykle o to nietrudno.

– Poproszę o herbatę – zaproponowała Mary, unikając wzroku Albana. Wiedziała, że bawi go irytacja, jaką wywoływali w sobie wzajemnie Mallory i Taylor.

– Nie ma takiej potrzeby – powstrzymał ją Taylor. – Przyszedłem jedynie, aby powiedzieć, że mam wieści od Thomasa Haveringa i dałem mu pozwolenie, by odwiedził państwa w przyszłym tygodniu.

W izbie zapadła cisza.

Mallory odezwała się pierwsza.

– Cóż, rzeczywiście wydaje się sensowne, aby nas odwiedził.

– Nigdy go nie znosiłaś – przypomniała Mary. Odpięła ametystowy naszyjnik i zginała go w dłoniach.

– Znają go panie dobrze? – spytał Taylor. Opierał się na lasce ze złotą rączką, jego oczy były wpatrzone w podłogę.

– Trochę – odpowiedziała Mary. – Nasz ojciec pracował dla niego. Chowałam się za jego nogami, gdy pan Havering nas odwiedzał.

Chciała dodać, że Pierre wzorował się na złotnikach pokroju Haveringa: wygadanych, odnoszących sukcesy mężczyznach, którzy potrafili mamić i schlebiać, ale nigdy nie robili nic, co nie przynosiłoby im korzyści. Przypomniała sobie zwalistą sylwetkę Haveringa, jego ubrania udekorowane złotą koronką, grube paluchy, a na nich nieprzyzwoitą liczbę pierścieni, jakby był chodzącą reklamą swojej profesji. Jego nos zdawał się nieprzerwanie wykrzywiony niezadowoleniem.

Mając dziewięć lat, uczestniczyła w pogrzebie Anne, pierwszej żony tego złotnika, na

omentarzu w St Pancras. Pamiętała głównie strumienie deszczu i Haveringa zamartwionego, że może się przeziębici. Mary zwróciła oczy w kierunku siostry, ale Mallory nie potrafiła na nią spojrzeć. Taylor również nie był w stanie tego zrobić. Jedynie Alban niewzruszenie przyglądał się jej twarzy.

– Ciepło się o pani wyrażał – oznajmił Taylor. Jego głos lekko drżał. – Wybacz pani, że podejmuję tak niedelikatny temat, ale korzystne małżeństwo zabrałoby panią daleko od tych niebezpiecznych ulic... – Zawiesił głos.

– Doktor Taylor może mieć rację – przyznała Mallory. – Po tym wszystkim, co się wydarzyło, martwię się o siebie.

Alban pozwolił księdze rachunkowej z hałasem opaść na blat, co poderwało wszystkich obecnych.

– Pani książka, pani Renard – oznajmił.

– Cóż to jest? – spytał Taylor.

– Zaproponowałam, że będę prowadzić rachunki – wyjaśniła Mary.

– Nie ma potrzeby, by angażowała się pani w prowadzenie interesu – odparł.

– Ale ja chcę się angażować – przekonywała. – Moja matka pracowała przy polerowaniu srebra. Kobiety w mojej rodzinie nie zawsze były zupełnie bezradne.

– Świetnie jej idzie prowadzenie rachunków – dodał Alban.

– Ale przecież powtarzam – naciskał Taylor – nie ma takiej potrzeby. Muszą mi państwo wybaczyć, pani Taylor już i tak długo czeka z kolacją. Pani Renard, niech się pani zastanowi nad tym, co powiedziałem.

Uklonił się i wyszedł na ulicę. Podązał powolnym krokiem, wpatrując się w ziemię, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Mallory wygładziła swoje suknie.

– Muszę uratować Avery przed dziećmi – zaczęła. – Zasiadzieliśmy się. Mary, czy byłabyś tak miła i poszła na górę poprosić, aby zesłi tu do mnie?

Mary ruszyła po schodach, przygryzając wargę. Jej twarz była blada. Mallory odstawiła pusty kieliszek na blat. Położyła dłonie na biodrach, jak gdyby zbierała siły do działania.

– Panie Steele – powiedziała. – Musi się pan nauczyć panować nad twarzą, gdyż mogę z niej wyczytać wszystkie pana emocje.

Alban nie przerywał polerowania srebra.

– Doprawdy? – odparł.

Pokręciła głową.

– Uważa mnie pan za nieczułą. – Jej głos był odrobinę bełkotliwy, ale zauważył to tylko dlatego, że bardzo się wsłuchiwał w jej słowa. – Jednakże wasze twarze poblądle na dźwięk nazwiska Havering głęboko mnie dotknęły. Zazwyczaj nie zgadzam się z doktorem Taylorem, ale byłoby lepiej, gdyby Mary stąd wyjechała.

– Często pani powtarza, że chce ją chronić.

– I tak jest – potwierdziła.

– Być może to nie jest najlepszy sposób. Jest silniejsza, niż się pani wydaje.

Mallory wbiła w niego wzrok. Zbliżyła się do niego na tak niewielką odległość, że widział pory jej gładkiej skóry.

– Pan przy tym nie był – stwierdziła. – Przy tym, jak zabierali naszego brata. Pilnowałam zamkniętych drzwi, gdy nieśli go do powozu. Powstrzymałam ją, żeby za nim nie pobięła. Krzyki, jakie podniosła, były nieludzkie. Zmroziły krew w moich żyłach. Wtedy zdałam sobie sprawę, że ona nie jest taka jak ja. Nie przynależy do tego świata, tylko do jakiegoś innego.

Spuściła wzrok na blat, gdy usłyszała swoje dzieci zbiegające po schodach.

– Niech pan brnie dalej, skoro pan musi – wyszeptwała. – Ale jeżeli pan ją skrzywdzi,

odpłać panu tym samym.

Rozdział XXVIII

13 września 1792

Wracam myślami do wczorajszej rozkoszy, której wspomnienie nie opuściło mnie przez cały dzień z wyjątkiem chwil, gdy zajmowałem się interesami.

Lokaj o pustym wyrazie twarzy zaprowadził mnie do jej buduaru. Nic dziwnego, pan Chichester wysyłał mnie tam już wielokrotnie. Nie spodziewałem się tego, co zastałem w pokoju. Gdy tylko zamknęły się za mną drzwi, ona podeszła do nich i przekręciła klucz, a następnie zwróciła się w moją stronę; jej piękne oczy jaśniały. Jej spojrzenie rozpałiło we mnie ogień tak gwałtowny, że ledwo wiedziałem, co robię. Dopiero teraz mogę się spokojnie delektować tamtymi przeżyciami: dotykiem jej ust, spazmami przeszywającymi jej ciało. Posiadłem ją.

Doznałem spełnienia i, śmiem twierdzić, ona również: drżała pode mną tak gwałtownie, że sama myśl o tym podnieca mnie nawet teraz. Krzyczała moje imię, aż musiałem zakryć jej usta dłonią. Moja żona nigdy nie krzyczała dla mnie tak jak ona, nawet raz nie spojrzała na mnie w taki sposób, jakbym był jakąś niebiańską zjawą. „Umieram” – wysapała, a ja trzymałem ją w ramionach, czując, że serce bije w jej piersi, a jej ciało przeszywa rozkosz.

– Wejdz za mną. – Joanna zaprosiła go tej nocy. Udało im się zachować ciszę, ale Digby wyczuwał jej napięcie, gdy wspinała się na kolejne stopnie. Przekupiła panią Holland, by pożyczyła jej klucze do tylnego wejścia, ale niezmiernie ważne było, aby nikt inny spośród służby ich nie zauważył.

– Nigdy więcej – powiedziała z uśmiechem, zamykając drzwi swojej sypialni na klucz. Następnie, dla pewności, zastawiła je skrzynią. Pochwycił ją, kiedy to zrobiła, i przyciągnął do siebie. Wręczył jej podarunek: mały składany nóż z rękojeścią pokrytą macicą perłową.

– Żebyś miała się czym bronić, gdy będziesz do mnie szła w nocy – oznajmił.

Uśmiechnęła się.

– Takim krótkim ostrzem? Większe szanse miałabym z nożem do deserów.

– Jesteś zbyt praktyczna – odparł urażony. – Sądziłem, że docenisz jego urodę.

– I doceniam. – Pocałowała nożyk i ostrożnie umieściła go w skrzyni, jakby był najwarteściowszym dowodem miłości.

To była ich pierwsza wspólna noc i miała ten nierzeczywisty charakter jak sny, które Joanna mu opowiadała. Dlatego, gdy skończyli, zastanawiał się, czy naprawdę tam jest, w tym pokoju na poddaszu, leży z nią skąpany w świetle księżycy, a cały Londyn śpi pod nimi.

– Może poszlibyśmy do teatru – zaproponował. Przesuwał palcami po jej kręgosłupie w rytm melodii, którą usłyszał od ulicznego pieśniarza. – Wykupię ci miejsce w pierwszym balkonie.

Bez wahania dała się ponieść jego fantazjom.

– I pošlemy przodem sługę, by zajął miejsca?

– Tak zrobimy – potwierdził, zmieniając pozycję i całując ją w czubek głowy.

Opowiadała mu o różnych sprawach, o rzeczach, które widziała i które wydawały jej się prawdziwe, mimo że je wymyśliła. Niczego przed sobą nie ukrywali. Nie unikał jej wałeczka skóry na brzuchu, który powstał dawno temu w wyniku ciąży, gdy skóra rozciągnęła się i straciła jędrność, a teraz leżała cieniutka jak chusteczka, naznaczona zmarszczkami i rozstępami. Skłonił głowę, by go pocałować. Joanna dotychczas nie podejrzewała, że mężczyźni są zdolni do takiej czułości.

– Kiedyś miałam dziecko – powiedziała. – Córkę. Umarła.

– A co się stało z ojcem? – spytał.

– On też nie żyje. Miałam tylko jedną pamiątkę po nim, ale ona też przepadła. Kosmyk jego włosów w wisioru. Dałam go panu Renardowi do oprawy i zaginał.

Digby ukrył twarz w jej dekolcie. Pocałował ją raz, drugi, trzeci, jego usta dotarły do jej szyi. Tuliła go, a po jakimś czasie usłyszała jego miarowy oddech, gdy zapadł w sen.

Jej oczy snuły się po pokoju, przemykając po każdym szczególe. Delektowała się ciszą tej chwili i dźwiękiem jego oddechu. Zatrzymała wzrok na jego ubraniach, w pośpiechu rozrzuconych na podłodze. Zauważyła delikatny połysk złota w głębi kieszeni.

Ostrożnie wysunęła się z jego objęć, centymetr po centymetrze, zatrzymując się, kiedy tylko zaczynał się wiercić. Czekala, aż znowu znieruchomieje. Wstała z łóżka, najdelikatniej jak tylko się dało, spowalniając swoje ruchy, tak by go nie zbudzić. Zrobiła dwa kroki i przykucnęła przy kupce jego ubrań. Złote ogniwo, część łańcuszka; to ono zwróciło jej uwagę. Pociągnęła i poczuła coś ciężkiego, a po chwili ujrzała zegarek. Najpiękniejszy zegarek, jaki w życiu widziała.

Wyraz twarzy Joanny zbił Digby'ego z tropu. Zbudził się nagle w gęstym mroku panującym w jej pokoju. A kiedy się przekręcił, zauważył, że ona również nie śpi i wpatruje się w sufit. Pozwoliła się pocałować, a następnie cichutko wyprowadziła go z domu, żegnając jedynie ledwo dostrzegalnym uśmiechem. Gdy odchodził, miał wrażenie, że powinien być szczęśliwy, ale czułość ich zbliżenia została zakłócona przez ten dziwny smutek na jej twarzy i niepewność, z jaką życzyła mu dobrej nocy.

Nie spał już do rana, robiąc obchód za obchodem naokoło placu. A gdy zdobył obietnicę Watkina, że przejmie jego obowiązki następnej nocy, poszedł do domu. Spał przez jakiś czas i się obudził, kaszlał sporo. Ten ciąg zdarzeń powtórzył się jeszcze kilkakrotnie tego dnia, aż spojrzawszy na zegarek, zdał sobie sprawę, że musi się już udać do Czerwonego Lwa, lubił bowiem przychodzić wcześniej przed każdym spotkaniem.

Od razu zauważył, że wchodzący do Czerwonego Lwa Maynard nawet nie silił się na serdeczność.

– A więc? – rzucił, ściągając rękawice.

Digby wskazał na stół naprzeciw siebie. Specjalnie go wybrał, gdyż podobało mu się, jak zadziałał ostatnim razem: mały trójnożny stół, niższy od ławy, na której sam siedział, co powodowało, że wielkie eleganckie cielsko Maynarda zapadało się, a jego oczy znajdowały się niżej niż oczy Digby'ego. Uśmiechnął się na widok niezadowolenia czającego się w spojrzeniu Maynarda, który zapewne rozważał, czy może się jeszcze podnieść, odrzucić stół i znaleźć sobie godniejsze miejsce do siedzenia.

– Pan pozwoli – stwierdził Digby, unosząc wysoko swój napitek i wychylając go aż do szumowin z dna.

Maynard westchnął i dał znak właścicielowi.

– Dziwię się, że nie robisz pan teraz obchodu – rzekł. – Nie za późno na pana?

– Mam wolne – odparł stróż. – Czasami mi się to zdarza. Gdy jest jakiś ważny interes do załatwienia.

Właściciel zabrał jego kufel z pokrywką, by go ponownie napełnić, a Digby zatarł ręce pod stołem, patrząc na Maynarda, który wytarł kroplę brązowego śluzu spływającego mu z dziurki w nosie. Przez chwilę chciał poprosić o szczyptę tabaki, ale zrezygnował. Cieszył się, że zakupił Watkina i Browna, by wzięli za niego obchód. Tej nocy nie miał siły łązić po dworze.

– Mówił pan, że chciałby, abym miał oko na sprawy – powiedział, rozglądając się dookoła. Gdy znowu spojrzął na Maynarda, ten wydawał się skonsternowany.

– Wie pan – kontynuował Digby – na to i na tamto.

– Mam nadzieję, że ma pan na myśli Renarda – zirytował się Maynard. Marszczył nos,

jakby go swędziało. Digby wiedział, że jego rozmówca pragnie wyciągnąć tabakierę i uszczknąć z niej solidną szczyptę, a później następną i następną.

– Tak – potwierdził. Rozsiadł się, a właściciel z impetem postawił przed nim kufel piwa. Zauważył, że Maynard zamówił czerwone wino.

– Myślałem o nim – powiedział Digby. – Tej nocy, gdy go znalazłem, zastanawiałem się, jak leżał. Było dla mnie oczywiste, że ktoś zaszedł go od tyłu, zaskoczył go. A więc co on tam robił, na samym środku Berkeley Square, w środku nocy, narażając się na niebezpieczeństwo rabunku?

– To już wiemy, Digby – przerwał mu Maynard. Obracał kieliszek, trzymając go za nóżkę, i wpatrywał się w wino.

– Na mój rozum nigdy nie dowiemy się, dlaczego tam był – stwierdził stróż. – Ale to nie oznacza, że nigdy nie dowiemy się, dlaczego ktoś go zabił. Był bardzo blisko jednego z domów. A konkretnie jednego. Naprzeciwno.

Przerwał i z satysfakcją zauważył, że Maynard go obserwuje. Wiedział, kto mieszka w tych domach: earl Orford; lady Mary Clare; James Steward, lord Ducie; i jeszcze wielu; dwie lub trzy rezydencje stały puste. Poprzedniego dnia, siedząc przy swoim mizernym kominku, Digby zastanawiał się nad powiązaniem pomiędzy Chichesterami a Renardem. Raz czy dwa razy widział panią Chichester w oknie na pierwszym piętrze ich domu. Oczywiście prawdziwa dama nie pozwoliłaby, aby ktoś zobaczył ją wyglądającą przez okno. W jego oczach była tylko kolejnym obiektem nienawiści: młoda kobieta o złotych włosach i twarzy bez wyrazu, jak u lalki; jej głowa była jak pusta porcelanowa skorupa kiwająca się na chudej szyi.

– Poszedłem do Zabieganego Lokaja kilka nocy temu – powiedział. – Popytałem.

Maynard wyglądał na skonsternowanego i Digby zastanawiał się, czy aby nie udaje. Czy ten szlachcic kiedykolwiek zapuszczał się incognito pośród służących i słuchał, jak podniesionymi głosami obmawiają swoich panów i śmieją się w izbie rozgrzanej od ich oddechów i ciał? Jeden z lokajów nie mógł przestać mówić.

– Miał tam klientów, po tamtej stronie placu. Rodzinę Chichesterów. Może to do nich szedł owej nocy.

„W tym domu miała miejsce scena” – opowiadał lokaj z uśmiechem na nieszczerej twarzy. Pokojówka, z którą sypiał, widziała list leżący na łóżku, gdy służące uspokajały panią po napadzie płaczu. Mówił, że to bystra dziewczyna. Przeczytała dosyć listu, by się zorientować, że informował on o śmierci pana Renarda.

„Z tego samego miejsca już wcześniej przychodziły listy, jeszcze kiedy żył – mówił dalej lokaj, szczerząc zęby. – Powiem tylko, że często odwiedzał pana domu... a dużo częściej panią. Ale czy można ją osądzać?”

Digby postanowił nie powtarzać tego Maynardowi. Upił piwa, niezadowolony z ciszy i pustego spojrzenia swojego rozmówcy.

– Słyszałem o panu tego domu – rzekł Maynard, marszcząc brwi. – Ale nie przedstawiano go jako kogoś istotnego.

Digby rozważał, ile może powiedzieć, i czuł nieznaną sobie wcześniej panikę, która wpływała na jego ocenę sytuacji. Lokaj Will nie był szczególnie wiarygodnym źródłem. Podobno trzy miesiące wcześniej twierdził, że spółkował z żoną świecarza, czym zasłużył sobie na porządne baty, które czasowo pozbawiły go atrakcyjnego wyglądu. Chłopak lubował się w podrzucaniu sugestii, robieniu min i dopisywaniu podtekstów do najzwyczajniejszych wydarzeń. „Dużo częściej odwiedzał panią”. Sugestia, że Renard grzał łóżko pani Chichester, niemal równała się stwierdzeniu, iż Maryja Dziewica puściła się z alfonsem w bocznej uliczce odchodzącej od Piccadilly.

– Jest jeszcze inna sprawa... – dodał Digby.

– Więc wykrztuś to z siebie – poganiał go Maynard, który z każdą chwilą robił się coraz bardziej nerwowy.

Digby pochylił się do przodu, szepcząc prosto w jego twarz: – Wspomnieli mi o panu Chichesterze. Jego skłonnościach do rozrywki... znaczy, że szuka jej wśród młodych chłopców. Pewnej nocy sam widziałem, że szarpał się z takim jednym, ale jakie były jego zamiary, o tym nie mógłbym zaświadczyć. Ale on ma złą reputację pośród służby. Jest taki władczy i wyniosły, że wielu z nich z przyjemnością zobaczyłoby go na kolanach. Zastanawiam się, proszę pana. Renarda zabito blisko domu Chichesterów. W nocy nietrudno byłoby ich ze sobą pomylić.

Maynard gapił się w stół, a jego wyraz twarzy sugerował, że zaraz straci panowanie nad sobą.

– Myślałem, że będzie pan miał dla mnie coś konkretnego, panie Digby – wycedził. – Prosiłem, by przyjrzał się pan interesom Renarda. A pan mi tu powtarza plotki służących o ludziach stojących od pana o tyle wyżej, że nie powinien pan nawet wymawiać ich nazwisk. Niech pan nie powtarza nikomu tych pomówień. Rozumie mnie pan?

– Myślałem, że interesuje pana prawda – odparł Digby.

Maynard walnął pięścią w stół. Digby nie spodziewał się takiej reakcji, a tym bardziej tak gwałtownej. Nic nie powiedział, tylko przyglądał się twarzy Maynarda, niepewny, co dalej zrobić, i zaniepokojony zimnym gniewem, który dostrzegł w oczach mężczyzny.

– Idź do diabła – warknął Maynard. – Wciska mi tu pan jakieś bzdury. Czegoś mi pan nie mówi, widzę to w pana oczach. Ale i tak się dowiem.

Rozdział XXIX

14 września 1792

Jedna kobieta to zdecydowanie zbyt mało dla mężczyzny. Nie mówię tu o potrzebach, ale o względach praktycznych. Kiedy jedna kobieta ma jeden lub więcej braków, naturalne jest, że człowiek może się nią znudzić i poszukać satysfakcji w ramionach innej.

Jestem mężczyzną skłonny do refleksji. Inni uważają, że kierują mną tylko pieniądze i interesy. Rozumiem, dlaczego mogą tak sądzić. A jednak i ja czuję kontakt z moim Stwórcą. W oczach świata mój wczorajszy czyn postrzegany byłby jako grzech. Ale ja wiem, wiedzą daną mi przez Boga, że tak nie jest. Jestem absolutnie przekonany, że Bóg w swojej łaskawości pozwolił mi posiać moje nasienie w tej damie. Być może taka jest wola boska, by mój syn zrodził się z niej.

Mężczyzna, który przybył tego dnia na Bond Street, miał powóz zaprzężony w cztery konie i paradne ubranie, lecz nigdy nie nauczył się dopasowywać do siebie kolorów stroju. Nie słuchał osobistego służącego, miał własne zasady, własną paletę. Ponadto zwykł powtarzać z dumą, że jest przyzwyczajony do pracy tylko z jednym kolorem – srebrnym.

Thomas Havering był dawniej złotnikiem na Bond Street. Jego reputacja wciąż snuła się po ulicach niczym zjawą, czasami wręcz monstrualnych rozmiarów. Pieniądze, które zdobył dzięki swojemu zakładowi i dwóm korzystnym mariażom, pozwoliły mu nabyć posiadłość większą w okolicy Uxbridge. Dawniej stały bywalec klubów i stowarzyszeń, uczestnik życia towarzyskiego swojej londyńskiej parafii, obecnie wdychał świeże powietrze i rozkazywał piętnaściorgu służącym. Londyn wprawdzie jedynie majaczył w oddali, ale Havering trzymał rękę na pulsie. O śmierci Pierre'a dowiedział się z gazet, co później potwierdził list od Taylora. Stary przyjaciel poinformował go w nim, że pieniądze, z którymi zalegał mu Renard, zostaną zwrócone przez administratorów majątku zmarłego. Havering lubił zaglądać na Bond Street. Miał do tego miejsca przyjazny stosunek, jak dziadek do wnuczka: odległość, jaka dzieliła go od ulicy, pozwalała mu na sporą pobłażliwość dla tego, co reprezentowała.

Duma kazała Mary ubrać się odświętnie tego ranka, gdy przybył Havering. Założyła swoją najlepszą czarną suknię, a na szyi zawiązała grubą czarną wstążkę. Nakładając róż na policzki, czuła się, jakby przygotowywała się do obrony. Gdy skończyła, wyglądała jak w gorączce. Była zupełnie do siebie niepodobna, ale miała wrażenie, że udało jej się stworzyć dodatkową warstwę ochronną pomiędzy sobą a światem. Alban i Grisa zamilkli jednocześnie i zmierzyli ją od stóp do głów, gdy tylko zeszła do sklepu.

– Jak cicho – powiedziała. – Wszyscy zostali dziś w domach?

– Jeszcze wcześniej – odparł Grisa.

Alban milczał. Opierając się o ladę, długo się w nią wpatrywał, aż w końcu odwrócił się całym ciałem w stronę subiekta.

– O czym to rozmawialiśmy? – zapytał.

– O wzorach z Yorku – przypomniał Grisa. – Przyniosę je z warsztatu.

Wyszedł pospiesznie, a Alban zwrócił oczy w stronę Mary. W wyrazie jego twarzy nie było serdeczności.

– Dlaczego pan tak na mnie patrzy? – zdziwiła się. – Coś nie tak?

Przesunął kawałek papieru po blacie.

– Nie – uciął. – Grisa mówił, że dziś przyjedzie Thomas Havering. Widzę, że przygotowała się pani na jego wizytę.

Mary wpatrywała się w niego oniemiała. Lód w jego głosie ją zszokował.

– Co mam przez to rozumieć? – spytała.

Czuła, że ścisła ją w gardle.

Pokręcił lekceważąco głową, więc podeszła bliżej.

– Jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie? – nie dawała się zbyć.

– Takie miałem wrażenie – rzekł. A gdy podniósł głowę i spojrzał na nią, jego oczy były puste i obce, jak gdyby otoczył się szczelnym murem. – Tamtego dnia w kościele rozmawiała pani ze mną tak, jakby jedyną moją motywacją były pieniądze. Myliła się pani co do mnie, oceniła mnie źle, postanowiłem więc o tym zapomnieć. Ale teraz to... dla niego. Powiem jedynie tyle, że nie możemy cofnąć czasu, pani Renard. Chociaż przez chwilę wydawało mi się, że to jednak możliwe.

Mary usłyszała wracającego Grisę. Przepchnęła się koło niego, gdy przechodził przez drzwi, i pobiegła na górę. Wróciła do swojego pokoju. Kiedy przyszła Avery i zaczęła marudzić, że kuzynka uszykowała się bez jej pomocy, zdążyła już zetrzeć róż.

Thomas Havering zbliżał się do sklepu na Bond Street z przesadnie pobłażliwym wyrazem twarzy, który dało się łatwo zauważyć z okna na piętrze. Obnosił się z tą miną, jakby był na scenie. Jego woźnica zmagął się z czterema nerwowymi, źle dobranymi kasztanami.

– Założę się, że kupił je za bezcen – mruknęła pod nosem Mallory. Stała po jednej stronie okna, po drugiej zaś ustawiła się Avery. Obie starały się nie być widoczne z zewnątrz.

– Dobry Boże, cóż za pojazd – rzekła z westchnieniem Avery. – Przywiózł do miasta całą posiadłość rodzinną.

– Cisza – szepnęła Mary, słysząc otwierające się drzwi frontowe. – O nie... Słysząc go aż tutaj. W porównaniu z nim Grisa to szepcząca podfruwajka, a wiecie, jak niesie się jego głos.

Robiło jej się niedobrze i nadal złościła się na Albana. Na schodach dało się słyszeć ociężałe kroki. Mary i Mallory wstały, gdy otworzyły się drzwi.

– Ach, pani Renard, moje kondolencje. – Havering pokłonił się nisko i wyprostował z pewnym wysiłkiem. Obrócił się i skupił wzrok na Mallory, jego oczy błysnęły.

„A więc pamiętasz – pomyślała Mary – że Mallory ciskała w ciebie na mieście kamieniami, ponieważ się na ciebie uwzięła. Ależ nasz ojciec sprzął ją za to. Mówiłeś, że oczy miała tak harde, że mogłaby spojrzeniem zatrzymać ludzkie serce”.

Gość usiadł na krześle, zwracając się częściowo plecami do Mallory.

– Zatrzymałem się u mojego przyjaciela, wielbnego Pinchera, na Dover Street – oznajmił. – Może panie go znają?

– Nie łączy nas bliższa znajomość – odparła Mary.

Havering kiwnął głową i chrząknął.

– Wielce się zmartwiłem, gdy usłyszałem o pani położeniu, droga pani Renard – rzekł. – Pamiętam panią, gdy była pani jeszcze dzieckiem. Wyrosła pani na prawdziwą piękność.

Mary nie czuła się na siłach, by mu schlebiać. Spotkanie z podstarzałym mężczyzną przywoływało wspomnienia z czasów, kiedy był młodszy. Już wtedy miał bulwiasty nos i wystającą dolną wargę; czas tylko sprawił, że jego rysy stały się jeszcze mniej ładne. Dawniej wydawał dużo na ubrania, i to się nie zmieniło, jedynie kolory jego odzienia gryzły się potwornie. Najwyraźniej wiek i osiągnięcia odebrały mu potrzebę bycia pięknym. Swoją postawą dowodził, że jest dumny z każdego najdrobniejszego szczegółu swej osoby, od poczerwieniałej, naznaczonej żyłkami twarzy i brzuszyska po beknięcie, na które sobie właśnie pozwolił. Havering emanował pychą i honorem, aż Mary zaczęła się zastanawiać, jak dobrze Pierre go znał i czy rozważał jego zachowanie.

– A jak się miewa pańska rodzina? – spytała, próbując odsunąć temat rozmowy od własnej sytuacji.

– Niestety, moją biedną Jane straciłem kilka miesięcy temu – odparł. – Osobiście zaprojektowałem dla niej elegancką płytę pamiątkową do naszego kościoła parafialnego. To nowy kościół, więc jako pierwsza została umieszczona w katakumbach.

– Ależ to dla niej dobrze – wtrąciła Mallory.

Havering oblizął wargi, a dolną przygryzł tak mocno, że posiniała. Zignorował Mallory.

– Jeżeli mógłbym coś dla pani zrobić... – powiedział. – Mam posiadłość wiejską. Daleko od londyńskich oparów. Świeże powietrze zdziałałoby cuda dla pani pięknej cery.

– To miło, że pan o mnie myśli – odparła Mary. – Ale dobrze mi tutaj.

– Doprawdy? – zdziwił się Havering teatralnie. Rozejrzał się po pokoju, jakby przeprowadzał inwentaryzację. – Zamknięta w tych małych pokojach nad sklepem? Nie będąc panią własnego domu? Zdaje sobie pani sprawę, że jest mi dłużna niebagatelną sumę pieniędzy. Nie będę jej w tej chwili egzekwował. Nie jest mi do niczego potrzebna. Ale to musi być dla pani straszny ciężar, przebywać w tych murach. Interesami zajmują się mężczyźni, a pani musi siedzieć tutaj, odseparowana od społeczeństwa, a plotki stają się coraz bardziej zjadliwe z każdym upływającym dniem. Słyszałem, że wasze okno zostało wybite. Lokatorzy was opuścili...

Przerwał i ponownie oblizął wargi.

– Może poślę po herbatę? – zaproponowała Mallory. Havering przyjął jej słowa ze zdziwieniem, ale i oczekiwaniem, Mary jednak pokręciła głową.

– Znam treść testamentu pana Renarda – ciągnął Havering, obracając w rękach swoją laskę. – To tylko potwierdza moje przekonanie, że nigdy nie powinno się ufać Francuzowi.

– Ufał mu pan wystarczająco, by z nim handlować – zwróciła uwagę Mary. Złapała dłoń Mallory, by przytrzymać ją na miejscu.

– To były interesy – stwierdził Havering. – Przybyłem tutaj i zobaczywszy panią, zdecydowałem nie rozmawiać o interesach, tylko o czymś innym. Jestem bogatym mężczyzną. Był czas, gdy rozważałem panią jako odpowiednią kandydatkę na żonę, lecz pani ojciec uważał, że jest pani zbyt młoda.

Mary zerknęła na Mallory i zobaczyła, że siostra wpatruje się w podłogę.

– Upłynęło kilka lat. Łagodnie się ze mną obeszły, a Bóg zesłał mi wiele dobrodziejstw. Nie były aż tak łaskawe dla pani, ale nadal jest pani tą delikatną istotą, którą pamiętam. Chciałbym móc oglądać, jak pani rozkwita. Z mojego domu koło Uxbrige rozpościera się najurodziwszy widok na moje ziemie.

– Już wspominał pan o domu – rzuciła Mary, podnosząc się. Czują, że jej wrodzony upór znowu się rozbudził, choć wcześniej obawiała się, że go utraciła. Przypomniała sobie, jak matka karciała ją, gdy była mała.

– Pan wybaczy – powiedziała.

Mallory również wstała i uśmiechnęła się do Haveringa.

– Moja siostra źle się czuje – oświadczyła tym swoim donośnym głosem, jakby pragnęła, by jej słowa dotarły schodami w dół aż do sklepu. – Potrzebuje odpocząć; ufam, że pan to rozumie. Dziękujemy panu za odwiedziny.

Prawie zmusiła Mary do niechętnego dygnięcia.

Havering gapił się na nie.

– Proszę rozważyć to, co powiedziałem. Słyszałem, że nie znaleźli tego desperata, który zabił pana Renarda. Dobrze by pani zrobiło, pani Renard, gdyby pani stąd wyjechała. Nie chcę nawet myśleć, że mogłoby się pani przytrafić coś złego.

– Moja siostra rozważy pańską propozycję – oznajmiła Mallory. – Dziękujemy za wizytę.

Havering wyszedł, a Mallory zbliżyła się do okna i obserwowała go, gdy wyłonił się na Bond Street.

– Nie podałaś mu nawet herbaty – zauważyła Avery, uśmiechając się i przewracając stronę książki.

Mallory się zachnęła.

– Jest bogaty – stwierdziła – i mam pewność co do dwóch spraw: że nie byłby wobec ciebie okrutny oraz że szybko by zszedł z tego świata, jeżeli jego cera może o czymkolwiek świadczyć.

– Chcesz, abym znów była uwięziona? – spytała Mary. – Po tym wszystkim, co się wydarzyło?

– Pragnę cię chronić. Ten okropny Benjamin wraca jutro. Za każdym razem, kiedy go widzę, wydaje się bardziej zdeprawowany... Nie mogę spać, wiedząc, że znajduje się pod tym samym dachem co ty. I lepiej być uwiązaną do Haveringa niż do biedy – dodała Mallory.

Avery westchnęła.

– Ech, Mall... – rzekła. – Na wszystko masz odpowiedź, jedną bardziej nieprzyjemną od drugiej.

– Pierre chciał być taki jak ten człowiek – oznajmiła Mary.

– Tak, ale Havering nie jest do niego ani trochę podobny – przyznała Mallory. – To pobłażający sobie starszy mężczyzna. Sama widziałas, jego brzuch wyprzedza go o krok.

Mary podeszła do siostry, która stała przy oknie, ale ustawiła się tyłem, na wypadek gdyby Havering się odwrócił i spojrzał w górę, podejrzewając, iż jest obserwowany. Stary złotnik przemierzał Bond Street, podczas gdy jego powóz zawracał naokoło kwartału.

Szedł szybkim krokiem, wymachując gwałtownie laską o srebrnym końcu. Przechodzący przez plac młody chłopak musiał to skomentować, gdyż Havering zamachnął się na niego i go trafił.

– Dawniej miał tyle władzy, że tłumy rozstępowały się przed nim jak Morze Czerwone – zauważyła Mallory. – Nawet teraz jest w stanie cię chronić.

– Myślałam, że chcesz, bym stała się silniejsza – zripostowała Mary.

– Tak też jest – odparła Mallory. – Ale mąż jego pokroju dopomógłby ci w tym. Poza tym pomyśl o pieniądzech...

Tamtego wieczoru Mary nie zeszła na kolację. Leżała na łóżku, próbując wyobrazić sobie swoje życie jako pani Havering, z daleka od miasta, mając mężczyznę pokroju starego złotnika za męża. Zastanawiała się, czy Mallory ma rację. W tym domu nigdy nie uwolni się od Pierre'a; tu wszystko było przesiąknięte jego zapachem. Spała pod lnianą pościelą, którą on wybrał, a godzinę wybijał jego zegar stojący. Jego śmierć nadal ją prześladowała, wystarczyła chwila zamyślenia, by powracał obraz: on obserwujący ją tępo ze środka powoli rosnącej plamy czerwieni. Kiedy ktoś stłukł szybę, nie okazała lęku, ale pomyślała sobie przez chwilę: „Przyszedł po mnie”.

Zeszła, aby zamknąć drzwi. Alban był nadal na piętrze zakładowym, odkładał właśnie oszkloną kasetkę z pieczęciami.

– Panie Steele – przywitała go. Ukłonił się, ale nie zdobył się, by na nią spojrzeć, jedynie pomógł jej zasunąć sztabę na drzwiach do domu. Skończywszy, stał teraz z rękami na ryglu.

– Muszę prosić panią o wybaczenie – odezwał się cicho. – Nie chciałem pani zranić, gdy rozmawialiśmy wcześniej. Wyciągnąłem pochopne wnioski. Nie powinienem wtrącać się w sprawy pani zamążpójścia.

Mary zacisnęła palce na kluczach i trzymała świecę prosto, tak by jej jasne światło padało pomiędzy nimi.

– Powinnam była powiedzieć panu wcześniej – przyznała. – Ja też próbowałam cofnąć czas i gdybym tylko mogła sobie tego zażyczyć, zrobiłabym to. Ale ma pan rację, panie Steele.

To jest niemożliwe.

Rozdział XXX

20 września 1792

Moja żona znów niedomaga. Zajmuje się nią jej siostra, której dostała się w udziale cała siła przypadająca na tę rodzinę. Harda z niej dziewczyna. Nie mam cierpliwości dla osób słabowitych i nigdy nie podejrzewałem, że się z taką ożenię. Pomijając ból zęba, moje zdrowie jest, dzięki Bogu, ostatnio wyśmienite. Czas mi sprzyja. Myślę o Harriet. Samo jej imię przywołuje na myśl słodycz. Wystarczy, że je wypowiem, i budzą się we mnie ciepłe uczucia.

Joanna szybkim krokiem przemierzała drogę pomiędzy stajniami, pod połami płaszcza kryjąc nóż kuchenny. Jej serce zaczęło mocniej walić, gdy usłyszała krótki gwizd Digby'ego, ale nie zwolniła; wyraz jej twarzy również się nie zmienił. Zatrzymała się jakieś pół metra przed nim.

Wielokrotnie myślała o zegarku po tym, kiedy już wróciła do łóżka, zostawiając złoty przedmiot w kieszeni. Zaczęła nawet podejrzewać, że trzymał go jako zabezpieczenie, coś, co miałyby umożliwić im ucieczkę. Aż do dziś, kiedy idąc po sprawunki, przechodziła koło sklepu Renarda. Wtedy przypomniła sobie, gdzie wcześniej widziała ten zegarek.

Digby opierał się o ścianę.

– Nie wpuścisz mnie dziś? – spytał. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowała, że niczego nie podejrzewa. „Ale jesteśmy głupcami – pomyślała. – Wyobrażamy sobie, że pasujemy do siebie tak idealnie, że znamy nawzajem wszystkie swoje myśli, a w rzeczywistości jedynie po omacku szukamy drogi w ciemności”.

– Nie. – Mocno ścisnęła nóż i dodała: – Twój zegarek, Edwardzie.

Zauważyła błysk w jego oczach, gdy zmrużył je w ciemności. Wszystkie zmysły ostrzegały ją przed niebezpieczeństwem. Dlatego kiedy zrobił krok ku niej, okazała się szybsza. Digby poczuł nóż przy gardle. Jego kochanka trzymała w zaciśniętej dłoni nie nożyk, który jej podarował, lecz nóż deserowy, z zaostrzoną krawędzią.

– Jo... – wykrztusił.

– Zabiłeś go czy mu go zwinąłeś? W każdym przypadku czeka cię szubienica – warknęła.

– Nie zabiłem go – bronił się. – Jo, Jo, odłóż nóż. Myślisz, że bym cię skrzywdził?

Rozpacz wezbrała w niej tak samo nagle jak wcześniej lęk.

– Nie – powiedziała, ale nie ruszyła się ani o centymetr.

– Odłóż to – nalegał. – I pozwól mi wyjaśnić.

Jego głos był cichy i zachrypnięty.

– Nie jestem głupia – stwierdziła. Dzwoniło jej w uszach, przez jej ciało przetaczały się setki sprzecznych impulsów. Nie wiedziała, co powinna zrobić, komu zaufać, nie mogła zaufać nawet samej sobie.

Digby spojrział na nią, przygarbił się. Jego usta układały się w tak żalorny grymas, że Joanna poczuła bolesny, ostry smutek. Po kilku chwilach smutek wygrał z gniewem i trochę opuściła nóż, odsunęła go cal czy dwa od jego gardła.

– Zakładam, że wiesz, do kogo należał? – zapytał. Skinęła głową. – Cóż – rzekł, jakby do siebie. – Nie jest to szczególnie zaskakujące. Zapewne obnosił się ze swoim świecidełkiem tak, jak obnosił się ze wszystkim innym. Ze srebrami, ze strojami, z żoną. Wszystko wydarzyło się tak, jak ci opowiadałem. Znalazłem go, gdy już był sztywny. Wziąłem zegarek. I tyle, to wszystko.

Joanna zbliżyła się do niego w ciemności. Może liczyła, że gdy zobaczy jego oczy, pozna

prawdę. Ale nie dostrzegała w nich nic niezwykłego, miał ten sam wyraz twarzy co zawsze, kiedy na nią patrzył. Jego jawny spokój przerażał ją bardziej niż jakiś wybuch gniewu.

– Co zamierzasz? – spytał. – Zdradzisz mnie?

– Komu? – spytała, drżąc. – I komu by to miało służyć? Renardowi? Nie, nikomu nie powiem. Masz moje słowo.

Digby wypuścił powietrze.

– Podejdz, proszę. – Niepewnie wyciągnął ku niej ramiona.

Pokręciła głową.

– Nie. Musisz już iść.

– Spotkamy się jeszcze? – spytał.

– Nie potrafię teraz odpowiedzieć. Ale możesz polegać na moim słowie. Idź już.

Zrobił kilka kroków w tył, żeby się od niej odsunąć, lecz ciągle ją obserwował. Joanna zauważyła, że jego dłoń powędrowała do kieszeni, i zdała sobie sprawę, że dotyka zegarka. Wtem odwrócił się do niej plecami i oddalił się szybko.

Nadal mocno ścisnęła nóż w dłoni. Ukryła go w fałdach rękawa. „Mogłam dziś kogoś zabić – pomyślała – i nie miałabym skrupułów”. Ta myśl zmartwiła ją, gdyż wraz z nią rozmyślała się w jej życiu wszystkie granice, które wcześniej wydawały się nienaruszalne.

Alban nie odezwał się, gdy Grisa wtoczył się przez drzwi. Miał za sobą długi dzień, wielu trudnych klientów. Dochodziła dziesiąta; szykował się do zamknięcia sklepu i właśnie gasił liczne świece ustawione w witrynie. W rękę trzymał lichtarz. Już zamierzał go zamknąć w jednej z oszklonych gablot, kiedy drzwi do sklepu się otworzyły.

– No, wreszcie – powiedział. Nie był w stanie ukryć irytacji w swoim głosie.

– Jest pan teraz moim dozorcą, panie Steele? – spytał Grisa. Jego oddech wyraźnie wionął alkoholem. Podchodząc do kontuaru, subiekt mocno się zatoczył. – Juszcz... Pomogę panu pozamykać.

– Nie ma potrzeby – stwierdził Alban. – W tym stanie najpewniej by pan coś uszkodził. Benjamin mi pomoże.

– Jak pan sobie chce. – Grisa oparł się o ścianę i nieomal nie ześlizgnął się po niej na podłogę. – Zrobię, co do mnie należy, panie Steele. Nie ma co patrzeć takim wzrokiem. Przejrzę dziś rachunki.

– Księgi wzięła pani Renard – powiedział Alban.

Rozległ się głuchy huk – to pięść Benjamina uderzyła o kontuar.

– Nie powinien pan dawać jej rachunków! – oburzył się czeladnik. – Przyniesie pecha firmie, tak jak wszystkiemu innemu. Nic, czego ona się dotknie, nie jest bezpieczne. Pan Renard sam by to panu powiedział, gdyby mógł. On stara się z nami porozumieć; na jego ławie jest plama krwi, świeża. Nie zauważył pan?

– Zamilcz! – rzucił ostro Alban. Już wcześniej zwrócił uwagę na ciemny ślad na drewnie i uznał, że ktoś rozlał tam jakiś kwas. Słowa Benjamina go rozgniewały.

– Pani Renard jest właścicielką tego przybytku i nie pozwolę ci w ten sposób się o niej wyrażać. Dość już mam tego sklepu i twojego niezadowolonego mamrotania też wystarczająco się już nasłuchałem.

– Jesteś tu czeladnikiem, chłopcze – dodał Grisa. – Pan Steele albo ja moglibyśmy bez zastanowienia przegonić cię z kijem przez cały dom, lepiej więc go słuchaj.

– Mam prawo wyrażać swoje zdanie! – Na twarzy Benjamina malowała się satysfakcja. – Pewnego dnia to wszystko będzie moje, nic na to nie poradzicie. A ja mówię, że ta kobieta to czarownica. Wyszła z domu tej nocy, kiedy zginął pan Renard. Zamknęła mnie, a potem słyszałem ją przy drzwiach.

Po karku Albana przeszedł zimny dreszcz, jakby do sklepu wpadł nagły podmuch wiatru.

– Kłamiesz – powiedział, dziękując losowi, że głos wciąż ma spokojny. – Naoglądałeś się przedstawień w teatrze; przysięgam, że chyba za dużo ci płacą, a za mało od ciebie wymagają, skoro jeszcze masz czas snuć w głowie fantazje.

– To nie kłamstwo! – wykrzyknął Benjamin. – I panu, i wszystkim innym powiem to samo: to ona zabiła pana Renarda. Powinni przywrócić stare prawo i spalić ją za to, zgodnie z porządnym angielskim zwyczajem. Tom Doley mówił mi, że za zabicie męża żonę palono na stosie. Nazywało się to mniejszą zdradą stanu.

Alban stracił panowanie nad sobą. Niewiele myśląc, odłożył trzymany kawał srebra, chwycił chłopaka za kołnierz i zaciągnął go pod ścianę. Benjamin wrywał się, lecz w jego oczach błyskał strach. Po chwili przestał się szamotać, jakby zrezygnowany.

– Powiedz o niej jedno złe słowo, tu czy gdzie indziej, a skręcę ci kark – warknął Alban.

– Doprawdy? – Głos Benjaminą zabrzmiał piskliwie. – Widzę, że postanowił pan zaprzedać się diabłu.

Alban poczuł, jak Grisa kładzie mu ręce na ramionach i ciągnie go w tył. Puścił czeladnika, który natychmiast uciekł na zaplecze, trzaskając za sobą drzwiami.

– Proszę mnie puścić – zwrócił się Steele do Grisy. Ten zwolecił uchwyt i zrobił krok w tył. – Jeśli chce się pan na coś przydać, niech mi pan pomoże pochować towar.

Uporawszy się ze wszystkim, bez słowa poszedł do siebie na górę. Usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Próbował się uspokoić, lecz jego myśli uparcie krążyły wokół słów Benjaminą. W żołądku czuł ucisk, niepokój, który przyprawiał go o mdłości. Nie potrafił się od niego uwolnić. Szeptem raz po raz powtarzał kilka słów, próbując dojść ich znaczenia. Nie uspokoiło go to; przeżalenie, które w nim wzbudziły, nie przygasło. Mary, kochana moja, coś ty zrobiła?

Rozdział XXXI

29 września 1792

Trzymam się z daleka od żony. To przez jej bezmyślność, przez to, że nie zamykała okien za dnia i w nocy, zeszłego roku tak się rozchorowałem. Zazwyczaj mojemu ciału wystarcza siła, by przezwyciężyć każdą dolegliwość, lecz moja żona źle się mną zajmowała. Chociaż sam z niepokojem myślę o problemach ze zdrowiem, jej choroba niejako poprawia mi humor, wypełnia serce szaloną nadzieją. Gdyby umarła... ta myśl jest kusząca, lecz nie powinienem dopuszczać jej do siebie.

Dzień nie skąpił mi wrażeń. Klienci wracają do miasta i czuję, jak wraz z nimi wraca mi życie. Moja żona próbowała zabawić mnie rozmową o artystycznych walorach srebra. Powiedziałem jej, że złotnik jest po części inżynierem, po części bankierem. Odpowiedziałem tak, żeby zrobić jej na złość, mam bowiem wyraźnie ustalony smak i gust, a z mojego doświadczenia wynika, że ona takich rzeczy nie rozumie. Zresztą, gdyby miała jakiegokolwiek poczucie dobrego smaku, poddałaby się delikatnym zmianom, jakie chciałem w niej zaszczerpić na początku naszego małżeństwa. Dawniej żalowałem, że nie mogę przetopić jej i wycyzelować, tak jak kawałka srebra; nigdy nie będzie moim najbardziej udanym dziełem. Kiedyś wydawało mi się to możliwe, lecz było to dawno.

– Aptekarz boi się nawet przejść obok sklepu – stwierdziła Mary. – Niemal zabawnie jest na to patrzeć. Uciekł niemal na drugą stronę ulicy, żeby nie znaleźć się pod oknem.

Alban nie podjął wątku. Zamknęli dziś wcześniej i właśnie zamierzał wyjść. Zapiął płaszcz. Mary przyglądała mu się z zamyślonym wyrazem twarzy. Była sama, Avery poszła z wizytą do Mallory.

– Dokąd się pan wybiera, jeśli mogę spytać? – Starła się zabrzmieć łagodnie, żeby go nie urazić, lecz on nadal sprawiał wrażenie nieufnego, i zmęczonego.

– Odwiedzić kuzyna i jego rodzinę.

Zauważyła, że próbuje na nią nie patrzeć.

– Czy mogę iść z panem?

Sama była zaskoczona, że zadała to pytanie. Z pewnym zadowoleniem zarejestrowała jego konsternację; wiedziała, że pojął, jakie właśnie podjęła ryzyko.

– Wieczory są ciemne i długie – powiedziała. – Nie chcę siedzieć tu sama. Nikt mnie nie pozna, jeśli założę kaptur na głowę.

„A połowa Bond Street i tak ma mnie już za wariatkę” – dodała w myślach.

– To daleko – stwierdził Alban. Jego twarz nadal była poważna i nieruchoma. – Idę pieszo, zmęcząłaby się pani.

– Nie zmęczę się. Chyba że pana zdaniem to nie uchodzi?

– Nie dbam o takie rzeczy. – Westchnął głośno. – Jeśli pani chce, może pani pójść ze mną.

Szli obok siebie w słabnącym świetle dnia. Niebo, częściowo zasnuwane chmurami, z błękitu przechodziło w ciemny szafir, muśnięte tchnieniem nocy. Mary wyczuwała skrępowanie Albana. Patrzył prosto przed siebie i milczał, trzymając się od niej w odległości dwóch kroków, jakby nie miał odwagi podejść bliżej.

„Stanowię zagrożenie” – pomyślała. Zamiast dreszczyku emocji poczuła jednak żal i uznała, że być może powinna była zostać w domu i patrzeć w ogień.

Kiedy weszli do domu kuzyna Albana przy Foster Lane, w pokoju zapadła cisza. On stanął i spojrzał na domowników, a po chwili Agnes podeszła do Mary i objęła ją mocno. Mary

cały wieczór trzymała się na uboczu. Zjadła zaoferowane jej przekąski i podziękowała gospodarzom, lecz niewiele się odzywała, uśmiechając się tylko w odpowiedzi na żarty. Od czasu do czasu wychwytywała spojrzenie Albana, który popatrywał na nią w blasku kominka; w ostatnich tygodniach na Bond Street nabrał tego zwyczaju. W jego wzroku kryło się coś w rodzaju wyznania. Tylko raz wydawał się niezadowolony: kiedy Jesse po kilku kufiach piwa zaproponował, że pokaże Mary warsztat, a ona odmówiła, delikatnie, lecz stanowczo.

Kiedy wyszli, nie pozwoliła Albanowi zamówić dla siebie lektyki ani powozu. Wracali do domu w milczeniu. W okolicy Piccadilly wzięła go pod rękę, a on w żaden sposób nie zareagował; szedł dalej, jakby nigdy nic. Niby zwyczajny gest, lecz sama czuła jego moc i znaczenie. Z emocji zaszumiało jej w głowie. Z wysiłkiem zmuszała się, aby iść bez słowa, pozwolić chwili trwać.

– Robię dla pani kielich – odezwał się nagle. Słowa padły szybko i Mary nie wyczuła w nich emocji. – Jest jeszcze nieskończony. Obiecano pani taki, Benjamin mi powiedział. Ten chłopak za dużo wie.

Szli dalej. Zastanawiała się, od kogo Benjamin ma tę informację. Wyobraziła sobie, jak Pierre o tym żartuje. Później jednak ciekawość wzięła górę nad rozmyślaniami.

– Po co pan to robi? – zapytała. – Co to oznacza?

Odważyła się na to pytanie po kilku minutach, jak gracz, który powoli odwraca kartę, gdy stawka jest wysoka.

– Chciałem, by miała pani coś, co jej obiecano – odrzekł.

Zatrzymał się, zwrócił ku niej twarz i ze zniecierpliwieniem potrząsnął głową.

– Oznacza to tyle, ile pani sobie życzy. Nie należę do ludzi, którzy wygłaszają przemowy i cytują poezje. W tym celu musi się pani zgłosić do Thomasa Haveringa i jemu podobnych.

Odwrócił się. Ruszyli dalej.

Mary poczuła się dotknięta jego słowami. Obudziły w niej gniew. Dlaczego wiecznie musi pozostawać w niepewności, zawieszona w przestrzeni, w której wszystko trzeba interpretować samemu? Wiedziała już, że nawet interpretacje tworzone przez całe życie bywają błędne.

– Myśli pan, że należę do kobiet, którym potrzeba poezji? – zapytała. – Havering zwrócił się do mnie bardzo niepoetycko. Ale przynajmniej wyłożył sprawę jasno.

Minęli grupę ludzi, słysząc w ciemności echo śmiechu. Mary opuściła głowę i oparła się na Albana, pozwalając mu się poprowadzić. Gdy znów zostali sami, zabrała rękę z jego przedramienia.

On wziął jej dłoń i umieścił ją tam z powrotem.

– Wydaje mi się, że wiecznie gonię za pańską aprobatą – powiedziała.

– A jednak nie chciała pani zejść do mojego warsztatu.

– Do piwnicy.

– Tak. Dlaczego? Czyżby pan Renard skutecznie panią wyszkolił? Nie ma pani ochoty patrzeć na kurz i brud rzemiosła, które panią utrzymuje? Czy mąż sprawił, że myśli pani o ciężkiej pracy ze wstrętem?

Zatrzymała się gwałtownie, pociągając go za sobą. Na chwilę wpatrzyła się w ziemię, odychając miarowo. Wreszcie przemówiła, wyraźnie, niespiesznie:

– Niedługo po ślubie zwierzyłam się mężowi, że jako dziecko bałam się ciemności. Że, prawdę mówiąc, nadal trochę się boję. Byłam młodą mężatką, wyznałam mu to w tajemnicy, w chwili wzruszenia.

Wytrzymała jego spojrzenie. On też nie odwrócił wzroku. Nie wiedziała, czy coś go to kosztuje; miała nadzieję, że tak.

– Niedługo później mój brat został wywieziony z miasta po raz drugi. Wtedy miałam w

sobie jeszcze odrobinę ducha, poszłam więc rozmówić się z mężem. Wyobrażałam sobie, że moje słowa coś dla niego znaczą. Zamknął mnie na noc w piwnicy. Myślałam, że umrę ze strachu. Później odważyłam się przeciwstawić mu tylko raz, gdy dowiedziałam się, że Eli jest umierający. Choć nic dobrego z tego nie wynikło, ani dla Elega, ani dla mnie. To dlatego nie zeszłam do pana warsztatu. Nic pan nie wie o tym, co przeżyłam.

– Przepraszam – powiedział. Jej ręka spoczywała w zagłębieniu jego ramienia mocno, pewnie.

– Nie udało mi się przekonać mego męża i widzę, że pana też nie przekonałam, że nie jestem ze srebra. Nie przejdę przez ogień bez skazy. Tylko przez to stwardniałam. Nie da się mnie przekuć, ukształtować.

– Nie chcę pani zmieniać – zapewnił ją.

– Cóż, muszę panu uwierzyć na słowo. Będzie to dla mnie nie lada wyzwanie. Co chce pan zyskać? Nie mam pieniędzy. A ozdobą dawno być przestałam.

– W tej kwestii nasze zdania się różnią.

Puściła jego rękę i odwróciła się do niego tyłem, wpatrując się w ciemność.

– Nie jestem taki jak on. – Głos Albana zabrzmiał łagodnie i miękko. Spojrzała na niego ponownie.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Tylko pani obecności. Pani... przyjaźni. – Nie było to właściwe słowo.

– Jest pan dla mnie tajemnicą.

– Każdy z nas jest tajemnicą dla innych.

– Mój mąż, kiedy za niego wychodziłam, był mi obcy – powiedziała. – I był mi obcy, kiedy umierał. Gdy zobaczyłam pana po raz pierwszy, poczułam, że wiem o panu wszystko. A jednak tak nie jest. Do tego za długo przebywałam pośród cieni.

– Nie rozumiem... – odrzekł Alban. Nad nimi wznosiły się fasady Bond Street, które wydały się Mary równie nieprzeniknione co świat, w który starała się wejść. – Zawsze mówiłem pani tylko prawdę.

– Owszem. Ale między jedną prawdą a drugą za dużo jest milczenia. Muszę wiedzieć, czy to, co jest pomiędzy nami, jest prawdziwe. Udaje pan świętego, lecz nim pan nie jest. Po co zatrudnił się pan na Bond Street po tym, co między nami zaszło?

– Nie potrafię tego pani powiedzieć. Sam ledwo to rozumiem.

Jego twarz skrywała się w cieniu. Wydawał się bardzo daleki. Zastanawiała się, czy myślami znów znalazł się w pewnym kościele, jako młodszy człowiek, w którego kierunku biegł mały chłopczyk o roześmianych oczach. Ogarnęło ją wrażenie, że żaden wielki plan nie istnieje, są tylko chwile takie jak ta. Postąpiła krok w jego stronę, próbując dostrzec jego oczy, by choć przez moment wiedzieć, o czym myśli. Przymknęła sobie, że to już ostatni ryzykowny krok, na jaki się waży.

Pocałował ją.

Dotyk jego warg i ciepło ciała sprawiły, że lód, który od tak dawna skubał jej serce, jakby nieco stopniał.

– Nie jestem taka, za jaką mnie bierzesz – powiedziała, odsuwając się od niego. – Pewnych rzeczy o mnie nie wiesz.

Nie odpowiedział, tylko przyciągnął ją do siebie znów, a w jego pocałunku wyczuła obietnicę.

Żadne z nich nie zauważyło, jak ukryta w cieniach postać odwraca się i rusza w kierunku Berkeley Square, mocno zaciskając dłoń na rękocyfeli noża.

Rozdział XXXII

11 października 1792

Od dawna już nic nie napisałem. W głowie kłębi mi się tyle myśli, lecz mogę tylko je pielęgnować. Gdybym je spisał, straciłyby swoją moc; przelane na papier nie byłyby prawdziwe. Myślę o Harriet w dzień i w nocy. Nie mam dość energii, aby prowadzić interes; nie dbam o kawiarniane spotkania ani o przyjaźń Taylora. Nie mogąc widzieć się z Harriet, wysyłam jej listy. Szalenie to uciążliwe, że każdego dnia muszę szukać innego gońca czy portiera, aby je do niej zanosił.

Maj 1793

Digby spędził w przybytku pani Blacklock trochę czasu, nim Maynard go tam odnalazł. Stróż niespiesznie obracał w palcach pierwszy kufel. Posługaczka kilkakrotnie przeszła obok niego, rzucając mu niezadowolone spojrzenie. Na widok Maynarda na jej twarzy wykwił promienny uśmiech. Ten zagadał do niej, po czym podszedł do stolika, skupiając wzrok na twarzy Digby'ego.

– Zamówiłem kawę – oznajmił. – A pan co pije?

– Słabe piwo.

Maynard odrzucił w tył poły płaszcz i usiadł.

– No więc? Chciał się pan ze mną widzieć. – Uniósł brew sarkastycznie. – Przyjemnie dla odmiany dostać list od pana. Ma pan ładny charakter pisma.

– Jakiś czas temu wpadałem na pana, gdziekolwiek bym się ruszył – stwierdził Digby. – Ostatnio jednak ciężko się z panem skontaktować.

Posługaczka wróciła do ich stolika i postawiła na nim tacę z kawą. Maynard rzucił Digby'emu ostrzegawcze spojrzenie.

– O co chodzi? – zapytał, gdy dziewczyna sobie poszła.

– Tak sobie myślałem... – zaczął Digby. Zauważył, że twarz Maynarda drgnęła; zapewne miał zamiar rzucić jakąś ciętą uwagę, lecz się zmytygował. Wpatrzył się w swoją filiżankę z kawą. Digby tymczasem ciągnął dalej: – Zastanawiał mnie fakt, że nigdy do końca nie pojąłem, czemu tak się pan interesuje okolicznościami śmierci pana Renarda. Wymienił pan tyle wzniosłych motywów, mówił o sprawiedliwości, o bezpieczeństwie pani Renard...

– Dziwi to pana? – Maynard zmarszczył brew. – Że człowiek światowy dba także o innych?

Digby zdusił w sobie gorzki śmiech, lecz mimo woli uśmiechnął się krzywo.

– Szanowny panie – odezwał się. – Mówi pan zupełnie jak ten złotnik. Można by wręcz wziąć pana za kogoś z grona jego najbliższych przyjaciół. A jednak w ostatnich tygodniach z jakiegoś powodu tajemnica jego śmierci przestała pana ciekawić. Ostatnio nakrzyczał pan na mnie i mi nazłorzeczył, ale później ani razu nie szukał u mnie informacji. I to mimo tego, iż o domostwie Renarda krąży wiele ciekawych plotek. Na pewno musiał pan słyszeć, że ktoś rozbił okno u pani Renard. Gdzież podziła się pańska troska?

Maynard nie odrzekł nic. Digby widział jednak, że szuka odpowiedniej riposty – i że zapewne niedługo ją znajdzie. Postanowił zatem mówić dalej:

– Jak już powiedziałem, zaczęło mnie to zastanawiać. Uznałem, że przyjrzę się sprawie nieco bliżej. Sam pan wie, że mam talent do obserwacji. Szczególnie w okolicy pańskiego domu. Jak się miewa młody pan Maynard? Podobała mu się podróż po Europie? Dopiero co wrócił, jak słyszałem.

Maynard nadal milczał, lecz podniósł wzrok na Digby'ego tak szybko, że stróż zorientował się, iż trafił w dziesiątkę. Mimo to w twarzy szlachcica dostrzegał jedynie czujność, nie strach.

– Pani Maynard zapewne się ucieszyła, czyż nie? – ciągnął. – Że znów może zobaczyć syna. Sprawia on państwu pewne kłopoty, prawda? Po oberżach mówią, że upodobał sobie służące. I hazard. Na przemoc ma za miękkie serce, jak się zdaje. Specjalnie kazał mu pan wyjechać z miasta, prawda? Kiedy to było? Dzień po tym, jak morderstwo Renarda wyszło na jaw?

Maynard wpatrywał się w filiżankę z kawą, jak gdyby dumając nad słowami Digby'ego. Potem lekko odchylił się na krześle i wzruszył ramionami.

– Ma pan rację, trochę się o niego bałem – powiedział. – Ale teraz to nie ma znaczenia. Chłopak wpadł w złe towarzystwo. Sam nigdy się nie bił, lecz jego znajomi tak. Pożyczył od Renarda pieniądze i przegrał w karty tabakierę, która miała dla mnie pewną wartość sentymentalną. Nie przejąłbym się wieścią o tym, że Renard został zamordowany, ale gnębiło to moją żonę. Chciała mieć pewność. To nasz jedyny syn, a świadomość, że być może był w to zamieszany, szarpała jej nerwy. Nie było dnia, żeby o tym nie wspomniała. Dlatego kazałem panu przyjrzeć się tej sprawie. – Na chwilę podniósł wzrok. – Pomyślałem, że uderzę w stół, a jeśli coś się odezwie... – Zawiesił głos.

– A gdybym rzeczywiście coś odkrył? – zapytał Digby.

– Zapłaciłbym panu za milczenie. Niech mi pan nie mówi, że nie da się go kupić. A gdyby się nie dało... Jak już mówiłem, nie jestem tak zniewieściały jak Taylor. Powiedzmy, że znalazłbym wtedy inne rozwiązanie. Wszyscy wiedzą, że ma pan na sumieniu ciemne sprawki. Trudno pana nazwać stróżem prawa. Poza tym wiedziałem, że nie ma pan na mnie nic, kiedy ostatnio się widzieliśmy. Przepraszam za, nazwijmy to, natarczywość. Musiałem zwrócić pańską uwagę, by dowiedzieć się, czy w tej sprawie kryje się coś więcej. A kiedy z panem o tym rozmawiałem, w pana oczach nie było prawdziwego strachu. Prawdziwy strach to strach o własną skórę.

Digby zajrzał do kufla. W piwie pływał czarny paproch; wibracje podłogi wprawiały powierzchnię płynu w drżenie. Poczul się zmęczony.

– Ma pan rację – przyznał.

– Wiem. Gdyby czegoś można się było dowiedzieć, dawno by pan to wywęszył, a ja w jednej chwili bym to zauważył.

Ponownie pochylił się ku Digby'emu, położył dłonie na stole i dodał szeptem:

– Nic nie łączy mojego syna ze śmiercią Renarda, jestem tego pewien. Ma pan rację, wszystkie te plotki i rozbita szyba sugerują, że może dzieje się coś więcej, lecz mój syn był daleko, wrócił dopiero w zeszłym tygodniu. Tak więc nie mam powodu dłużej kłopotać się Renardem.

– To tyle w temacie szlachetnych ideałów – skwitował Digby i pociągnął łyk piwa.

– Akurat pan nie ma mi czego wypominać. – Maynard zaśmiał się gardłowo. – Nikogo to nie obchodzi. Londyńczycy są bez serca, czyż nie? Tu ktoś umiera, tam ktoś umiera, a oni idą dalej, nawet nie oglądając się za siebie. Wydaje się pan mocno zamyślony. Niech mi pan zrobi przyjemność i powie, kto pańskim zdaniem zamordował Renarda? Co udało się panu wypatrzeć?

Digby pomyślał o Mary. Dawniej jej pragnął; w pewnym sensie nadal tak czuł. Poruszyła w nim jakąś strunę, pewną wrażliwość i świadomość, że celem jego życia może być bronić, a nie tylko nienawidzić. Myślał o niej i o Mallory z pewną dozą czułości. Jednak odkąd zobaczył Mary w ramionach Albana Steele'a, przestał poczuwać się do odpowiedzialności za nią. Nie czuł do niej niechęci, lecz nie wiązała go lojalność.

– Nie mam dowodów – powiedział. – Ale myślę, że to żona złotnika i jej siostra. Miały młodszego brata. Renard postąpił z nim okrutnie i dziecko zmarło. Podejrzewam, że koniec

końców znalazły sposób, żeby się na nim zemścić.

Popatrzył Maynardowi w twarz. Ten zmarszczył brew i lekko potrząsnął głową. A potem przyłożył palec do ust.

Digby kiwnął głową.

– Pozwolę panu dopić w samotności – odezwał się Maynard. – Umarli niech spoczywają w spokoju.

Dopiero kiedy Maynard wyszedł, Digby podniósł wzrok na monetę, którą ten mu zostawił. Lśniła, jakby ją polerował; srebro połyskiwało w słabym świetle.

Rozdział XXXIII

12 października 1792

Odnoszę wrażenie, że Taylor ma słabość do oziębłych kobiet. Jego żona co drugie zdanie dorzuca jakąś impertynencką uwagę. Nie zniósłbym życia z taką kobietą i jej wiecznie ostrym językiem. Taylor wypił dziś o jeden kieliszek białego wina za dużo i zaczął rozwódzić się nad tym, jaka Mary jest delikatna. Musiałem powiedzieć mu prawdę. Że jej ojciec był ledwie wytwórcą srebrnych szkatulek z City; że wartość jej i jej rodziny wyznaczona była jedynie zawartością ich sejfów. Taka jest prawda. Kiedy go poznałem, kontakty z nim były dla mnie korzystne, wiedziałem bowiem, że jego środki wystarczą, aby zapewnić mi odpowiedni start, i że tak drogo sprzedaje swoje córki ze względu na tego swego syna.

Opowiedziałem Taylorowi wszystko, ale on nie zrozumiał; zaśmiał się tylko tym swoim głupim gromkim śmiechem i potrząsał głową, tak jakbym z niego żartował, a Mary jakby była tym, za co on ją bierze. Zezłościł mnie, aż grzmotnąłem pięścią o stół, przewracając własny kieliszek. Nie wiedziałem, jak sprawić, by pojął głębię mojej rozpaczki, więc powiedziałem: są dni, kiedy życzę jej śmierci. Zamilkł i ożywił się dopiero, gdy dolałem mu wina.

Alban wykladał towar na mahoniowym stoliku, który specjalnie w tym celu przykryto białym płótnem. Robił to powoli, starannie. Pan Chichester przechadzał się tam i z powrotem pod oknami, opowiadając mu całą historię domu przy Berkeley Square tonem łaskawej wyższości. Od ich pierwszego spotkania w sklepie Renarda minęło kilka miesięcy; w tym czasie Chichester zdążył już parokrotnie przełożyć umówione spotkanie w sprawie zastawy stołowej, więc Alban nie był nawet pewien, czy w ogóle kiedykolwiek tu przyjdzie. Teraz miał wrażenie, że doskonale mógłby się obejść bez tego; był w podłym nastroju, a konieczność prawienia komplementów chłopcu, który ledwie skończył lat dwadzieścia, wydała mu się wysiłkiem niewspółmiernym do zysku. Klaniając się Chichesterowi, Alban zauważył kontrast pomiędzy bielą jego fularu a żółtym brudem na szyi. Wiedział, że bywa przesadnie pedantyczny i że większość mężczyzn w Londynie wygląda tak jak Chichester, lecz i tak go to zniesmaczyło. Nie zazdrościł innym uprzywilejowanej pozycji, ale uważał, że niesie ona ze sobą pewne zobowiązania. Higiena osobista była jednym z nich.

Na zewnątrz czekał na niego Mattie, gotów rzucić się z pięściami na każdego, kto ośmieliłby się połączyć na srebro. Przyprowadził tu Albana, rozkoszując się rolą ochroniarza tak bardzo, że Albanowi trudno było powstrzymać się od śmiechu. Jeśli koniecznie musiał przychodzić z wizytą do tego domu, syn Mallory był najlepszym możliwym towarzyszem, ponieważ Steele mógł być pewien, że potrafi on spuścić łomot każdemu potencjalnemu złodziejowi. Nie dziwił się chłopcu, że wolał zostać na zewnątrz; nie zmuszał go zresztą do niczego, wiedząc, że Mallory nie wychowała go na służącego, toteż trudno było się spodziewać, by Mattiemu zależało na tym, aby wkupić się w łaski osób wyżej postawionych.

– Niezwykle udane – odezwał się Chichester, gdy Alban wyłożył na stół ostatni element zestawu, wagę na supkę. Powiedział to tonem aprobaty, lecz złotnik usłyszał w jego głosie nutę fałszu, jakby Chichester nie miał dość pewności, czy też przekonania, aby uwierzyć we własny komplement. Uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Chichester tymczasem zmienił pozycję i pochylił się nad srebrami. Ręce trzymał założone z tyłu, jakby bał się, że dotyk srebra mu zaszkodzi.

– Przedtem to moja żona zawsze rozmawiała ze złotnikiem – powiedział. – Tego Francuza spotkał smutny koniec, jak rozumiem?

Popatrzył na Albana pytająco i chyba zmieszał się nieruchomym spojrzeniem, które otrzymał w odpowiedzi.

– Tak się stało, proszę pana – odparł Alban i ucieszył się, że dalsze pytania nie nastąpiły.

– Piękna robota – zauważył Chichester, podnosząc drobno cyzelowany dzbanek na śmietankę. – Ale nieco zbyt kobiece jak na mój gust. Takie rzeczy kiedyś podobały się mojej żonie. – Wyprostował się i uśmiechnął konspiracyjnie. – Teraz nareszcie jestem panem we własnym domu.

Albanowi trudno było odwzajemnić ten uśmiech. W tym mężczyźnie-dziecku było coś wyraźnie odpychającego; poruszał się po tym kąpiącym od złota pomieszczeniu afektowanie, jak figurka w pozytywnie tańcząca w rytm obcej melodystyki.

Steele uśmiechnął się najlepiej, jak mógł; chrząknął.

– Jaki styl będzie panu odpowiadał? – zapytał. – Jestem pewien, że firma zdoła sprostać pańskim oczekiwaniom.

Chichester uśmiechnął się z prawdziwą radością.

– Moim celem jest stworzenie rodzinnej kolekcji sreber do przekazywania ich z pokolenia na pokolenie. Oczywiście w posiadłości są srebra mojego ojca, lecz ja chciałbym poszerzyć ich asortyment, zbierać rzeczy, które będą odzwierciedlać moje upodobanie do artystycznego kunsztu. Pan Renard wiecznie opowiadał, co jest modne, zupełnie mnie nie słuchając; wszystko, co przynosił, było takie samo. Ja chciałbym czerpać przyjemność ze świadomości, że mój gust, moje wykształcenie, moje koneserstwo będą doceniane przez moje dzieci i wnuki.

O wykształceniu i smaku mówił z większą czułością niż o dzieciach.

– Widzi pan, jestem kolekcjonerem – ciągnął Chichester. Wydawał się zdeterminowany, aby przedstawić dowody potwierdzające jego wyrafinowany smak. – Tu nie mam zbyt wielu rzeczy, większość mojej kolekcji trzymam w rodzinnej posiadłości. Mam sztychy i kawałki rzeźb, które udało mi się zebrać podczas podróży po Włoszech, ale... – przez jego twarz przemknął cień – nie mogę ich panu teraz pokazać. W bibliotece jest moja żona. Pokażę je panu kiedy indziej.

– Bardzo chciałbym je zobaczyć – powiedział Alban. – Takie rzeczy mają sporą wartość dla ludzi takich jak ja. Wie pan, jesteśmy po trosze złodziejami. Zagarniamy sobie fragmenty pięknych rzeczy, by móc ponownie je wykorzystać.

– Tak, tak – zgodził się Chichester. Twarz poróżowiała mu z zadowolenia. – Rad jestem, że pana poznałem. W przyszłości sam będę doglądał zamówienia.

Zaśmiał się szczerze.

– Myślę, że zacniemy od pary koszy na chleb, panie Steele. Z giloszowanymi uchwyta-
mi, jak na tym koszu na słodkości, z podobnymi bokami. Niech będą subtelne, ale mocne. A na
dnie, na środku, mój herb. Chcę, by widział go każdy gość, który sięga po bułeczkę. – Znów ob-
darzył Albana uśmiechem. – Proszę przysłać szkice do akceptacji. Rozumie pan, o jaką rzecz mi
chodzi?

Alban postukał się palcem w czoło.

– Wszystko jest tutaj, panie Chichester – powiedział.

– Myślę, że na razie to wystarczy. Marzą mi się jeszcze patery i sosjerki, ale to może po-
czekać do następnego razu. – W jego zachowaniu znów dawało się wyczuć szorstkość i poczucie
wyższości. Steele zauważył też odrobinę skrępowania, jak gdyby Chichester nie wiedział, jak
prowadzić wyważoną rozmowę. – Mam kilka spraw do załatwienia. Niemniej cieszę się z po-
nownego spotkania.

– Ja również – odrzekł złotnik i zaczął z powrotem pakować przyniesione srebra. Proces
ten był tylko odrobinę szybszy niż rozpakowywanie.

– Niebawem po pana poślę – stwierdził Chichester. – W przyszłości chciałbym złożyć

liczne zamówienia.

Alban skłonił głowę i przyglądał się, jak tamten wychodzi z pokoju, wciąż zaaferowany. Nie zamknął za sobą drzwi.

Do środka natychmiast zajrzał jeden z lokajów.

– Pospiesz się pan – powiedział.

Alban celowo zwolnił, starannie owijając każdą sztukę i układając ją na miejscu z wyważoną precyzją. „Cóż za dziwny dom” – pomyślał, patrząc na lokaja, który paradował po pokoju, jakby był tu panem. Służący wyciągnął nawet rękę, żeby brzęknąć w srebro. Nim zdążył to zrobić, Alban złapał go za nadgarstek.

– Nie próbuj pan tego – powiedział. – Albo się pogniewamy.

Harriet przechyliła głowę.

– Czyżbym słyszała kogoś w hallu? To może być mama. Idź to sprawdzić. Jeśli możesz. – Od pewnego czasu te ostatnie dwa słowa dodawała do każdego życzenia; nawyk, którym nauczyła się łagodzić męża, a teraz także i wszystkich innych.

– To tylko złotnik – odezwała się Joanna, dopiero po chwili gwałtownie zdając sobie sprawę z tego, co powiedziała. Harriet jednak chyba tego nie dostrzegła. Służąca odłożyła robótkę i wstała.

Nim podeszła do drzwi, otuliła swą panią kocem. Od dnia, gdy Harriet jej wybaczyła, Joanna zaczęła darzyć dziewczynę sympatią, głębokim, wiążącym współczuciem, jakie żywiły do siebie nawzajem istoty uwięzione w sytuacji bez wyjścia. Pani Chichester cały czas pytała o matkę, chociaż nie wysłano żadnej wiadomości, która by sugerowała, że tamta w ogóle wybiera się z wizytą.

Drzwi się otworzyły.

– To pan Chichester – poinformowała swoją panią Joanna. Dygnęła nisko i opuściła głowę, żeby nie patrzeć mu w oczy. Młodzieniec minął ją i usiadł obok żony.

– Jak się miewasz, moja droga? – zapytał miękko.

– Bardzo dobrze – odrzekła Harriet ze słabym uśmiechem.

– Widziałem się właśnie ze złotnikiem, żeby zamówić srebra – powiedział. Zaczął opisywać naczynia jedno po drugim. Mówił długo, równym, pewnym głosem, precyzując szczegóły każdego projektu.

Przy każdym elemencie pytał Harriet o zdanie, a ona kiwała głową i mówiła cicho:

– To spotka się z moją aprobatą.

Joanna stała pod ścianą jak element wyposażenia pokoju, niewidzialny obserwator. Patrzyła na scenę tak różniącą się od tych, które rozgrywały się jeszcze parę miesięcy temu przy okazji zamawiania serwisu toaletowego, że aż poczuła zimny dreszcz. „Jesteśmy teraz w twojej mocy” – pomyślała, przyglądając się twarzy Chicheстера ożywionej rozmową.

Gdy za panem domu zamknęły się drzwi, Harriet obróciła się do Joanny.

– Gdzie oni znajdują tych wszystkich złotników? – zapytała jasnym, melodyjnym głosem. – Kiedy Pierre umarł, czy ustawili się w kolejkę, gotowi go zastąpić? A jednak jego zastąpić się nie da. Wierzę, że kochał mnie bardziej niż ktokolwiek na tym świecie.

Rozdział XXXIV

16 października 1792

Wysłałem mojej najdroższej pudełko słodkości od Guntera. Ja, zawsze taki przezorny, byłbym zdolny popaść w bankructwo, byle tylko jej dogodzić. Przysyła mi szalenie czule liściki. Odpisuję, oczywiście; daję jej to, czego pragnie. Prawda jest taka, że moje uczucia nie są daleko w tyle. Wyobrażam sobie tak wiele. Udało mi się z nią spotkać zaledwie wczoraj; wymknęła się z domu i umówiliśmy się w odludnej części parku. Jej woźnica jest lojalny, udaje, że nic nie widzi. Piliśmy słodkie mleko prosto od krowy. Boże, jak ona smakuje! Gdyby mi pozwoliła, posiadłbym ją znów pośrodku parku i posłał wszystkie moje wielkie nadzieje do diabła.

Zwołano posiedzenie u koronera, a nieszczęsnego samobójcę przyniesiono do tawerny przy Świętym Jakubie z domu w bocznej uliczce przy Piccadilly, w którym kiedyś mieszkał. Jego matka wczepiła się w płaszcz nieboszczyka tak mocno, że zostały w nim podłużne dziury po jej palcach. Brass i Jennings, stróże z parafii Świętego Jakuba, którzy przynieśli ciało, stali nieopodal pod czujnym, zainteresowanym wzrokiem Digby'ego. Ten ostatni nie miał powodu, aby tutaj być – poza upodobaniem do makabry – lecz nikt nie zakwestionował jego obecności. Brass i Jennings wymienili spojrzenia, bez słowa zgadzając się z tym, że takiego dziwaka lepiej zostawić samemu sobie.

Digby przyjrzał się Taylorowi, który z ciężkim westchnieniem popatrzył na ciało. Dziś wydawał się zupełnie innym człowiekiem niż ten, który przewodniczył spotkaniu w sprawie śmierci Pierre'a Renarda wiele miesięcy temu. Dawny Taylor traktował obowiązki koronera jako powód do dumy. Trzymał się prosto, niczym obserwator ludzkiego życia i śmierci, strażnik prawa i sprawiedliwości. Lecz dziś, patrząc na udręczoną twarz samobójcy, wyglądał jak ktoś, kto stoi na tym samym poziomie co umarli, nie jak przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości. Jakby jego siły witalne kurczyły się z każdą kolejną śmiercią.

– Exham, grawer. Wypił laudanum – odezwał się konstabl. – Tak powiedziała mi jego matka. Nie dałem rady jej tu sprowadzić. Siedzi w swojej bawialni.

Zza pazuchy wyciągnął buteleczkę płynu. Napis na etykiecie dawno się zatarł.

– To go zabiło. Służący przyszedł złożyć zeznania. – Skinął głową w kierunku człowieka o żarliwym spojrzeniu, który grzecznie czekał w rogu sali.

– Bardzo ciekawe – zauważył jeden z młodszych członków zgromadzenia, wychodząc do przodu i pochylając się nad ciałem z chłodnym zainteresowaniem. – Mówi pan, że był grawerem. Czy należał do współpracowników pana Renarda, doktorze Taylor?

– Wydaje mi się, że pan Renard od czasu do czasu miał z nim do czynienia – odrzekł Taylor.

– Osobliwa sprawa. – Młodzieniec zachichotał cienko. – Wygląda na to, że ta parafia może budzić strach wszystkich londyńskich złotników.

– Jak rozumiem, grawer ten popadł w długi – stwierdził Taylor. Młodzieniec tylko wzruszył ramionami.

Digby dostrzegł dyskomfort na twarzy doktora i prawie obudziło się w nim współczucie; prawie, ale jednak nie. Zgadzał się z Taylorem. W tym młodziku było coś niepokojącego, jego obojętność przejmowała chłodem. „Czy wszyscy byliśmy kiedyś tacy jak on? – pomyślał. – Czy za młodu byliśmy nieświadomi cierpienia, niepomni jego skutków na tyle, by ich nie odczuwać? Ja wiele już w życiu widziałem i jestem nieczuły, ale to dlatego, że się do tego przyzwyczaiłem, okrzepłem. Inaczej ten młody człowiek. On nigdy nie zaznał cierpienia i wierzy, że nigdy mu się

to nie przytrafi, bo jest praworządny”. Digby’ego przeszedł mimowolny dreszcz. Praworządny. Dobry Boże. Wiara we własną praworządność to najgorsza zbrodnia.

Taylor przetarł czoło dłonią.

– Jestem przekonany, że te dwie śmierci nie są niczym powiązane. Moim zdaniem sprawa jest jasna. Biedny nieszczęśnik. Oby jego dusza zaznała spokoju.

– Obecnie ma pan, zdaje się, wiele trosk – powiedział młodzik lekko. – Słyszałem, że sporo się ostatnio mówi o pani Renard. Podobno jest coraz słabsza.

– Stan jej zdrowia nie jest taki zły – rzekł Taylor. Digby domyślał się, że doktor starał się, by zabrzmiało to swobodnie, wyraźnie mu jednak nie wyszło. Rzucił tę uwagę zbyt ostro, kwaśnym tonem, niczym reprimendę.

Młodzieniec uniósł brwi i wycofał się bez słowa czy ukłonu. Taylor postąpił krok za odchodzącym chłopcem. „Czyżby ogarniała go panika?” – zastanawiał się Digby. Od śmierci Pierre’a doktor Taylor wydawał się jakby zagubiony w nieznanym świecie. Mówiło się, że nie był już mile widziany u niektórych swoich koleżków z Bond Street; czyżby tracił publiczny szacunek?

Z rozmyślań wyrwał Digby’ego Maynard, który wszedł do sali i przechodząc, poklepał go serdecznie po ramieniu. Stróż poczuł się tym zaniepokojony, nie tylko z racji swoich kon-szachtów z Maynardem; wydawało mu się, że jest niezauważalny, że snuje się przez życie innych niczym duch. Dowiódłszy, że jest zgoła inaczej, Maynard pozdrowił resztę zgromadzenia.

– Czy możemy przejść do kolejnego punktu, panowie? – Jego głos zagrział ponad gwarem rozmów. – Pilne sprawy wzywają mnie gdzie indziej.

Po sali przeszedł pomruk niezadowolenia. W Taylorze zawrzała irytacja; Digby dostrzegł jej cień na twarzy doktora.

Spotkanie z koronerem potoczyło się szybko; zapadł jednogłośnie werdykt o samobójstwie. Brass i Jennings przykryli ciało. Nocą było na tyle chłodno, że grabarz nie powinien mieć z nim kłopotu.

– Mogę prosić na słowo, panie Maynard? – odezwał się Taylor, gdy sala zaczęła pustoszeć.

Kącik ust Maynarda uniósł się sarkastycznie. Digby znał tę minę. Cofnął się głębiej w cień, by pozostać niezauważony. Oparł się o ścianę, lecz była tak zimna, że oderwał od niej plecy. Maynard tymczasem skłonił się nieznacznie i podszedł do kąta, w którym stanął doktor.

– Znam pana jako człowieka honoru, panie Maynard – zaczął Taylor, a Digby zauważył zaskoczenie na dotąd obojętnym obliczu tamtego. – Z tym większym niezadowoleniem przyjąłem wieść, że rozpowiada pan różne rzeczy o pani Renard.

Brwi Maynarda pozostały uniesione.

– Mogę wiedzieć, dlaczego rzuca pan na mnie tego typu oskarżenie? – zapytał najbardziej władczym tonem, na jaki było go stać.

– Niechże pan przestanie – zirytował się Taylor. – Wiem prosto od członka pańskiego klubu, że opowiadał pan o panu Renardzie, rzucał pomówienia.

– Ach, o panu Renardzie... – Maynard wydawał się znudzony, choć Digby mógł się założyć, że wcale tak nie jest. – On nie żyje. Jakie więc to ma znaczenie? A co, jeśli te, jak pan to ujął, pomówienia, są prawdziwe? Mam wówczas prawo mówić, co mi się podoba.

– Idź pan do diabła! – huknął Taylor. Krzyk wyrwał się z niego tak gwałtownie, że Digby aż podskoczył, jak po wystrzale z armaty. Maynard oparł się o laskę i popatrzył na deski podłogi.

– Spokojnie, Taylor – mruknął.

Doktor pochylił się do niego tak blisko, że Digby musiał wysilić swój wyostrzony słuch, by go usłyszeć; zaryzykował wychylenie się z cienia.

– Mówię panu, Maynard, żeby pan zachował nieco honoru – powiedział Taylor. – Miej

pan trochę szacunku dla zmarłego i tych, którzy go przeżyli. Pani Renard dość ma zmartwień bez pańskich złośliwych uwag.

Lodowate spojrzenie Maynarda nie złagodniało ani na moment.

– Wielce to szlachetne z pana strony, Taylor, ale pani Renard nie ma powodu, aby się mnie bać – rzekł. – Nigdy w żaden sposób jej nie obraziłem. Jeśli mówiłem źle, to tylko o samym Renardzie, który... – przysunął się bliżej – ...był największym łajdakiem, jakiego znałem, czy był pana przyjacielem, czy nie. – Wydawał się zagniewany. – Powiedzieć panu, co teraz się mówi na mieście, Taylor? Mówi się, że rozchorował się pan z miłości do pani Renard i że pana postępowanie jest wielce niehonorowe. Pewien dżentelmen był wczoraj w tamtym sklepie i powiedział mi, że efekty takiego postępowania już są widoczne.

– O czym pan mówi? – zdziwił się Taylor.

– Dobry Boże, człowieku – syknął Maynard cicho. – Jakież z pana głupiec. Ona jest przy nadziei. Niech pan dba o siebie i własną reputację, zanim rzuci się pan bronić honoru nieboszczyka. Dobrego dnia życzę.

I wyszedł, stukając laską o kamienną posadzkę.

Taylor został tam, gdzie stał, z otwartymi ustami, jak gdyby miał ochotę krzyczeć.

W widoku tym było coś ujmującego: zszokowany doktor stojący bez ruchu, wpatrzony w pustą przestrzeń. Digby'emu wydało się, że w jego twarzy dostrzegł boskie poruszenie. Zastanawiał się, dlaczego Taylor jest zaskoczony, sam przecież, spacerując za dnia po ulicach, dostrzegł rumieniec na twarzy pani Renard; wiedział, że znalazła miłość, a tam, gdzie była miłość, szybko pojawiały się dzieci. Chciał zostać chwilę, może pocieszyć doktora życzliwym słowem, nie czuł już bowiem do niego animozji, nie miał jednak czasu. Jego dłoń, jak zawsze, zacisnęła się na cennym zegarku, który miał w kieszeni. Sposób, w jaki go dotykał, stał się już elementem rutyny, krzepiącym gestem wykonywanym automatycznie, bez udziału świadomości. Rzucił Taylorowi ostatnie długie spojrzenie, po czym przesunął się ku drzwiom, trzymając się blisko ściany i starannie zachowując ciszę. Czas uciekał, a on miał umówione spotkanie.

Joanna wymknęła się z domu. Gdy wyszła, ogarnęło ją rozkoszne uczucie, że oto rozplywa się w mroku nocy. Głowę jej grzał nowy kapelusz. Dawniej noc napawała ją zimną obawą, teraz jednak czekała na nią z utęsknieniem. Zapewniała jej kamuflaż, dawała wolność, a wolność dodawała Joannie odwagi. Jeśli w mroku czaili się rabusie i złoczyńcy, myślała, że może być jedną z nich. Wiedziała, jak się obronić.

Nie każdej nocy wychodziła w miasto. Czasami zostawała z Harriet, czuwając nad nią, uspokajając ją i zapewniając jej rozrywkę. Lecz w miarę, jak brzuch dziewczyny rósł, ta stawała się coraz bardziej apatyczna, a dziś powieki opadły jej już o ósmej. Joanna czmychnęła z domu cicho, mijając kamerdynera, który chrapał donośnie przy składziku ze srebrem, oraz panią Holland, która ostatnio próbowała się wkupić w jej łaski. Plan ochmistrzyni, by strącić pokojową Harriet z jej uprzywilejowanej pozycji, spalił na panewce. Joanna wiedziała, że Holland doniosła Chichesterowi o tym, że ona wymyka się w nocy. On jednak nie powiedział ani słowa i nie zrobił nic, teraz więc ochmistrzyni czciła Joannę jako siłę wyższą. Hierarchia domowa legła w gruzach; pan i pani przestali zasługiwać na swoje tytuły, skoro nie potrafili upilnować własnej służby.

Zbliżając się do ostatnich budynków stajennych, Joanna usłyszała niski gwizd Digby'ego. Stał na rogu, a na jej widok uśmiechnął się promiennie.

– Dziś bez Watkina? – zapytała.

– Poezja. – Teatralnie zaakcentował to słowo. – Liczyłem na to, że przyjdziesz.

– Tylko na chwilę – powiedziała. – Nie pójdę z tobą na obchód. Dziś nie mogę ryzykować, że ktoś mnie zobaczy.

– Twarz masz w połowie zakrytą. Kto cię pozna?

Przyciągnął ją do siebie. W cieniu mogła ujrzeć wyraźnie jego twarz, ale tylko z bardzo bliska. Odepchnęła go i potrząsnęła głową.

– Albo mógłbym pójść do ciebie – odezwał się z błyskiem w oku.

– Żeby przez ciebie straciła posadę? Nie jestem w nastroju na takie ryzyko. Wyraźnie mi to tłumaczono, kiedy zaczęłam tam pracować: żadnych gości. I tak już przysparzam problemów.

Starła się nie powiedzieć tego głośno: więcej się do mnie nie zbliżysz. Nie rozmawiali już później o zegarku, ale czasem w środku nocy nachodziła ją myśl o nim, a strach nie pozwalał jej zasnąć, dopóki nieba nad Londynem nie rozjaśnił świt.

– Jesteś chodzącą pokusą, Jo – powiedział. – Zostań ze mną chwilę. Miej dla mnie trochę litości. Właśnie widziałem nieszczęsnego samobójcę na spotkaniu u koronera.

– To okropne – stwierdziła.

– Normalnie bym się nie przejął. Ale to był grawer, znajomy Renarda. Szedłem tam i myślałem o Renardzie, i zastanawiałem się, czy ten, kto go zabił, nadal tam się czai, czeka, ukryty w cieniu placu.

Nic nie odpowiedziała, tylko położyła mu jedną dłoń na karku. Przysunął się, oparł głowę na jej ramieniu i przytulił się do niej.

– Twoje ciepło dobrze mi robi – powiedział. – Ty i ja dobrze się rozumiemy, co, Jo?

– Tak. Ale czemu tak jest, tego nie wiem.

Ciepło jego ciała podziałało na nią usypiająco. Tak długo kuliła się w samotności, że uścisk mężczyzny wydał jej się luksusem. Niechętnie odsunęła go od siebie.

– Rozumiemy się, bo masz serce równie czarne jak ja – rzekł z uśmiechem, naprawdę szczerym uśmiechem, który sięgnął jego oczu.

– Nie... – zaprotestowała. – Nie drocz się ze mną.

Oparł się o ścianę i westchnął.

– Czemu nie jest nam dane robić tego, na co mamy ochotę? – zauważył. – A ci nędznicy w swoich kamiennych rezydencjach, przy kominkach, z całym tym ich jedzeniem i błyskotkami... Nienawidzę ich.

– Tyle w tobie zawiści – powiedziała Joanna, głaszcząc go po włosach. Rozumiała to, lecz zmroził ją wyraz jego twarzy.

– Ty mnie rozumiesz. Wiem, że tak jest.

– Wiem, że kiedyś też ich nienawidziłam. Ale teraz nie umiem wytłumaczyć swoich uczuć.

– Jak się miewa twoja pani? – zapytał.

– Marudna jest. Pan rzadko kiedy się do niej odzywa.

– Skoro ją sobie kupił, a ona nie okazuje mu czułości... jej ojciec wyczuł lukratywny interes, kiedy go zobaczył.

– To nie tak. – Joanna pospieszyła w obronie Harriet. – Pieniądze pochodzą z jej rodziny. Chichester ma dobre, stare nazwisko, a ojciec pani chciał pożenić ich nowe pieniądze z dobrym rodem. Tak naprawdę to wszystko jest jej, chociaż ona należy do niego. To nieczuły człowiek.

Oparł się czołem o jej czoło, po czym spojrzał na otaczające ich mury.

– W takim razie niesprawiedliwie ją oceniłem – powiedział. – Mnie wszyscy oni wydają się tacy sami. To miejsce zbudowano w czasach mojego dziadka. Opowiadał mi, że wyrabiali tu cegły, z londyńskiej gliny, w miejscowych piecach. Że wszystkie wymuskane damy i panowie z okolicznych ulic narzekali na to. Mówili, że dym niszczy im firanki i obicia.

Znowu ją pocałował.

– Sam chciałbym być strycharzem – powiedział, błyskając zębami w uśmiechu.

Rozdział XXXV

17 października 1792

Posprzeczałem się z jednym ze służących Harriet, szumowiną z nizin. Powiedział, że mam teatralne maniery. Że codziennie spędzam tyle czasu z „szanowną panią taką i owaką”, że zachowuję się jak wielka dama. Zwymyślałem go od najgorszych. Miał szczęście, że nie byłem przy bro- ni.

Wytrąciło mnie to z równowagi i później powiedziałem więcej, niż chciałem. Zwierzyłem się Taylorowi z mojej miłości do Harriet, myśląc, że mogę mu zaufać. Każdy rozsądny człowiek zrozumiałby, ile jest warta i jak blado wypada w porównaniu z nią moja żona. Jednakże Taylor spojrział na mnie strasznym wzrokiem, jakby świadomość ta go oślepiła i przez dobrych kilka mi- nut nie widział na oczy. Przez chwilę myślałem, że się rozplacze. Czyżby, jak Mary, miał skłonność do melodramatycznych scen rodem z teatrów przy Drury Lane? Poklepałem go po ple- cach i spróbowałem uspokoić rozmową na lżejsze tematy. Dobrze, że nie powiedziałem mu nic więcej.

Mary. Samo jej imię jest mi nienawistne. Jak mam wytłumaczyć, jakim koszmarem jest rok po roku żyć u boku osoby, która cały czas człowieka drażni? Już sam odgłos jej kroków na scho- dach psuje mi wieczór.

– A więc – odezwał się Grisa, kiedy Mary i Alban weszli do sklepu. – Już załatwione? Na jego twarzy malowała się ulga zaprawiona żalem.

– Tak – potwierdził Steele. – A panna Avery wróciła do swojej rodziny. Gdzie Benjamin?

– Zrobiłem tak, jak planowałem. Wysłałem go do urzędu probierczego, by odebrał ozna- kowane srebra. Nie chciałem, żeby widział, jak państwo wracają.

– Jeszcze przez jakiś czas trzeba będzie trzymać to w tajemnicy – stwierdziła Mary.

– Idź na górę, kochana, odpocznij – powiedział Alban. – Zaraz do ciebie przyjdę.

Obrócił twarz ku subiekтови, lecz widać było, że wsłuchuje się w kroki żony.

– Bardzo jest wątpa – zauważył Grisa.

– Też by pan taki był, gdyby przeszedł pan tyle co ona. Żal wżera się w nas, zostawiając trwałe ślad, jak sól na srebrze.

Emocjonalne przeżycia tego ranka uczyniły go bardziej rozmownym, osłabiły skłonność do zachowywania własnych myśli dla siebie.

– Jak dziś szły interesy? – zapytał, starając się zabrzmieć energicznie.

– Spokojnie – odparł Grisa. – Dopóki nie przyszedł pan Maynard.

Wróciwszy do swojego pokoju, Mary rozplotła włosy i usiadła na łóżku. Rankiem Avery pomogła jej się ubrać; obie śmiały się i płakały, strojąc się i układając fryzury. Parę minut po siódmej zeszły na dół do zamówionego powozu, gdzie czekała już Mallory. Na palcach szły przez pograżony w ciszy dom; Ellen otworzyła im drzwi. Benjamin spał.

Nie padało, choć niebo było zasnuwane chmurami. Białe światło sączyło się przez okno po- wozu, który z hałasem toczył się ulicami Londynu w kierunku City i miejsc, które znała od dziec- ka.

– Cieszę się, że bierzecie ślub u Świętego Wedasta – odezwała się w pewnym momencie Mallory. – To kościół złotników. Ojciec byłby dumny.

Siostra Mary niechętnie pogodziła się z sytuacją; Mary uparła się, żeby Alban i Mallory podali sobie dłonie na zgodę. Gdy powóz skręcił w Foster Lane, Mary zauważyła lekki uśmiech na twarzy siostry.

Ich ojciec pracował w srebrze przez całe życie, podobnie jak dziadek. Wraz z jego śmiercią całe to dziedzictwo przepadło. A jednak wrócili tu, dorożka przywiozła ich do samego serca City, kilka kroków od siedziby cechu złotników, gdzie oceniano i znakowano metal, który był źródłem ich utrzymania całe ich życie.

Było tuż przed ósmą. Ta godzina stanowiła jedyny element łączący pierwszy ślub Mary z drugim. Myśl o tym wywołała chwilową panikę; Mary przestraszyła się, że rzuci to zły urok na ceremonię. Natychmiast jednak nakazała sobie spokój. Specjalne pozwolenie na ślub zdobyli w wielkim sekrecie.

Avery i Mallory pomogły jej wysiąść z powozu. W drzwiach kościoła czekał Jesse Chamac. Wyglądał mizernie. Podchodząc do niego, zwróciła uwagę na intensywną zieleń jego oczu: ostry turmalinowy blask, który na moment ją zaniepokoił.

– Jak on się miewa? – zapytała.

Dostrzegła co prawda sylwetkę Albana przy ołtarzu, lecz nie mogła się powstrzymać. Jesse uśmiechnął się i odpowiedział:

– Stresuje się i nie może uwierzyć, że to prawda.

Podał jej ramię i rozejrzał się po ulicy, jakby zakładał, że ktoś mógłby się pojawić, aby im przeszkodzić.

– Chodźmy już – powiedział.

Mary starała się rozkoszować każdą chwilą, lecz trzęsła się ze zdenerwowania i już wiedziała, że nie zachowa tego wspomnienia w pamięci. Gdy zaczęło się nabożeństwo, chciała rozciągnąć je w czasie; słowa księdza wydawały się zbyt szybkie, niepowiązane ze sobą.

W pewnym momencie drzwi kościoła się otworzyły, a świece na ołtarzu zblękitniały i skłoniły się pod podmuchem chłodnego wiatru, który niemal je zdmuchnął. Mary odwróciła się, spojrzała na wejście i zobaczyła ich: dwoje dorosłych prowadzących między sobą małe dziecko. Były to tylko niewyraźne sylwetki, lecz rozpoznała ich od razu – ojca, matkę i Elego. Gdy jednak mrugnęła, okazało się, że to tylko znajomy Jessego z żoną, który próbował po cichu wemknąć się do kościoła, zażenowany poruszeniem, jakie wywołało jego wejście. Mary spojrzała na Mallory; wydawało się, że jej siostra nic nie zauważyła: patrzyła prosto przed siebie, na złocone napisy na tablicach z przykazaniami umieszczonych z tyłu ołtarza.

– Pomyślałam... – szepnęła i poczuła, jak Alban mocniej ściska ją za rękę. Przez resztę ceremonii zastanawiała się, czy coś zauważył; chciała przerwać nabożeństwo i wyjaśnić mu, co oznaczało takie błogosławieństwo. On jednak był trzeźwo myślącym człowiekiem. Mary wiedziała, że coś takiego nie przysłoby mu do głowy.

Bez chwili wahania pochylił się nad rejestrem, podpisując się pod aktem ślubu. Pismo miało drobne, czytelne i eleganckie. Mary podpisała się kursywą, z ozdobnikami, jak gdyby chciała zawrzeć w tej jednej chwili cały swój niewykorzystany talent artystyczny.

Kiedy wychodzili z kościoła i wracali na Bond Street, przypomniała sobie pierwszą noc, którą spędzili w swoich ramionach. Obudziła się, czując na plecach ciepły dotyk jego dłoni; wyciągał do niej ręce nawet przez sen. Ich związek, zrodzony w ogniu pożądania, wreszcie został pobłogosławiony.

Czesła włosy, gdy do pokoju wszedł jej małżonek. Uśmiechała się do siebie, wspominając, z jaką radością Avery ucałowała ich oboje na schodach kościoła.

– Avery mówi, że wraca do sklepu brata, żeby znaleźć sobie męża – odezwała się. – I że ma nadzieję trafić na kogoś równie urodziwego co ty.

Alban się roześmiał. Uwielbiała jego śmiech; wydawał się koić wszelkie zmartwienia tego świata. Zastanawiała się, czy małżeństwo zmieni panujące między nimi stosunki. Od tej pamiętnej nocy, kilka dni po ich pierwszym pocałunku, wielokrotnie ze sobą sypiali. Wtedy roz-

bierali się pospiesznie, jakby świadomi, że jeśli zawahają się choćby na chwilę, nigdy już nie zdobędą się na to, by dokończyć to, co zaczęli. Rozgorączkowni, nie dbali o nic, może poza koniecznością zachowania ciszy; w pokoju słycać było tylko ich oddechy i skrzypienie łóżka pod nimi. Zaledwie parę tygodni później powiedziała mu, że wydaje jej się, iż jest w ciąży. Myśl ta zapalała w jej oczach płomień radości, ale i obawy.

Pewnego wieczoru, leżąc w jego objęciach, opowiedziała mu o swojej nienawiści do Pierre'a. Mówiła przyciszonym głosem, jakby jej słowa mogły zniszczyć nastrój wywołany miłosnym aktem, dać mu powód, aby odszedł.

– Powinam była być silniejsza w kontaktach z Pierre'em, powinienam była ujrzyć, domyślić się, jaki jest. Odebrał mi wszystko, co kochałam, a ja? Czy obróciłam się przeciwko niemu? Nie, pozwoliłam, żeby odebrał mi także duszę. Pytam więc ciebie, co chciałoby się zrobić człowiekowi, który dopuścił się czegoś takiego?

Nie powiedział nic, przytulił ją tylko uspokajająco. Ona jednak dostrzegła w jego oczach strach walczący z miłością, którą – o czym wiedziała – czuł do niej. Oboje znali odpowiedź: zabić.

Jednakże tego dnia Mary pozwalała sobie tylko na radosne myśli.

Uśmiechnęła się do Albana promiennie.

– Czy masz jakąś rodzinę, którą chciałbyś powiadomić? Albo przedstawić mnie komuś? Pokręcił głową.

– Oboje moi rodzice nie żyją. Jessego i Agnes znasz. Mam kilkoro kuzynów, których zapewne poznasz, lecz mieszkają w Chester, więc to będzie wymagać podróży.

Przyjrzała mu się.

– Byłeś już kiedyś żonaty? – zapytała. – Przepraszam za tak niedelikatne pytanie. Nie opowiadasz o sobie zbyt często, a pewne rzeczy muszę po prostu wiedzieć.

– Pewnie powinienem być bardziej otwarty – stwierdził Alban. – Ale nie przychodzi mi to łatwo. Nie ma nic, co chciałbym przed tobą ukryć, i nic, o czym chciałbym ci powiedzieć.

Delikatnie ujął ją za ramiona. W tym świetle widać było różnokolorowe plamki w jej oczach, które razem składały się na przenikliwe spojrzenie.

– Nie mam innych żon, innych dzieci – powiedział. – Żadnych duchów.

– A zatem wszystkie duchy są tutaj – stwierdziła i natychmiast oblała się rumieńcem, gdyż dostrzegła, że go uraziła. Gorycz zniknęła z jego wzroku równie szybko, jak się tam pojawiła. Uśmiechnął się do niej. „Nie – pomyślała – ty nie jesteś taki jak Pierre”.

– Niebawem się stąd wyniesiemy – oznajmił. – A twój stan zaczyna być widoczny. Stanie się pani obiektem plotek, pani Steele.

Tym razem ona się uśmiechnęła, powoli zaplatając warkocz.

– Wydawało mi się, że to nie może być prawda. Wcześniej chudłam właściwie z dnia na dzień.

Pogłaskała się po brzuchu.

– Dopilnuję, żebyś dużo jadła. Dostałem od Avery wyraźne polecenia. Jeśli nie odkarmię cię i nie utuczę, wróci i każe ci spędzać na jedzeniu każdą godzinę w jej towarzystwie.

– Widziałam Elego – odezwała się Mary. Sama nie wiedziała, co za impuls kazał jej to zrobić.

– Co proszę?

– W kościele. Obejrzałam się, a on tam stał, z rodzicami. Chcieli dać mi do zrozumienia, że mamy ich błogosławieństwo.

– Kochana... – zaczął, a ona zauważyła niepokój w jego głosie. – Musisz wypocząć. Połóż się do łóżka, bo zmarzniesz.

Podszedł bliżej i pociągnął za kołdrę. Nim ją przykrył, jedną ręką pogładził ją po brzuchu. Nie mógł się powstrzymać; obdarzał ich nienarodzone dziecko czułością za każdym razem, kiedy się do niej zbliżał.

Położyła się, a on przesunął palcami po wzorze, który wyszyła na nocnej koszuli: zawilej sieci wyhaftowanej czerwoną nicią na kremowej tkaninie.

– To też ma swoje piękno – powiedział. – Jak drobne ozdoby dodawane do srebra. Świadczy to o tym, że ty i ja pasujemy do siebie, Mary. – Popatrzył na nią i dodał: – Obronię cię. Zrobię, co będzie trzeba, by cię chronić.

Mary wsunęła się pod kołdrę, pozwalając mu się otulić. Delikatnie pocałował ją w usta.

– Odpoczywaj – rzekł, po czym wyprostował się i przeciągnął, jakby szykując się do pracy.

– Zostawiasz mnie? – zapytała.

– Jest parę rzeczy do zrobienia, a my musimy sprawiać wrażenie, że nic nadzwyczajnego nie zaszło. Grisa wspomniał, że przyszedł człowiek nazwiskiem Maynard, który mówił, że niedawno przypomniał sobie, iż parę miesięcy temu zostawił tu tabakierę. Grisa jej nie widział, muszę więc przetrząsnąć cały warsztat, bo człowiek ten strasznie na to nalega. Dasz mi klucze do skrzyń? – Wyciągnął rękę.

Zawahała się. Od śmierci Pierre'a nie oddawała kluczy nikomu, raz tylko powierzyła je Benjaminowi, a raz Mallory. Zaczęła o nich myśleć jak o swojej własności. Spoczywały obok łóżka – popatrzyła na nie przeciągle. W oczach Albana dostrzegła zniecierpliwienie; przypomniała sobie, jak nieśmiało wypowiedzieli słowa przysięgi, jak gdyby byli sobie obcy.

– Będziemy razem szczęśliwi, prawda? – zapytała.

– Oczywiście. Mary?

– Tak, kochany?

– Daj mi klucze.

Rozdział XXXVI

1 listopada 1792

Przypadkiem przechodziłem dzisiaj przez Berkeley Square. Po drodze widziałem Chichestera, niesionego w lektyce. Wydawał się chudy, wiotki jak worek z wodą. Jakby z każdym dniem ubywało mu sił. Mój czeladnik, chociaż niedożywiony, bez problemu pokonałby go w zapasach. A za żonę ma taką kobietę: moją najdroższą.

Wtedy w parku wspomniałem jej mimochodem, że słyszałem o możliwości prawnej separacji. Rozum mi chyba odebrało, że o tym mówilem, ale kiedy czuję jej skórę pod palcami, myśli same cisną mi się na usta. Jest taka piękna, ubrana w najdelikatniejszą taftę i satynę, z sobolami wokół białej szyi. Przypomina mi dzień, w którym po raz pierwszy wszedłem do sklepu jubilera: jej oczy są jak tamte szafiry, jej skóra jest srebrem. Pochłania mnie pragnienie posiadania jej, nie tylko cielesnie; chcę mieć ten klejnot na własność i oprawić go wedle własnego uznania.

Oczywiście myśl o separacji jest szalona; nigdy nie będzie to możliwe, więc rozważanie takiej opcji to czyste mrzonki. Bóg jednak zesłał mi wizję możliwej przyszłości: chłopak umrze, a jeśli mojej żony też już nie stanie... Bóg jeden wie, że od dawna mam jej dość. Tak, mam odwagę to napisać: widzę dzień, w którym Harriet zostaje moją żoną. Pisząc te słowa, czuję napływające do oczu łzy szczęścia i tęsknoty. Zasnuwają mgłą oczy i kapią na papier.

Rankiem następnego dnia niebo było czyste. Wychodząc ze sklepu przy Bond Street, Mary miała wrażenie, że cały świat się zmienił, a wszystkie obawy, jakie dręczyły ją zeszłego wieczoru, pierzchły. Czowała się, jakby wyostrzyły się jej zmysły; na wszystko patrzyła świeżym wzrokiem. Widziała wyraźniej, wszędzie dostrzegała niezauważane wcześniej szczegóły. Chwastry w rynsztoku, pęknięcia na ceglach, drobinki brudu w wiadrze z mlekiem, które niosła mleczarka, hałaśliwie zachwalając swój towar.

Wrażenie było podobne jak to pierwszego ranka po spędzeniu nocy z Albanem. Czowała się pełna życia. Miała osobliwą pewność, że nie jest to jedynie efekt erotycznych przeżyć. Jakby na nowo stała się częścią tego świata. Znów mogła czuć współczucie dla innych i dostrzegać piękno tam, gdzie się ono kryło.

Uśmiechnęła się na myśl, że jej mąż zdobywał wiedzę o kobietach tak samo, jak uczył się rysować projekty i pracować w srebrze: dokładnie, powoli, uparcie. Tego ranka zostawił na stole puchar weselny, tak że znalazła go tam, gdy zeszła na śniadanie. Jego powierzchnia była gładka i nieskalana, Alban stał z niej każdy najmniejszy odcisk palca. Puchar błyszczał, ściągając ku sobie światło i odbijając je. Zdawał się mówić do niej: zachowaj cierpliwość, a dostaniesz wszystko, czego chcesz. „Bardzo się od siebie różnimy, ty i ja”, powiedział jej, kiedy przybiegła do niego i obsypała go pocałunkami wdzięczności. Nie wiedziała, czy w jego oczach widzi zadowolenie, czy złe przecucia.

Z zadumy wyrwał ją głos kobiety:

– Proszę pani?

Mary odwróciła się i napotkała spojrzenie niebieskich oczu. Dama, która się do niej odezwała, jedną rękę trzymała na ścianie sklepu, jakby chciała się o nią oprzeć. Ubrana była bardzo kosztownie; pióra przy kapeluszu kołysały się na wietrze. Miała na sobie rękawiczki i ciepły wielowarstwowy strój, lecz Mary i tak dostrzegła, że jest w zaawansowanej ciąży. Kobieta wydała jej się znajoma; podchodząc do niej, w myślach przebiegała listę nazwisk z książki rachunkowej, w nadziei że uda jej się dopasować jedno z nich do tej twarzy. Na obliczu kobiety malował się wyraz takiej udręki, że Mary instynktownie zapragnęła ją pocieszyć.

– Dobrze się pani czuje? – zapytała. – Czy mogę jakoś pomóc?

Kobieta pokręciła głową i wpatrzyła się w ziemię. Gdy się odezwała, jej głos zabrzmiał łagodnie, bez cienia złości:

– Być może popełniam błąd... – Ponownie spojrzała w oczy Mary, jakby czegoś w nich szukając. – Ale musiałam tu przyjść, porozmawiać z panią. Mam nadzieję, że pani zrozumie.

– Proszę, niech pani powie, o co chodzi.

– Ach... – Nieznajoma się zawahała. – To znacznie trudniejsze, niż myślałam. Wielokrotnie wyobrażałam sobie tę chwilę, a jednak wszystkie słowa, które chciałam pani powiedzieć, uleciały jak dym.

Zaśmiała się lekko, jak mała dziewczynka, lecz Mary widziała, że jej oczy pozostały poważne.

– Sądzę, że jest tylko jedna ważna rzecz, którą muszę się z panią podzielić – powiedziała kobieta. Wzięła głęboki oddech i wyprostowała się, jak gdyby zbierając się na odwagę. – Kochałam kiedyś pani męża – oznajmiła.

Mary nie odezwała się ani słowem. Pierwszą jej myślą było: Alban. Nim jednak zdążyła sformułować jakieś pytanie, nieznajoma kobieta odsunęła się od ściany i szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Nie obejrzała się; poruszała się w zaskakującym tempie. Mary przyglądała się jej rozkołysanej sylwetce, dopóki nie zniknęła jej z oczu.

Nie wiedziała, ile czasu stała tak na schodach. Do sklepu wszedł klient, obrzucając ją zdziwionym spojrzeniem. Obróciła się lekko, przez szybę dostrzegając, jak Alban i Grisa przyskakują, aby go obsłużyć. Jej mąż uśmiechał się do klienta, lecz oczy miał smutne.

Dzwonek rozległ się znów, klient minął ją, wychodząc. Alban stanął u jej boku.

– Co się stało? – zapytał. – Grisa zwrócił uwagę na furkot twoich spódnic na wietrze. Stoisz tu nieruchomo jak w transie. Nie wystarczy już sąsiadom powodów, by brać cię za dziwaczkę?

Wiedziała, że to miał być żart. Odwróciła się jednak od niego, nie chcąc patrzeć mu w twarz.

– Co się dzieje? – zapytał ponownie.

W milczeniu potrząsnęła głową i przecisnęła się obok niego, przemknęła przez sklep i ruszyła po schodach na górę. Wiedziała, że jej milczenie go zdenerwowało, i czuła się z tym źle, lecz nie była w stanie się odezwać.

Minęły dwie godziny, po których Alban stanął u drzwi ich pokoju; dobijał się do nich, aż w końcu go wpuściła.

– Co się stało? – spytał.

– Głowa mnie boli. Wracaj do pracy.

Ubrany był w strój roboczy: jasnobrązową koszulę i pludry. Z talii nadal zwiisał mu skórzany fartuch. Ręce miał szare od metalu.

– Nie pomyślałeś, żeby się umyć, zanim tu przyszedłeś? – Nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to wzdargliwie.

– Nie pójdę, dopóki nie powiesz mi, co się dzieje.

– Co ci się stało w rękę? – zapytała. Paznokiec na lewym kciuku był całkiem czarny; zauważyła to, gdy jego dłonie przebiegł nerwowy skurcz.

– Krzywo uderzyłem – stwierdził. – Powiesz mi, o co chodzi?

Wpatrzyła się w jego dłoń i wyciągnęła rękę, by jej dotknąć. On objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

– Powiedz mi – poprosił. Jego dłoń pogładziła jej twarz, po czym delikatnie przesunęła się na kark i tam już została. Mary nie mogła się zdobyć, aby spojrzeć mu w oczy.

– Kobieta na ulicy... – zaczęła. – Podeszła do mnie i powiedziała: „Kochałam kiedyś pani męża”.

Alban wypuścił ją z objęć.

– Ach tak... Widziałaś ją wcześniej?

– Tak, ale nie potrafię przypomnieć sobie jej nazwiska. Przez chwilę myślałam, że mówi o tobie. Ogarnął mnie taki smutek i pomyślałam: czy może być dla nas nadzieja? Po tym wszystkim, co zaszło? Jak możemy się od tego uwolnić?

Potrząsnął głową.

– Będziemy wolni, jeśli tylko przestaniesz o nim myśleć. Uważasz, że ja jestem taki jak on, prawda? Czy ty mnie w ogóle znasz?

Mary ugięła się, widząc malujące się na jego twarzy niedowierzanie. Przyłgnęła do niego i go całowała, aż sam zaczął jej odpowiadać pocałunkami, a w końcu przekręcił klucz w drzwiach. Później skórę miała już zbyt wrażliwą, aby pozwolić się dotykać. Wierciła się na łóżku, nie wiedząc, jak się uspokoić.

– Przepraszam – powiedziała. – Wybacz mi.

– Czy kiedykolwiek mi zaufasz? – zapytał ze smutkiem w głosie.

– Zaufam. Już ci ufam.

– Wcale nie.

W głębi domu trzasnęły drzwi, co wyrwało Joannę ze snu.

Gdy przecierał oczy, przypomniała sobie wszystkie szczegóły sennych obrazów. Widziała pana Chicheстера z jednym z chłopców, którego zaczepił na ulicy. Wracала do domu, wesoła po spotkaniu z Digbym, gdy nagle dostrzegła, że ktoś siłuje się z młodym chłopcem. Zatrzymała się i ścisnęła w dłoni nóż, lecz nie chciała być zmuszona go użyć. Wtedy z ciemności wyłoniła się twarz jej pracodawcy; Joanna usłyszała krzyk strachu.

Wybita z równowagi, wstała i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Zeszła schodami dla służby.

W pokoju Harriet nie było nikogo. Okno stało otworem, z ulicy wiało chłodem. Joanna podbiegła i zamknęła je z trzaskiem. „Zbyt wiele siły we wszystko wkładam – pomyślała – muszę się uspokoić, nie mogę wiecznie gniewać się na świat”.

Nikt w hallu na dole nie widział Harriet. W piersi służącej zakiełkowało przerażenie. Ostro odezwała się do lokajów, którzy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. W wyobraźni zobaczyła, jak jej pani, ze swoją skłonnością do przesadnego dramatyzmu, poszła zrobić sobie jakąś krzywdę. Joanna zakasała spódnicę i wbiegła na górę po schodach.

Gdy tylko ruszyła, frontowe drzwi otworzyły się i stanęła w nich Harriet. Wyglądała dobrze. Joanna zdziwiła się, że dziewczyna w ogóle zdołała ubrać się porządnie i przywiązać kapełusz do koafiury. Przyskoczyła do niej zatroskana i kazała służbie przygotować dla pani gorące słodkie mleko i doprawić je winem. Ujęła Harriet pod rękę i poprowadziła na górę.

– Czuję się dobrze – odezwała się dziewczyna, siadając na krześle. – Kochana Joanno, nie martw się o mnie.

– Dokąd pani poszła? – Joanna nadal trzęsła się nad swoją panią.

– Poszłam obejrzeć sklep pana Renarda. Nigdy tam nie byłam, tam gdzie mieszkał. To zawsze on przychodził tutaj. Wystarczyło napisać liścik, a przybiegał natychmiast.

– Nie powinna była pani wychodzić – powiedziała służąca. – Nie może się pani denerwować.

– Nie jestem zdenerwowana. Chciałam pójść do jego sklepu. – Mówiła cicho i łagodnie. – Byłam mu to winna.

– Też coś... Nie miała pani wobec niego żadnych zobowiązań.

– Zaslugiwał na szczerą odpowiedź – stwierdziła Harriet. – Nie powinnam była kazać mu czekać na siebie w tamtą listopadową noc na zimnie, na lasce i nielasce wszystkich przechodniów. Już wcześniej wiedziałam, jaką dam odpowiedź. Powinnam była to napisać, dać mu to do zrozumienia, nie kazać mu wystawać przed domem. Widzisz, Joanno, on myślał, że zdoła mnie przekonać. Dzień przed tą straszną nocą przysłał mi pieniądze. Nadal je mam. Trzymam je w sekreterze. Powiedział, że to dowód na jego sytuację życiową. Zabezpieczenie, polisa... nie wiem, co miał na myśli.

– Człowiek jego pokroju nie powinien był rozmawiać z panią o pieniądzach – skwitowała Joanna.

Harriet odwróciła wzrok, zirytowana.

– Nie myślał trzeźwo. Mówił, że jest we mnie szaleńczo zakochany. Ja myślałam, że to zabawa. Nikt jeszcze w ten sposób mi nie schlebiał. Ale wtedy spróbował ze mną porozmawiać, tak bardzo poważnie... Obróciłam to w żart.

– Jak to poważnie?

Harriet podniosła na Joannę oczy. Teraz w jej spojrzeniu kryło się coś w rodzaju kokieterii.

– Powiedział, że mogłabym zażądać separacji od męża.

Służąca z wysiłkiem ukryła swoje zdziwienie. Wpatrzyła się w panią Chichester. „Nie – pomyślała – to niemożliwe. Pierre Renard nie był takim typem człowieka”.

– Wspomniał nawet o małżeństwie – dodała Harriet. – A kiedy zaśmiałam się, kazał mi przestać. Powiedział, że go to zabija.

– A co z jego żoną? – dopytywała się Joanna.

– Nie wiem. Obiecywał, że wszystko będzie dobrze, że „podejmie właściwe kroki”. Kazał mi czekać i obserwować, mówił, że udowodni prawdziwość swoich słów. Że zrobi wszystko, abym była zadowolona, jeśli tylko obiecuję oddać mu się pod opiekę.

– Co pani powiedziała?

– Cóż mogłam powiedzieć? Byłam zaszokowana. Powiedziałam mu, żeby wrócił wieczorem, że wtedy przekazę mu wiadomość. Ale już wówczas wiedziałam. Nie mogłam spojrzeć mu w oczy i oświadczyć tego wprost. Dał mi tyle dowodów miłości... – Oczy Harriet błysnęły. – Ale ja miałabym zostać żoną złotnika?

Przerwała, jakby spodziewała się, że Joanna coś powie.

– Mój ojciec umarłby ze wstydu. Miałabym zostawić to wszystko dla rzemieślnika? Równie dobrze mogłabym zostać żoną sklepikarza albo wytwórcy świec.

Joanna nie skomentowała tego. Nieprawdopodobne wydało jej się, że ta sama Harriet, która potrafiła się rozplakać, gdy poczuła kopnięcie dziecka, jest zdolna do tak zimnego, tak pragmatycznego spojrzenia. Zastanawiała się, czy cała jej uczuciowość to tylko gra, czy sięga głębiej niż tylko powierzchni jej błękitnych oczu. Wokół serca pokojowej zacisnęła się zimna obręcz lęku.

Harriet ciągnęła dalej:

– Tamtej nocy wiedziałam, że przyjdzie. Błagał mnie, żebym przemyślała sprawę, powiedziała mu, co na ten temat myślę, co czuję. Powinnam była po niego posłać, przekazać mu jakąś wiadomość. Było zimno. Ale mój mąż miał gościa. Byłam zazdrosna i się bałam. Poza tym wiedziałam, że Pierre wróci. Chociaż – zawahała się – on też trochę mnie przestraszył. Pokazał, jaki ma temperament. Zagroził, że wypisze kredą na naszych drzwiach... – znów przerwała na chwilę – ... pewne słowo. Teraz nie mogę znieść myśli o tym. Byłam tak przerażona, że wszystko opowiedziałam woźnicy. Był z niego taki lojalny sługa... Biedny Pierre.

Ukryła twarz w dłoniach. Joanna automatycznie wyciągnęła ku niej rękę i delikatnie

pogładziła ją po ramieniu. „A jednak wyszłaś do niego – pomyślała. – Sama mi powiedziałaś, że bez strachu wyszłaś w noc. Mówiłaś, że stałaś na schodach”.

Niepokój nie pozwolił jej się odezwać. Gdy Harriet opuściła ręce, jej oczy były suche.

– Poszłam dziś zobaczyć się z panią Renard – powiedziała. – Chciałam jej powiedzieć, żeby go nie oplakiwała, bo nic dla niego nie znaczyła. Jednak kiedy tam się znalazłam, zabrakło mi słów. On jej nienawidził, Joanno. Jak coś takiego mogłoby być pocieszeniem?

– Jak wyglądała? – spytała Joanna.

– Jest dość atrakcyjna, jak sądzę. Ale nie taka ładna jak ja.

Joanna nie znalazła odpowiedniej riposty.

– Wyglądała na szczęśliwą – dodała Harriet. – Nie było powodu, by cokolwiek jej mówić. Jest szczęśliwa.

Joanna potrząsnęła głową, czując, jak dziewczyna kładzie dłoń na jej dłoni i ściska ją mocno. „Nie odezwę się – postanowiła w duchu. – To nie moje miejsce. Jestem dobrą służącą”. Podnosząc wzrok, zobaczyła, że Harriet się do niej uśmiecha.

– Każdy w końcu dostaje to, na co zasługuje – powiedziała. – Nie sądzisz?

Joanna nie potrafiła wydusić słowa; po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, że ma do czynienia z osobą równie spaczoną jak ona sama.

Rozdział XXXVII

17 listopada 1792

Taylor przyszedł wieczorem, i to bez zaproszenia. Nie był wesół jak zazwyczaj. Chociaż kazałem przynieść wino i gotów byłem przyjąć go serdecznie – mimo że go nie zapraszałem – nie odwzajemnił mego radosnego nastroju. Zauważyłem, że cały czas patrzy wokoło rozkojarzonym wzrokiem; nie minęła chwila, a zapytał, gdzie jest Mary. Odpowiedziałem, że jest na górze, ponieważ boli ją głowa. Ta wiadomość chyba go zaniepokoiła i przez moment nawet myślałem, że poprosi o pozwolenie, by ją zobaczyć.

Przyznaję, że mnie to zirytowało, więc pozwoliłem sobie na kilka kąśliwych uwag, a moja serdeczność była nieco wymuszona. Zażartowałem z jej słabego zdrowia, on zaś zganiał mnie za to. A kiedy wspomniałem, że czytałem w gazecie o szlachcicu, który zostawił po sobie sporą fortunę, i że bogaci mężowie jakimś sposobem zawsze umierają młodo, ostro mi przerwał. Wyciągnął jakiś dawno zapomniany temat z przeszłości – dotyczący mojego czeladnika, który miał słaby charakter. Zarzucił mi, że go zaszczyłem. Powiedział też, że wielokrotnie mnie usprawiedliwiał i puszczał moje słowa mimo uszu, chociaż powinien był się odezwać. „Widziałem już ten wyraz na twojej twarzy, Pierre – powiedział mi. – Wiesz, że kocham cię jak brata albo syna, ale nie podoba mi się to, co dostrzegam w twoich oczach”. Z satysfakcją muszę stwierdzić, że nie zareagowałem gniewem; byłem chłodny i milczący, aż wreszcie on przeprosił mnie i wyszedł, tak jak się spodziewałem.

Mary zdawała sobie sprawę, że w najbliższej przyszłości musi nabrać siły. Na razie jednak cały czas, kiedy nie było z nią Albana, miała wyraźne uczucie, że krąży nad nią śmierć. Słyszała kroki Pierre’a w hallu, niewyraźny dźwięk jego głosu, z którego nie mogła wychwycić słów – wszystko to przejmowało jej serce lękiem. Uspokajała się dopiero, słysząc swojego męża, wiedziała bowiem, że on jest żywy.

Zdawała sobie sprawę, że jej „dolegliwość nerwowa” – jak określiła to Mallory – skazi całe jej życie, jeśli tylko Mary na to pozwoli. Musiała nauczyć się cieszyć w spokoju, czerpać przyjemność z własnej radości, a nie wiecznie pielęgnować w sobie obawę, że wszystko to straci. Nadchodziło lato; miała nadzieję, że dłuższe i cieplejsze dni przyniosą jej nadzieję i obudzą w niej trzeźwo myślącą Mary, która na pewno kiedyś istniała. Próbowала ku temu dążyć, lecz tego typu zadania nie można było wykonywać samemu; miała wrażenie, że słońce zawsze znajduje się za jej plecami, a na jej przyszłości kładzie się cień.

Tego dnia siedziała samotnie, stawiając pasjansa, którego nauczył ją ojciec. Karty wydawały się śliskie i tłuste pod palcami. Pierre często nimi grywał. Nie miała odwagi wyjrzeć poza krąg światła. Nie chciała powiedzieć tego głośno, nawet szeptem, nawet do samej siebie: on tu jest. Wyraźnie czuła jednak jego obecność – w ciemności hallu, w niespodziewanych rozbłyskach w kominku, w tykaniu zegara. Alban był w warsztacie, reperował coś z Benjaminem. Chciała się upewnić, że jest bezpieczny, lecz nie miała odwagi ruszyć się z pokoju.

Aż podskoczyła, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Na progu stała Ellen; wyglądała na znużoną.

– Proszę, pani Renard – odezwała się. – Przyszedł doktor Taylor.

Stał dokładnie za Ellen; był tylko niewyraźną sylwetką w ciemności. Wstając, Mary przewróciła stolik, a część kart spadła na podłogę. Pomyślała, że on na pewno też dostrzega niepokojącą symetrię, podobieństwo tej nocy do tamtej, kiedy przyszedł powiedzieć jej, że Pierre nie żyje. Jego twarz nie wyrażała jednak nic.

Zdarzało mu się przychodzić wieczorami, lecz zwykle nieco wcześniej i w towarzystwie Amelii.

– Dobry wieczór, doktorze Taylor – odezwała się. – Nie spodziewałam się pańskiej wizyty. Czy pani Taylor miewa się dobrze?

– Bardzo dobrze, dziękuję. – Doktor złożył ukłon w jej kierunku. Kiedy podszedł, w jego oddechu wyczuła woń alkoholu.

– Jest już późno – zauważyła. – Jeśli chciał pan pomówić o interesach, pan Steele jest w warsztacie. Pan Grisa wyszedł. Napije się pan herbaty?

– Nie. Dziękuję. To z panią chciałem porozmawiać.

Jego nastrój zdawał się zmieniać z każdą chwilą. Taylor potrząsnął głową, jakby starał się wyrzucić z niej jakąś myśl.

– Zamierzałem przyjść wcześniej... Ale od kilku dni nie czuję się dobrze. Pan Cracknell zajął się moimi pacjentkami.

– Przykro mi to słyszeć – odrzekła Mary. Próbowała doszukać się w zachowaniu doktora choćby śladu typowej dla niego życzliwości. Bez skutku. Usiadł, odwracając się do niej bokiem, z twarzą ukrytą w cieniu. Jego rysy wydawały się stężale i surowe, zupełnie inne od łagodnego wyrazu, do którego ją przyzwyczaił. Zaniepokoiło ją to.

Taylor ciągnął dalej:

– Wie pani, że zawsze starałem się być jej przyjacielem. I jako przyjaciel się do pani teraz zwracam. Mam nadzieję, że wywiązywałem się z obowiązków wobec pani i wobec pamięci Pierre'a. Pani i ta firma były mu najdroższe na świecie. Mam obowiązek panią chronić i dlatego muszę z panią pomówić.

– A zatem niech pan mówi.

Doktor nie podniósł na nią wzroku.

– Przeglądałem księgi. Wykazują spadek przychodów, wyraźny spadek. I nie chodzi tylko o porę roku. – To ostatnie zdanie wypowiedział głośniej. – Pan Steele bardzo szlachetnie zaofertował nam swoją pomoc, nadszedł jednak czas, by znaleźć kogoś bardziej odpowiedniego.

– Bardziej odpowiedniego? – powtórzyła Mary, starając się nie stracić panowania nad sobą. – To najlepszy rzemieślnik, jakiego znam.

Taylor kołysał się lekko na krześle i uparcie nie chciał na nią spojrzeć.

– Oczywiście, oczywiście. Ale to tylko pracujący złotnik, nie złotnik-sprzedawca. Firma wymaga ciągłej uwagi. Jestem pewien, że pan Steele ma wiele talentów, lecz nie jest człowiekiem interesu. Pan Grisa wydaje się nim oczarowany, lecz zakładowi potrzeba lepszego kierownictwa. – Pokiwał głową, jakby nabrał nagle pewności siebie.

– Być może nie jest człowiekiem interesu – zripostowała Mary – ale wie, czym jest piękno i jak je stworzyć. Jeśli nie przypochlebia się ludziom, tak jak robił to Pierre, tym lepiej. Jeżeli mam w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia, nie zamierzam stosować się do pańskich zaleceń.

Taylor popatrzył na nią ze smutkiem.

– Droga pani Renard... Zawiodłem panią. Przyszedłem tu z nadzieją, że to, co słyszałem, nie jest prawdą. Teraz jednak widzę, co zaszło. Ten człowiek jakimś sposobem panią oczarował.

– Wychylił się i dotknął jej dłoni.

Wyrwała mu ją.

– Nie winię pani – ciągnął doktor. – Powtórzę to wyraźnie: nie winię pani. Po stracie takiego męża jak Pierre, takiego człowieka...

– Co donieśli panu szpiedzy? – rzuciła Mary, wzburzona. – Pan Digby to pański człowiek? To dlatego snuje się po tym odcinku Bond Street, jakby był uwięzany? Ile pan mu

płaci?

– Pan Digby? – zdziwił się Taylor. – Co pani ma na myśli?

Pokręciła głową.

– To i tak nieważne. Powiem panu prawdę, nie boję się jej. Jestem żoną pana Steele’a. Spodziewam się jego dziecka. A pan się myli, bardzo się myli co do Pierre’a. Mój mąż jest lepszym człowiekiem, niż kiedykolwiek był Pierre Renard.

Taylor popatrzył na nią, jakby majaczyła. Usłyszała jednak, jak ze świstem wciąga powietrze. Widziała, jak zaciska pięści.

– Mój Boże... – mruknął pod nosem.

– Nie wstydzę się. – Jej głos zadrżał, choć ona ledwo to słyszała. – W oczach świata być może pobraliśmy się zbyt szybko, ale wiem, że moje serce jest czyste, i jego też.

– Sama pani nie wie, co mówi – odezwał się Taylor. – Boję się o panią, pani Renard, boję się.

– Nie ma potrzeby. – Nie musiała szukać w sobie iskry gniewu, zapaliła się sama. – Nie dam się kontrolować. Chciał pan znaleźć dla mnie drugiego Pierre’a, ale ja nie życzę sobie jego powrotu. Nienawidziłam go.

– Przestań. Nie wiesz, co mówisz. Moja droga Mary...

– Nie jestem pańską drogą Mary! – krzyknęła. – Nie jestem dzieckiem! Dawno minął czas, gdy byłam panu wdzięczna za opiekę. Na miłość boską, niech pan już idzie, zanim powiem coś więcej.

Brzydki wyraz, w jakim zastygła twarz Taylora, ustąpił nagle, zszedł jak tynk z ceglanej ściany. Teraz na jego obliczu malowało się cierpienie tak intensywne, że trudno było na niego patrzeć. Wstał i wyciągnął do niej rękę, jak do niepokornego dziecka. Gdy się odwróciła, otworzyły się drzwi.

– Mary? – Alban przestąpił próg. W rękę trzymał ścierkę. – Co się dzieje, kochana?

Słyszałem krzyki.

Popatrzył na Taylora i powiedział:

– A więc słyszał pan plotki. Przyszedł pan wyrazić dezaprobatę, prawda? Chciał pan użyć swojej władzy?

– Nie będziecie mogli tu zostać – stwierdził Taylor.

– Wiedziałem o tym. Dlaczego nie przyszedł pan za dnia, tylko zakradł się po ciemku? Z jaką sprawą przyszedł pan tu dzisiaj? Chciał pan pognębić moją żonę?

Dalej stał w drzwiach. Oczy miał pociemniałe ze złości, jego spojrzenie było nieodgadnione. To, że zazwyczaj był taki spokojny, czyniło go tym groźniejszym w gniewie. Taylor musiał to wyczuć, bo wstał pospiesznie.

– Pójdę już. Popełniłem błąd, przychodząc tutaj.

– Odprowadzę pana – rzekł Alban.

Mary usłyszała trzask frontowych drzwi i wołanie Albana nakazujące Benjaminowi posprzątać na ławach.

– Co za emocje... – odezwał się do niej, kiedy tylko wrócił na górę. – To był jedyny powód jego najścia? Nasze małżeństwo? Co jeszcze go tu przywiodło?

Mary zbierała karty, nie dbając o ich kolejność.

– Nic – powiedziała.

– Kiedy wreszcie nauczysz się być ze mną szczerą?

– Dobrze więc, skoro koniecznie chcesz wiedzieć. Przyszedł powiedzieć, że interesy nie idą tak dobrze, jak powinny. Że potrzebne jest inne podejście.

Alban pokiwał głową.

– Rozumiem...

– Powiedział, że nie zyskujesz sobie klientów tak jak Pierre.

Popatrzyła na niego. Cień rysował jego twarz ostrą kreską. Nie golił się od kilku dni, fryzurę miał niedbałą.

Starła się przekazać mu to delikatnie.

– To dla ciebie nowość, prowadzi sklep przy Bond Street. Klientów jest wielu. Musisz nauczyć się odczytywać ich potrzeby i schlebiać każdemu. Wiem, że to nie do końca to, czego się spodziewałeś.

– Istotnie. – Nadal gniótł w rękach szmatę, jakby nie wiedział, co z nią zrobić. – Nie po to przyjechałem do Londynu. Przyjechałem, żeby być sobą. Złotnikiem. Żeby pracować w zawodzie. Przynajmniej to jest prawdziwe, realne.

– I robisz piękne rzeczy – powiedziała, ze wstydem orientując się, jak niedostateczne jest to słowo. – Nikt nie może wątpić w ich jakość ani w twoje mistrzostwo. Ale prowadzenie sklepu wiąże się z pewnymi wymaganiami. Klienci nie zawsze chcą czegoś pięknego i oryginalnego, chcą kopii tego, co ma pani taka a taka.

Alban cisnął szmatą o podłogę.

– Nie powinienem był się tego podejmować – stwierdził.

– Nie przejmuj się. To i tak nieistotne. Wyjedziemy stąd.

– Nigdy tego dla siebie nie chciałem. Z pracą w sklepie wiązał się kontakt z tobą. Dlatego się zgodziłem. Przez wszystkie te lata byłem zbyt przezorny. Pragnąłem cię, dlatego rzuciłem się w to gniazdo nieszczęścia. A teraz, po wszystkich tych gniewnych słowach, jakie rzucałaś pod adresem swojego zmarłego męża, próbujesz przerobić mnie na jego obraz i podobieństwo.

Serce Mary zamarło. Usiadła, bo ugięły się pod nią nogi. Słyszała, jak Alban wychodzi w noc. Pierwszą jej myślą było, aby pobiec za nim, wiedziała jednak, że to bezcelowe. Trzasnęła drzwiami bawialni. Nie chciała, żeby Benjamin przyszedł i napawał się jej niedolą.

Alban skręcił w prawo i pomaszerował przed siebie. Nie wiedział, dokąd idzie, świadom jedynie, że nie chce być na Bond Street. W pierwszej kolejności pomyślał o Jessem, ale ten mieszkał daleko; zresztą Alban nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć, kiedy już by się tam znalazł. Nie miał ochoty rozmawiać ani tłumaczyć. Był zmęczony, bolał go łokieć, a teraz jeszcze zostawił żonę i sobie poszedł.

„Tyle lat spokoju – pomyślał – a teraz to”. Czuł się, jakby rzucono go na środek wzburzonego oceanu i kazano orientować się tylko według gwiazd, które nierzadko były przesłonięte przez chmury. „Jakim człowiekiem się przez to stałem? – zastanawiał się. – W ciągu kilku miesięcy zawiodłem żonę, poniosłem porażkę w jej oczach i w oczach świata. W porównaniu z nim jestem nikim. Może i ona lgnie do mnie, lecz nawet ona przygląda mi się i zachodzi w głowę, dlaczego nie jestem taki jak on. Nawet kiedy kochanka Pierre’a przyszła wylewać przed nią łzy, zwątpiła we mnie, nie w tego nędznika, którego znienawidziłem od pierwszego wejrzenia, którego każde słowo, każde tchnienie, roztaczało w powietrzu swąd jego nadętych ambicji, nieprzyjemnych jak zatęchły tytoń”.

Doszedł do Piccadilly, zatrzymał się. Rozejrzał się na lewo i na prawo. Wszędzie pełno było powozów, ludzi. Wokoło toczyło się życie. Za oknami ludzie zapijali się do nieprzytomności, stawiali całe majątki na wynik rozdania kart, tracili cnoty w złotych pałacach i nędznych szopach. „Może ten stary zbój Digby miał rację, mówiąc, że Londyn przeżuje mnie i wypłuje – pomyślał Alban. – Powinienem był odwrócić się na pięcie i wsiąść do powozu, kiedy tylko z niego wysiadłem. Prędzej umrę, niż zobaczę dywan traw kołysany wiatrem przy pełni księżyca”.

– Ma pan ochotę na towarzystwo?

Oczywiście było, że wypatrzyła go prawie natychmiast. Takie dziewczęta potrafiły z dale-

ka wywęszyć klienta, a może zaczepiały wszystkich? Wydawała się nie mieć wieku, jak niejedna ladaczniczka; młoda, a jednak na tyle dorosła, że zdążyła już przeżyć zbyt dużo.

– Za życzliwe spojrzenie dam panu dobrą cenę – zagadała.

Zaciągnęła go w boczną uliczkę. Rozumiała, że potrzebne mu cień, odosobnienie. Miała sprawne, wyćwiczone dłonie. Jej zręczność go zaskoczyła; instynktownie włożył rękę do kieszeni. Najlepsze ulicznice na świecie, jak ktoś mu kiedyś powiedział. Kto to mógł być? Znowu Digby? Taką był skarbnicą prawdy i mądrości?

Alban chwycił ją za nadgarstki. Poczul przyływ emocji, lecz była to głównie agresja, z lekka tylko zabarwiona pożądaniem. Czuł, że ma ochotę uderzać pięściami w ścianę. Wobec swej żądz był bardziej zdystansowany. Jakby przedzierał się przez gęsty las. Coś stało pomiędzy nim a zaspokojeniem jego pożądania.

Twarz dziewczyny była obojętna, oczy szkliste niczym kamienie księżycowe patrzyły bez zrozumienia.

– Nie – odezwał się. Po chwili dodał: – Przepraszam.

Przez jej twarz przemknął skurcz, jakby za chwilę miała gniewnie się odszczeknąć.

– Pieniądze sobie zatrzymaj – stwierdził.

Oparła się o ścianę, a on odwrócił się i odszedł. Musiał wracać do Mary. Jego gniew się rozplątał, uleciał w londyńską noc. Teraz należał do kogoś innego.

Rozdział XXXVIII

24 listopada 1792

Wyliczyłem pigułki i podwoilem dawkę, którą podał mi Jones, kiedy spytałem, ile potrzeba żonie na ból głowy, a ile na długi sen. Nie pytał o nic więcej; na tyle się rozumiemy. Wsypane odpowiednią liczbę do koperty z woskowanego papieru i włożyłem do tabakiery Maynarda, którą trzymam schowaną razem z tym notatnikiem, z dala od oczu ciekawskich.

Mojemu przyjacielowi aptekarzowi wysłałem parę srebrnych świeczników. Podobają mi się: cyzelowane w liście laurowe, symbol zwycięstwa. On nie pozna się na moim dowcipie. Z każdej sytuacji znajdzie się wyjście.

Nie będę nieprzyjemny wobec Mary. Nie pozwolę, aby nasze pożegnanie było zabarwione niechęcią. Nie chciałbym takiego wspomnienia. Na myśl o niej ogarnia mnie czułość – jest słabowita, a w jej duszy dostrzegam niepokój. Potrzebny jest jej odpoczynek od tego świata.

Joanna obudziła się w półmroku. Wyczuła obok siebie Digby'ego, nawet zanim się odwróciła. Kiedy spał tak spokojnie, z przyjemnością mu się przyglądała. W bezruchu jego twarz była zupełnie do siebie niepodobna. Joanna obrzuciła spojrzeniem cienie na jego żebrach, jego umięśnione ręce i nogi. Miał ciało silne, muskularne, jakby składało się z samych ścięgien.

Dzisiaj jednak nie wydawał się spokojny. Brwi pozostały zmarszczone, a usta od czasu do czasu poruszały się, jak gdyby wyliczał cicho swoje troski. Wyglądał, jakby się martwił, a nie odpoczywał.

„Odnaleźliśmy się nawzajem – pomyślała beznamytnie. – Zmartwienie przyciągnęło zmartwienie”. W zeszłym tygodniu miłość fizyczna działała na nią jak laudanum, uspokajała ją, wciągała w mrok. Joanna spała potem twardo, w otchłani tak głębokiej, że miała wrażenie, iż spada przez nocne niebo bez księżyca czy gwiazd. Kiedy się obudziła, nie wiedziała, gdzie się znajduje. Potem go zauważyła; obserwował ją – nie uśmiechał się, po prostu patrzył. Rozłożył jej włosy na poduszce niczym aureolę.

– Mówisz przez sen – powiedział. – Mógłbym cię zapytać o wszystko, a ty odpowiedziałabyś mi szczerze.

– Moje włosy... – odezwała się zirytowana. Usiadła i zaczęła przyglądać fryzurę.

Wyszedł bez słowa, nawet nie całując jej na pożegnanie. Położył tylko rękę na jej ramieniu.

Sama zastanawiała się, dlaczego cały czas go zaprasza, chociaż go nie kocha ani nie czuje do niego choćby ułamka tego, co czuła do Stephena. Myśl o tym, że ktoś mógłby go tu znaleźć, przejmowała ją strachem; jeszcze większe przerażenie budziła świadomość, że któregoś dnia złapią go i powieszą przez ten zegarek. A jednak nadal zapalał w niej jakąś iskrę, a kiedy brał ją w ramiona i przytulał, czuła się strzeżona i bezpieczna.

Łomot do drzwi poderwał ich oboje. Były zamknięte na klucz i zastawione szkatułą.

Digby wstał bezszelestnie, w oczach miał niepokój. Bez słowa wsunął się pod łóżko. Joanna owinęła się szlafrokiem i otworzyła drzwi. Stała w nich pani Holland z dwiema świecami w rękach. Po bokach jej twarzy zwisały się dwa grube siwe warkocze.

– Niech się pani szybko zbiera – powiedziała. – Naszą panią wzięły bóle.

– To już czas? – zapytała Joanna zdeorientowana. Wiedziała, że w tych sprawach nie można liczyć na dokładność, ale była pewna, że doktor Taylor twierdził, iż dziecku potrzeba jeszcze trochę czasu. – Zaraz zejdę – powiedziała, zabierając jedną świecę. – Tylko się ubiorę.

Kiedy kroki pani Holland ucichły, Digby wychynął spod łóżka. Patrzył, jak Joanna upina

włosy i narzuca suknię jednym sprawnym, wyćwiczonym ruchem.

– Nie zauważyłem dotąd, ile w tobie gracji – stwierdził.

– Dasz radę wyjść sam? – zapytała.

Popatrzył na nią z wyrzutem.

– Cały dom zaraz będzie na nogach – powiedział.

– Dobrze, więc zostań tutaj – rzuciła i wyszła.

Słyszając, jak się oddala, Digby wyciągnął z kieszeni zegarek i sprawdził, która jest godzina.

Krzyki Harriet niosły się prawie po całym domu. W przeciwieństwie do tamtego epizodu sprzed kilku miesięcy, kiedy dowiedziała się o śmierci Renarda, nie było w nich fałszu; dziewczyna krzyczała z bólu i przerażenia. Słyszając ją, Joanna rzuciła się biegiem. Pani Holland stała przy drzwiach pokoju Harriet. Na widok Joanny potrząsnęła głową i powiedziała:

– Nie wejdę tam. Przypomina mi się moja siostra.

Joanna skinęła głową.

– Wezwano lekarza?

Pani Holland przytaknęła bezgłośnie.

– A pan? – pytała dalej Joanna.

– Jeszcze się nie położył. – Na twarzy ochmistrzyni malował się niesmak. – Jest w bibliotece, bawi się sztychami. Kazał tylko przynieść sobie więcej wina.

– Joanna? – Z wnętrza pokoju dobiegł głos Harriet, słabutki jak pajęczka nic.

Joanna, nie zwlekając, przemaszerowała przez pokój, rzęsiście oświetlony świecami w srebrnych kandelabrach. Twarz pani Chichester była czerwona, lecz jej wyraz był bezbronny, delikatny jak naciągnięta mocno trzcina. Ciemne podkowy pod oczami sprawiały, że oczy te wydawały się jeszcze większe. Błyszczały jakimś niezwykłym blaskiem. Joanna pomyślała sobie, że kryje się w nich błękit odległego nieba, które rozciąga się szeroko. Poczula obawę o życie swojej pani.

– Widzę srebro dokoła – wyszeptła Harriet z nieobecnym uśmiechem. Wyraźnie nie potrafiła się skupić.

Służąca sięgnęła drżącymi rękami po jeden ze srebrnych flakoników stojących na toalecie i przytknęła go do nosa Harriet, która dzięki temu gwałtownie odzyskała świadomość.

– Mamy wodę? – zawołała Joanna, łapiąc ją za rękę, kiedy przez jej twarz przebiegł skurcz bólu. Ciało dziewczyny zgięło się konwulsyjnie.

Pani Holland była niewyraźną sylwetką we framudze drzwi.

– Już ją niosą – odezwała się. – I płótno też.

– Doktor już jest w drodze – powiedziała Joanna do ucha Harriet.

– A Pierre? – odszepnęła tamta. – On też? Czy przyjdzie? Przyjdzie po mnie, Joanno?

– Cicho! – Joanna rzuciła za siebie nerwowe spojrzenie. Ochmistrzyni stała tam, gdzie przedtem, nieporuszona. Trudno było stwierdzić, czy cokolwiek słyszała. Służąca przysunęła się bliżej do swojej pani, tak, że szepcząc jej do ucha, czuła ciepło własnego oddechu.

– Nie wie pani, co mówi. Niech pani o nim nie wspomina. Pani życie od tego zależy. Nie mów o nim.

Harriet wciągnęła powietrze i krzyknęła głośno. Joanna poczuła, jak uścisk dziewczyny zgniata i przestawia kości jej dłoni. Zignorowała ból. Poczula nagłą potrzebę, by się pomodlić; dawno zapomniany mechanizm obronny przeciwko potworności chwili. Jednakże potrafiła przypomnieć sobie wyłącznie słowa, które słyszała podczas krótkiego nabożeństwa pogrzebowego Stephena. Były lepsze niż nic, wypowiedziała je więc bezgłośnie, tak by Harriet nic nie usłyszała. „Człowiek urodzony z niewiasty krótki czas żyje i pełen jest trosk, wzrasta i bywa ścięty jak

kwiat, przemija jak cień i więcej go nie pozna miejsce jego”[9]. Pomyślała o Digbym, który został sam w jej pokoju albo przemykał się teraz przez korytarze. Przypomniała sobie jego objęcia.

Kiedy przyszedł Taylor, jego twarz bez wyrazu podziała na Joannę pokrzepiająco. Empatia zdążyła już wyczerpać jej siły. Cierpienie Harriet odbijało się echem w jej umyśle, tak jak ból Stephena w ostatnim stadium jego choroby. Zastanawiała się, gdzie podziela się jej odporność. Czyżby zniszczył ją sam dotyk Digby’ego, uścisk jego ramion? Opadła ciężko na krzesło, Taylor zaś rozpoczął badanie, pozornie nie zwracając uwagi na wycie pani Chichester. Uparcie wołała matkę.

– Dziecko zaraz się urodzi – zwrócił się doktor do Joanny. – Czy wszystko jest przygotowane?

Joanna potrząsnęła głową.

– Pan Chichester kazał sprowadzić własną niańkę, ale jeszcze nie przyjechała do Londynu. Jest w Kent.

Taylor zacmokał z dezaprobatą i zajął się przetrząsaniem zawartości torby.

Chłopiec urodził się tuż po wpół do pierwszej. Nim wydał z siebie pierwszy krzyk, minęła długa minuta. Serce Joanny podskoczyło znajomo; podniosła się, nadal trzymając Harriet za rękę.

Dziewczyna leżała odkryta; ręce i nogi miała umazane krwią. Drżała na całym ciele. Joanna obróciła się ku niej, starając się przytrzymać wzrokiem jej spojrzenie i kazać mu się skupić.

– To zdrowy chłopiec, proszę pani – powiedziała głośno. Harriet mrugnęła w odpowiedzi. Służąca zorientowała się, że patrzy nie w przestrzeń, lecz prosto na dziecko, które doktor Taylor sprawnie mył i wycierał.

Gdy zawinięto je w pieluszki, Joanna wyciągnęła ręce po niemowlę. Leżało w jej objęciach jak błogosławieństwo, ciężkie i ciepłe. Jego ciężar, delikatne ruchy, drżące, małe życie, obudziły w Joannie coś, co długo pozostawało uśpione.

– Ma kasztanowe włosy jak pan i oczy niebieskie jak pani – zwróciła się do młodej matki, nie mogąc powstrzymać wzruszenia. Z oczu popłynęły jej łzy.

Harriet się nie odezwała. Joanna ułożyła jej rękę na poduszkach i umościła niemowlę w zgięciu jej ramienia. Harriet popatrzyła na dziecko przeciągle, jakby starała się zapamiętać jego rysy.

– Powinna odpocząć – powiedział do Joanny Taylor. Zanurzył ręce w wodzie z krwią i je wytarł.

– Dziecko jest małe, lecz krzyczy bardzo zdrowo. Powiem panu Chichesterowi, żeby na wszelki wypadek posłał po księdza.

– Nie wydaje się to konieczne – stwierdziła Joanna, wpatrując się w twarz niemowlęcia. Wydawał się uosobieniem życia. Modlitwa za zmarłych już nie cisnęła jej się na usta.

– Oczywiście, że to konieczne. Musimy być pewni, że ziarno grzechu, które już w sobie nosi, nie wyśle go prosto do piekła, jeśli umrze.

Wyszedł z pokoju, nie oglądając się za siebie. Kiedy kilka minut później Joanna poszła go poszukać, stał na schodach, przyciskając dłonie do oczu, jak gdyby płakał. Cofnęła się, nim zdążył ją zobaczyć. Postanowiła zostawić go w spokoju.

Rozdział XXXIX

Sierpień 1793

Joanna wyobrażała sobie, że z żalem będzie opuszczać dom, w którym odżyła na nowo, jednak przechodząc przez pokoje, nie czuła zupełnie nic. Podejrzewała, że jeszcze tu wróci. Wydawało jej się, że tak naprawdę tęsknić będzie tylko za światłem na głównych schodach, a przecież światło można było znaleźć wszędzie. W przeszłości bez sentymentów pakowała się i ruszała w dalszą drogę; teraz miała nieco więcej do zabrania: dwie nowe suknie, kilka książek i broszkę z przezroczystym strasem, która połyskiwała w świetle świec – podarek od wdzięcznej pani domu.

Po drodze do pokojów Harriet Joanna wstąpiła do wielkiego salonu. Wszystko było już przykryte, otulone bielą jak krajobraz pod śniegiem. Nie było jednak zimno. W ciepłym, nieruchomym powietrzu sierpniowego popołudnia w sali już zaczynał panować zaduch. Od zimy nic się tam nie działo. Joanna podeszła do okna i wyjrzała na Berkeley Square. W ciągu dwóch miesięcy od narodzin Charlesa krajobraz placu zmienił się i dojrzał: platany, choć nadal młode, były teraz wyższe, z okna dało się też dostrzec plamę koloru – czyżby kwiaty? Okolica, która jakiś czas temu wydawała jej się wynaturzona i mroczna, teraz wyglądała łagodnie. Joanna wiedziała jednak, że nie będzie za nią tęsknić, ponieważ zabierała ze sobą swoją miłość i dziecko, które ją w niej wzbudziło. „Tu się urodziło” – Joanna miała wrażenie, że i ona doznała wówczas odrodzenia; martwe od dawna uczucia puściły nowe pędy, jej serce zabiło na nowo.

Charles patrzył na świat błękitnymi oczami swej matki, lecz nie przypominał ani Renarda, ani Chicheстера.

– Musimy poczekać, aż podrośnie – stwierdziła pewnego razu Harriet, niepytana. Joanna nie skomentowała wtedy tej uwagi; z czasem warstwy milczenia zaczęły nakładać się na siebie, uciszając jej złe przeczucia. Zdarzały się chwile, że Harriet bawiła się z dzieckiem i kołysała je na kolanie, lecz utrzymywała między sobą a synem dystans, który zaskoczył Joannę. Ona sama kochała dziecko z mocą, która pochłaniała całą jej energię.

Pani Chichester siedziała przy biurku w buduarze.

– Przed wyjazdem muszę napisać do mamy – powiedziała. Trzymała się prosto jak struna.

Mimika jej twarzy pozostała subtelna i trudno zauważalna, lecz Joanna wiedziała, że nie dałoby się pomylić obecnej Harriet z pustogłową panną młodą, która jakiś czas temu zamieszkała w tym domu. Od narodzin Charlesa Joanna nie widziała, by jej pani przelała choćby jedną łzę.

– Mój mąż życzy sobie, bym napisała do złotnika z zapytaniem o zamówiony serwis – odezwała się Harriet. – Skończyłam list. Czy mogłabyś prosić kogoś ze służących, żeby zaniósł go do adresata?

Nawet powieka jej nie zdrzała; dziewczyna zachowywała się tak, jakby sprawa ta nie wywoływała w niej żadnych skojarzeń z Renardem. „Odpędziłaś od siebie jego ducha” – pomyślała Joanna, nagle zdając sobie sprawę, że Harriet dokonała czegoś, co jej samej się nie udało.

– Sama go zaniosę, jeśli pani pozwoli – powiedziała. – Chciałabym przespacerować się przed wyjazdem. Pożegnać się z ulicami Londynu.

– Dobrze więc – zgodziła się Harriet i dodała: – Kto by pomyślał, że jesteś taka sentymentalna, Joanno. Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała.

Podala służącej list.

Zakładając płaszcz, Joanna pomyślała o Digbym. Nie widziała się z nim od narodzin Charlesa, chociaż wyszła go szukać. Podejrzewała, że skrył się w cieniu i ją obserwował. Nie

zawołała go. Zbytnio ceniła sobie własną dumę. Z ukłuciem wstydu pomyślała, że bez żalu zakończy tę znajomość. Jego grzechy nie miały z nią nic wspólnego. Nie kochała go. A teraz miała Charlesa, który pochłaniał całą jej serdeczność i uwagę.

Wisiołek też się znalazł. Był w małej paczuszce przyniesionej przez chłopca na posyłki, który tylko wzruszył ramionami na pytanie, kto mu zapłacił. Było to dzień po narodzinach Charlesa. Oba te wydarzenia wydawały się Joannie darem od Boga. Nosila wisiołek na sercu; Harriet pochwalala to, z cierpkim uśmiechem mówiąc, że tak jest rozsądniej.

Joanna znowu była pełna wiary. Wiedziała, że Stephen nadal się o nią troszczy. Jest z Bogiem, lecz wciąż ciężko dla niej pracuje; i on, i ich córka, mała Lottie. „Dzisiaj zapalę świecę – pomyślała – i będę wspominać was za każdym razem, kiedy płomień podskoczy”.

Rozdział XL

Słońce już wstało. Na szarych żyłkowanych kamieniach podwórza widać było skośne smugi pomarańczowego światła. Złotawy blask przegonił ciemność z pokoju Digby'ego. Leżał bezsennie przez całą noc; nadzieja nie pozwalała mu spać. Zdecydował się wykonać pewien plan i chociaż nie mógł zasnąć, z każdą mijającą godziną przyzwyczajał się do tego pomysłu. Ta świadomość sprawiła, że łatwiej było mu podjąć decyzję – czuł się uspokojony, zwolniony z odpowiedzialności. Przez tę wewnętrzną harmonię niemal był skłonny uwierzyć w istnienie siły wyższej; od dawna był tego bliski. Podejrzewał, że to sprawka Mary Steele.

Najciszej, jak umiał, podniósł się z łóżka i ubrał starannie. Jeszcze zanim się położył, wyciągnął ze skrzyni swoje najlepsze ubrania. Założył najnowszą lnianą koszulę i czarny płaszcz bez kołnierza. Przrzekał sobie, że w tym właśnie stroju opuści to mieszkanie; w tym właśnie stroju ucieknie stąd, i to nie w trumnie.

Przełożył cenny zegarek do kieszeni płaszcza. Dopiero potem ruszył na Berkeley Square. Szedł szybszym krokiem – dotarł tam prędzej, niż się spodziewał. Postanowił poczekać przy parkanie ogrodu.

Był nieco rozczarowany swoją postawą. Długo wyobrażał sobie ten moment i spodziewał się, że będzie on źródłem przyjemności. Tymczasem trzęsły mu się ręce, a przyjrzawszy się sobie dokładnie, zauważył, że kołatanie jego serca widać nawet przez koszulę. Stojąc w tym miejscu, czuł się bezpieczny, nie miał ochoty się ruszać.

Widok Joanny skręcającej ku stajniom Hays Mews jeszcze bardziej nim wstrząsnął. Nie zauważyła go, spieszyła się. Szła przed siebie z uniesioną głową, jakby miała coś do zrobienia. Wywołała w nim uczucie tęsknoty. Wspomnienie o niej nie działało równie dobrze co jej fizyczna obecność. „Jak prosto się trzyma – pomyślał – jak pięknie wygląda. Jakaż wspaniała z niej kobieta”.

– Chciałbym móc zabrać cię ze sobą – wyszeptał do siebie. Przez chwilę miał ochotę pobiec za nią, zawołać ją po imieniu. Wyobraził sobie, jak się odwraca i patrzy na niego z tym swoim uśmiechem, i na samą myśl poczuł, jak do ust napływa mu ślina, jakby w oczekiwaniu na sutą ucztę. Tak łatwo byłoby to zrobić... Zaszedł jednak tak daleko; nie wiadomo, może podcięłaby mu skrzydła albo – co jeszcze gorsze – po rozmowie z nim zaczęłaby myśleć o nim z pogardą.

Wspiął się na schody okazałej miejskiej rezydencji, wyciągnął rękę i załomotał do drzwi. Starał się wyryć w pamięci ich obraz, na zawsze zachować tę scenę: mosiężne ćwieki w drewnie, kołatkę z głową lwa patrzącą na niego niewidzącymi oczami.

Drzwi się otworzyły; na twarzy kamerdynera widać było dezaprobatę. Digby zauważył u niego moment zawahania i zdał sobie sprawę, że ma on ochotę zamknąć mu drzwi przed nosem. Wsunął monetę w jego dłoń. Mężczyzna skinął głową, otworzył drzwi szerzej i pochylił ucho do Digby'ego.

– Pani Chichester będzie chciała mnie widzieć – odezwał się stróż. – Proszę jej powiedzieć, że dotyczy to pana Pierre'a Renarda.

Był to idealny moment na odwiedzinę – po śniadaniu, przed porą wizyt. Od dawna znał rytm dnia mieszkańców placu. Mimo to zdziwił się, kiedy po chwili lokaj kazał mu iść za sobą. Przechodząc przez korytarz, Digby zerknął w górę, na światło padające na schody. Wyglądało to dokładnie tak, jak zapamiętał; on sam jednak nie był już zgarbionym dzieckiem, lecz dorosłym mężczyzną. Powoli zbliżył się do podwójnych drzwi, które przed nim otwarto. W środku stała niska pulchna kobieta – pani Chichester.

Kamerdyner zamknął za nim drzwi. Digby zorientował się, że stoi w bibliotece. Rozejrzał

się, starając się zapamiętać każdy szczegół.

– Co ma mi pan do przekazania? – odezwała się młoda kobieta, kiedy drzwi już się zamknęły.

Digby popatrzył na nią z zainteresowaniem. Wyglądała teraz bardziej statecznie, bardziej solidnie. Nie była już taka szczupła, jak kiedy została panią tego domu; kiedy widywał ją stojącą w oknie. Teraz sprawiała wrażenie kobiety okrzepłej, doświadczonej. Przez głowę przemknęła mu myśl, że być może czekał zbyt długo.

Wziął głęboki oddech, wyciągnął zegarek z kieszeni i uniósł go do góry na łańcuszku, niczym wahadło. Widział, jak ona podąża za nim wzrokiem, zauważa kolorową intarsję, delikatnie wyczelowaną złotą oprawę. Dostrzegł, jak jej twarz wykrzywia się w wyrazie przerażenia. Spróbowała rzucić się do dzwonka, lecz Digby był od niej dużo szybszy.

– Dokąd to, szanowna pani? – Mocno trzymał ją za nadgarstki. Miał wrażenie, że gdyby tylko ścisnął, mógłby połamać jej ręce; jedną dłonią otoczyłby jej szyję. Ta perspektywa kusila go tak jak pragnienie, jakie odczuwał zawsze, kiedy przejeżdżał obok niego rozpędzony powóz. Budziła się w nim wtedy ciekawość: co by się stało, gdyby nagle rzucił się pod kopyta.

– Puść mnie! – odezwała się. Jej władczy ton był jednak podszyty strachem.

– Tylko jeśli obieca pani być grzeczna. Żadnych krzyków, żadnych pisków. Pani też wyjdzie to na dobre. Oboje wiemy, że pani syneczek nie jest dzieckiem jej męża. Gdybym wyśpiewał wszystko, co wiem, rozpętałoby się prawdziwe piekło.

Z satysfakcją zauważył jej rozszerzone oczy. Przyszło mu do głowy, że być może przejrzy jego blef. Z głębi domu dobiegł go płacz dziecka. Pani Chichester pokiwała głową, a on puścił jej ręce.

– Czego pan chce? – zapytała.

– Po pierwsze, poproszę o kieliszek. – Z powrotem wsunął zegarek do kieszeni. Usiadł w najbliższym fotelu i popatrzył wokoło, na marmurowy kominek, wielkie lustra na okiennej ścianie i ogrody przed domem. Był to widok, jakiego nigdy wcześniej nie oglądał. Usłyszał brzęk; dźwięk srebrnej etykiety objadającej się o szkło i chlupot wina. Pani domu okazała się rozsądniejsza, niż podejrzewał. Kobieta taka jak ta musiała umieć oszukiwać.

Podawała mu kieliszek.

– Dziękuję pani – powiedział i wychylił jego zawartość. Smakowało dokładnie tak dobrze, jak sobie wyobrażał: słodkie i oczyszczające, niczym płynny ogień.

– Zabił go pan – odezwała się Harriet. Digby popatrzył na nią; była ubrana w piękną białą suknię, ręce trzymała luźno po bokach. Wydawała się spokojna. „Prawdziwa dama” – pomyślał.

– Nie ja – odrzekł, odstawiając kieliszek nieco zbyt ciężkim gestem.

Będąc tu, nie miał już ochoty cisnąć szkła o kominek.

– Był już zimny, kiedy go znalazłem – dodał.

Usiadła naprzeciwko niego, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

– Miał przy sobie nie tylko zegarek. Miał też w kieszeni list do pani, to z niego dowiedziałem się tego, co wiem.

– Co tam było napisane? – zapytała.

„Biedna gąsko – pomyślał. – Nic. Nic tam nie było. Twoja pokojowa opowiedziała mi wszystko przez sen”.

Wzruszył ramionami i powiedział:

– Wystarczająco dużo.

– Mogę zobaczyć?

– Akurat bym go tu przynosił. To moje zabezpieczenie. Pani wie, że on istnieje, i to wystarczy. Jeśli się dogadamy, spalę go, a pani będzie mogła spać spokojnie, i maleństwo także.

– Dogadamy się – odpowiedziała tak szybko, że aż mu to zaimponowało. – Proszę podać kwotę, a ja prześlę panu pieniądze za pośrednictwem kogoś ze służby jutro wieczorem. Poślę moją pokojową, Joannę.

Skinął głowę. Wiedział, że czekanie będzie męką.

– Jutro o ósmej, na rogu Hill Street. Niech pani nie przysyła żadnej jazgotliwej baby. Proszę posłać mężczyznę. Nie musi wiedzieć, co niesie. I żeby to nie był ten Will. On ma długi język.

Obserwował ją na tyle uważnie, by dostrzec, jak coś się w niej załamało; poczucie, że jej sekrety są bezpieczne, rozwiało się jak dym. „Każdy z nas musi się tego nauczyć – pomyślał. – Oto mój dar dla ciebie – wiedza”.

Rozdział XLI

Była to skromna tabakiera z heliotropu, koloru ciemnej matowej zieleni nakrapianej czerwienią. Jej piękno leżało właśnie w prostocie – pokrywkę wyrzeźbiono w kształt muszli, a całość spinała delikatna złota obejma cyzelowana w drobne kwiaty.

– Niezapominajki – stwierdziła Mary. Wyjęła Albanowi szkło powiększające z ręki i z uśmiechem przyjrzała się wzorom na złocie. – To robota mojego ojca – powiedziała. – Poznaję ten model.

– Cóż, pan Maynard się ucieszy – rzekł Alban. – Tabakiera pasuje do jego opisu. W środku były pigułki. Znalazłem ją w skrzynce z dokumentami, które przejrzę w wolnej chwili. Mam teraz inne rzeczy na głowie.

Popatrzył na list leżący na jego ławie; blada kwadratowa plama na ciemnym poobijanym drewnie. Zanim go dostarczono, usłyszał brzęk dzwonka i niski kobiecy głos. Grisa przyniósł mu go do warsztatu i podał z uśmiechem współczucia. Alban przeczytał list pospiesznie, przebiegając wzrokiem po rzędach spiczastych liter wypisanych czarnym atramentem. Później odłożył go na ławę.

– O co chodzi, kochany? – zapytała Mary. Nie mógł znieść, kiedy patrzyła na niego z takim strachem. – Wydajesz się taki zmęczony... – dodała.

Patrząc na nią, nie mógł powstrzymać uśmiechu; była taka drobna, a jednocześnie tak wyraźnie zaokrąglona. Podeszła do niego z wysiłkiem i podniosła list.

– Chichesterowie upominają się o swoje srebra – powiedział Alban. – Zamówienie będzie gotowe niedługo, ale wygląda na to, że dla nich to za późno.

Wiedział, że jest to wyraz dezaprobaty. Jesse i kilku innych zleceniobiorców kończyło właśnie serwis; trzeba go było jedynie zanieść do probierni i oznakować. Alban chciał zostawić firmę z czystym kontem, bez długów.

Okazało się to jednak niemożliwe. Czuł przez skórę, że Chichesterowie, klienci, którym najbardziej starał się dogodzić, nie będą się spieszyć z uregulowaniem rachunku. Na ich zlecenie wyłożyli sporo środków. Alban i Mary mieli wyjechać niebawem, chociaż nie wyznaczyli jeszcze żadnej daty, a on nie zamierzał zostawiać po sobie bałaganu. Był to dla niego punkt honoru. Życzył sobie odejść z czystym sumieniem.

– Skoro wszystko już prawie gotowe, to chyba nie ma się czym martwić? – odezwała się Mary.

Wyciągnął do niej rękę i przytulił ją mocno.

– Najdroższa... – rzekł, czując, jak przekręca głowę, żeby oprzeć ją o jego ramię; dopasowanie ciała do ciała tak lekkie, lecz tak pełne miłości. – Wygląda na to, że żaden ze mnie przedsiębiorca. Czy wszystko obróci się na dobre?

Odsunęła się i popatrzyła mu w oczy.

– Oczywiście. Przynajmniej w to musimy wierzyć.

Począpiała do wyjścia; słyszał, jak powoli wspina się po schodach.

Do warsztatu zajrzał Grisa, trzymając w dłoniach projekt wiaderka do wina.

– Możemy omówić zmiany? – zapytał. Jego akcent zniknął prawie zupełnie. – Chciałbym korzystać z pana obecności, póki się da.

– Wolałbym dawno być gdzie indziej – przyznał Alban. – Podejrzewam, że powinienem być wdzięczny Taylorowi, iż pozwolił nam zostać tutaj tak długo. Ale najchętniej widziałbym nas daleko stąd. Kiedy wraca Benjamin?

– Nie wcześniej niż za miesiąc – odpowiedział Grisa. – I niech się pan nie czuje zob-

wiązany wobec Taylora. Nikt nie chce przejąć tego zakładu. Nie w tej sytuacji.

Alban porozmawiał z nim jeszcze chwilę, wprowadzając do projektu poprawki zasugerowane przez klienta. Kiedy już został sam, pomyślał o Mary. Przed oczami stanął mu obraz żony z rozpuszczonymi włosami, przeciągającej się z rękoma na biodrach. „Gdybym znowu miał wybór, zrobiłbym to samo” – pomyślał.

Zajął się porządkowaniem papierów, które razem z Mary zostawili w nieładzie. Mattie, syn Mallory, właśnie zaczynał terminować u Jessego. Był to dla Albana powód do radości, lecz entuzjazm chłopca wywoływał w nim bliżej nieokreślony niepokój, wiedział bowiem, że któregoś dnia ta fascynacja minie.

– Niekoniecznie – stwierdziła Mary, kiedy jej o tym powiedział. – Może Mattie nie będzie dla siebie tak surowy jak ty.

I uśmiechnęła się, popijając wino ze ślubnego pucharu.

Alban zajrzał do skrzyni z dokumentami w poszukiwaniu innego starego projektu, o którym wspominał klient Grisy. Jak często w podobnych przypadkach, w myślach prowadził rozmowę z własnym wyobrażeniem Pierre’a. „Takim byłeś zręcznym biznesmenem – myślał – a jednak zostawiłeś po sobie ogromny nieporządek”. Z zewnątrz wszystko wyglądało na schludne i poukładane, lecz pod powierzchnią kryły się mrok i chaos. Księgi rachunkowe prowadzono sumiennie, ale na zapleczu stały całe skrzynie innych papierów. Była też skrzynka z ciemnego drewna, którą Alban znalazł przypadkiem, kiedy wyjął deskę z podłogi, żeby pozbyć się mysiego truchła. Leżała tam, gdzie ją zostawił, tylko pobieżnie przejrzawszy jej zawartość: jakieś dokumenty i tabakiera Maynarda na wierzchu. Teraz wyciągnął rękę, by przejrzeć całość. Nie lubił niedopatrzeń. Postanowił dowiedzieć się o Renardzie wszystkiego.

Nie zastanawiał się zbytnio nad treścią papierów, które przeglądał, wdychając kurz. Wydawały się nieistotne – jakieś rachunki za słodycze i za perfumy. Przełknął nerwowo ślinę, gdy przez głowę przemknęło mu pytanie, czy Renard kupował te rzeczy dla Mary. Ledwo czuł ciężar dokumentów w dłoniach, skupiony na dręczącym go poczuciu, że poniósł klęskę. Żona poradziła mu, by zrzucił je z siebie jak niemodny płaszcz. Nie wiedziała jednak, że dla Albana świadomość porażki jest wrazeniem, od którego nie da się uciec, tak jak nie da się umknąć przed błękitem nieba. Nadeszło znów i mógł tylko żywić nadzieję, że pewnego dnia zniknie.

Przegrzebując cienkie papiery w skrzynce, natrafił palcami na coś twardszego. Był to nieduży brulion oprawiony w rudawą skórę, gładką i chłodną w dotyku. Alban otworzył notes i przeczytał wpis na pierwszej stronie. Natychmiast rozpoznał charakter pisma i styl wypowiedzi; zawahał się na chwilę, gdy skłębione w nim napięcie rozładowało się pod wpływem zdziwienia. Wziął głęboki oddech, odchylił się do tyłu i zaczął czytać.

Zeszyt ten zamówiono specjalnie dla mnie u pana Laveena. Najlepszy papier marmurkowy, przedniego gatunku cielęca skóra na oprawę. Mieliliśmy drobną sprzeczkę w kwestii jakości złoceń, ale nie jest ona najgorsza. Pewnego dnia wszystko w moim domu będzie równie piękne jak ta książka.

Chcę spisywać swoje myśli, nie tylko dla siebie samego (albowiem niewiele jest osób, którym mogę je powierzyć), lecz także dlatego, że przyszłe pokolenia będą chciały wiedzieć, kim był Pierre Renard. Założyciel dynastii złotników. Szlachcic. Nie jest to pobożne życzenie, ale postanowienie; moje ambicje sięgają wysoko. Ten cenny dziennik przypomni mi, jak daleką drogę musiałem przebyć, gdy pewnego dnia przyjdzie mi opisać swoje życie. Na razie jednak będę trzymał go w tajemnicy i strzegł jak srebra.

Rozdział XLII

Wszystkie zmysły Mary zagłuszył ból. Wypełniał jej umysł, nie pozwalał się skupić. „Umrę” – pomyślała. Otworzyła usta, by powiedzieć to Mallory, lecz nie zdołała się odezwać.

Przed oczami widziała spacerującego Elego. Tym razem nie był w kościele Świętego Jakuba, lecz na Foster Lane. Gładził ręką kamienne ściany domów, śmiał się i biegał zygzakiem to tu, to tam. Czekala, aż odwróci się do niej i uśmiechnie, czując jednocześnie łyzy na twarzy i wiedząc, że kiedy wyciągnie do niego rękę, nie będzie już powrotu.

Chciała powiedzieć: przyprowadźcie Albana. Niech go ucałuję. Pożegnaj się.

Nie miała siły się odezwać.

Jak przez mgłę widziała twarz Mallory. Malowała się na niej czuła troska. „Znam ten ból – chciała powiedzieć Mary – teraz już rozumiem”. Była z siebie dumna, że znosi cierpienie bez krzyku. Nie sądziła, by tu, na Bond Street, mogło się urodzić żywe dziecko; ten dom był przeklęty, pełen cieni. Powinna była prosić Albana, żeby zabrał ją do Chester. Była pewna, że powietrze tam jest czystsze, że nic zepsutego nie wyciągnie rąk po nią ani po jej dziecko, a mroczne widmo Pierre’a nie będzie czaić się w kącie, gotowe zniweczyć jej szczęście.

Usłyszała kroki – to jej siostra wyszła z pokoju. Mary gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Sprowadź Taylora – rzuciła Mallory do Albana. Popchnęła go ku drzwiom. – Antypatia antypatią, ale to najlepszy specjalista w tej dziedzinie i zgodzi się jej pomóc. Miej wzgląd na żonę i dziecko!

Alban bez słowa wyszedł w noc. Wszystko się w nim burzyło na myśl o tym, że miałby iść do tego domu i stanąć na polerowanych schodach, przy czarnych drzwiach. Poszedł jednak, wiedząc, że Mallory mówiła prawdę. Poszedł i załomotał do drzwi, a kiedy nikt nie odpowiadał, zaczął wołać, ochrypły z desperacji.

Amelia Taylor zeszła do drzwi; usłyszała, jak nocną ciszę rozdziera przenikliwy, na wpół histeryczny głos Albana. Włosy miała rozpuszczone, w ręku trzymała świecę.

– Nie ma go w domu – powiedziała. – To już jej czas? Bóg jej błogosław. Niech pan idzie do Cracknella.

Doktor Cracknell skinął głową do Mallory, mijając ją w korytarzu. Odpowiedziała tym samym.

– Odbierał moje pierwsze dziecko – zwróciła się do Albana. – W czasach, kiedy moja pozycja była wyższa, a on dopiero uczył się zawodu.

Nie chciała wracać do pokoju Mary i wołała, by Alban też tam nie szedł. Za dużo tam było krwi.

Po kilku minutach Cracknell wysunął się stamtąd. Nie wymył porządnie rąk. Mallory minęła go i weszła do sypialni. Alban wytężył słuch, starając się wychwycić z wnętrza głos żony, nie usłyszał jednak nic.

– Mogę uratować albo ją, albo dziecko – odezwał się Cracknell. – Pańska żona nie jest typem zarodowej klaczy, jak jej siostra. Jeśli chce pan mieć syna, panie Steele, może to być pańska jedyna szansa.

– Niech pan ratuje ją – powiedział Alban.

Przez twarz Cracknella przemknęło zdziwienie. Steele pochylił się, zmuszając doktora, by spojrzał mu w oczy.

– Ją.

Powtórzył to słowo z naciskiem, ciężkim jak uderzenie młota o srebro. Cracknell kiwnął głową.

Alban zbliżył się do łóżka Mary i pocałował ją w czoło, chociaż ona wydawała się go nie zauważać – wzrok miała rozbiegany. Później przeszedł do bawialni i czekał tam samotnie. Ellen wyjechała; znalazła posadę u szanowanego rzemieślnika. Zamiast służby przyszedł Grisa, w koszuli nocnej i swojej idiotycznej szlafmicy, i nalał Albanowi wina – ten jednak odsunął od siebie kieliszek. Modliłby się, gdyby tylko jeszcze wierzył, że to cokolwiek pomoże.

Zegar tykał miarowo.

Po jakimś czasie Alban usłyszał pospieszne kroki. Mallory.

– Żyje – powiedziała. Oczy miała czerwone. – I twój syn też, ale jest słabowity, Alban. Bardzo słabowity.

Przebiegł obok niej. Z mocą uściskał rękę Cracknella. Mary leżała na wznak, blada jak kreda. Alban wtulił twarz w jej włosy i wpatrzył się w nią, aż w końcu skupiła na nim wzrok. Uśmiechnęła się. Usłyszał ciche kwilenie. Podniósł oczy i zobaczył niemowlę leżące obok Mary.

– Pani Dunning pobiegła po księdza – odezwał się Cracknell.

Alban potrząsnął głową, ale nie miał siły protestować.

Leżał przy boku żony, dopóki kapłan nie przyszedł.

– Jak mu dacie na imię? – zapytał ksiądz.

Mary uśmiechnęła się do męża.

– Edmund – odpowiedział Alban.

– Po pańskim ojcu? – zapytał Cracknell, który zgodził się zostać ojcem chrzestnym.

– Nie – odrzekł Steele. – Po człowieku, który nauczył mnie pracować w srebrze.

Niebo na wschodzie ledwo pojaśniało, gdy doktor Taylor zapukał do drzwi domu państwa Steele'ów przy Bond Street. Dobijał się tak długo, dopóki Grisa mu nie otworzył.

– Niebo ma kolor mułu – poskarżył się. – Ani gwiazd, ani księżycy. Ledwo znalazłem drogę. Żona mi powiedziała. Czekałem tak długo, jak długo starczyło mi cierpliwości.

Alban zszedł po schodach, osłaniając ręką płomień świecy. Ubrany był jak do pracy.

Zwrócił się do Taylora:

– Porozmawiamy w sklepie.

Skinął głową Grisie, pozwalając mu odejść.

Taylor wszedł do sklepu. W chłodnym półświecie połyskiwały srebra, których nie pozamykano na noc do sejfu. Rozejrzał się, jakby czuł się osaczony przez oszklone gabloty i kontuar, przy którym tak często widywał swego przyjaciela Pierre'a. Kiedy skończył wodzić wzrokiem po sklepie, popatrzył na Albana. Ten wyciągnął mu krzesło spod lady, lecz Taylor pokręcił głową.

– Przeżyła? – zapytał w końcu zachrypniętym głosem. Na szyi miał niezawiązany fular, przyszedł bez płaszcza. Na jego ustach Alban dostrzegł kropelki śliny.

– Tak – odezwał się. – Żyje i ona, i nasz syn, na obecną chwilę. Pani Dunning przy nich czuwa. Oboje są bardzo słabi.

– Cieszę się, że przeżyła – powiedział Taylor. – Mimo że nie odegrałem w tym swojej roli. Zawiodłem ją dziś. Gdybym wiedział, przyszedłbym niezwłocznie, musi pan to wiedzieć.

– Chce pan zobaczyć naszego syna? – odezwał się Alban. Wiele go kosztowało to pytanie. Taylor potrząsnął głową i zrobił ruch w kierunku wyjścia. Steele powstrzymał go gestem.

– Proszę zostać jeszcze chwilę. Jest coś, co musimy sobie wzajemnie wyjaśnić.

– Nie. Nie mam ochoty dyskutować o pańskim małżeństwie. Jest ono poniżej jej stanu, przykro mi to mówić, lecz to fakt. Zostało jednak zawarte przed Bogiem i nie mogę tego cofnąć.

– Życzy pan sobie chyba, żeby była szczęśliwa?

Taylor popatrzył na Albana w osłupieniu.

– Oczywiście, że tak. Nie sądzę jednak, by małżeństwo z panem mogło jej to zapewnić. Proszę mi wybaczyć, moje słowa wydają się ostre. Ale Pierre był osobą, której nie da się

zastąpić.

– Niech mi pan o nim opowie – poprosił Alban. – A wtedy powiem panu to, co mam do powiedzenia. Nie dotyczy to ani mojego małżeństwa, ani pańskiej opinii o mnie.

Ruchem ręki wskazał Taylorowi krzesło; doktor w końcu opadł na nie ciężko i przechylił się w przód.

– Pierre był niezwykłym człowiekiem – zaczął. – To prawda, że bywał czasem szorstki i że narobił sobie wrogów, również z powodu swego przystojnego oblicza. Lecz między nim a mną istniała nić prawdziwej sympatii. Zwierzał mi się ze swoich nadziei na posiadanie rodziny, na rozbudowę firmy. Opowiedział mi też o swojej przeszłości, chociaż się jej wstydził. Był mi prawdziwym przyjacielem, synem niemal. Każdy z nas ma swoje lęki, swoje nadzieje. Każdy dźwiga swój bagaż trosk, a on znał moje. A Mary... – Na jej wspomnienie oczy Taylora zabłysły. – Ona jest istotą prawdziwie delikatną, wrażliwą, pełną głębi. Jej dusza jest piękna.

– W tej kwestii się z panem zgadzam – stwierdził Alban.

Widok twarzy doktora wywołał w nim współczucie. Taylor wyglądał jak starzec; oczy miał podpuchnięte, twarz pooraną zmarszczkami zgrzyzoty. Steele wyciągnął do niego notatnik Pierre'a. Taylor popatrzył na brulion.

– Co to jest? – zapytał.

Alban się nie odezwał. Stał z wyciągniętą ręką, aż doktor wziął notatnik i zajrzał na pierwszą stronę. Zaczął czytać, mrużąc oczy w świetle świecy, którą podsunął mu Alban. Z wolna na jego twarzy odmalowało się zrozumienie. Lecz kiedy popatrzył w górę na swego rozmówcę, w oczach miał jedynie rezygnację.

– Zapisał wszystko? – zapytał.

Alban pokiwał głową.

– Ile pan wie? – Taylor cały czas wpatrywał się w zamknięty notatnik.

– Wiem, że Pierre miał obsesję na punkcie Harriet Chichester. Wiem, że nigdy nie kochał Mary. Że zamierzał się jej pozbyć. I że panu o tym powiedział. Wiem też, chociaż nie z tego zesztytu, że Mary jest panu droga, prawie jak córka.

Doktor popatrzył na niego przeciągle.

– To tyle – podsumował Alban.

– Kiedy powiedział mi, że pragnie śmierci Mary, myślałem, że jest pijany. Ale on uparcie do tego wracał. Początkowo nie chciałem w to uwierzyć. Mój przyjaciel... On nie był złym człowiekiem, panie Steele. Po prostu ktoś zawrócił mu w głowie. Myślałem sobie, że trzeba to przeczekać, że to minie. Lecz tego wieczoru, kiedy zginął, powiedział mi, że rozmawiał z aptekarzem, że zamierza wprowadzić swój plan w życie.

Taylor przerwał. Oczy miał pełne łez.

– Moja nieśmiertelna dusza... – jęknął cicho. – Modliłem się, ale nie przyniosło to ukojenia. Widzę, co pan sobie myśli, i ma pan rację.

Drżał na całym ciele; twarz ukrył w dłoniach.

– Co do czego mam rację? – drażył Alban. – Chcę to usłyszeć z pana ust.

Trzymał świecę pewną ręką, przyglądając się, jak doktor wielkimi dłońmi wyciera łzy z oczu.

– Chce mnie pan pognębić? – zapytał Taylor.

– Mało mnie pan zna. Jeśli stawi pan czoła prawdzie, być może odnajdzie pan spokój.

Doktor kiwnął głową.

– Zabiłem go – powiedział. – Zrobiłem to szybko. Jedno cięcie przez szyję. Nie widział mnie. Nie wiedział, że to ja. – Popatrzył Albanowi prosto w oczy. – To jedna rzecz, za którą jestem wdzięczny losowi.

Zamknął oczy i na nowo się rozplakał. Alban pochylił się i położył mu dłoń na ramieniu. W ciszy słycać było tylko urywany oddech doktora.

– Powie im pan? – zapytał. – Chyba sobie na to zasłużyłem. Zrobiłem to także z miłości do niego. Był z niego dobry człowiek, ale skory do gniewu. Raz zrodzonej niechęci nie dało mu się wyperswadować. Chciał, by uważano go za dżentelmena. Ja zawsze widziałem w nim dobrego człowieka; tak dobrego jak Mary. Nie mogłem pozwolić, żeby zrobił jej krzywdę. Nie mogłem pozwolić, żeby skrzywdził siebie.

– Ocalił pan to, co kocham najbardziej na świecie – odezwał się Alban. – Dlaczego miałbym komukolwiek o tym mówić?

– Nawet Mary?

– Przez cały ten czas od śmierci Pierre’a prześladowało ją poczucie winy. Była tak przekonana, że miała w tym swój udział, iż sam zacząłem jej wierzyć. Powiem jej tylko tyle, ile trzeba, żeby uspokoić jej sumienie, ale nie więcej. Nie mam przed nią sekretów, oprócz tego jednego. To nie jest moja tajemnica.

Zostawił zeszyt w rękach Taylora.

Doktor Taylor wyszedł o świtaniu. Wrócił do domu i położył się spać. Obudzono go wcześnie rano, by przekazać wiadomość, że stróż nocny Digby zbiegł z Londynu. Kiedy skończył zbierać informacje w tej sprawie, przespał prawie cały dzień, chociaż słońce mocno przygrzewało w okiennice. Amelia chodziła po domu na palcach, przyniosła mu kolację i poleciła spać do rana.

Gdy wrócił na Bond Street następnego dnia, okazało się, że dom jest zamknięty, srebro bezpiecznie spoczywa w sejfie, a wszyscy mieszkańcy wyjechali.

Epilog

Sierpień 1799

Kamienne ściany domu zdawały się ściągać ku sobie ciepło letniego dnia. Słońce właśnie zachodziło; niebawem miały zapasć ciemności rozświetlane tylko gwiazdami i blaskiem księżyca.

W ciągu sześciu lat, które minęły od ich wyjazdu z Londynu, Mary rzadko kiedy wracała myślą do miasta. Czowała lekkie wyrzuty sumienia, że tak mało dba o miejsce, w którym się wychowała, że łączące ją z nim więzi tak łatwo dało się zerwać. Mallory cmokała na to z dezaprobatą i stwierdzała, że Mary jest zbyt sentymentalna. Miejsce nic nie znaczy, mawiała, to tylko scenografia.

Ze wszystkich dzieci Mallory tylko Mattie został w Londynie, ucząc się złotniczego rzemiosła w warsztacie Jessego przy Foster Lane. To on napisał do nich swoim starannym pismem, informując ciotkę Mary o śmierci doktora Taylora. Jego ciało znaleziono ponoć pływające w Tamizie niedaleko Chelsea, co do dnia rok po tym, jak państwo Steele'owie wyjechali z Londynu. Zdaniem niektórych poślizgnął się i wpadł do rzeki; inni opowiadali jednak, że coś legło cieniem na jego życiu i że zapewne poszukał ukojenia na dnie. Krążyła plotka, iż całe dnie spędzał w kościele i że to, co tam znalazł, nie wystarczyło, aby go ocalić.

Mallory wróciła właśnie z Londynu. Pojechała zobaczyć się z Mattiem, dopilnować kilku inwestycji i wpaść z wizytą do siostry Francisa Dunninga; ta wróciła do miasta i wydawała się całym sercem oddana chłopcu, którego miała pod opieką. Pan domu umarł, a pani obiecała jej switą dożywotnią pensję.

– Myślę – zaopiniowała pewnego razu Mallory – że jest szczęśliwa.

Chodząc wieczorami po domu, Mary nie bała się cieni. Żal po stracie Elego nadal tlił się w jej sercu, lecz kiedy o nim myślała – a zdarzało się to często – wyraźnie widziała jego twarz; nie odwracał się już do niej plecami. Zazwyczaj się uśmiechał.

Weszła do położonego przy ich domostwie niewielkiego budynku, w którym mieścił się zakład jej męża. Wyrabiał niewielkie elementy zastaw stołowych i przeprowadzał drobne naprawy dla złotników z pobliskiego Chester. Czasami wykonywał też własne srebra. Wybijał na nich swoje inicjały i posyłał do probierni w Chester. Twierdził, iż go nie obchodzi, że inni złotnicy zastąpią ten znak swoim.

– Jak ktokolwiek ma poznać twoje dzieła, skoro kryjesz się tutaj? – strofowała go żona.

– Upajam się aurą tajemnicy – odpowiadał wtedy z tym swoim uśmiechem, w którym smutek mieszał się z radością, a którego nie mogła zapomnieć przez długie lata swojego pierwszego małżeństwa.

Seriami wykonywał własne projekty: dokładnie rozrysowane, dopracowane; pakował je starannie i wysyłał w świat. Najlepsze jednak zachowywał dla siebie, nie dzielił się nimi.

Tego wieczoru też siedział i rysował. Kiedy położyła mu rękę na karku, odwrócił się i uśmiechnął się do niej. Pociągnęła go ku sobie, składając głowę na jego piersi. „Któż będzie o tobie wiedział? – zapytała go w myślach. – Potomni powinni cię zapamiętać, lecz nie dowiedzą się o tobie niczego, nawet jeśli będą trzymać twoje srebro w rękach”.

– Albanie Steele – odezwała się. – Czy znane jest ci pojęcie czasu?

Roześmiał się i ją pocałował.

– Zdarza mi się o nim zapominać – odparł. – Zaraz przyjdę.

– A ja sprawdzę, co u Edmunda.

Znalazła syna siedzącego w oknie. Zazwyczaj zamykała okiennice i kładła go do łóżka

dużo wcześniej. Klęczał na parapecie i wyglądał na zewnątrz. Obejrzał się na matkę z miną winowajcy.

– Światło mnie zbudziło, mamó – powiedział.

Podeszła do niego i otoczyła go ramionami. Wciągnęła w nozdrza zapach jego skóry i włosów: znajomą, jakby mineralną woń nowości.

– Rzeczywiście jest jasno – stwierdziła. Księżyc zdawał się mniej odległy niż zazwyczaj.

– Co się dzieje? – zapytał Edmund, obracając ku matce swą okrągłą dziecinną buzię; w tym świetle był niewiarygodnie podobny do cherubina.

– Mamę pełnię księżyca – odrzekła, głaszcząc go po głowie. – To pełnia księżyca, Edmundzie.

Chciała dodać: w świetle pełni ludzie wychodzą z domów. Zakochują się, kradną, mordują. Zostań w domu, mój chłopcze, nigdy nie wychodź za próg, gdy świeci taki księżyc.

Oczywiście nie powiedziała tego na głos. Zdążyła się już zorientować, że jej rola dobrej matki będzie wymagać od niej umiejętności przemilczania bardzo wielu rzeczy.

Ucałowała syna i otuliła go kołdrą, mówiąc, że księżyc w pełni będzie czuwał nad jego snem. Wydawał się tym usatysfakcjonowany, bo zamknął oczy i zasnął niemal natychmiast. Kiedy podeszła do okna, aby zamknąć okiennice, popatrzyła na księżyc, jakby widziała go pierwszy raz w życiu. Wpatrzyła się w zasnuwające go cienie i tajemnice. Zaskoczył ją, zdziwił kolejny raz. Nie przypominał srebra. Ani trochę.

Podziękowania

Zaciągnęłam dług wdzięczności u mojej agentki, Jane Finigan, oraz u pracowników Lutyens & Rubinstein, którzy kibicowali tej książce od samego początku. Niewymownie wdzięczna jestem również mojej redaktorce, Clare Hey, a także całemu zespołowi Simon & Schuster za ich ciężką pracę i entuzjazm.

Konkurs literacki Lucy Cavendish College Fiction Competition był bezcennym źródłem motywacji – z wdzięcznością myślę o wszystkich osobach zaangażowanych w jego organizację. Dziękuję również członkom administracji London Library, którzy przyznali mi kartę członkowską Carlyle, co pozwoliło mi zebrać materiały niezbędne do napisania tej książki. Wszyscy moi koledzy z Goldsmiths' Company zachęcali mnie do pracy, za co jestem im wdzięczna.

Wielkie podziękowania należą się także wszystkim przyjaciołom, którzy dopingowali mnie w procesie twórczym, w szczególności Sian Robinson, Ruth Seward i Samancie Woodward. Dziękuję Luke'owi Schragerowi za to, że przeczytał rękopis i omawiał ze mną szczegóły dotyczące XVIII wieku. Za wszystkie błędy odpowiadam ja.

Na koniec chciałabym podziękować mojej rodzinie: mojej siostrze Lisie i jej synom Samuelowi i Harrisonowi, mojej siostrze Angeli i jej rodzinie, a przede wszystkim mojemu mężowi. Gdyby nie jego miłość i pomoc techniczna, nie powstałaby ani jedna strona niniejszej książki.

Od autorki

Treść ogłoszenia o szpitalu dla podrzutków, które tak zdenerwowało Joannę, została zaadaptowana z anonsu, który naprawdę ukazał się w „Timesie” w poniedziałek 9 maja 1791 roku.

Przypisy

[1] Thomas Paine (1737–1809) – radykalny myśliciel angielski, zwolennik rewolucji francuskiej i prekursor liberalizmu [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

[2] Lewelerzy („równacze”) – ruch polityczny z czasów angielskiej wojny domowej, głoszący równość obywateli wobec prawa i tolerancję religijną.

[3] Prawo angielskie zabraniało zawierać związków małżeńskich bez odpowiedniego pozwolenia, lecz luka prawna pozwalała klerowi związanemu z więzieniem Fleet udzielać ślubów nawet bez zapowiedzi i z dala od rodzimej parafii małżonków. Nowe prawo dotyczące zawierania małżeństw, wprowadzone w roku 1753, ukróciło ten proceder.

[4] Zwrócenie się do kogoś inicjałem było oznaką albo poufałości, albo lekceważenia.

[5] Gotowanie srebra w wodzie z dodatkiem alunu jest sposobem na oczyszczenie go z siarkowego osadu.

[6] Drzewo Wolności – symbol walki z tyranią wykorzystywany w czasach rewolucji francuskiej.

[7] Covent Garden – dzielnica Londynu, w XVIII wieku słynąca z domów uciech.

[8] W Hackney mieścił się zakład dla umysłowo chorych.

[9] *Modlitewnik powszechny oraz sprawowanie Sakramentów świętych i innych obrzędów i ceremonij kościelnych według rytuału kościoła anglikańskiego w Polsce*, Warszawa 1931, s. 181–182.

